

Robert
HARRIS
Ghostwriter

THRILLER POLITYCZNY EKRAKIZOWANY PRZEZ ROMANA POLAŃSKIEGO





ROBERT HARRIS

Robert Harris, znany dziennikarz i pisarz brytyjski, ma w swoim literackim dorobku kilka światowych bestsellerów; napisanych w konwencji thrillera powieści nawiązujących do wydarzeń z historii starożytnego Rzymu, II wojny światowej oraz historii najnowszej. Trzy z nich (*Walentyn*, *Enigma* i *Archangelski*) już zostały zekranizowane. Na podstawie najnowszej książki zatytułowanej *Ghostwriter* Roman Polański kończy film z Piercem Bransonem i Ewanem McGregorem; premierę przewidziano na rok 2010.

Były premier Wielkiej Brytanii Adam Lang (czytelna aluzja do Tony'ego Blaira) zleca napisanie swoich wspomnień, za które ma otrzymać 10 milionów dolarów, petyjnymu aparaczykowi Michaelowi McAra. Przed zakończeniem pracy McAra ginie w zagadkowych okolicznościach podczas przeprawy promem na wyspę Martha's Vineyard, gdzie mieszkał wraz z Langiem i jego żoną. Do dokończenia autobiografii premier zatrudnia więc profesjonalnego „ghostwritera” – inaczej „muzzyna”. Wynajęty pisarz natrafia na odkryte przez McAra materiały sugerujące mroczne tajemnice w przeszłości Langa, który rzekomo miał współpracować z CIA. Czy dlatego McAra musiał zginąć? W tym samym czasie Lang zostaje oskarżony o współudział w zbrodniach wojennych; grozi mu proces przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości w Hadze. Ktoś za wszelką cenę nie chce dopuścić do ujawnienia prawdy, jakakolwiek by ona nie była. Nikt spośród tych, którzy ją znają, nie jest bezpieczny...



Robert
HARRIS
Ghostwriter

Z angielskiego przełożył
PIOTR AMSTERDAMSKI



Tytuł oryginału: THE GHOST

Copyright © Robert Haris 2007 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2009

Polish translation copyright © Anna Amsterdamska 2009

Redakcja: Beata Słama

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-023-3

(oprawa twarda)

ISBN 978-83-7359-932-1

(oprawa miękka)

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.empik.com

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2009. Wydanie I/oprawa miękka Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

Dla Gill

Uwaga autora

Chciałbym podziękować Andrew Croftsowi za zgodę na wykorzystanie cytatów z jego znakomitego podręcznika *Ghostwriting* (A & C Black, 2004). Adam Sisman i Luke Jennings, dwaj murzyny, którzy odnieśli duże sukcesy, zechcieli podzielić się ze mną swoimi doświadczeniami. Radca królowej, Philippe Sands, wielkodusznie służył mi radą w kwestiach prawa międzynarodowego. Rose Styron poświęciła kilka dni, żeby pokazać mi Martha's Vineyard - nie mógłbym znaleźć sympatyczniejszego i lepiej poinformowanego przewodnika. Mój amerykański wydawca, David Rosenthal, i mój tamtejszy agent, Michael Carlisle, byli jeszcze bardziej pomocni niż zazwyczaj i w najmniejszym stopniu nie przypominają swych odpowiedników z powieści.

Robert Harris Cap Benat, 26 lipca 2007

*Ja nie jestem sobą; ty nie jesteś ani nim,
ani nią; oni nie są nimi.*

Evelyn Waugh
Brideshead Revisited

Rozdział 1

*Ze wszystkich zalet zawodu murzyna,
z pewnością jedną z największych
jest możliwość poznania interesujących ludzi.*

Andrew Crofts

W chwili, gdy usłyszałem, jak zmarł McAra, powinienem był wstać i wyjść, teraz jest to dla mnie oczywiste. Powinienem był powiedzieć: „Rick, bardzo mi przykro, ale to nie jest temat dla mnie, zupełnie mi nie leży”, dopić whisky i pojechać do domu. Rick potrafił jednak tak dobrze opowiadać - często myślałem, że to on powinien być pisarzem, a ja agentem literackim - że gdy tylko zaczynał o czymś mówić, nigdy nie ulegało wątpliwości, że będę go słuchał, a gdy narazie skończył, już połknąłem haczyk.

Tego dnia Rick opowiedział mi podczas lunchu następującą historię:

Dwa tygodnie temu McAra złapał ostatni prom z Woods Hole w Massachusetts na Martha's Vineyard. Później wyliczyłem,

że to musiało być dwunastego stycznia. Nie było wcale oczywiste, że prom wypłynie. Od południa szalała wichura i odwołano kilka kursów na wyspę. Jednak około dwudziestej pierwszej wiatr nieco osłabł, a za kwadrans dwudziesta druga kapitan postanowił, że może bezpiecznie wyjść z portu. Statek był zatłoczony, Mc Ara miał szczęście, że udało mu się zdobyć miejsce dla samochodu. Zaparkował na dolnym pokładzie i poszedł na górę odetchnąć świeżym powietrzem.

Od tej pory nikt nie widział go żywego.

Przeprawa na wyspę trwa zwykle czterdzieści pięć minut, ale tego wieczoru wiatr znacznie spowolnił wszelkie manewry. Wejście do portu i przybicie do nabrzeża sześćdziesięciometrowym statkiem przy wietrze wiejącym z prędkością pięćdziesięciu węzłów, powiedział Rick, nie należy do przyjemnych rozrywek. Była już niemal dwudziesta trzecia, gdy prom wreszcie przycumował w porcie na Martha's Vineyard i samochody wyjechały z dolnego pokładu. Jeden został: nowiutki, piaskowy SUV ford escape. Główny steward wezwał właściciela przez głośnik, żeby wrócił do samochodu, który blokował innym wyjazd. Gdy ten się nie pojawił, członkowie załogi spróbowali otworzyć wóz. Drzwi nie były zamknięte, więc mogli przepchnąć wielkiego forda na nabrzeże. Później załoga starannie przeszukała cały prom - klatki schodowe, bary, toalety, nawet łodzie ratunkowe. Nikogo nie znaleziono. Steward zadzwonił do Woods Hole, żeby sprawdzić, czy może ktoś zszedł z pokładu tuż przed wypłynięciem lub przypadkowo został na brzegu - znowu nic. W tym momencie armator promu, Zarząd

Żegluga Massachusetts, zawiadomił Straż Przybrzeżną w Falmouth, że być może pasażer wypadł za burtę.

Policja stwierdziła na podstawie numerów rejestracyjnych, że ford należy do niejakiego Martina S. Rhineharta z Nowego Jorku, który - jak się okazało - przebywał na swym ranchu w Kalifornii. Na wschodnim wybrzeżu była już północ, ale na zachodzie dopiero dochodziła dwudziesta pierwsza.

- Czy to ten Marty Rhinehart? - przerwałem Rickowi opowieść.

- Tak, to on.

W telefonicznej rozmowie z policją Rhinehart natychmiast potwierdził, że to jego samochód. Trzymał go w rezydencji na Martha's Vineyard i używał, gdy był w domu, a latem udostępniał gościom. Przyznał również, że mimo zimowej pory gości u siebie grupę ludzi. Obiecał, że poprosi asystentkę, żeby sprawdziła, czy ktoś pożyczył samochód. Pół godziny później oddzwoniła z wiadomością, że rzeczywiście kogoś brakuje - zaginął niejaki McAra.

Do świtu nie było nic do zrobienia. Nie miało to zresztą znaczenia, bo wszyscy wiedzieli, że jeśli pasażer wypadł za burtę, to pozostaje tylko szukanie ciała. Rick jest jednym z tych irytująco sprawnych fizycznie amerykańskich czterdziestolatków, którzy wyglądają tak, jakby mieli lat dziewiętnaście, i ciągle torturują swoje ciała rowerami i kajakami. Zna ten akwen: kiedyś w dwa dni opłynął kajakiem całą wyspę - to sześćdziesiąt mil. Prom z Woods Hole przepływa tam,

gdzie cieśnina Vineyard łączy się z cieśniną Nantucket. To niebezpieczny rejon. Podczas przyływu dobrze widać, jak potężny prąd ciągnie wielkie boje, tak że kładą się na bok. Rick pokręcił głową. W styczniu, podczas wichury, gdy padał śnieg? Nikt nie mógłby przeżyć dłużej niż pięć minut.

Rano następnego dnia kobieta z Martha's Vineyard znalazła zwłoki na plaży, jakieś cztery mile od portu, w zatoce Lambert. Tożsamość denata ustalono na podstawie prawa jazdy znalezionej w jego portfelu. Był to Michael James McAra, lat pięćdziesiąt, z Balham na południu Londynu. Pamiętam nagły przyływ współczucia, gdy Rick wspomniał o tym ponurym, nieciekawym przedmieściu; ten biedak z pewnością był daleko od domu. Według danych z paszportu, jego najbliższą osobą była matka. Policja zabrała zwłoki do niewielkiej kostnicy w Vineyard Haven, a następnie pojechała do rezydencji Rhineharta, żeby przekazać wiadomość i przywieźć jednego z gości, by zidentyfikował ciało.

To musiała być niezła scena - opowiadał Rick - gdy w końcu jakiś ochotnik spośród gości przyjechał do kostnicy zobaczyć zwłoki. „Mogę się założyć, że pracownicy kostnicy wciąż o tym mówią”. Pod budynek zjechały trzy samochody. Policja z Edgartown przybyła wozem patrolowym na sygnale. W drugim samochodzie jechali czterej uzbrojeni agenci ochrony, którzy zabezpieczyli budynek. Na koniec podjechał kuloodporny samochód, a w środku siedział człowiek, którego twarz wszyscy natychmiast rozpoznali -

zaledwie półtora roku temu był premierem rządu Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej.

* * *

Ten lunch to był pomysł Ricka. Nawet nie wiedziałem, że jest w Londynie, dopóki nie zadzwonił do mnie wieczorem, dzień przed spotkaniem. Nalegał, żebyśmy umówili się w jego klubie. Ściśle mówiąc, to nie był jego klub - należał do podobnego mauzoleum w Nowym Jorku, którego członkowie mieli prawo stołować się w zaprzyjaźnionym klubie londyńskim - ale i tak uwielbiał to miejsce. Podczas lunchu prawo wstępu mieli tylko mężczyźni. Każdy z obecnych liczył ponad sześćdziesiąt lat i nosił granatowy garnitur. Od kiedy skończyłem studia, nie czułem się tak młody. Na dworze zimowe, szare chmury przygniatały Londyn jak granitowa płyta nagrobna. Wewnątrz żółte światło z trzech ogromnych żyrandoli odbijało się od politurowanych blatów, platerowanych sztuków i kryształowych karafek z czerwonym winem. Na stole leżała niewielka kartka z zawiadomieniem, że tego wieczoru odbędzie się coroczny klubowy turniej tryk-traka. To było coś w rodzaju paradnej zmiany warty lub zebrania obu izb Parlamentu - tak obco-krajowcy wyobrażają sobie Anglię.

- Jestem zdumiony, że nie było o tym w gazetach - powiedziałem.

- Owszem, było. Nikt nie robił z tego tajemnicy. Były nekrologi.

Gdy się nad tym zastanowiłem, przypomniałem sobie, że chyba rzeczywiście coś widziałem. Jednak od miesiąca pracowałem piętnaście godzin dziennie nad nową książką, autobiografią pewnego piłkarza, i przestałem dostrzegać świat poza moim gabinetem.

- Do diabła, dlaczego były premier Wielkiej Brytanii identyfikował zwłoki człowieka z Balham, który wypadł za burtę promu na Martha's Vineyard?

- Michael Mc Ara - obwieścił Rick z emfazą, z jaką przemawia człowiek, który przeleciał trzy tysiące mil, żeby coś powiedzieć - pomagał mu pisać wspomnienia.

W tym momencie, w równoległym życiu, uprzejmie wyrażam współczucie dla starej pani McAra („śmierć dziecka musiała być ciężkim wstrząsem, zwłaszcza dla kogoś w jej wieku”), składam grubą lnianą serwetkę, dopijam drinka, mówię „do widzenia” i wychodzę na mroźną londyńską ulicę, mając przed sobą całą bezpieczną i niezbyt imponującą karierę zawodową. Zamiast tego przeprosiłem Ricka, poszedłem do toalety i wysikałem się z namysłem, jednocześnie przyglądając się zawieszonemu na ścianie niezbyt zabawnemu dowcipowi rysunkowemu z „Puncha”.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że nie znam się na polityce?
- powiedziałem, gdy wróciłem na miejsce.

- No, ale głosowałeś na niego, nieprawdaż?

- Na Adama Langa? Oczywiście, że głosowałem. Wszyscy głosowali. Nie był byle jakim politykiem, tylko najmodniejszym ze wszystkich. Ludzie oszaleli na jego punkcie.

- Właśnie o to mi chodzi. Kogo interesuje polityka? W każdym razie Lang potrzebuje zawodowego murzyna, a nie jeszcze jednego polityka. - Rick się rozejrzył. Zgodnie z zelaną regułą klubu nie wolno było rozmawiać tu o interesach. To stanowiło dla niego poważny problem, ponieważ nie potrafił rozmawiać o niczym innym. - Marty Rhinehart zapłacił mu dziesięć milionów dolarów za te pamiętniki, stawiając dwa warunki. Po pierwsze, dał mu na ich napisanie dwa lata. Po drugie, Lang miał ostro skrytykować wojnę z terroryzmem, nie powstrzymując się przed niczym. Z tego, co słyszałem, wynika, że daleko mu do spełnienia obu warunków. Tuż przed Bożym Narodzeniem sytuacja wyglądała tak ponuro, że Rhinehart udostępnił mu swój dom na Martha's Vineyard, żeby Lang i McAra mogli tam spokojnie pracować. Przypuszczam, że McAra nie wytrzymał presji. Według lekarza sądowego, miał we krwi cztery razy więcej wody, niż dopuszcza prawo drogowe.

- Zatem to był wypadek?

- Wypadek? Samobójstwo? - Rick machnął niedbale ręką. - Czy ktokolwiek się kiedyś dowie? Jakie to ma znaczenie? Zabiła go ta książka.

- To dobra zachęta - mruknąłem.

Podczas gdy Rick wygłaszał swoją standardową przemowę reklamowo-perswazyjną, gapilem się na swój talerz i wyobrażałem sobie, jak były premier stoi w kostnicy i patrzy na zimną twarz swego asystenta - można powiedzieć, że przyglądał się duchowi swego murzyna. Co wtedy czuł? Stałe zadaję to pytanie swoim klientom. W fazie wywiadu

zadają je pewnie setki razy dziennie. Jak się czuł? Co wtedy czuł? Z reguły nie potrafią odpowiedzieć i właśnie dlatego wynajmują mnie, żebym dostarczył im wspomnień: pod koniec udanej współpracy to ja jestem bardziej moim klientem niż on sam. Szczerze mówiąc, lubię ten proces: przez krótką chwilę mogę się cieszyć wolnością, jaką daje byciem kimś innym. Dlatego zamiast określenia „murzyn”, mówię o sobie, że jestem czymś duchem. Czy to wydaje się niepokojące i niesamowite? Jeśli tak, chciałby dodać, że to wymaga solidnego rzemiosła. Nie tylko wyciągam z ludzi różne opowieści, ale również nadaję ich życiu kształt, który wcześniej był często zupełnie niewidoczny; niekiedy nawet nie zdają sobie sprawy, że mieli takie życie, jakie im ofiarowałem. Jeśli to nie jest sztuka, to nie wiem, co należałoby uznać za sztukę.

- Czy powinienem był słyszeć o tym McArze? - spytałem.

- Tak, więc lepiej nie przyznawajmy się, że nie słyszałeś. Gdy Lang stał na czele rządu, McAra był kimś w rodzaju jego asystenta. Pisał przemówienia, zbierał materiały, pomagał w kształtowaniu politycznej strategii. Po dymisji Langa McAra nadal się go trzymał, kierował jego biurem.

- Sam nie wiem, Rick - skrzywiłem się.

Podczas lunchu kątem oka przyglądałem się staremu aktorowi telewizyjnemu, siedzącemu przy sąsiednim stoliku. Gdy byłem dzieckiem, zasłynął z roli samotnego ojca nastoletnich córek w telewizyjnym serialu. Teraz, gdy z trudem

podniósł się z krzesła i podreptał do wyjścia, wyglądał tak, jakby miał odgrywać własnego trupa i został odpowiednio ucharakteryzowany. Pisałem wspomnienia takich osób, moimi klientami byli ludzie, którzy spadli kilka szczebli ze szczytu społecznej drabiny sławy lub którym zostało do pokonania jeszcze kilka szczebli, czy też uporczywie trzymali się najwyższego szczebla i koniecznie chcieli wykorzystać te pięć minut sławy, żeby zarobić. Pomyśl, iż to ja miałbym napisać wspomnienia premiera, nagle wydał mi się śmieszny i absurdalny.

- No, nie sądzę, Rick - zacząłem znowu, ale on mi przerwał.

- Rhinehart Inc. zaczyna się denerwować. Jutro rano w ich londyńskim biurze odbędzie się konkurs piękności. Sam Maddox przylatuje z Nowego Jorku, żeby reprezentować wydawnictwo. Langa będzie reprezentował prawnik, który negocjował umowę w jego imieniu - to najmodniejszy cwaniak w całym Waszyngtonie. Bardzo bystry facet, nazywa się Sidney Kroll. Mam innych klientów, którym mogę zaproponować to zlecenie, jeśli zatem nie chcesz go przyjąć, powiedz od razu. Jednak na podstawie tego, co od nich słyszałem, ty jesteś najlepszym kandydatem.

- Ja? Chyba żartujesz.

- Nie. Mogę ci to obiecać. Muszą zdecydować się na jakieś radykalne posunięcie, muszą zaryzykować. To dla ciebie wielka okazja. Sporo zarobisz. Dzieci nie będą głodowały.

- Nie mam dzieci.

- Wiem - odpowiedział Rick, puszczając do mnie oko. - Myślałem o moich.

* * *

Rozstaliśmy się na schodach przed klubem. Na Ricka czekał samochód z kierowcą i włączonym silnikiem. Nie zaproponował, że mnie podwiezie. Podejrzewam, że jechał na spotkanie z kolejnym klientem, któremu zamierzał złożyć dokładnie taką samą propozycję, jak mnie. Czy jest jakiś rzeczownik na określenie grupy murzynów? W każdym razie Rick miał w notesie dużo nazwisk murzynów. Proszę przyjrzeć się listom bestsellerów: zdziwiliby się państwo, ile książek na tych spisach to dzieła murzynów, zarówno powieści, jak i z dziedziny literatury faktu. Jesteśmy ukrytymi rzemieślnikami, dzięki którym kręci się wydawniczy interes, podobni do niewidocznych pracowników Walt Disney World. Jak duchy przemykamy podziemnymi tunelami świata sław i gwiazd, pojawiając się tu i ówdzie przebrani za tę czy inną postać, podtrzymując iluzje Magicznego Królestwa.

- Do jutra - rzucił mi jeszcze Rick, po czym znikł, zostawiając za sobą chmurę dymu z rury wydechowej: Mefistofeles na piętnastoprocentowej prowizji. Stałem na schodach przez dobrą minutę, nie potrafiąc się zdecydować. Gdybym był w innej części Londynu, nie mogę wykluczyć, że wydarzenia potoczyłyby się inaczej. Stałem jednak w wąskiej strefie, gdzie Soho łączy się z Covent Garden - w zaśmieconym pasie pustych kin, ciemnych zaułków, czerwonych światel, barów i księgarń. Jest tu tyle księgarń, że

można zwymiotować od samego patrzenia na nie: od niewielkich, bardzo drogich specjalistycznych sklepików do ogromnych magazynów tanich książek na Charing Cross Road. Często zaglądam do jednego z tych olbrzymów, żeby sprawdzić, ile moich książek jest na wystawie. Tego popołudnia też tam zajrzałem. Gdy już się tam zatrzymałem, wystarczyły dwa kroki w poprzek przejścia wyłożonego czerwona wykładziną, żebym znalazł się w dziale biografii i pamiętników. Sam nie wiem, kiedy przeszedłem od półki „sławni ludzie” do „polityka”. Zaskoczyła mnie ilość książek na temat byłego premiera - zajmowały całą półkę. Mieli wszystko, od wczesnej hagiografii *Adam Lang: Statesman for Our Time* do nowej, zjadliwej krytyki *Would You Adam and Eve It? The Collected Lies of Adam Lang*, tego samego autora. Sięgnąłem po najgrubszą biografię i otworzyłem ją na stronie ze zdjęciami. Lang jako dziecko, karmiący mlekiem z butelki małe jagniętko, obok muru z kamieni ułożonych bez zaprawy. Lang jako Lady Macbeth w szkolnym przedstawieniu. Lang przebrany za kurczaka w rewii Footlights, studenckiego teatru z Cambridge. Lang jako bankier w latach siedemdziesiątych - wydawał się zdrowo nawalony. Lang z żoną i małymi dziećmi przed ich nowym domem. Lang z kokardą, machający do tłumu z autobusu bez dachu w dniu zwycięstwa w wyborach do parlamentu. Lang z kolegami, Lang z mężami stanu z innych krajów, Lang z gwiazdami masowej kultury, Lang z żołnierzami na Bliskim Wschodzie. Stojący obok mnie łysy mężczyzna w wygniecionym skórzanym płaszczu spojrział na okładkę biografii,

zaczynał jedną ręką nos, a drugą wykonał gest, jakby splukiwał sedes.

Przeszedłem na drugą stronę półki i poszukałem w indeksie „McAra, Michael”. Znalazłem tylko pięć lub sześć niezbyt interesujących wzmianek - inaczej mówiąc, nie było najmniejszego powodu, żeby ktoś spoza partii lub rządu o nim słyszał. Idź do diabła, Rick, pomyślałem. Wróciłem do zdjęcia uśmiechniętego premiera siedzącego za stołem w sali posiedzeń rządu, w otoczeniu pracowników z Downing Street. Z podpisu wynikało, że McAra to dobrze zbudowany mężczyzna w tylnym rzędzie. Głębia ostrości była za mała - widać było tylko niewyraźną, bladą twarz bez śladu uśmiechu i ciemne włosy. Przyjrzałem mu się dokładniej. Wyglądał dokładnie tak, jak wszyscy tacy zakompleksieni faceci, mający wrodzony pociąg do polityki, którzy sprawiają, że ludzie do mnie podobni czytają tylko sportowe strony gazet. Takich jak McAra można spotkać w każdym kraju, w każdym ustroju - stoją za każdym przywódcą i zawiadują polityczną machiną. To ubrudzeni smarem inżynierowie z kołowni aparatu władzy. I takiemu facetowi powierzono napisanie pamiętników za dziesięć milionów dolarów? Jako profesjonalista uznałem to za obrazę. Kupiłem trochę materiałów na temat Langa i wyszedłem z księgarni z pogłębiającym się przekonaniem, że może jednak Rick miał rację: to ja jestem właściwym człowiekiem do wykonania tego zadania.

Gdy wyszedłem na ulicę, natychmiast zorientowałem się, że gdzieś w okolicy nastąpił kolejny zamach bombowy. Przez

cztery wyjścia z metra przy Tottenham Court Road wypływały strumienie ludzi jak woda z zatłkanej studzienki podczas burzy. Ktoś mówił przez głośnik o „incydencie na Oxford Circus”. To brzmiało trochę jak skrzyżowanie komedii romantycznej z grą „War and Terror”. Szedłem dalej, zastanawiając się, jak wrócę do domu - taksówki, niczym fałszywi przyjaciele, zwykle znikają, gdy tylko pojawiają się pierwsze oznaki jakichś problemów. Przed ogromnym oknem wystawowym jednego ze sklepów z telewizorami stali ludzie, oglądając wiadomości na kilkunastu ekranach równocześnie: na zdjęciach wykonanych z lotu ptaka widać było kłęby czarnego dymu i płomień wydobywające się ze stacji metra. Z napisu na pasku na dole ekranu wynikało, że to prawdopodobnie kolejny samobójczy zamach bombowy, jest wiele ofiar, zabitych i rannych. Policja podała numer telefonu, pod który należało dzwonić, żeby się czegoś dowiedzieć lub przekazać informacje. Helikopter krążył i kołysał się nad dachami. Czułem zapach dymu - ostry, drażniący oczy smród spalin diesla i płonącego plastiku.

Powrót piechotą do domu z ciężką torbą pełną książek zajął mi dwie godziny. Szedłem Marylebone Road, a potem na zachód w kierunku Paddington. Jak zwykle, zamknięto całe metro i wszystkie większe stacje, żeby sprawdzić, czy gdzieś nie ma bomb. Szeroka ulica była całkowicie zakorkowana, a na podstawie wcześniejszych doświadczeń można było przypuszczać, że tak będzie do wieczora. (Jak dobrze, że Hitler nie wiedział, że do sparaliżowania Londynu nie

jest potrzebna powietrzna armada, pomyślałem. W zupełności wystarczy zwariowany nastolatek z butelką wybielacza i workiem środków chwastobójczych). Kilka razy widziałem, jak wozy policyjne i karetki wjeżdżały na chodnik, żeby jakoś dotrzeć do bocznej ulicy.

Włokłem się nogą za nogą w kierunku zachodzącego słońca.

Gdy dotarłem do domu, pewnie była już osiemnasta. Miałem dwupoziomowe mieszkanie na najwyższym piętrze wysokiego, ozdobionego stiukami domu w dzielnicy, którą mieszkańcy nazywają Notting Hill, natomiast poczta uparcie używa określenia North Kensington. W rynsztoku poniewierały się stare strzykawki, muzułmańscy rzeźnicy po drugiej stronie ulicy zabijali tu zwierzęta. Nie była to przyjemna okolica, ale z zaadaptowanego strychu, gdzie urządziłem sobie pracownię, roztaczał się widok jak z wieżowca: dachy, dworce kolejowe, autostrady i niebo - rozległy krajobraz miejskiej prerii, ozdobiony światełkami samolotów lądujących na Heathrow. To ten widok skłonił mnie do kupienia mieszkania, nie zaś gadanina agenta o rosnącym statusie dzielnicy - bogata burżuazja była równie skłonna wrócić w tę okolicę jak do centrum Bagdadu.

Kate już była i oglądała wiadomości. Zapomniałem, że miała przyjść na cały wieczór. Kate jest moją...? Nigdy nie wiedziałem, jak ją mam określić. Powiedzenie, że jest moją dziewczyną, byłoby absurdalne. Nikt po złej stronie trzystietki nie ma dziewczyny. Słowo „partnerka” też nie byłoby

właściwe, bo nie mieszkaliśmy pod jednym dachem. Kochanka? Czy można powiedzieć coś takiego, zachowując powagę? Nałożnica? Dajcie spokój. Narzeczona? Z pewnością nie. Zapewne powinienem już wcześniej zrozumieć, że skoro w ciągu trwającej czterdzieści tysięcy lat ewolucji ludzkiego języka nie pojawiło się słowo na określenie naszego stosunku, to jest to niepokojące. (Nawiasem mówiąc, Kate to nie jest jej prawdziwe imię, ale nie widzę powodu, żeby wciągać ją w tę historię. W każdym razie, lepiej do niej pasuje niż jej prawdziwe imię - ona wygląda jak Kate, jeśli rozumiecie, co mam na myśli - wrażliwa, ale harda, dziewczęca, ale zawsze gotowa być chłopakiem z paczki. Pracuje w telewizji, ale nie miejmy do niej o to pretensji).

- Dzięki za telefon z wyrazami troski - powiedziałem. - Jestem trupem, ale nie przejmuj się tym. - Pocałowałem ją w głowę, rzuciłem książki na sofę i poszedłem do kuchni nalać sobie whisky. - Całe metro stoi. Musiałem iść aż z Covent Garden.

- Biedaczysko - westchnęła. - I na dokładkę robiłeś zakupy.

Dolałem do szklanki wody z kranu, wypilem połowę i dopełniłem do pełna whisky. Przypomniałem sobie, że miałem zarezerwować stolik w restauracji. Gdy wróciłem do salonu, Kate wyciągała z torby książki.

- Po ci te książki? - spytała. - Przecież nie interesujesz się polityką. - Sekundę później odgadła, o co chodzi. Była bystra, bystrzejsza ode mnie. Wiedziała, jak zarabiam na życie. Powiedziałem jej, że idę na spotkanie z agentem

literackim i słyszała o McArze. - Czy zamierzasz mi powiedzieć, że masz napisać jego wspomnienia? - Zaśmiała się. - Chyba nie mówisz poważnie - dodała, próbując zmienić to w żart. - Chyba nie mówisz poważnie - powtórzyła z amerykańskim akcentem, jak pewien tenisista kilka lat temu. Widziałem jednak, że jest zaskoczona i oburzona. Nie cierpiała Langa, czuła się przez niego osobiście zdradzona. Kiedyś należała do jego partii. Zapomniałem o tym.

- Pewnie nic z tego nie będzie – odpowiedziałem i wypilem łyk whisky.

Kate wróciła do oglądania wiadomości, ale siedziała z ciasno skrzyżowanymi ramionami, co zawsze było sygnałem ostrzegawczym. Na pasku pojawił się komunikat: w zamachu zginęło siedem osób, ale policja spodziewała się, że liczba ofiar wzrośnie.

- Jeśli ci to proponują, to się zgodzisz? - spytała, nie patrząc na mnie.

Na szczęście nie musiałem odpowiedzieć, bo spiker zapowiedział, że łączą się z Nowym Jorkiem w celu uzyskania komentarza byłego premiera. Nagle na ekranie pojawił się Adam Lang. Stał na mównicy z napisem „Waldorf Astoria” - wyglądało tak, jakby wygłaszał przemówienie na lunchu.

- Z pewnością wszyscy już słyszeli tragiczne wiadomości z Londynu - powiedział. - Po raz kolejny siły fanatyzmu i nietolerancji...

Nic, co wtedy powiedział, nie zasługuje na przedrukowanie. To była niemal parodia wypowiedzi polityka po ataku

terrorystycznym. Jednak patrząc na niego, można było pomyśleć, że to jego żona i dzieci zostały rozerwane wybuchem bomby. Na tym polegał jego geniusz: w jego wykonaniu polityczne komunały wydawały się świeże i wzniosłe. Nawet Kate na chwilę zamilkła. Odezwała się dopiero wtedy, gdy goście - w większości starsze panie - wstali, żeby nagrodzić go oklaskami.

- Co on właściwie robi w Nowym Jorku? - mruknęła.
- Pewnie wygłasza jakiś wykład.
- Nie może tutaj?
- Przypuszczam, że tutaj nikt nie zapłaciłby mu stu tysięcy dolarów za występ.

Kate wyłączyła fonie.

- W dawnych czasach - powiedziała po długim milczeniu - gdy książęta toczyli wojnę, sami ryzykowali życie w bitwach. Tego po nich oczekiwano, mieli przewodzić, dając przykład. Teraz jeżdżą kuloodpornymi samochodami, z uzbrojoną ochroną, i zarabiają wielkie pieniądze trzy tysiące mil stąd, podczas gdy my musimy znosić konsekwencje ich działań. Nie rozumiem cię - ciągnęła, teraz patrząc mi w twarz. - Po tym wszystkim, co o nim mówiłam w ostatnich latach: „przestępca wojenny” i tak dalej. Ty tylko kiwałeś głową i zgadzałeś się ze mną, a teraz zamierzasz napisać dla niego propagandową książkę, na której znowu zbije fortunę. Czy to wszystko nie ma dla ciebie żadnego znaczenia?

- Chwileczkę. Potrafisz tak znakomicie mówić, ale przez wiele miesięcy usiłowałaś przeprowadzić z nim wywiad. Na czym polega różnica?

- Na czym polega różnica? Chryste! - Kate zacisnęła dłonie - te szczupłe, białe dłonie, które tak dobrze znałem - i podniosła je w geście frustracji, jak pazury lub pięści. Na jej przedramionach pojawiły się żyłki. - Pytasz o różnicę? My chcieliśmy zmusić go do rozliczenia się - na tym polega różnica! Chcieliśmy zadać mu odpowiednie pytania! O tortury, bombardowania i kłamstwa! Nie o to, jak się czuje! Jezu! Ta rozmowa to cholerna strata czasu.

Wstała i poszła do sypialni, żeby zabrać rzeczy, które zawsze przynosiła, gdy zamierzała zostać na noc. Słyszałem, jak wrzuca do torby szminkę, szczoteczkę do zębów, perfumy, dezodorant. Wiedziałem, że mógłbym uratować sytuację, idąc do sypialni. Prawdopodobnie tego oczekiwała; zaliczyliśmy już gorsze kłótnie. Musiałbym przyznać, że miała rację, oświadczyć, że nie nadaję się do wykonania tego zadania, i uznać, iż w tej sprawie, jak we wszystkich innych, wykazała moralną i intelektualną wyższość. Zapewne nie musiałyby to nawet polegać na werbalnej deklaracji, znaczący uścisk wystarczyłby do zawieszenia wyroku. Jednak szczerze mówiąc, stojąc wobec konieczności wyboru między spędzeniem wieczoru na słuchaniu jej triumfalnego, lewicowego moralizowania a perspektywą współpracy z tak zwanym zbrodniarzem wojennym, wołałem zbrodniarza. Wobec tego po prostu nadal gapilem się w telewizor.

Czasami śni mi się koszmar - zbierają się w nim wszystkie kobiety, z którymi kiedykolwiek spałem. Powiedziałbym,

że ich liczba jest raczej stosowna niż ogromna - gdyby urządzić przyjęcie, wszystkie zmieściłyby się bez problemu w moim salonie. A gdyby, uchowaj Boże, takie zebranie rzeczywiście kiedyś miało się odbyć, Kate z pewnością byłaby honorowym gościem. To ona zasiadłaby na najważniejszym miejscu, usłużne i pełne zrozumienia ręce nalewałyby jej wino. Siedziałyby między zdumionymi kobietami, starannie analizując moje moralne i fizyczne słabości. To ona wytrwała ze mną najdłużej.

Wychodząc, nie zatrzasnęła drzwi, lecz delikatnie je zamknęła. Uznałem to za dowód klasy. Wiadomości telewizyjne właśnie podały, że znaleziono ósmą ofiarę.

Rozdział 2

Murzyn, który jest laikiem w danej dziedzinie, musi zadawać takie same pytania jak czytelnicy, a zatem może sprawić, że książka stanie się potencjalnie dostępna dla znacznie szerszego grona.

Andrew Crofts

Rhinehart Publishing UK powstało z pięciu starych wydawnictw, nabytych w trakcie ostrego ataku korporacyjnej kleptomanii w latach dziewięćdziesiątych. Stare oficyny, wyrwane ze swoich dickensowskich mansard w Bloomsbury, powiększone, pomniejszone, przechrzczone, zreorganizowane, zmodernizowane i połączone, zostały w końcu ulokowane w Hounslow, w nowoczesnym biurowcu ze stali i szkła, ze wszystkimi rurami na zewnątrz. W otoczeniu starych kamienic z fasadami z chropowatym tynkiem wieżowiec wyglądał jak porzucony statek kosmiczny po nieudanej wyprawie w poszukiwaniu inteligentnego życia we wszechświecie.

Przybyłem na spotkanie z profesjonalną punktualnością, pięć minut przed dwunastą. Główne wejście było zamknięte. Musiałem zadzwonić, żeby ktoś mnie wpuścił. W holu zauważyłem tabliczkę z wiadomością o ogłoszeniu alarmu z powodu zagrożenia atakiem terrorystycznym. Widziałem przez przyciemnione szyby, jak ochroniarze w swoim ponurym akwariu sprawdzają moje dane w komputerze. Gdy w końcu dostałem się do środka, musiałem wyrzucić kieszenie i przejść przez bramkę wykrywającą metal.

Quigley czekał na mnie przy windzie.

- Jak sądzicie, kto wam podłoży bombę? - spytałem go.
- Random House?

- Wydajemy pamiętniki Langa - odpowiedział Quigley oficjalnym tonem - i to najwyraźniej wystarczy, żeby uznać nas za potencjalny cel ataku terrorystów. Rick jest już na górze.

- Ilu kandydatów zaprosiliście na rozmowę?

- Pięciu. Ty jesteś ostatni.

Znałem go dość dobrze - na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że mnie nie lubi. Musiał mieć jakieś pięćdziesiąt lat, był wysoki i nosił tweedy. W dawnych, szczęśliwych czasach paliłby fajkę i proponował niewielkie zaliczki drugorzędnym uczonym z uniwersytetów podczas dwugodzinnych lunchów w Soho. Teraz jadał lunch, nie wstając od biurka, skąd mógł podziwiać widok na autostradę M4, przy czym z reguły była to sałatka na plastikowym talerzu. Był bezpośrednio podporządkowany szefowej działu sprzedaży i marketingu, mającej pewnie szesnaście lat. Miał troje dzieci w prywatnej szkole,

na którą nie mógł sobie pozwolić. Zapłacił wysoką cenę za przetrwanie - musiał zainteresować się masową kulturą, na przykład życiem różnych piłkarzy, supermodelek i wulgarnych komików, których nazwiska wymawiał z pedantyczną starannością, a ich zwyczaje studiował, czytając tabloidy i zachowując naukową rezerwę, jakby zajmował się badaniem tubylców z odległej wyspy Mikronezji. Rok wcześniej próbowałem sprzedać mu pomysł wydania wspomnień telewizyjnego iluzjonisty, który - rzecz jasna! - miał ciężkie dzieciństwo, był molestowany, ale dzięki swym magicznym umiejętnościom rozpoczął nowe życie, etc., etc. Quigley z miejsca odrzucił tę propozycję. Książka trafiła na pierwsze miejsce na listach bestsellerów: *Przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem*. Wciąż ma do mnie pretensje.

- Muszę ci szczerze powiedzieć - rzekł, gdy jechaliśmy windą na najwyższe piętro - że moim zdaniem nie jesteś właściwą osobą do wykonania tego zlecenia.

- Dobrze zatem, że nie ty o tym zadecydujesz, Roy.

Och, tak, dobrze oceniłem jego pozycję. Był głównym redaktorem angielskiego działu wydawnictwa, co oznaczało, że miał taką władzę, jak zdechły kot. Facet, który naprawdę podejmował ważne decyzje, czekał na nas w pokoju zarządu: John Maddox, naczelny dyrektor Rhinehart Inc., wysoki, zbudowany jak byk nowojoreczyk chory na łysienie plackowate. Jego łysa głowa lśniła w świetle niczym potężne, polakierowane jajo. Podobno (według „Tygodnika Wydawców”) w młodym wieku postarał się o posturę zapaśnika,

żeby móc wyrzucić przez okno każdego, kto zbyt długo przyglądał się jego łysej pale. Bardzo uważałem, żeby nie spojrzeć ponad jego tors herosa. Obok niego siedział waszyngtoński adwokat Langa, Sidney Kroll, czterdziestoparoletni okularnik z bladą, delikatną twarzą i falującymi kruczoczarnymi włosami. Od kiedy w wieku dwunastu lat uściśkałem na powitanie płetwę delfina, który wysunął się z basenu, nigdy nie miałem w ręku czegoś tak miękkiego i wilgotnego, jak jego dłoń.

- Przypuszczam, że znasz Ricka Riccardellego - powiedział Quigley, kończąc ceremonię przedstawiania mnie wszystkim obecnym. Wzruszył lekko ramionami. Mój agent, w lśniącej, szarej koszuli i czerwonym, skórzanym krawacie, puścił do mnie oko.

- Cześć, Rick - rzuciłem.

Usiadłem obok niego. Denerwowałem się. Pod ścianami pokoju, jak w gabinecie Gatsby'ego, stały półki ze starannie oprawionymi książkami, których nikt nigdy nie czytał. Maddox siedział plecami do okna. Potężne, bezwłose dłonie położył na szklanym blacie stołu, jakby chciał pokazać, że jeszcze nie zamierza skorzystać z tej broni.

- Jak dowiedziałem się od Ricka, zna pan sytuację i wie, kogo szukamy. Czy mógłby nam pan wyjaśnić, co pan wniesie do pracy nad realizacją tego projektu?

- Ignorancję - odpowiedziałem pogodnie. Ta odzywka miała przynajmniej jedną zaletę - wstrząsnęła nimi. Zanim ktoś mi przerwał, wygłosiłem krótkie przemówienie, które przeciwczyłem w taksówce: - Wiedzą panowie, co dotychczas

robiłem. Nie ma sensu, żebym udawał kogoś, kim nie jestem. Będę zatem całkowicie szczerzy. Nie czytam wspomnień polityków. I co z tego? - Wzruszyłem ramionami. - Nikt nie czyta. To jednak nie mój problem. To pana problem - dodałem, wskazując Maddoksa.

- Och, proszę - westchnął cicho Quigley.

- Pozwolą panowie, że będę lekkomyślnie szczerzy - kontynuowałem. - Krążą plotki, że zapłaciliście za tę książkę dziesięć milionów dolarów. Sądząc z tego, jak się sprawy mają obecnie, ile, waszym zdaniem, uda się wam odzyskać? Dwa miliony? Trzy? To kiepska wiadomość dla was, a zwłaszcza - spojrzałem na Krolla - dla pańskiego klienta. Jemu nie chodzi tylko o pieniądze. Ważniejsza jest reputacja. Dla Adama Langa to okazja, żeby zostawić historyczne świadectwo, przedstawić swoje argumenty. Z pewnością nie zależy mu na książce, której nikt nie przeczyta. Jak to będzie wyglądało, gdy historia jego życia wyląduje na stoiskach z przecenionymi książkami? Tak jednak nie musi się stać.

Gdy teraz o tym myślę, zdaję sobie sprawę, że mówiłem jak zarozumiały cwaniak. Proszę jednak pamiętać, że to była mowa akwizytora - podobna do deklaracji dozgonnej miłości wygłaszanej o północy w łóżku nieznannej kobiety, której następnego dnia nie należy brać zbyt poważnie i czynić komuś wyrzutów z jej powodu. Kroll uśmiechał się do siebie, bazgrząc coś w notatniku. Maddox mierzył mnie ciężkim spojrzeniem. Zacerpnałem powietrza.

- Jest faktem - mówiłem dalej - że wielkie nazwisko nie daje gwarancji, iż książka dobrze się sprzeda. Wszyscy to doskonale wiemy z przykrych doświadczeń. Książka, podobnie jak film lub piosenka, odnosi sukces, jeśli jest w niej serce. - Przypuszczam, że w tym momencie nawet uderzyłem się w pierś. – Właśnie dlatego pamiętniki polityków są dla wydawców prawdziwą czarną dziurą. Choć na afiszu przed cyrkowym namiotem widnieje wielkie nazwisko, to wszyscy wiedzą, że gdy wejdą, zobaczą ten sam program co zawsze, a kto chce zapłacić dwadzieścia pięć dolarów za stare numery? Trzeba się postarać, żeby w książce czuć było serce autora, a tym właśnie zajmuję się zawodowo i tak zarabiam na życie. A czyja historia może być bardziej przejmująca niż faceta, który zaczął od zera i został premierem?

Pochyliłem się do przodu na sofie.

- Proszę, oto dowcip: autobiografia politycznego przywódcy musi być bardziej, nie zaś mniej interesująca niż wspomnienia innych ludzi. Dlatego uważam moją ignorancję w dziedzinie polityki za plus. Szczerze mówiąc, jestem z niej dumny. Poza tym, Adam Lang nie potrzebuje mojej pomocy w kwestiach politycznych, bo jest politycznym geniuszem. Potrzebuje natomiast, moim skromnym zdaniem, tego samego, co gwiazda filmowa, mistrz baseballu lub gwiazdor rocka - doświadczonego współpracownika, który wycisnie z niego, co czuł i przeżywał.

W pokoju zapadła cisza. Drżałem. Rick poklepał mnie Po kolanie.

- Dobra robota - powiedział.
- Co za hucpa - mruknął Quigley.
- Tak myślisz? - spytał Maddox, wciąż patrząc na mnie.
Powiedział to obojętnym tonem, ale na miejscu Quigleya poczułbym niepokój.

- Och, John, to oczywiste - prychnął Quigley z wyniosłym lekceważeniem potomka czterech pokoleń oksfordzkich profesorów. - Adam Lang to postać historyczna. Jego autobiografia będzie wydarzeniem na światowym rynku wydawniczym. To w istocie zdarzenie historyczne. Nie można jej traktować jak... - Quigley pośpiesznie szukał w swej pojemnej pamięci odpowiedniego porównania, ale skończył nieporadnie: - jak artykułu do magazynu o gwiazdach popkultury.

- Wydaje mi się - odpowiedział Maddox - że mam kilka magazynów wypełnionych książkami, których ukazanie się było „światowym wydarzeniem”, ale jakoś nie mogę znaleźć sposobu, żeby się ich pozbyć. - Mówił w taki sam powolny i spokojny sposób jak poprzednio i nie zdjął wielkich różowych dłoni manekina ze stołu. - Znacznie więcej ludzi czyta magazyny o gwiazdach popkultury. Nie sądzisz, Sid?

Kroll przez kilka sekund uśmiechał się do siebie i coś gryzmołił. Zastanawiałem się, co go tak bawi.

- Stanowisko Adama jest zupełnie jasne - powiedział w końcu. (Adam - Kroll rzucił imię premiera tak niedbale jak monetę do czapki żebraka). - Ta książka to dla niego bardzo poważna sprawa. Można ją uznać za jego testament. Chce również wypełnić zobowiązania wynikające z umowy. Zależy

mu także na sukcesie komercyjnym. Z tych względów chętnie podporządkuje się twoim wskazówkom, Johnie, podobnie jak Marty'ego, rzecz jasna w granicach rozsądku. Niewątpliwie jest bardzo przygnębiony losem Mike'a, który był niezastąpiony.

- Oczywiście - wszyscy to przyznaliśmy, wygłaszając stosowne uwagi.

- Niezastąpiony - powtórzył Kroll. - A jednak ktoś musi go zastąpić. - Podniósł głowę, wyraźnie zadowolony ze swego żartu. W tym momencie zrozumiałem, że w każdym horrorze, jaki świat może zaoferować - wojnie, ludobójstwie, klęsce głodu, śmierci dziecka na nowotwór - Sidney Kroll zawsze potrafi dostrzec coś zabawnego. - Adam z pewnością doceni korzyści, jakie może przynieść udział kogoś zupełnie nowego i innego niż Mike. Najważniejsza jest osobista więź. - Spojrzał na mnie. Od jego szkieł odbiło się światło. - Czy pan uprawia sport? - Pokręciłem głową. - Szkoda. Adam lubi ćwiczyć.

Quigley, który jeszcze nie pozbywał się po ostrej uwadze Maddoksa, próbował się odkuć.

- Znam całkiem dobrego pisarza z redakcji „Guardiana”, który chodzi do siłowni - wtrącił.

Zapadła krępująca cisza.

- Czy moglibyśmy omówić sprawy praktyczne? - przerwał milczenie Rick. - Jak to sobie wyobrażacie?

- Przede wszystkim tekst musi być gotowy za miesiąc - powiedział Maddox. - Obaj, Marty i ja, jesteśmy tego zdania.

- Miesiąc? - powtórzyłem. - Chcecie mieć książkę za miesiąc?

- Jest już gotowy maszynopis - wtrącił Kroll. - Po prostu wymaga jeszcze trochę pracy.

- Dużo pracy - poprawił go ponuro Maddox. - Dobra, policzmy wstecz. Książka ma się ukazać w czerwcu, co oznacza, że w maju musi trafić do dystrybucji, co oznacza, że musimy mieć marzec i kwiecień na redakcję i druk. Wobec tego gotowy maszynopis musi trafić do wydawnictwa pod koniec lutego. Niemcy, Francuzi, Włosi i Hiszpanie będą musieli natychmiast zacząć tłumaczyć. Musimy dać tekst gazetom do publikacji w odcinkach. Planujemy program telewizyjny. Trzeba z odpowiednim wyprzedzeniem ustalić plan trasy promocyjnej. Musimy zarezerwować miejsce na półkach w sklepach. A więc koniec lutego i kropka. Z pana *résumé* wynika - ciągnął, spoglądając na kartkę, na której zauważyłem tytuły wszystkich moich książek - że niewątpliwie ma pan duże doświadczenie i potrafi pan szybko pracować. Dotrzymuje pan terminów.

- Jeszcze nigdy się nie spóźnił - zaznaczył Rick, kładąc ręce na moich ramionach. Uścisnął mnie. - Mój chłopak.

- No i jest pan Anglikiem. Moim zdaniem, murzyn musi być Anglikiem, bo inaczej nie uchwyci waszego stylu mówienia.

- Zgadza się - stwierdził Kroll. - Jednak cała praca będzie musiała zostać wykonana w Stanach. Adam ma kalendarz wypełniony odczytami i zbiórkami pieniędzy dla

swojej fundacji. Nie sądzę, żeby mógł przyjechać do Wielkiej Brytanii wcześniej niż w marcu.

- Miesiąc w Ameryce, proszę bardzo. Tak? - Rick spojrzał na mnie wyczekująco. Czułem, że chce, żebym się zgodził, ale w głowie miałem tylko jedną myśl: miesiąc, oni chcą, żebym napisał książkę w miesiąc...

- Przypuszczam, że mógłbym przywieźć maszynopis i pracować w domu - powiedziałem powoli.

- Maszynopis zostaje w Stanach - oświadczył Kroll tonem wykluczającym dyskusję. - Między innymi z tego powodu Marty zaoferował Adamowi swój dom na Martha's Vineyard. To bezpieczne miejsce. Tylko kilka osób ma dostęp do tekstu.

- Mówi pan tak, jakby to była bomba, nie maszynopis - zażartował Quigley. Nikt się nie zaśmiał. Z zażenowaniem zatarł ręce. - Wie pan, w pewnym momencie będę musiał go zobaczyć. Podobno mam być redaktorem.

- W teorii - powiedział Maddox. - Później o tym porozmawiamy. - Zwrócił się do Krolla: - W tym harmonogramie nie ma miejsca na żadne zmiany. Będziemy musieli wprowadzać zmiany na bieżąco.

Podczas gdy oni dyskutowali o harmonogramie, ja przyglądałem się uważnie Quigleyowi. Siedział bez ruchu, wyprostowany, jak jedna z tych filmowych ofiar, która zostaje zasztyletowana w tłumie i umiera, a nikt tego nie spostrzeża. Niemal niezauważalnie otwierał i zamykał usta, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze. W tym momencie uświadomiłem sobie, że zadał zupełnie rozsądne pytanie. Jeśli ma być redaktorem, dlaczego nie może zobaczyć maszynopisu?

Dlaczego maszynopis musi pozostawać „w bezpiecznym miejscu”, na wyspie u wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych? Nagle poczułem, że Rick szturcha mnie łokciem w żebra. Maddox coś do mnie mówił.

- Kiedy mógłby pan wylecieć do Ameryki? Zakładając, że wybierzemy pana, nie kogoś innego, ile czasu potrzebowalby pan na przygotowania do wyjazdu?

- Dzisiaj jest piątek. Proszę o dzień na przygotowania. Mogę polecieć w niedzielę.

- I zacząć w poniedziałek? To wspaniale.

- Nie znajdziecie nikogo, kto zgodziłby się wylecieć wcześniej - wtrącił Rick.

Maddox i Kroll wymienili spojrzenia. Wiedziałem, że wybrali mnie. Rick powiedział później, że sztuka polega na postawieniu się na miejscu partnerów w negocjacjach.

- To tak, jakbyś rozmawiał z nową sprzątaczką. Czy chcesz kogoś, kto wygłasza wykład o historii i teorii sprzątania, czy też kogoś, kto po prostu weźmie się do roboty i posprząta twój pieprzony dom? Wybrali ciebie, ponieważ sądzą, że zrobisz porządek w ich burdelu.

- Wybieramy pana - powiedział Maddox, wstał i podał mi rękę. - Oczywiście pod warunkiem, że dojdziemy do satysfakcjonującego porozumienia z Rickiem.

- Będzie pan musiał podpisać zobowiązanie do zachowania tajemnicy - dodał Kroll.

- Proszę bardzo - zgodziłem się i też wstałem. To mi nie

przeszkadzało. Takie zobowiązania to rutyna w świecie muzyków. - Jestem bardzo zadowolony z tej propozycji.

I rzeczywiście byłem. Wszyscy z wyjątkiem Quigleya uśmiechali się szeroko i nagle w pokoju zapanowała atmosfera wspólnoty, jak w szatni po wygranym meczu. Rozmawialiśmy swobodnie jeszcze minutę lub dwie, po czym Kroll odciągnął mnie na bok.

- Mam tu coś, co chciałbym panu pokazać - powiedział. Sięgnął pod stół i wyciągnął żółtą plastikową torbę z wykalfografowaną czarną farbą nazwą jakiegoś luksusowego warszawskiego sklepu z ubraniami. W pierwszej chwili pomyślałem, że to maszynopis Langa i cała ta gadanina o „bezpiecznym miejscu” była tylko żartem. Kroll dostrzegł moją minę.

- Nie, to nie to! - zaśmiał się. - To książka jednego z moich klientów. Bardzo zależy mi na pana opinii, gdyby znalazł pan chwilę, żeby ją przejrzeć. Tutaj jest mój numer.

Wziąłem jego wizytówkę i schowałem do kieszeni. Quigley wciąż milczał.

- Zadzwoń do ciebie, gdy dobijemy targu - powiedział Rick.

- Postaraj się, żeby jęczeli. - Ścisnąłem jego ramię.

Maddox się zaśmiał.

- Hej, niech pan pamięta! - krzyknął, gdy Quigley odprowadzał mnie do drzwi. Przycisnął wielką pięść do klapy granatowej marynarki. - Z sercem!

Gdy szliśmy do windy, Quigley wpatrywał się w sufit.

- Czy mnie się zdawało, czy właśnie wywalili mnie z pracy? - spytał.

- Nie pozwolą ci odejść, Roy - powiedziałem, starając się, żeby zabrzmiało to możliwie szczerze i przekonująco, choć sam nie bardzo w to wierzyłem. - Oprócz ciebie nie ma tu już nikogo, kto pamięta, jak kiedyś wydawano książki.

- Nie pozwolą odejść - powtórzył z goryczą. - To jeden z tych nowoczesnych eufemizmów, prawda? Tak jakby to mnie na tym zależało. Wisisz nad przepaścią, a ktoś mówi: „Och, bardzo mi przykro, ale będziemy musieli pozwolić panu odejść”.

Na czwartym piętrze do windy wsiadła jakaś para korzystająca z przerwy na lunch. Quigley milczał, dopóki nie wysiedli na pierwszym, gdzie była kafeteria.

- W całym tym projekcie coś śmierdzi - stwierdził, gdy zamknęły się drzwi windy. - Coś jest nie w porządku.

- To, że wybrali mnie?

- Nie. - Quigley ściągnął brwi. - Czulem to już wcześniej. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, o co chodzi. Dlaczego nie pozwalają nikomu zobaczyć maszynopisu? Gdy patrzę na tego Krolla, mam drgawki. No i ten biedak, Mike McAra. Poznałem go, gdy podpisywaliśmy umowę dwa lata temu. Nie zrobił na mnie wrażenia człowieka skłonnego popełnić samobójstwo. Raczej na odwrót. Myślę, że przez niego wielu ludzi myślało o samobójstwie, to była jego specjalność, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Twardy?

- Tak, na pewno. W razie czego, Lang odchodził z uśmiechem na ustach, a na miejscu zostawał ten zbir z oczami węża. Przypuszczam, że ktoś zajmujący taką pozycję jak Lang, musi mieć takich ludzi do pomocy. Winda zatrzymała się na parterze. Wyszliśmy do holu.

- Za rogiem jest postój taksówek - powiedział Quigley.

Mam nadzieję, że zgnije w ziemi za tę jedną drobną złośliwość - mógł przecież wezwać taksówkę na rachunek firmy, a zamiast tego zmusił mnie, żeby szedł w deszczu na postój. - Powiedz mi - odezwał się nagle - dlaczego głupota stała się taka modna? To coś, czego nie rozumiem. Kult idioty. Wyniesienie na ołtarze debila. Nasi najlepiej sprzedający się autorzy - aktorka z wielkimi cyckami i ten wariat z armii - nie napisali sami nawet słowa.

- Mówisz jak stary człowiek, Roy - odpowiedziałem. - Ludzie narzekają na obniżenie poziomu, od kiedy Szekspir zaczął pisać komedie.

- Owszem, ale teraz to się dzieje naprawdę. Wcześniej tak nie było.

Wiedziałem, że chce mi dokuczyć. Murzyn służący gwiazdorom popkultury miał teraz napisać wspomnienia premiera. Byłem jednak zbyt zadowolony z siebie, żeby się tym przejmować. Złożyłem mu życzenia spokojnego życia na emeryturze i poszedłem do drzwi wyjściowych, machając tą cholerną żółtą torbą.

* * *

Straciłem chyba pół godziny na szukanie taksówki. Miałem tylko bardzo mgliste wyobrażenie, gdzie jestem. Ulice

były szerokie, domy niewielkie. Padała monotonna, zimna mżawka. Od dźwignia maszynopisu Krolla bolała mnie ręka. Sądząc po wadze, musiał liczyć z tysiąc stron. Kto jest jego klientem? Tołstoj? W końcu znalazłem przystanek autobusowy przed sklepem spożywczym i zakładem pogrzebowym. Pod metalową ramkę z rozkładem kursów wciśnięta była wizytówka firmy taksówkowej. Zadzwoiłem po taksówkę.

Powrót do domu zajął mi prawie godzinę. Miałem dość czasu, żeby spojrzeć na maszynopis. Tytuł brzmiał *Jeden z wielu*. Były to wspomnienia jakiegoś starożytnego amerykańskiego senatora, znanego wyłącznie z tego, że oddychał sto pięćdziesiąt lat. Według wszelkich normalnych standardów nudziarstwa, to dzieło wykraczało poza skalę miernika - i to daleko, poza flaki z olejem, aż do pozbawionej tlenu stratosferycznej nicości. W samochodzie było za gorąco i śmierdziało chińskim jedzeniem na wynos. Zaczęło mnie mdlić. Schowałem maszynopis do torby i otworzyłem okno. Opłata za kurs wyniosła czterdzieści funtów.

Zapłaciłem kierowcy i właśnie przecinałem chodnik, idąc z pochyloną głową z powodu deszczu i szukając kluczy, gdy poczułem, że ktoś lekko klepnął mnie w ramię. Odwróciłem się i nagle poczułem, jakbym walnął głową w mur lub wpadł pod ciężarówkę: jakaś potężna siła odrzuciła mnie do tyłu, zatoczyłem się i wpadłem na drugiego napastnika. (Później powiedziano mi, że było ich dwóch, obaj mieli po jakieś dwadzieścia lat. Jeden stał przy wejściu do suterenu, drugi

pojawił się nie wiadomo skąd i złapał mnie od tyłu). Przewróciłem się i dotknąłem policzkiem mokrego, szorstkiego betonu rynsztoka. Jęknąłem i rozplakałem się jak dziecko. Widocznie odruchowo zacisnąłem palce, ponieważ poczułem, oprócz znacznie silniejszego bólu, słabszy i ostrzejszy - jak flet w orkiestrze - gdy ktoś nadepnął mi na rękę i wyrwał torbę.

Powiedzenie, że zaparło mi dech w piersiach, byłoby zbyt łagodne. To sugeruje coś lekkiego i ulotnego. W istocie byłem znokautowany i niemal uduszony, powalony i upokorzony. Splot słoneczny bolał mnie tak, jakby ktoś wbił mi tam nóż. Gdy z trudem łapałem oddech, byłem przekonany, że rzeczywiście tak się stało. Przechodnie chwycili mnie za ramiona i podnieśli do pozycji siedzącej. Oparli mnie o drzewo. Twarda, nierówna kora wbijała mi się w plecy. W końcu udało mi się zaczerpnąć powietrza. Natychmiast zacząłem macać się po brzuchu w poszukiwaniu otwartej rany, z której - jak sobie wyobrażałem - już wypływają wnętrzości. Jednak gdy spojrzałem na wilgotne palce, nie zobaczyłem krwi, tylko brudną wodę z rynsztoka. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiałem, że jednak nie umrę. W zasadzie nic mi się nie stało i chciałem tylko uciec od tych pełnych współczucia ludzi, którzy zebrali się wokół mnie, wyciągali telefony komórkowe i pytali, czy wezwać policję i pogotowie ratunkowe.

Groźba, że będę czekał dziesięć godzin na zbadanie, a następnie spędzę pół dnia w komisariacie, aż ktoś zechce mnie przesłuchać, zupełnie wystarczyła, żebym wstał z rynsztoka, wszedł po schodach i schronił się w mieszkaniu. Zamknąłem

drzwi na klucz, zrzuciłem wierzchnie ubranie i położyłem się na sofie. Dygotałem. Leżałem bez ruchu pewnie z godzinę, bo w pokoju stopniowo gęstniał cień styczniowego popołudnia. W końcu wstałem, poszedłem do kuchni i wymiotowałem do zlewu, a potem nalałem sobie solidną porcję whisky.

Czułem, że szok powoli mija i ogarnia mnie euforia. Trochę alkoholu wystarczyło, żebym poweselał. Pomacałem kieszenie kurtki i dotknąłem nadgarstka: nadal miałem portfel i zegarek. Napastnicy zabrali tylko żółtą plastikową torbę z maszynopisem wspomnień senatora Alzheimerera. Wybuchnąłem głośnym śmiechem, gdy wyobraziłem sobie, jak złodzieje uciekają Ladbroke Grove, po czym zatrzymują się w jakimś zaułku, żeby sprawdzić, co zdobyli: „Wszystkim młodym ludziom, którzy zamierzają dziś prowadzić życie publiczne, mogę poradzić...”. Po kolejnej szklance whisky zdałem sobie sprawę, że sytuacja może okazać się kłopotliwa. Stary Alzheimer nic mnie wprawdzie nie obchodził, ale Sidney Kroll mógł mieć w tej sprawie inne zdanie.

Wyjąłem z kieszeni jego wizytówkę. Sidney L. Kroll, kancelaria adwokacka Brinkerhof, Lombardi, Kroll, M Street, Waszyngton, DC. Po dziesięciominutowym namyśle usiadłem na sofie i zadzwoniłem na jego komórkę. Odebrał po drugim dzwonku.

- Sid Kroll.

Intonacja świadczyła, że się uśmiecha.

- Sidneyu - powiedziałem, starając się, żeby wymówić

jego imię zupełnie naturalnie. - Nie zgadniesz, co się właśnie zdarzyło.

- Ktoś ukradł mój maszynopis?

Zatkało mnie na chwilę.

- Boże - jęknąłem wreszcie. - Czy jest coś, o czym nie wiesz?

- Co takiego? - Ton jego głosu nagle się zmienił. - Jezu, żartowałem. Naprawdę ktoś cię okradł? Nic ci nie jest? Gdzie jesteś?

Wyjaśniłem mu, co się stało. Powiedział, żebym się nie martwił. Maszynopis nie miał żadnego znaczenia. Dał mi go do przejrzenia tylko dlatego, że sądził, iż to mnie zainteresuje z profesjonalnego punktu widzenia. Poprosi o przesłanie drugiej kopii. Spytał, co zamierzam zrobić. Czy chcę zawiadomić policję? Odpowiedziałem, że zrobię to, jeśli mu na tym zależy, ale moim zdaniem to przysporzy więcej kłopotów niż korzyści. Wolałem uznać to zdarzenie za jeszcze jeden obrót koszmarnej karuzeli miejskiego życia.

- No, wiesz, *que sera, sera*, jednego dnia zamach bombowy, drugiego napad.

Kroll przyznał mi rację.

- Bardzo się cieszę z naszego dzisiejszego spotkania - powiedział. - Wspaniale, że będziesz z nami pracował. Pozdrawiam. Cześć - rzucił i przerwał połączenie. W jego głosie znowu pojawił się pogodny ton. „Cześć”.

Poszedłem do łazienki i rozpiąłem koszulę. Nad żołądkiem, tuż poniżej żeber, miałem czerwony poziomy ślad po

uderzeniu. Stałem przed lustrem, żeby mu się przyjrzeć. Miał trzy cale długości i cal szerokości. Zwróciłem uwagę na zaskakująco ostre kontury. To nie jest ślad po uderzeniu pięścią, pomyślałem. Powiedziałbym, że to odcisk kastetu. Wyglądał na dzieło zawodowca. Poczulem się dziwnie i wróciłem na sofę.

Znowu zadzwonił telefon. Tym razem był to Rick - chciał mi przekazać wynik negocjacji.

- Co się stało? - spytał, przerywając swoją relację. - Dziwnie mówisz.

- Niedawno napadli mnie jacyś dwaj faceci.

- Nie!

Jeszcze raz opowiedziałem, co się stało. Rick wyraził stosowne współczucie, ale gdy tylko usłyszał, że mimo obrażeń mogę pracować, z jego głosu znikł niepokój. Przy pierwszej okazji wrócił do interesującego go tematu.

- A więc czujesz się na tyle dobrze, żeby w niedzielę polecieć do Stanów?

- Z pewnością. Po prostu jestem trochę zszokowany, to wszystko.

- Dobra, więc przygotuj się na jeszcze jeden szok. Za miesiąc pracy nad maszynopisem, który podobno jest już napisany, wydawnictwo Rhinehart Inc. gotowe jest zapłacić ci dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów plus koszty.

- Ile?!

Gdybym nie siedział na sofie, z pewnością bym się na nią zwałił. Mówią, że każdy człowiek ma swoją cenę. Cwierć miliona dolarów za cztery tygodnie pracy to w przybliżeniu dziesięć razy więcej niż wynosi moja cena.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów płatne co tydzień przez cztery tygodnie - sprecyzował Rick. - Plus pięćdziesiąt tysięcy premii, jeśli wykonasz robotę w terminie. Płacą za samolot i zapewniają mieszkanie w Stanach. No i zostaniesz wymieniony jak współautor.

- Na stronie tytułowej?

- Coś ty! Daj spokój. W podziękowaniach. Ale i tak wszyscy z branży zwrócą na to uwagę. Już ja się o to postaram. Ale na razie musisz zachować dyskrecję. Bardzo na to nalegali. - Słyszałem, jak chichocze do słuchawki. Na pewno wyciągnął się wygodnie na fotelu. - No, mój chłopcze, otwiera się przed tobą nowy świat!

Miał rację.

Rozdział 3

*Jeśli jesteś bardzo nieśmiały i nie potrafisz
sprawić, żeby twój rozmówca rozluźnił się
i nabrał pewności siebie, to zawód ducha
nie jest twoim powołaniem.*

Andrew Crofts

Samolot American Airlines lot numer sto dziewięć do Bostonu miał wystartować z Heathrow o dziesiątej trzydzieści w niedzielę rano. W sobotę po południu kurier przywiózł mi bilet na lot w jedną stronę w klasie biznesowej, a także umowę i zobowiązanie do zachowania tajemnicy. Miałem podpisać oba dokumenty i oddać mu kopie. Ufałem Rickowi, że dopilnował, aby wszystko w kontrakcie było w porządku, dlatego podpisałem go, nawet nie czytając. Stojąc w holu, szybko przejrzałem zobowiązanie do zachowania dyskrecji. Gdy teraz o nim myślę, wydaje mi się niemal komiczne: *Będę traktował wszystkie przekazane mi poufne informacje jako ściśle prywatne i tajne i podejmę wszelkie*

konieczne kroki, żeby nie dopuścić do ich ujawnienia lub przekazania trzeciej stronie... lub innej osobie. Nie wykorzystam, ujawnię lub dopuszczę do ujawnienia przez inną osobą tajnych informacji w interesie trzeciej strony... Nie skopiuję i nie przekażę nikomu ani wszystkich powierzonych mi tajnych materiałów, ani ich części bez wcześniejszej zgody Właściciela... Złożyłem podpis bez wahania.

Zawsze dążyłem do tego, żeby w każdej chwili móc zniknąć. Zwykle wystarczało mi pięć minut, żeby zawiesić na kołku życie w Londynie. Wszystkie rachunki reguluję za pomocą polecenia zapłaty. Nie zamawiam mleka i gazet z dostawą do domu, więc nie miałem czego odwoływać. Moja sprzątaczką, której i tak właściwie nie widuję, będzie jak zwykle przychodziła dwa razy w tygodniu i wyjmowała pocztę ze skrzynki na dole. Nie miałem na warsztacie żadnej roboty. Nie miałem umówionych spotkań. Nigdy nie rozmawiałem z sąsiadami. Kate prawdopodobnie odeszła na dobre. Większość moich znajomych już dawno wkroczyła do królestwa życia rodzinnego, z którego odległych brzegów nikt nie wraca - tak przynajmniej wynika z mojego doświadczenia. Moi rodzice nie żyli. Nie miałem rodzeństwa. Mógłbym umrzeć, a świat nawet by tego nie zauważył. Spakowałem do walizki ubrania na tydzień, sweter i zapasową parę butów. Wrzuciłem do torby podróżnej laptopa i mały magnetofon cyfrowy na dyski. Zamierzałem korzystać z pralni w hotelu. Gdyby okazało się, że jeszcze czegoś potrzebuję, zamierzałem kupić to na miejscu.

Resztę dnia i cały wieczór spędziłem w domu, czytając

książki o Adamie Langu i przygotowując listę pytań. Nie chcę tu udawać jakiegoś Jekylla i Hyde'a, ale gdy zaczęło zmierzchać - gdy w wysokich blokach po drugiej stronie stacji rozjazdowej kolei zapaliły się światła, a czerwone, białe i zielone migające gwiazdki zaczęły opadać w kierunku lotniska - czułem już, że zaczynam wcielać się w Langa. Był ode mnie kilka lat starszy, ale wywodziliśmy się z podobnych kręgów społecznych. Wcześniej nie zwróciłem uwagi na te podobieństwa: jednak, urodzony w Midlands, uczył się w lokalnej szkole podstawowej, dyplom z Cambridge, zamiłowanie do studenckiego teatru, całkowity brak zainteresowania studencką polityką.

Wróciłem do zdjęć. *Histeryczna gra Langa w roli kurczaka kierującego farmą intensywnego chowu ludzi w przedstawieniu uniwersyteckiego teatru Footlights w 1972 roku w Cambridge przyniosła mu wiele pochwał.* Mogłem sobie wyobrazić, że obaj uganiał się za tymi samymi dziewczynami, jechaliśmy starą furgonetką z tym samym kiepskim przedstawieniem na festiwal alternatywnych teatrów Edinburgh Fringe, mieszkaliśmy razem w wynajętym mieszkaniu, razem dawaliśmy w szyję. A jednak, w jakiś sposób, mówiąc metaforycznie, ja pozostałem kurczakiem, a on stał się premierem. W tym punkcie moja zwykła zdolność empatii mnie opuściła, gdyż nie mogłem dostrzec niczego w jego pierwszych dwudziestu pięciu latach życia, co zapowiadałoby następne dwadzieścia pięć. Wytłumaczyłem sobie jednak, że jeszcze mam czas opanować jego głos.

Tego wieczoru, przed położeniem się do łóżka, zamknąłem

drzwi na oba zamki. Śniło mi się, że ścigam Adama Langa przez labirynt zalanych deszczem ulic wśród budynków z czerwonej cegły. Gdy wsiadłem do taksówki i kierowca odwrócił się do mnie, żeby spytać, dokąd chcę jechać, zwróciłem uwagę, że ma smętną twarz McAry.

* * *

Następnego dnia Heathrow wyglądało tak, jakby kręcono tam jeden z tych beznadziejnych filmów fantastycznaukowych, których akcja toczy się w niedalekiej przyszłości, po tym, jak służby specjalne przejęły władzę. Przed terminalem stały dwa wozy pancerne. Kilkunastu źle ostrzyżonych mężczyzn z karabinami maszynowymi, w stylu Rambo, patroloowało terminal. Pasażerowie stali w długich kolejkach, żeby przejść przez bramki bezpieczeństwa, gdzie ich rewidowano i prześwietlano. W jednej ręce trzymali buty, w drugiej żałosne, przezroczyste torebki z przyborami toaletowymi. Po drodze są reklamowane jako wyraz wolności, ale w rzeczywistości mamy jej tyle, co laboratoryjne szczury. Tak będzie zorganizowany następny Holocaust, pomyślałem, przesuwając się naprzód w samych skarpetkach. Dadzą nam bilety lotnicze, a my posłusznie wykonamy wszystkie polecenia.

Po sforsowaniu bramki ochrony poszedłem przez pachnące sale sklepów wolnocłowych do poczekalni American Airlines. Chciałem tylko napić się darmowej kawy i przeczytać wiadomości sportowe w porannych gazetach. W rogu sali stał telewizor nastawiony na kanał z wiadomościami

satelitarnymi. Nikt ich nie oglądał. Zrobiłem sobie podwójne espresso i już chciałem skupić uwagę na sprawozdaniach z meczów ligowych w jakimś tabloidzie, gdy usłyszałem słowa „Adam Lang”. Trzy dni wcześniej nie zwróciłbym na to najmniejszej uwagi, podobnie jak inni pasażerowie, ale teraz zareagowałem tak, jakby to mnie ktoś zawołał. Podszedłem do telewizora. Spróbowałem zrozumieć, o co chodzi.

Przede wszystkim odniosłem wrażenie, że to nic ważnego. Jakieś stare wiadomości. Kilka lat temu czterej brytyjscy obywatele zostali zgarnięci w Pakistanie - według ich adwokata „porwani przez CIA”. Agenci wywieźli ich do tajnej bazy wojskowej w Europie Wschodniej i poddali torturom. Jeden zmarł podczas przesłuchania, pozostałych trzech uwięziono w Guantanamo. Nowiną natomiast było opublikowanie przez niedzielną gazetę dokumentu, który wyciekł z Ministerstwa Obrony. Dokument ten sugerował, że Lang rozkazał jednostce SAS porwać tych ludzi i przekazać ich CIA. Poniżej redakcja zacytowała różne pełne oburzenia wypowiedzi - prawnika z organizacji obrony praw człowieka, rzecznika rządu Pakistanu. Obok umieszczono zdjęcie Langa z girlandą kwiatów na szyi, gdy jako premier składał oficjalną wizytę w Pakistanie. Rzeczniczka prasowa Langa oświadczyła, że były premier nic nie wie o tych raportach i nie ma na ten temat nic do powiedzenia. Rząd brytyjski stanowczo odrzucił wszelkie żądania wszczęcia dochodzenia. Potem spiker zapowiedział prognozę pogody i to było wszystko.

Rozejrzałem się po poczekalni. Nikt się nie ruszył. Jednak z jakiegoś powodu czułem się tak, jakby ktoś przyłożył mi do pleców kompres z lodu. Wyciągnąłem komórkę i zadzwoniłem do Ricka. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy już poleciał do Ameryki, czy jeszcze jest w Anglii. Okazało się, że jest mniej więcej milę ode mnie, w poczekalni British Airways, czekając na samolot do Nowego Jorku.

- Oglądałeś wiadomości? - spytałem go.

W przeciwieństwie do mnie, Rick robił to nałogowo.

- Myślisz o historii Langa? Oczywiście.

- Jak sądzisz, czy jest coś na rzeczy?

- Do diabła, skąd mam wiedzieć? Zresztą, kogo to obchodzi? Przynajmniej dzięki temu piszą o nim na pierwszych stronach.

- Czy twoim zdaniem powinienem go o to zapytać?

- Gównu to wszystkich obchodzi - burknął Rick. Usłyszałem w telefonie komunikat z głośnika. - Wzywają pasażerów. To mój lot. Muszę iść.

- Nim sobie pójdziesz, chcę cię jeszcze o coś zapytać - powiedziałem szybko. - Gdy w piątek napadli na mnie na ulicy, pomyślałem, że ci dwaj zachowali się bez sensu. Nie wzięli portfela, tylko uciekli z maszynopisem. Teraz, po wysłuchaniu tych wiadomości, przyszło mi coś do głowy. A może oni myśleli, że niosę maszynopis Langa?

- Skąd mogli to wiedzieć? - spytał Rick. Wydawał się zaintrygowany. - Przecież rozmawiałeś z Maddoksem i Krollem zaledwie pół godziny wcześniej. Ja nawet jeszcze nie skończyłem negocjacji.

- Hm, może ktoś obserwował biuro wydawnictwa, a potem za mną poszedł? Niosłem jaskrawą, żółtą, plastikową torbę. Równie dobrze mógłbym nieść pochodnię. - W tym momencie przyszła mi do głowy jeszcze jedna myśl, tak niepokojąca, że nie wiedziałem, od czego zacząć. - Skoro o tym mówimy, co wiesz o tym Sidneyu Krollu?

- Młodym Sidzie? - Rick zachichotał z podziwem. - No, niezły z niego numer, prawda? Przez niego uczciwi kanciarze, tacy jak ja, będą musieli zamknąć kram. Załatwia sprawy za ustalone honorarium, a nie za prowizję. Nie znajdziesz byłego prezydenta lub członka gabinetu, który nie chciałby go mieć w swoim zespole. Dlaczego pytasz?

- Czy nie jest możliwe - ciągnąłem z wahaniem, głośno myśląc - że dał mi ten maszynopis, ponieważ przypuszczał, że jeśli ktoś obserwuje budynek, to na pewno pomyśli, że niosę maszynopis książki Adama Langa?

- Do diabła, dlaczego miałby to zrobić?

- Nie wiem. Dla zabawy? Żeby sprawdzić, co się stanie?

- Sprawdzić, czy ktoś cię napadnie?

- Dobra, przyznaję, że to wygląda na wariactwo, ale zastanów się przez chwilę. Dlaczego wydawca tak paranooidalnie strzeże maszynopisu? Nawet Quigley go nie widział. Dlaczego nie chcą, żeby ktoś wywiózł go ze Stanów Zjednoczonych? Może się boją, że tutaj komuś bardzo zależy na jego zdobyciu?

- No i co?

- Może Kroll wykorzystał mnie w charakterze przynęty, czegoś w rodzaju kozy na sznurku, żeby sprawdzić, kim są ci ludzie i jak daleko gotowi są posunąć.

Gdy to mówiłem, wiedziałem, że brzmi to absurdalnie.

- Ale przecież książka Langa to pieprzone gówno! - wykrzyknął Rick. - Maddox i Kroll chcą tylko, żeby przypadkiem nie wpadła w ręce akcjonariuszy! To dlatego tak jej pilnują.

Zacząłem czuć się jak głupiec. Chętnie zmieniłbym temat rozmowy, ale Rick zbyt dobrze się bawił.

- Koza na sznurku! - Choć stał w innym terminalu, mógłbym usłyszeć jego śmiech nawet bez telefonu. - Poczekaj, chcę sprawdzić, czy dobrze cię zrozumiałem. Według twojej teorii, ktoś wiedział, że Kroll przyleciał do Londynu, że w piątek w południe będzie w wydawnictwie, że przyjechał porozmawiać o książce Langa...

- Dobra - przerwałem mu. - Skończmy z tym.

- ...że zamierza dać maszynopis nowemu murzynowi. Musiałby też wiedzieć, gdzie mieszkasz. Sam powiedziałeś, czekali tam na ciebie, nieprawdaż? To dopiero operacja. Za duża, jak na gazetę. To musiał być rząd...

- Zapomnij o tym - powiedziałem. Wreszcie udało mi się go uciszyć. - Pośpiesz się, bo spóźnisz się na samolot.

- Och, masz rację. Udanego lotu. Prześpij się w samolocie. Dziwne rzeczy opowiadasz. Porozmawiamy w przyszłym tygodniu. Nie przejmuj się tym za bardzo.

Rick się rozłączył.

Przez chwilę stałem nieruchomo z telefonem w ręku. Rzeczywiście mówiłem dziwne rzeczy. Poszedłem do łazienki. Siniak na brzuchu już dojrzał, przybrał czarno-fioletową barwę z żółtą obwódką. Wyglądał jak eksplodująca supernowa z podręcznika astronomii.

Chwilę później stewardesa zaprosiła na pokład pasażerów lecących do Bostonu. Po zajęciu miejsca od razu się uspokoiłem. Bardzo lubię ten moment, gdy szary pejzaż znika gdzieś w dole, samolot przebija chmury i nagle robi się jasno. Kto może być przygnębiony na wysokości dziesięciu tysięcy stóp, gdy świeci słońce, a inni biedacy męczą się na ziemi? Wypiłem drinka. Obejrzałem film. Zdrzemnąłem się. Muszę jednak przyznać, że przejrzałem wszystkie niedzielne gazety, jakie udało mi się znaleźć w przedziale klasy biznesowej. Tym razem pomiąłem strony sportowe, natomiast przeczytałem wszystkie artykuły o Adamie Langu i tych czterech facetach podejrzanych o terroryzm.

* * *

Samolot podszedł do lądowania na lotnisku Logan o pierwszej po południu czasu lokalnego.

Gdy przelatywaliśmy na niskiej wysokości nad portem w Bostonie, słońce, które goniliśmy przez cały dzień, przesunęło się nad wodą razem z nami, oświetlając kolejne wieżowce, wysokie, białe, niebieskie, srebrne i złote kolumny, co sprawiało wrażenie pokazu fajerwerków ze szkła i stali. O, moja Ameryko! - pomyślałem, mój nowy świecie, gdzie rynek książek jest pięć razy większy niż w Anglii - oświeć

mnie swoim blaskiem! Stojąc w kolejce do kontroli paszportów, praktycznie nucilem pod nosem *Gwiazdzisty sztandar*. Nawet kontakt z facetem z Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego Kraju - takie instytucje zawsze mają stalinowski charakter - nie przygasił mojego optymizmu. Siedział za szklaną przegrodą, zmarszczył się krytycznie, gdy powiedziałem mu, że przeleciałem trzy tysiące mil, żeby spędzić miesiąc na Martha's Vineyard w środku zimy. Gdy w dodatku dowiedział się, że jestem pisarzem, zmierzył mnie tak podejrzliwym wzrokiem, jakbym nosił pomarańczowy kombinezon pensjonariuszy Guantanamo.

- Jakie książki pan pisze?

- Autobiografie.

To niewątpliwie go zaskoczyło i zdziwiło. Podejrzewał, że z niego kpię, ale nie był pewny.

- Autobiografie, tak? Czy nie trzeba być kimś sławnym, żeby pisać autobiografię? - spytał.

- W naszych czasach nie jest to już konieczne.

Zmierzył mnie ostrym spojrzeniem, po czym powoli pokręcił głową, jak znużony święty Piotr przy bramie, gdy ma do czynienia z jeszcze jednym grzesznikiem próbującym wkroczyć do raju.

- Nie jest to już konieczne - powtórzył z grymasem bezgranicznego obrzydzenia. Sięgnął po metalowy stempel i uderzył nim dwukrotnie. Wpuścił mnie na trzydzieści dni.

Po przejściu przez kontrolę paszportową włączyłem telefon komórkowy. Otrzymałem wiadomość od asystentki

Adama Langa, niejakiej Amelii Bly. Przepraszyła, że nie przyszli na lotnisko samochodu z kierowcą, po czym zaproponowała, żebym pojechał autobusem na przystań promową w Woods Hole, i obiecała, że samochód będzie na mnie czekał w porcie na Martha's Vineyard. Kupiłem „New York Timesa” i „Boston Globe”. Czekając na autobus, sprawdziłem, czy jest coś o sprawie Langa, ale albo nie zdążyli, albo nie byli tym zainteresowani.

Autobus był niemal pusty. Usiadłem z przodu, blisko kierowcy. Jechaliśmy na południe przez płataninę autostrad, za miasto. Było kilka stopni poniżej zera, niebo czyste, ale najwyraźniej niedawno padał śnieg, bo wzdłuż drogi leżały brudne pryzmy. Śnieg przysypał również las, który ciągnął się po obu stronach autostrady, tworząc wielkie, łagodne, zielonobiałe fale. Nowa Anglia to właściwie stara, dobra Anglia na sterydach - szersze drogi, wyższe drzewa, większe przestrzenie, nawet niebo wydawało się wielkie i błyszczące. Miałem przyjemne poczucie, że zarobiłem trochę czasu. Wyobrażałem sobie ponury, deszczowy wieczór w Londynie i porównywałem go z tym wspaniałym, zimowym popołudniem. Jednak stopniowo i tutaj robiło się szaro. Musiała być już szósta, gdy wreszcie dojechaliśmy do Woods Hole i autobus zatrzymał się na przystani. Na niebie pojawił się księżyc, świeciły gwiazdy.

Dość dziwne, ale pomyślałem o McArze, dopiero gdy zauważyłem znak wskazujący drogę do promu. Łatwo zrozumieć, że nie miałem ochoty za dużo rozmyślać o przejęciu zlecenia po jego śmierci, zwłaszcza po napadzie w Londynie.

Gdy jednak, ciągnąc za sobą walizkę, wszedłem do budki, żeby kupić bilet, a potem znowu wyszedłem na dwór i poczułem ukąszenia mroźnego wiatru, wyobraziłem sobie, jak trzy tygodnie temu mój poprzednik robił dokładnie to samo. No, w odróżnieniu ode mnie, był pijany. Rozejrzałem się. Niedaleko, po drugiej stronie parkingu, zauważyłem kilka barów. Może wstąpił do jednego z nich? Też miałem ochotę na drinka. Mogłoby się jednak zdarzyć, że usiadłbym na tym samym stolku barowym, na którym siedział on. To byłoby upiorne, jak zwiedzanie miejsc zbrodni w Hollywood. Zamiast tego przyłączyłem się do czekających w kolejce pasażerów i spróbowałem przeczytać niedzielny magazyn „Timesa”, przytulając się do ściany dla ochrony przed wiatrem. Na murze wisiała drewniana tablica z napisem: „Obowiązuje ogólnokrajowy stan podwyższonego zagrożenia terrorystycznego”. Czuję zapach morza, ale było zbyt ciemno, żeby je zobaczyć.

Gdy już raz zacznie się o czymś myśleć, często trudno przestać. Większość kierowców samochodów oczekujących na prom nie zgasła silników, żeby móc korzystać z ogrzewania. Odruchowo zacząłem szukać piaskowego forda escape SUV. Po wejściu na prom wspiałem się po brzęczących, metalowych schodach na pokład dla pasażerów. Zastanawiałem się, czy McAra też tędy szedł. Powtarzałem sobie, że bym przestał, bo tylko bez sensu się nakręcam. Przypuszczam jednak, że duchy ciągną do duchów kryjących się za cudzymi autobiografiami. Siedziałem w dusznej kabinie i przyglądałem się zwykłemu, przeciętnemu twarzom innych

pasażerów. Gdy prom zadygotał i odbił od nabrzeża, złożyłem gazetę i wyszedłem na otwarty, górny pokład.

To zdumiewające, jak zimno i ciemności do spółki wszystko zmieniają. Wyobrażam sobie, że przeprawa promem na Martha's Vineyard w letni wieczór jest wielką przyjemnością. Nad pokładem dominował wielki, pomalowany w paski komin, zupełnie jak z bajki. Wzdłuż relingów stały niebieskie plastikowe ławki, na których niewątpliwie latem siadały całe rodziny, dorośli i dzieci w szortach i koszulkach z krótkimi rękawami. Nastolatki demonstrowały znużenie, ojcowie podskakiwali z podniecenia. Natomiast w styczniowy wieczór na pokładzie nie było nikogo, a północny wiatr dmący od strony Cape Cod przenikał przez moją kurtkę i koszulę. Drżałem z zimna, dostałem gęsiej skórki. Stopniowo znikają światła Woods Hole. Minęliśmy boję oznaczającą początek drogi wodnej. Kiwała się gwałtownie na wszystkie strony, jakby starała się uwolnić ze szponów jakiegoś podwodnego potwora. Bicie dzwonu boi kojarzyło mi się z pogrzebem, a unosząca się w powietrzu piana i bryzgi wody z plwociną złej czarownicy.

Wbiłem ręce w kieszenie kurtki, skuliłem się i niepewnie przeszedłem na sterburtę. Poręcz sięgała mi tylko do pasa. Po raz pierwszy zwróciłem uwagę, jak łatwo McAra mógł wypaść za burtę. Sam musiałem mocno się trzymać, żeby się nie poślizgnąć. Rick miał rację. Granica między wypadkiem i samobójstwem nie zawsze jest jasno wytyczona. Można się zabić, nie podejmując takiej decyzji. Jeśli McAra myślał, jak mogłoby to wyglądać, wystarczyło, że trochę za

bardzo przechylił się przez poręcz. Wpadłby do falującego, lodowatego, czarnego morza, zanurzył się na głębokość kilkunastu stóp, a nim wypłynąłby na powierzchnię, prom pokonałby pewnie ze sto jardów. Miałem nadzieję, że McArra wypił dość whisky, żeby nie czuć strachu, ale z drugiej strony podejrzewałem, że każdy pijak natychmiast wytrzeźwiałby pod wpływem całkowitego zanurzenia w morzu o temperaturze zaledwie pół stopnia powyżej zera.

I nikt niczego by nie usłyszał! To też miało znaczenie. Pogoda była znacznie lepsza niż trzy tygodnie temu, a jednak na pokładzie nie było żywej duszy. Dygotałem z zimna, szcząkałem zębami jak mechaniczna zabawka z jarmarku.

Po chwili zszedłem do baru napić się whisky.

* * *

Okrzyżyliśmy latarnię morską West Chop, po czym dobiliśmy do przystani promowej w Vineyard Haven. Dochodziła siódma. Prom uderzył w keję tak mocno, że niemal spadłem ze schodów. Słyszałem dzwonięcie łańcuchów. Dobrze się złożyło, że nie spodziewałem się komitetu powitalnego, gdyż czekał na mnie tylko stary taksówkarz z kartką, na której ktoś wypisał moje nazwisko, popełniając przy tym błąd. Gdy ładował moją walizkę do bagażnika, wiatr porwał wielką, przezroczystą płachtę z plastiku. Płachta z łopotem przeleciała przez pokryty lodem parking. Na niebie widać był niezliczone jasne gwiazdy.

Kupiłem przewodnik po wyspie i dzięki temu miałem pewne wyobrażenie, czego powinienem oczekiwać. Latem liczba ludności wynosi w przybliżeniu sto tysięcy, ale gdy letnicy zamykają swoje domy i migrują na zachód, żeby tam przezimować, spada do piętnastu. Zostają twardzi wyspiarze, ludzie, którzy mówią o stałym lądzie „Ameryka”.

Na wyspie jest kilka dróg, jedno skrzyżowanie ze światłami i kilkanaście długich, piaszczystych ścieżek wiodących do takich miejsc, jak staw Squibnocket i zatoka Job's Neck. Kierowca przez całą drogę nie odezwał się nawet słowem, tylko przyglądał mi się w lusterku. Gdy po raz dwudziesty spotkałem spojrzenie jego kaprawych oczu, zacząłem się zastanawiać, czy z jakiegoś powodu jest niezadowolony, że musiał przyjechać po mnie do portu. Może w czymś mu przeszkodziłem, ale trudno mi było wyobrazić sobie, co to mogłoby być. Ulice w okolicy przystani były prawie całkowicie opustoszałe, a gdy wyjechaliśmy z portu na główną drogę, znaleźliśmy się w całkowitych ciemnościach.

Byłem w podróży już od siedemnastu godzin. Nie wiedziałem, gdzie jestem, jak wygląda okolica i dokąd właściwie jadę. Wszystkie próby nawiązania rozmowy kończyły się niepowodzeniem. Nie widziałem niczego poza własnym odbiciem w szybie samochodu. Za nią ciągnęła się lodowata ciemność. Czuję się tak, jakbym zbliżał się do kresów ziemi, niczym siedemnastowieczny angielski podróżnik przed pierwszym spotkaniem z plemieniem Wampanoags. Głośno ziewnąłem i pośpiesznie zasłoniłem usta dłonią.

- Przepraszam - powiedziałem do widocznych w lusterku oczu kierowcy. - Tam, skąd przyjechałem, jest już północ.

Pokręcił głową. Początkowo nie mogłem odgadnąć, czy wyraża współczucie, czy raczej dezaprobatę. Dopiero potem zrozumiałem, że chciał mi zasugerować, iż mówienie do niego nie ma sensu: jest głuchy. Znowu zająłem się wyglądaniem przez okno.

Po paru minutach dojechaliśmy do skrzyżowania i skręciliśmy w lewo. Uznałem, że to na pewno Edgartown, osiedle białych drewnianych domów z białymi parkanami, niewielkimi ogrodami i werandami, oświetlone ozdobnymi wiktoriańskimi latarniami. Świeciła się tylko jedna latarnia na dziesięć, ale przez okna domów dostrzegłem olejne obrazy żaglowców i brodatych przodków. U stóp wzgórza, za starym kościołem wielorybników, wielki, mglisty księżyc rzucał srebrne światło na pokryte gontem dachy i podkreślał zarysy masztów stojących w porcie jachtów. Z kilku kominów unosił się dym. Czułem się, jakbym znalazł się na planie filmu *Moby Dick*. W świetle reflektorów zobaczyłem drogowskaz do promu na Chappaquiddick. Wkrótce potem zatrzymaliśmy się przed hotelem Lighthouse View.

Znowu wyobraziłem sobie, jak to miejsce może wyglądać latem: wiadra, łopaty i sieci rybackie na werandach, sandały przed drzwiami, biały piasek naniesiony z plaży - takie rzeczy. Natomiast poza sezonem wielki, stary, drewniany hotel trzeszczał na wietrze jak żaglowiec na mieliźnie. Przypuszczam, iż zarząd postanowił, że dopiero wiosną zdrapią obłazającą farbę

i zmyją sól z okien. W ciemnościach słyhać było, jak fale uderzają o brzeg. Stałem z walizką na drewnianej werandzie i patrzyłem, jak światła taksówki znikają za rogiem. Poczulem coś w rodzaju nostalgii.

W holu hotelu dziewczyna przebrana za wiktoriańską pokojówkę, w koronkowym czepku, przekazała mi wiadomość z biura Langa. Następnego dnia, o dziesiątej rano, ktoś ma po mnie przyjechać. Miałem zabrać paszport, żeby pokazać ochroniarzom. Zacząłem się czuć tak, jakbym brał udział w grze w podchody: gdy docierałem do danego punktu, otrzymywałem instrukcję, jak dotrzeć do następnego. Hotel był pusty, restauracja ciemna. Powiedziano mi, że mogę wziąć dowolny pokój - wybrałem ten na pierwszym piętrze, z biurkiem, przy którym mogłem pracować, oraz fotografiami starego Edgartown na ścianie: dom Johna Coffina z około 1890 roku, statek wielorybiczny „Splendid” przy nabrzeżu Osborn, około 1870 roku. Gdy recepcjonistka wyszła, położyłem na biurku laptop, listę pytań i artykuły wycięte z niedzielnych gazet, po czym wyciągnąłem się na łóżku.

Natychmiast zasnąłem. Obudziłem się o drugiej w nocy, gdy mój zegar biologiczny, wciąż nastawiony na czas londyński, zadzwonił niczym Big Ben. Przez dziesięć minut szukałem barku, nim wreszcie dotarło do mnie, że go nie ma. Pod wpływem nagłego impulsu zadzwoniłem do Kate, choć nie miałem pojęcia, co właściwie zamierzam jej powiedzieć. Tak czy inaczej, nie odebrała. Chciałem odłożyć słuchawkę, ale zamiast tego zacząłem bełkotać coś do

automatycznej sekretarki. Widocznie albo bardzo wcześnie wyszła do pracy, albo nie wróciła na noc do domu. To było coś, nad czym należało się zastanowić i tak też uczyniłem. Mogłem za to winić tylko siebie, nikogo innego, ale to wcale nie poprawiło mi samopoczucia. Wziąłem prysznic i wróciłem do łóżka, zgasilem światło i przykryłem się wilgotną kołdrą. Co kilka sekund pokój wypełniało słabe, czerwone światło latarni morskiej. Przez wiele godzin leżałem na łóżku z szeroko otwartymi oczami, zupełnie przytomny, lecz jakby oddzielony od siebie. Tak minęła moja pierwsza noc na Martha's Vineyard.

* * *

Gdy się rozwidniło, zobaczyłem dookoła płaski aluwialny pejzaż. Po drugiej stronie drogi płynął strumień, dalej widać było kępy trzciny, plażę i morze. Na brzegu cieśniny stała ładna wiktoriańska latarnia morska z kopułą w kształcie dzwonu i balkonem z kutego żelaza. Po drugiej stronie cieśniny o szerokości mniej więcej jednej mili widać było niski pas lądu. Zdałem sobie sprawę, że to z pewnością Chappaquiddick. Eskadra złożona z setek małych białych ptaków morskich, tworzących formację tak zwartą, jak ławica ryb, przeleciała nad falami, gwałtownie zakręciła i zanurkowała.

Zszedłem na dół i zamówiłem solidne śniadanie. W kiosku koło recepcji kupiłem „New York Timesa”. Artykuł, którego szukałem, był zagrzebany głęboko w dziale wiadomości ze świata, na samym dole strony, zęby przypadkiem nikt nie zwrócił na niego uwagi.

LONDYN (AP). BYŁY PREMIER WIELKIEJ BRYTANII, ADAM LANG, WYRAZIŁ ZGODĘ NA NIELEGALNĄ AKCJĘ BRYTYJSKICH SŁUŻB SPECJALNYCH, KTÓRE ZATRZYMAŁY W PAKISTANIE CZTERY OSOBY PODEJRZANE O UDZIAŁ W TERRORYSTYCZNYCH AKCJACH AL-KAIDY, A NASTĘPNIE PRZEKAZAŁY JE CIA W CELU PRZESŁUCHANIA, DONOSZĄ NIEDZIELNE GAZETY.

CAŁA CZWÓRKA - NASIR ASZRAF, SZAKIL QAZI, SALIM CHAN I FARUK AHMED - TO OBYWATELE BRYTYJSKY. ZOSTALI ZŁAPANI W PESZAWARZE W PAKISTANIE PIĘĆ LAT TEMU. WSZYSKY ZOSTALI RZEKOMO WYWIEZIENI Z PAKISTANU W NIEZNANE MIEJSCE, A NASTĘPNIE PODDANI TORTUROM. WEDŁUG DONIESIĘŃ PRASY, ASZRAF ZMARŁ PODCZAS PRZESŁUCHANIA. QAZI, CHAN I AHMED BYLI NASTĘPNIE WIĘZIENI PRZEZ TRZY LATA W GUANTANAMO. OBECNIE TYLKO AHMED POZOSTAJE W WIĘZIENIU W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

WEDŁUG DOKUMENTÓW, DO KTÓRYCH DOTARŁ LONDYŃSKI „SUNDAY TIMES”, PREMIER LANG OSOBIŚCIE WYRAZIŁ ZGODĘ NA PRZEPROWADZENIE OPERACJI „BURZA” - TAJNEJ AKCJI BRYTYJSKICH ELITARNYCH ODDZIAŁÓW SPECIAL AIR SERVICES (SAS), KTÓREJ CELEM BYŁO PORWANIE PODEJRZANYCH. TAKA OPERACJA BYŁABY SPRZECZNA ZARÓWNO Z PRAWEM BRYTYJSKIM, JAK I MIĘDZYNARODOWYM.

BRYTYJSKIE MINISTERSTWO OBRONY NIE ZGODZIŁO SIĘ WYPOWIEDZIEĆ NA TEMAT AUTENTYCZNOŚCI TYCH DOKUMENTÓW I SAMEJ OPERACJI „BURZA”. RZECZNICZKA PANA LANGA POINFORMOWAŁA, ŻE NIE PLANUJE ON ŻADNEGO OŚWIADCZENIA W TEJ SPRAWIE.

Przeczytałem to trzy razy. Nie odniosłem wrażenia, że to jakaś wielka sprawa. A może jednak? W naszych czasach trudno o jasny osąd. Zasady moralne nie są tak jasne i sztywne jak kiedyś. Metody, które osoby z pokolenia mojego ojca uznałyby za absolutnie wykluczone, nawet podczas walki z Hitlerem - na przykład tortury - stały się akceptowalne i są uważane za cywilizowane. Pomyślałem, że jakieś dziesięć procent społeczeństwa, które przejmuje się takimi rzeczami, będzie poruszone relacją, pod warunkiem że ją zauważą, natomiast pozostałe dziewięćdziesiąt procent tylko wzruszy ramionami. Powiedziano nam, że Wolny Świat przechodzi na ciemną stronę mocy. Czego się można było spodziewać?

Miałem do zabicia kilka godzin do przyjazdu samochodu, więc poszedłem przez drewniany most do latarni morskiej, a potem udałem się na spacer do Edgartown. W dziennym świetle miasteczko wydawało się jeszcze bardziej opustoszałe niż w nocy. Po chodnikach biegały wiewiórki. Na mój widok uciekały na drzewa. Minąłem pewnie ze dwadzieścia malowniczych dziewiętnastowiecznych domów szyprów statków wielorybnych; wszystkie najwyraźniej były niezamieszkałe. Tarasy na pierwszym piętrze, od frontu i po bokach, były zupełnie puste. Nigdzie nie było widać kobiet w ciemnych chustach, patrzących ze smutkiem na morze w oczekiwaniu, aż ich mężczyźni wrócą do domu - prawdopodobnie dlatego, że wszyscy ci mężczyźni byli teraz na Wall Street. Restauracje były zamknięte, z wystaw butików i galerii sprzątnięto towar. Chciałem kupić kurtkę chroniącą przed

wiatrem, ale wszystkie sklepy były zamknięte. Na wystawach widać było kurz i martwe owady. „Dzięki za wspaniały sezon!” - przeczytałem na wywieszonych kartkach. - „Do zobaczenia wiosną!”.

Tak samo wyglądał port. Dominującymi kolorami były tam szarość i biel - szare morze, szare dachy kryte gontem, białe ściany z desek, białe maszty flagowe, niebieskoszare i zielonoszare pomosty, na których przycupnęły dobrane kolorem, szarobiałe mewy. Zupełnie tak, jakby to Martha Stewart dobierała kolory w całym otoczeniu, zarówno wytworów człowieka, jak i natury. Nawet słońce, wiszące dyskretnie nad Chappaquiddick, miało na tyle dobry smak, że świeciło bladym, białym światłem.

Przyłożyłem dłoń do czoła, żeby osłonić oczy, i przyjrzałem się odległej plaży z rzadko stojącymi domami wakacyjnymi. To właśnie tam zdarzył się wypadek, który zrujnował karierę polityczną senatora Edwarda Kennedy'ego. Według mojego przewodnika, cała wyspa Martha's Vineyard stanowiła letni plac zabaw Kennedych, którzy lubili przyplwać tu z Hyannisport. Według pewnej opowieści, Jack, gdy był już prezydentem, chciał przycumować do prywatnej kei w Edgartown Yacht Club, ale zrezygnował, gdy zobaczył tłum członków klubu, samych republikanów, którzy czekali na niego ze skrzyżowanymi ramionami, rzucając mu wyzwanie, czy ośmieli się przybić. To było rok przed zamachem.

Jachty, stojące teraz w porcie, zabezpieczono przed śniegiem i mrozem. Tylko samotny rybak wypływał z portu

łodzią z silnikiem, żeby sprawdzić pułapki na homary. Posiedziałem przez pewien czas na ławce, żeby sprawdzić, czy coś się wydarzy. Słysząc było krzyki mew krążących nad portem. Na najbliższym jachcie wiatr szarpał źle zabezpieczonymi stalówkami, które obijały się o maszt. Z oddali dochodziło stukanie młotka i zgrzyt piły - to robotnicy remontowali jakiś dom. Przez port przeszedł stary człowiek z psem. Poza tym przez godzinę nie zdarzyło się absolutnie nic, co mogłoby oderwać autora od pracy. Ktoś, kto nie jest pisarzem, mógłby to uznać za idealne miejsce do pracy. Ja natomiast byłem w stanie zrozumieć, dlaczego McAra mógł oszaleć.

Rozdział 4

*Wydawcy zawsze wywierają presję na murzyna,
żeby wykopał coś kontrowersyjnego,
co spowoduje wrzawę po wydaniu książki i ułatwi
im sprzedanie praw do nakręcenia serialu.*

Andrew Crofts

To mój stary znajomy, głuchy taksówkarz, przyjechał po mnie do hotelu. Skoro zarezerwowano dla mnie miejsce w tym hotelu, to oczywiście założyłem, że posiadłość Rhineharta jest gdzieś w porcie. Wokół portu nie brakowało okazałych domów z ogrodami schodzącymi do prywatnych kei, które moim zdaniem wyglądały na idealne nieruchomości miliarderów - co tylko dowodzi, jak mało wiedziałem, co można kupić, mając naprawdę duże pieniądze. W rzeczywistości wyjechaliśmy z miasta i skierowaliśmy się w stronę West Tisbury, płaskiej, porośniętej gęstym lasem okolicy. Nim zauważyłem przecinkę, kierowca skręcił w lewo. Jechaliśmy nieoznakowaną, gruntową drogą.

Do tej pory nie miałem okazji przyjrzeć się zarośłom karłowatego dębu. Może i wygląda dobrze latem, gdy ma liście, ale bardzo wątpię, czy zimą świat roślin ma do zaoferowania coś bardziej przygnębiającego niż ciągnące się miła za miłą tereny porośnięte poskręcanyimi, karłowatymi drzewami koloru popiołu. Tylko poskręcane brązowe liście świadczyły o tym, że te drzewa kiedyś żyły. Samochód podskakiwał i kiwał się na wąskiej drodze przez las przez niemal trzy mile. Jedynym stworzeniem, jakie zauważyliśmy po drodze, był przejechany skunks. Wreszcie dotarliśmy do zamkniętej bramy. Ze skamieniałego otoczenia wyłonił się mężczyzna z podkładką do notowania, ubrany w płaszcz crombie i w wyglansowanych oxfordach na nogach, po czym łatwo można poznać angielskich tajniaków.

Opuściłem okno i podałem mu paszport. Miał ponurą, czerwoną od zimna twarz, a jego uszy przybrały kolor terakoty: nie był to policjant zadowolony ze swego losu. Wyglądał tak, jakby miał przez dwa tygodnie ochraniać jedną z wnuczek królowej podczas wakacji na Karaibach, ale w ostatniej chwili został skierowany tu. Z ponurą miną sprawdził, czy jestem na jego liście gości, wytarł ręką wielką kroplę zwisającą mu z nosa i obszedł taksówkę. Słyszałem, jak fale nieustannie wtaczają się na plażę. Policjant wrócił i oddał mi paszport.

- Witam w domu wariatów - mruknął pod nosem, a przynajmniej tak mi się wydawało.

Nagle zacząłem się denerwować, ale starałem się niczego po sobie nie pokazać, ponieważ pierwsze spotkanie z klientem

jest bardzo ważne. Staram się zawsze zachowywać swobodnie i z profesjonalną pewnością siebie. Wybierając ubranie, zmieniam się w kameleona. Wyobrażam sobie, jak może być ubrany mój rozmówca, i ubieram się tak samo. Gdy mam rozmawiać z piłkarzem, zakładam dres. Na wywiad z piosenkarzem wybieram skórzaną kurtkę. Idąc na pierwszą rozmowę z byłym premierem, uznałem, że garnitur wyglądałby zbyt oficjalnie - sprawiłbym wrażenie adwokata lub księgowego. Włożyłem jasnoniebieską koszulę, konserwatywny krawat w paski, sportową marynarkę i szare spodnie. Starannie się uczesałem, wyczyściłem i wynitkowałem zęby, użyłem dezodorantu. Nigdy nie byłem lepiej przygotowany. Dom wariatów? Czy on naprawdę to powiedział? Spojrzałem za siebie, ale policjant już zniknął.

Brama otworzyła się, a gdy po chwili pokonaliśmy zakręt, zobaczyłem wreszcie siedzibę Rhineharta: cztery drewniane sześcienne budynki gospodarcze - garaż, magazyn, mieszkania pracowników - i samą rezydencję. Dom miał tylko jedno piętro, ale był rozległy jak pałac prezydenta, z długim niskim dachem i dwoma wielkimi kwadratowymi kominami z cegły, jakich można spodziewać się w krematorium. Poza kominami, dom był zbudowany z drewna. Choć nowy, drewno już się utleniło i przybrało szaro-srebrny kolor, jak meble ogrodowe stojące przez rok na dworze. Okna były wysokie i wąskie niczym strzelnice. Wszystko to - strzelnice, szarość, warta przy bramie, las tuż za płotem - sprawiało wrażenie wakacyjnego domu zaprojektowanego przez Alberta Speera, kojarzyło się z Wilczym Gniazdem.

Drzwi się otworzyły, nim się zatrzymaliśmy. Na progu pojawił się kolejny policjant - biała koszula, czarny krawat, szara marynarka. Przywitał nas bez cienia uśmiechu na twarzy i zaprosił do holu. Szybko sprawdził zawartość mojej torby, a ja się rozglądałem. W pracy poznałem wielu bogatych ludzi, ale chyba jeszcze nigdy nie byłem w domu miliardera. Na białych ścianach wisiały afrykańskie maski i podświetlane gabloty z drewnianymi rzeźbami i prymitywnymi, glinianymi figurkami z ogromnymi fallusami lub szpiczastymi cyckami - takimi, jakie lepią niegrzeczne dzieci, gdy nauczyciel nie patrzy. Były pozbawione jakiegokolwiek wartości estetycznej, a ich twórcy nie wykazali się zręcznością. Jak się później dowiedziałem, pierwsza pani Rhinehart była członkiem zarządu Muzeum Sztuki Nowoczesnej, druga natomiast była aktorką z Bollywood, pięćdziesiąt lat młodszą od męża. Rhinehart ożenił się z nią, ponieważ bankowcy przekonali go, iż to ułatwi mu wejście na rynek indyjski.

Gdzieś z wnętrza domu dobiegł głos kobiety.

- To jest jakiś pieprzony absurd! - krzyczała z brytyjskim akcentem. Trzasnęły drzwi i w holu pojawiła się elegancka blondynka w ciemnoniebieskim kostiumie, z czarno-czerwonym notesem formatu A4 w twardej oprawie. Szła, stukając pantoflami na wysokich obcasach.

- Amelia Bly - przedstawiła się z automatycznym, nieruchomym uśmiechem. Miała pewnie ze czterdzieści pięć lat, ale wydawała się dziesięć lat młodszą. Miała duże niebieskie oczy, ale była za mocno umalowana, zupełnie jakby

pracowała w sklepie z kosmetykami i musiała demonstrować wszystkie sprzedawane produkty naraz. Pachniała drogimi perfumami. Przyjąłem, że to rzeczniczka Langa, wymieniona w artykule w porannym „Timesie”. - Przykro mi, ale Adam jest w Nowym Jorku i wróci dopiero po południu.

- W istocie powinnam była powiedzieć, to jakiś pierdolony absurd! - krzyknęła znowu niewidoczna kobieta.

Amelia uśmiechnęła się nieco szerzej, wskutek czego na jej różowych policzkach pojawiły się niewielkie zmarszczki.

- Och, Boże. Bardzo mi przykro. Obawiam się, że biedna Ruth ma trudny dzień.

Ruth. To imię zabrzmiało jak ostrzegawczy werbel lub trzask dzidy wrzuconej między dzieła sztuki prymitywnej z Afryki. Nawet nie przyszło mi do głowy, że może tu przebywać żona Langa. Zakładałem, że została w Londynie. Była znana z niezależności i wielu innych rzeczy.

- Jeśli to niewłaściwa pora... - zacząłem.

- Nie, nie. Ona bardzo chce pana poznać. Proszę wejść. Napije się pan kawy? Przyprowadzę ją. Jak się panu podoba hotel? - spytała przez ramię. - Ma pan spokój?

- Jak w grobie.

Odebrałem od agenta Wydziału Specjalnego moją torbę i poszedłem za nią, poruszając się w chmurze intensywnego zapachu. Miała bardzo ładne nogi. Gdy się poruszała, słychać było szelest nylonowych pończoch. Wprowadziła mnie do pokoju z fotelami obitymi śmietankową skórą, naląła kawy z dzbanka stojącego w rogu i znikła. Stałem przez chwilę

przy szklanych drzwiach wychodzących na tyły rezydencji. W ogrodzie nie było klombów - prawdopodobnie żadna delikatna roślina nie wytrzymałaby tutejszego klimatu. Za domem ciągnął się wielki trawnik, który sto jardów dalej łączył się z brązowymi nędznymi krzakami. Dalej widać było jezioro gładkie jak arkusz stalowej blachy pod ogromnym, aluminiowym niebem. Po lewej wznosiły się wydmy stanowiące koniec plaży. Nie słyszałem oceanu - szklane drzwi były zbyt grube - kuloodporne, jak się później dowiedziałem.

Gwałtowna seria sygnałów Morse'a z korytarza zaszyg-nalizowała powrót Amelii Bly.

- Bardzo mi przykro. Obawiam się, że w tym momencie Ruth jest zajęta. Prosiła, żebym pana przeprosiła w jej imieniu. Spotka się z panem później. - Uśmiech Amelii nieco stwardniał. Wyglądał równie naturalnie, jak jej lakier do paznokci. - Jeśli skończył pan kawę, pokażę panu, gdzie będziemy pracowali.

Nalegała, żebym pierwszy wszedł po schodach.

Jak mi wyjaśniła, dom jest urządzonej w niestandardowy sposób: wszystkie sypialnie na parterze, a pomieszczenia wspólne na piętrze. Gdy tylko weszliśmy do ogromnego salonu, natychmiast to zrozumiałem. Cała ściana od strony wybrzeża zrobiona była ze szkła. Nie widać było niczego oprócz oceanu, jeziora i nieba - pierwotna sceneria, niezmieniona od dziesięciu tysięcy lat. Izolacja akustyczna i ogrzewanie podłogowe sprawiały, że salon wyglądał jak luksusowa kapsuła czasu przeniesiona do epoki neolitu.

- Niezłe miejsce - pochwaliłem. - Czy w nocy nie czuje się pani samotna?

- To nasz pokój - powiedziała Amelia, otwierając drzwi.

Wszedłem za nią do dużego gabinetu przylegającego do salonu, gdzie prawdopodobnie pracował Marty Rhinehart podczas wakacji. Stąd również roztaczał się wspaniały widok, głównie na ocean. Półki były zastawione książkami o niemieckiej historii militarnej. Grzbiety ze swastykami wyblakły pod wpływem słońca i słonego powietrza. W gabinecie stały dwa biurka - przy niewielkim biurku w rogu pokoju siedziała sekretarka i pisała coś na komputerze, natomiast duże, pośrodku pokoju, było zupełnie puste: na blacie stała tylko fotografia łodzi motorowej i model jachtu. Przy sterze łodzi stał podobny do szkieletu, ponury Marty Rhinehart. Trudno było o lepszy kontrprzykład na stare porzekadło, że nikt nie może być za szczupły lub za bogaty.

- Nasz zespół jest dość skromny - wyjaśniła Amelia. - Ja, Alice - dziewczyna w rogu uniosła głowę - i Lucy, która pojechała z Adamem do Nowego Jorku. Kierowca, Jeff, też jest w Nowym Jorku - dziś po południu ma wrócić i przyprowadzić samochód. Sześciu agentów ochrony z Wielkiej Brytanii - trzech są na miejscu, a trzech towarzyszą teraz Adamowi. Bardzo potrzebujemy jeszcze kogoś, kto zająłby się kontaktami z mediami, ale Adam nie może się zdobyć na zatrudnienie kogoś na miejsce Mike'a. Pracowali razem tak długo.

- A jak długo pani pracuje dla niego?

- Od ośmiu lat. Pracowałam na Downing Street, a teraz zostałam oddelegowana z Biura Gabinetu.

- Biedne Biuro Gabinetu.

- Najbardziej tęsknię za mężem - odpowiedziała z uśmiechem jak lakier do paznokci.

- Jest pani mężatką? Zauważyłem, że nie nosi pani pierścionka.

- Niestety, nie mogę. Jest za duży. Mam z nim problemy, gdy przechodzę przez bramkę na lotnisku.

- Ach. - Doskonale się rozumieliśmy.

- Rhinehartowie mają również dwoje służących, małżeństwo z Wietnamu, ale oni są tak dyskretni, że prawie ich nie widać. Ona dba o dom, a on zajmuje się ogrodem. Dep i Due.

- Które to kobieta?

- Due to oczywiście mężczyzna.

Amelia wyciągnęła z kieszeni dobrze skrojonego żakietu klucz i otworzyła stalową szafę na dokumenty. Wyjęła grubą teczkę.

- Nie może jej pan wynosić z tego pokoju - zastrzegła, kładąc teczkę na biurku. - Nie może też pan niczego kopiować. Może pan robić notatki, ale muszę panu przypomnieć o podpisanym zobowiązaniu do zachowania dyskrecji. Ma pan sześć godzin na zapoznanie się z tym tekstem, nim Adam wróci z Nowego Jorku. Przyślę panu kanapki na lunch. Alice, chodźmy stąd. Lepiej będzie, jeśli nie będziemy panu przeszkadzały, prawda?

Gdy wyszły, usiadłem na skórzanym obrotowym fotelu,

wyjąłem laptop, włączyłem go i otworzyłem dokument „Lang MS”. Rozluźniłem krawat, zdjąłem zegarek i położyłem na biurku obok teczek. Pozwoliłem sobie przez parę sekund kiwać się na fotelu Rhineharta, rozkoszując się widokiem oceanu i ogólnym poczuciem, że jestem dyktatorem rządzącym światem. Potem otworzyłem teczkę, wyjąłem maszynopis i zacząłem czytać.

* * *

Wszystkie dobre książki są różne, natomiast wszystkie złe są dokładnie takie same. Wiem to na pewno, bo w swojej pracy czytam dużo złych książek - tak złych, że nie zostały nawet wydane, co jest niemalym osiągnięciem, jeśli wziąć pod uwagę, co się wydaje.

Te wszystkie złe książki, zarówno powieści, jak i wspomnienia, mają jedną cechę wspólną: nie sprawiają wrażenia, że autor pisze prawdę. Nie chcę twierdzić, że dobra książka jest zawsze zgodna z prawdą, a tylko, że tak wydaje się w trakcie czytania. Zaprzyjaźniony wydawca nazywa to testem latającej łodzi. Kiedyś widział film o życiu w londyńskim City: już na samym początku główny bohater przybywa do pracy latającą łodzią, która ląduje na Tamizie. Po czymś takim - powiedział - nie ma sensu dalej oglądać filmu.

Wspomnienia Adama Langa nie przeszły testu latającej łodzi.

Nie chodziło mi o to, że podane fakty były niezgodne z prawdą - w tym momencie nie mogłem jeszcze tego ocenić. Po prostu cała książka wydawała się fałszywa, pusta.

Składała się z szesnastu rozdziałów uporządkowanych chronologicznie: „Wczesne lata”, „Wybór polityki”, „Walka o przywództwo”, „Przekształcenie partii”, „Zwycięstwo w wyborach”, „Reforma rządu”, „Irlandia Północna”, „Europa”, „Szczególne związki”, „Druga kadencja”, „Wyzwanie terrorystów”, „Wojna z terroryzmem”, „Trzymając się obranego kursu”, „Nie kapituluj”, „Czas odejść” i „Przyszłość pełna nadziei”. Każdy rozdział liczył od dziesięciu do dwudziestu tysięcy słów, tekst był nie tyle napisany, ile raczej posklejany z przemówień, protokołów, oświadczeń prasowych, memorandumów, wywiadów, manifestów partyjnych i artykułów z gazet. Z rzadka Lang pozwalał sobie na ujawnienie emocji (*Ogromnie się ucieszyłem z narodzin naszego trzeciego dziecka*), osobiste obserwacje (*Prezydent Stanów Zjednoczonych był znacznie wyższy, niż tego oczekiwałem*) lub ostre uwagi (*Jako minister spraw zagranicznych Richard Rycart często był bardziej skłonny bronić interesów innych państw, niż przedstawiać nasze argumenty*), ale czynił to rzadko i bez większego powodzenia. A gdzie w tym wszystkim jest jego żona? Prawie o niej nie wspominał.

Pieprzone gównu, tak Rick określił to dzieło. W rzeczywistości było jeszcze gorsze. Gównu, by zacytować Gore'a Vidala, to już coś. To było pieprzone nic. Wspomnienia były ściśle zgodne z historyczną prawdą, a jednak stanowiły wielkie kłamstwo - tak być musiało, pomyślałem. Nikt nie może przejść przez życie, odczuwając tak mało. Zwłaszcza Adam Lang, który uczynił z emocjonalnej empatii swój główny instrument polityczny. Przeskoczyłem do rozdziału

„Wojna z terroryzmem”. Jeśli w tej książce w ogóle jest coś, co mogłoby zainteresować Amerykanów, to na pewno tutaj. Przekartkowałem rozdział, szukając takich słów, jak „przekazanie do krajów trzecich”, „tortury” i „CIA”. Nie znalazłem niczego ciekawego, a z pewnością nie było tu nawet wzmianki o operacji „Burza”. A co z wojną na Bliskim Wschodzie? Z pewnością znajdzie się tu jakaś łagodna krytyka amerykańskiego prezydenta lub sekretarza stanu, jakieś aluzje o zdradzie lub nadużyciu zaufania, jakaś relacja z zakulisowych zdarzeń lub dotychczas nieujawnione dokumenty? Nic. Przełknąłem tę niespodziankę i wróciłem do pierwszego rozdziału.

W pewnym momencie sekretarka, Alice, musiała mi przynieść kanapkę z tuńczykiem i butelkę wody mineralnej, bo po południu zauważyłem jedzenie na brzegu biurka. Byłem jednak zbyt skoncentrowany, żeby przerwać, a poza tym nie czułem głodu. Przeciwnie, gdy przekopywałem się przez te szesnaście rozdziałów, dostałem mdłości. Wpatrywałem się w tę gładką pionową ścianę bezkształtnej prozy w poszukiwaniu jakichś interesujących chwytów, których mógłbym się złapać. Nic dziwnego, że McAra skoczył z promu do oceanu. Nic dziwnego, że Maddox i Kroll przylecieli do Londynu, chcąc jakoś uratować to przedsięwzięcie. Nic dziwnego, że zgodzili się płacić mi pięćdziesiąt tysięcy dolarów tygodniowo. Ten maszynopis był tak koszmarnym gniotem, że wszystkie te dziwne wydarzenia wydały mi się logiczne. A teraz to moja reputacja będzie pikować,

przywiązana pasami do tylnego fotela w latającej łodzi Adama Langa, który postanowił zostać kamikadze. To mnie będą wytykali palcami na przyjęciach w środowisku - zakładając, że wciąż będę na nie zapraszany - jako murzyna, który przyłożył się do wydania największego budżetu w historii literatury. Nagle przyszła mi do głowy paranoidalna myśl, że wciągnięto mnie do tego przedsięwzięcia wyłącznie po to, żeby zrobić ze mnie kozła ofiarnego.

Po południu skończyłem ostatnią, sześćset dwudziestą stronę maszynopisu (*Ruth i ja patrzymy z ufnością w przyszłość, cokolwiek ona w sobie kryje*). Odłożyłem gruby plik kartek na biurko i przycisnąłem dłonie do policzków. Otworzyłem szeroko usta i oczy, w miarę udanie naśladowując *Krzyk* Edwarda Muncha.

W tym momencie usłyszałem, jak ktoś zakasłał. Podniosłem głowę. W drzwiach stała Ruth Lang i przyglądała mi się. Do tej pory nie wiem, jak długo tam stała. Uniosła lekko czarną cienką brew.

- To naprawdę takie kiepskie? - spytała.

* * *

Miała na sobie gruby, bezkształtny, biały męski sweter, z tak długimi rękawami, że wystawały z nich tylko jej obgryzione paznokcie. Gdy zesliśmy na dół, od razu włożyła przez głowę jasnoniebieski, nieprzemakalny skafander z kapturem, a gdy znowu zobaczyłem jej twarz, marszczyła brwi. Jej krótkie, ciemne włosy sterczały do góry jak kolce Meduzy.

To ona zaproponowała spacer. Powiedziała, że jeśli sądzić po moim wyglądzie, to spacer dobrze mi zrobi. Miała rację. Podała mi chroniącą przed wiatrem kurtkę męża, która doskonale na mnie pasowała, oraz parę kaloszy z szafy Rhineharta. Wyszliśmy. Na zewnątrz wiał porywisty atlantycki wiatr. Ruszyliśmy ścieżką wokół trawnika i wspięliśmy się na wydmy. Po prawej stronie widać było jezioro i pomost między kępami trzciny. Obok, na brzegu, leżała do góry dnem łódź wiosłowa. Po lewej stronie ciągnął się szary ocean. Przed sobą mieliśmy kilka mil białej piaszczystej plaży. Gdy obejrzałem się za siebie, zobaczyłem taki sam pejzaż, ale przy okazji zauważyłem, że pięćdziesiąt jardów za nami idzie policjant w cywilnym płaszczu.

- Pewnie ma już pani tego dość - stwierdziłem, wskazując policjanta.

- To trwa już tak długo, że przestałam zwracać na nich uwagę.

Szliśmy pod wiatr. Z bliska plaża nie sprawiała takiego idyllicznego wrażenia. Kawałki plastiku, grudki smoły, ciemnoniebieskie płócienne buty sztywne od soli, wielki drewniany bęben do przewożenia kabla, martwe ptaki, szkielety, odłamki kości - zupełnie tak, jakbyśmy szli wzdłuż sześciopasmowej autostrady. Wielkie fale nadpływały z rykiem i cofały się jak przejeżdżające ciężarówki.

- No więc ten maszynopis jest rzeczywiście taki słaby? - spytała.

- Nie czytała go pani?

- Tylko fragmenty.
- Hm, wymaga nieco pracy - powiedziałem uprzejmie.
- Jak dużo?

Przez chwilę myślałem o Hiroshimie.

- Da się ocalić - odpowiedziałem. Tak rzeczywiście było: nawet Hiroshimę udało się odbudować. - Problemem jest termin. Musimy to koniecznie zrobić w cztery tygodnie, a to oznacza, że na każdy rozdział mamy niecałe dwa dni.

- Cztery tygodnie! - Zaśmiała się nieprzyjemnie. - Nigdy nie uda się panu zmusić go, żeby tak długo siedział na tyłku!

- On nie musi tego pisać. Za to płacą mnie. Musi tylko ze mną rozmawiać.

Pani Lang naciągnęła kaptur na głowę. Nie widziałem jej twarzy, tylko biały szpiczasty czubek nosa. Wszyscy mówili, że jest inteligentniejsza od męża i że lubiła życie na szczycie jeszcze bardziej niż on. Zwykle towarzyszyła mu w podróżach zagranicznych, nie chciała zostać w domu. Wystarczyło popatrzeć na nich w telewizji, żeby zauważyć, jak pławi się w jego sukcesie. Adam i Ruth Lang: Władza i Chwała. Zatrzymała się i zwróciła twarzą do oceanu. Stała z rękami w kieszeniach. Policjant również się zatrzymał, zachowując dystans.

- To ja wpadłam na pomysł zatrudnienia pana - oznajmiła.

- Tak? - zdziwiłem się. Wiatr zawiął tak mocno, że z trudem utrzymywałem się na nogach.

- Tak. To pan napisał książkę Christy'ego.

Dopiero po chwili zrozumiałem, co ma na myśli. Christy Costello. Od dawna o nim nie myślałem. To był mój pierwszy bestseller. Intymne wspomnienia gwiazdora rocka z lat siedemdziesiątych. Alkohol, narkotyki, dziewczyny, niemal śmiertelny wypadek samochodowy, operacja, kuracja odwykowa i zbawienie w ramionach dobrej kobiety. Wszystko, co trzeba. Książka nadawała się na prezent zarówno dla zbuntowanego nastolatka, jak i dla bogobojnej babci. Oboje byliby zadowoleni. W samej Wielkiej Brytanii sprzedano trzysta tysięcy egzemplarzy w twardej okładce.

- Znała pani Christy'ego? - To wydawało mi się zupełnie nieprawdopodobne.

- W zeszłym roku spędziliśmy zimowe wakacje w jego domu w Mustique. Przeczytałam wtedy jego wspomnienia. Leżały na nocnym stoliku.

- Teraz wprawiła mnie pani w zakłopotanie.

- Dlaczego? Nie ma powodu. Są znakomite, na swój koszmarny sposób. Przy kolacji wysłuchiwaaliśmy jego bezładnych opowieści, a potem mogłam zobaczyć, jak pan poskładał je w coś, co przypomina ludzkie życie. Powiedziałam Adamowi, że to pan jest człowiekiem, który powinien napisać jego książkę.

Zaśmiałem się. Nie mogłem się powstrzymać.

- Hm, mam nadzieję, że pamięć pani męża nie jest tak mglista, jak Christy'ego.

- Niech pan lepiej na to nie liczy - mruknęła. Odrzuciła kaptur na plecy i wzięła głęboki oddech. W rzeczywistości

wyglądała lepiej niż na telewizyjnym ekranie. Kamera była sojusznikiem Langa, ale najgorszym wrogiem jego żony. Nie rejestrowała jej żywych reakcji, czujnej wrażliwości. - Boże, jak ja tęsknię za domem! - westchnęła. - Mimo że dzieci wyjechały na studia. Powtarzam im, że to zupełnie tak, jakbym była żoną Napoleona na Świętej Helenie.

- Dlaczego zatem nie wróci pani do Londynu?

Milczała przez chwilę. Przygryzając wargę, wpatrywała się w odległy horyzont. Potem spojrzała na mnie badawczo.

- Podpisał pan zobowiązanie do zachowania tajemnicy?
- spytała.

- Oczywiście.

- Na pewno?

- Proszę sprawdzić w kancelarii Sidneya Krolla.

- Pytam, bo nie chcę o tym przeczytać za tydzień w rubryce towarzyskiej lub w jakiejś brukowej książce typu „pocałuj i naplotkuj”, którą napisze pan za rok.

- No, no - powiedziałem, zaskoczony jej zjadliwością - wydawało mi się, że przed chwilą powiedziała pani, że to pani chciała mnie tu ściągnąć. Nie zabiegałem o to zamówienie. I jeszcze nikogo nie pocałowałem.

- W porządku. - Pokiwała głową. - Powiem panu, dlaczego nie chcę wracać do Londynu, ale to ma zostać między nami. Z nim jest coś nie w porządku i trochę się boję zostawić go samego.

No, chłopie, pomyślałem, coraz lepiej.

- Tak - odpowiedziałem dyplomatycznie. - Amelia powiedziała mi, że śmierć Mike'a bardzo nim wstrząsnęła.

- Och, doprawdy tak powiedziała? Ciekawe, od kiedy pani Bly jest ekspertem od stanu emocjonalnego mojego męża. - Pani Lang nie mogłaby jaśniej wyrazić swoich uczuć, gdyby nawet zasyczała i wyciągnęła szpony. - Śmierć Mike'a z pewnością pogorszyła sytuację, ale nie jest główną przyczyną. Utrata władzy - to jest najważniejsze. Stracił władzę, a teraz przeżywa to wszystko jeszcze raz, rok po roku. Prasa ciągle pisze, co zrobił i czego nie zrobił. Nie jest w stanie oderwać się od przeszłości. Nie potrafi zorganizować sobie nowego życia, pójść dalej. - Rozłożyła bezradnie ręce. - Utknął w miejscu. Oboje utknęliśmy.

Gdy wracaliśmy do domu, wsunęła rękę pod moje ramię.

- Och, Boże - westchnęła - z pewnością zaczyna pan się zastanawiać, w co się pan wpakował.

* * *

Gdy wróciliśmy, w rezydencji panował spory ruch. Przed wejściem stał zaparkowany ciemnozielony jaguar z waszyngtońską rejestracją, a za nim mikrobus z przyciemnionymi szybami. Przez otwarte drzwi słyszałem, jak kilka telefonów dzwoni równocześnie. W holu siedział jowialny siwowłosy mężczyzna w tanim brązowym garniturze i pił herbatę, gawędząc z jednym z policjantów. Gdy zobaczył Ruth Lang, natychmiast zerwał się z krzesła. Zauważyłem, że wszyscy się jej boją.

- Dzień dobry, proszę pani.

- Halo, Jeff. Jak się udała podróż do Nowego Jorku?

- Jak zwykle, straszny tam chaos. Jak na Piccadilly Circus w godzinach szczytu. - Jeff mówił z akcentem londyńskiego cwaniaka. - Przez chwilę myślałem, że nie wrócę na czas.

- Ochrona chce, żeby samochód był na miejscu, gdy Adam ląduje - wyjaśniła mi pani Lang. Zaczęła ściągać skafander przez głowę, co było żmudnym zajęciem. W tym momencie zza rogu wyszła Amelia Bly z telefonem komórkowym między ramieniem i pięknie wyrzeźbioną brodą. Delikatnymi palcami zamykała aktówkę.

- W porządku, w porządku. Powiem mu. - Kiwnęła głową w stronę Ruth i mówiła dalej: - W czwartek będzie w Chicago. - Spojrzała na Jeffa i popukała palcem w zegarek.

- Zmieniłam zdanie, postanowiłam, że ja pojedę na lotnisko - odezwała się Ruth i nagle zaczęła ciągnąć skafander w dół. - Amelia może tu zostać, zrobić sobie manikiur lub cokolwiek innego. Może pan pojedzie ze mną? - zaproponowała. - Adamowi zależy na spotkaniu z panem.

Punkt dla żony, pomyślałem, ale nie doceniłem Amelii: zgodnie z najlepszymi tradycjami brytyjskiej służby cywilnej odbiła się od lin i oddała cios.

- W takim razie pojedę z obstawą - oznajmiła.

Zamknęła komórkę i uśmiechnęła się słodko. - Mogę sobie zrobić paznokcie w trakcie jazdy.

Jeff otworzył tylne drzwi jaguara z prawej strony i pomógł Ruth wsiąść. Ja obszedłem samochód, ale gdy chciałem otworzyć drzwi, o mało nie złamałem ręki. Jeff odblokował zamek. Usiadłem na skórzanym fotelu, a drzwi

zamknęły się za mną, czemu towarzyszyło ciche sapnięcie gazowego silownika.

- To opancerzony samochód, proszę pana - odezwał się Jeff w stronę wstecznego lusterka, gdy już ruszyliśmy. - Waży dwie i pół tony, ale wyciąga setkę nawet po przestrzeleniu czterech opon.

- Och, przymknij się, Jeff - powiedziała Ruth dobrodusznie. - Ten pan nie chce tego wszystkiego słyszeć.

- Szyby mają cal grubości i nie dają się opuścić. Mówię to na wypadek, gdyby chciał pan otworzyć okno. Samochód jest hermetyczny, żeby zabezpieczyć pasażerów przed atakiem chemicznym lub biologicznym. Zapas tlenu wystarczy na godzinę. Robi wrażenie, prawda? W tym momencie prawdopodobnie jest pan bardziej bezpieczny, niż pan kiedykolwiek był lub będzie.

- Chłopcy ze swoimi zabawkami! - zaśmiała się Ruth i zrobiła ironiczną minę.

Świat na zewnątrz wydawał się odległy, a wszystkie dźwięki stłumione. Droga przez las była gładka i cicha jak z gumy. Pomyślałem, że tak pewnie czuje się embrion w brzuchu matki: ma wspaniałe poczucie absolutnego bezpieczeństwa. Przejechaliśmy martwego skunksa i wielki samochód nawet nie drgnął.

- Denerwuje się pan? - spytała Ruth.

- Nie. Dlaczego? Czy powinienem się denerwować?

- Bynajmniej. On jest najbardziej uroczym człowiekiem, jakiego pan w życiu spotkał. Mój Książę Czarus! - Znowu się roześmiała gardłowym, męskim śmiechem. -

Boże, jak ja się ucieszę, gdy już nie będę widziała tych drzew! Zupełnie jakbyśmy żyli w zaczarowanym lesie.

Obejrzałem się do tyłu. Tuż za nami jechał mikrobus bez żadnych oznaczeń. Zrozumiałem, jak łatwo może to wejść w nałóg. Sam już zaczynałem się przyzwyczajać. Konieczność porzucenia tego zwyczaju mogła być równie traumatyczna, jak rozstanie z mamą. Dzięki terrorystom Lang nigdy nie będzie do tego zmuszony, nigdy nie będzie musiał stać w kolejce do środków transportu publicznego, nigdy nie będzie nawet sam prowadził samochodu. Żyje w takim kokonie, jak Romanowowie przed rewolucją.

Wyjechaliśmy z lasu na szosę, skręciliśmy w lewo i niemal natychmiast w prawo. Przejechaliśmy przez bramę w płocie wokół lotniska. Patrzyłem zaskoczony na wielki pas startowy.

- Już jesteśmy na miejscu?

- Latem Marty lubi wychodzić z biura na Manhattanie o czwartej, a o szóstej już być na plaży - wyjaśniła Ruth.

- Przypuszczam, że ma prywatny samolot - powiedziałem, próbując pokazać, że znam świat.

- No, oczywiście.

Spojrzała na mnie tak, że poczułem się jak prostak, który właśnie posmarował bułkę, używając noża do ryb. „No, oczywiście, ma prywatny samolot”. Ktoś, kto posiada dom za trzydzieści milionów dolarów, nie podróżuje autobusem. Zdałem sobie sprawę, że prawdopodobnie wszyscy obecni znajomi Langów mają prywatne samoloty. W tym momencie na ciemniejącym niebie pojawił się korporacyjny

gulfstream, przeleciał nisko nad ponurymi sosnami i usiadł na pasie. Jeff wcisnął gaz i po chwili byliśmy przy niewielkim terminalu. Zaznaczyliśmy swoją obecność głośnym trzaskaniem drzwi, gdy ja, Ruth, Amelia, Jeff i jeden z agentów wcisnęliśmy się do środka. Wewnątrz już czekał policjant z Edgartown. Za nim na ścianie wisiała wyblakła fotografia Billa i Hillary Clintonów - ktoś witał ich na pasie startowym, gdy przyjechali tu na wakacje, zakłócone jakimś skandalem.

Po pasie kołował prywatny ciemnoniebieski odrzutowiec. Nad drzwiami dostrzegłem wypisany złotymi literami napis HALLINGTON. Samolot wydawał się większy niż standardowy falliczny symbol wielkich menedżerów, z wysokim ogonem i sześcioma oknami po obu stronach. Gdy się zatrzymał i pilot zgasił silniki, cisza na opustoszałym lotnisku wydała mi się szczególnie przejmująca.

Drzwi się otworzyły, opuszczono schodki i na pas wyszli dwaj agenci Wydziału Specjalnego. Jeden poszedł prosto do budynku terminalu, drugi został przy schodkach i rutynowo sprawdził pas, rozglądając się na wszystkie strony. Lang najwyraźniej się nie śpieszył. Dostrzegłem go w przyciemnionej kabinie. Podał pilotowi i stewardowi rękę na pożegnanie, po czym - niemal niechętnie - wyszedł i zatrzymał się na schodkach. Niósł teczkę, czego z pewnością nie musiał robić, gdy był premierem. Wiatr uniósł połę jego marynarki i szarpnął za krawat. Lang przyglądał włosy. Rozejrzał się niepewnie, jakby próbował przypomnieć sobie, co ma zrobić. To już niemal stawało się kłopotliwe, gdy w końcu zobaczył nas w wielkim oknie. Pomachał nam, uśmiechnął

się dokładnie tak, jak wtedy, gdy był na szczycie. Ten trudny moment - cokolwiek to było - już minął. Ruszył energicznym krokiem do terminalu, po drodze przekładając teczkę z jednej ręki do drugiej. Za nim kroczyli trzeci agent i młoda kobieta ciągnąca walizkę na kółkach.

Odeszliśmy od okna w porę, żeby przywitać go przy drzwiach wejściowych.

- Cześć, kochanie - powiedział i pochylił się, żeby pocałować żonę. Jego skóra miała pomarańczowy odcień. Po chwili zdałem sobie sprawę, że jest umalowany.

Ruth poklepała go po ramieniu.

- Jak było w Nowym Jorku?

- Wspaniale. Dali mi gulfstreama cztery - wiesz, tego do lotów przez Atlantyk, z łóżkiem i prysznicem. Cześć, Amelio. Cześć, Jeff. - Teraz mnie zauważył. - Halo - powiedział. - Kim pan jest?

- Jestem pana duchem.

Od razu pożałowałem, że to powiedziałem. To miał być dowcip, autoironiczna uwaga służąca przełamaniu lodów. Przed wyjazdem z Londynu nawet przećwiczyłem ją przed lustrem. Jednak tutaj, na opustoszałym lotnisku, w szarym cichym otoczeniu, źle to zabrzmiało. Żachnął się.

- W porządku - powiedział. Podał mi wprawdzie rękę, ale też nieco się cofnął, jakby chciał mi się przyjrzeć z bezpiecznej odległości.

Jezu, on myśli, że jestem wariatem.

- Nie martw się - uspokoiła męża Ruth. - On nie zawsze jest taki dziwny.

Rozdział 5

*Murzyn powinien koniecznie postarać się,
żeby klient czuł się całkowicie swobodnie
w jego towarzystwie.*

Andrew Crofts

- Wspaniała kwestia na początek znajomości - pochwaliła Amelia w drodze do domu. - Czy nauczyli tego pana w szkole murzynów?

Siedzieliśmy obok siebie z tyłu mikrobusu. Sekretarka, która wróciła z Langiem z Nowego Jorku - miała na imię Lucy - siedziała z przodu z trzema ochroniarzami. Przez przednią szybę widziałem jadącego tuż przed nami jaguara. Ściemniło się. W świetle reflektorów widać było poskręcane krzaki i karłowate dęby.

- To było szczególnie taktowne, jeśli wziąć pod uwagę, że zastępuje pan zmarłego - ciągnęła Amelia.

- Dobrze już - jęknąłem. - Dość.

- Ma pan jednak jedną zaletę - dodała, patrząc na mnie dużymi niebieskimi oczami. Mówiła tak cicho, że nikt poza

mną nie mógł jej usłyszeć. - Jako jeden z bardzo nielicznych przedstawicieli ludzkiej rasy najwyraźniej cieszy się pan zaufaniem Ruth Lang. Jak pan sądzi, dlaczego?

- Trudno przeniknąć czyjś gust.

- To prawda. Może ona sądzi, że będzie pan wykonywał jej polecenia.

- Może tak sądzi. Niech pani mnie o to nie pyta. - Nie miałem najmniejszej ochoty dać się wciągnąć w ich rozgrywkę. - Słuchaj, Amelio - czy mogę zwracać się do ciebie po imieniu? - przyjechałem tutaj, żeby pomóc Langowi napisać książkę. Nie chcę wdawać się w pałacowe intrygi.

- Oczywiście. Chcesz wykonać swoją robotę i stąd zniknąć.

- Znowu jesteś złośliwa.

- To dzięki tobie jest to takie łatwe.

Zamknąłem się na jakiś czas. Łatwo mogłem zrozumieć, dlaczego Ruth tak jej nie lubi. Amelia było nieco zbyt bystra i o wiele za ładna, żeby zachowywać się przy niej swobodnie. Jako małżonka Ruth mogła się czuć szczególnie zagrożona. Gdy tak siedziałem, biernie wdychając zapach jej perfum Chanel, przyszło mi do głowy, że może mieć romans z Langiem. To by wiele wyjaśniło. Lang przywitał się z nią bardzo chłodno, a czy to nie jest najpewniejszy znak? Gdyby tak było, łatwo mógłbym zrozumieć, dlaczego mają taką paranoję na punkcie poufności. Taka historia wystarczyłaby, żeby wszystkie brukowce miały o czym pisać przez kilka tygodni.

- Nie powiedziałaś mi, co sądzisz o maszynopisie - prze-
rwała milczenie Amelia, gdy byliśmy w połowie drogi.

- Szczerze? Nie bawiłem się tak dobrze, od kiedy czyta-
łem wspomnienia Leonida Breżniewa. - Amelia się nie
uśmiechnęła. - Nie rozumiem, jak coś takiego mogło się stać
- dodałem. - Przecież tak długo rządziście całym krajem.
Na pewno jest wśród was ktoś, dla kogo angielski jest języ-
kiem ojczystym.

- Mike... - zaczęła, ale urwała. - Nie chcę źle mówić o
zmarłym.

- Dlaczego zmarli mieliby być wyjątkiem?

- Dobrze. Więc Mike. Problem polega na tym, że Adam
od razu kazał mu się tym zająć, a biedny Mike po prostu nie
mógł sobie z tym poradzić. Pojechał do Cambridge, żeby
zebrać materiał, i przez rok prawie się nie pokazywał.

- Do Cambridge?

- Tak. Tam jest archiwum z dokumentami Langa. Sta-
rannie odrobiliś lekcje, nie ma co mówić. Dwa tysiące pudeł
z papierami. Dwieście pięćdziesiąt metrów półek. Ponad
milion dokumentów. W przybliżeniu, bo nikomu nie chciało
się policzyć.

- McAra to wszystko przejrzał? - spytałem z niedo-
wierzaniem. Zgodnie z moimi wyobrazeniami, pedantyczny
program badań polega na nagrywaniu przez tydzień roz-
mów z klientem i zebraniu wszystkich nieścisłych informa-
cji, jakie oferuje Google.

- Nie. - Amelia pokręciła głową z irytacją. - Oczywiście

nie przejrzał wszystkich pudeł, ale siedział tam tak długo, że gdy w końcu wrócił, był wyczerpany i przepracowany. Myśle, że po prostu stracił orientację, na czym polega jego zadanie. To chyba spowodowało kliniczną depresję, choć początkowo nikt z nas tego nie zauważył. Aż do Bożego Narodzenia Mike nawet nie spotkał się z Adamem, żeby to wszystko omówić. No, a wtedy już było o wiele za późno.

- Przepraszam, ale czegoś nie rozumiem. - Odwróciłem się w fotelu, żeby lepiej ją widzieć. - Chcesz mi powiedzieć, że facet, któremu płacą dziesięć milionów dolarów za napisanie wspomnień, na co dostał dwa lata, przekazał to zadanie komuś, kto nie ma zielonego pojęcia o pisaniu książek, a następnie zostawił go bez żadnego nadzoru przez dwanaście miesięcy?

Amelia przyłożyła palec do ust i wskazała spojrzeniem przednie siedzenia mikrobusu.

- Jak na ducha, mówisz bardzo głośno.

- Przecież były premier musi zdawać sobie sprawę, jak ważne są dla niego te wspomnienia - szepnąłem.

- Jeśli chcesz poznać prawdę, to, moim zdaniem, Adam ani przez chwilę nie miał zamiaru napisać wspomnień w ciągu dwóch lat. Sądził, że wszystko się ułoży i nikt się nie zorientuje. Dlatego pozwolił, żeby Mike przejął to zadanie. To miało być coś w rodzaju nagrody za to, że był taki wierny. Później jednak, gdy Marty Rhinehart jasno stwierdził, że zamierza domagać się dotrzymania umowy, a redaktorzy przeczytali, co wyprodukował Mike... - Amelia nie dokończyła zdania.

- Czy Lang nie mógł po prostu oddać pieniędzy i zacząć od początku?

- Myślę, że znasz odpowiedź na to pytanie lepiej niż ja.

- Nie dostałby takiej dużej zaliczki.

- Dwa lata po utracie stanowiska? Nie dostałby nawet połowy tej sumy.

- I nikt nie pomyślał, jak się to skończy?

- Często rozmawiałam o tym z Adamem, ale jego nigdy nie interesowała historia, nawet własna. Znacznie bardziej przejmował się tworzeniem swojej fundacji.

Wyprostowałem się w fotelu. Nietrudno było mi zrozumieć, jak to się stało. McAra, partyjny aparatczyk, zmienił się w stachanowca badań archiwalnych, na oślepiętego kompilującego niezliczone i bezużyteczne dokumenty. Lang, którego zawsze interesowały wizje, nie szczegóły - „przyszłość, a nie przeszłość”, tak chyba brzmiał jeden z jego sloganów? - jeździł po Stanach z odczytami i pławił się w uwielbieniu tłumów. Wolał żyć, niż wspominać dawne życie. W końcu zdał sobie sprawę, że są jakieś problemy z realizacją wielkiego planu opublikowania wspomnień, pewnie wyraził niezadowolony, stara przyjaźń legła w gruzach i Mike zaczął myśleć o samobójstwie.

- Pewnie wszyscy bardzo to przeżyliście.

- Owszem. Zwłaszcza po tym, jak znaleźli jego zwłoki. Zaproponowałam, że pojedę je zidentyfikować, ale Adam uważał, że to jego obowiązek. To było okropne. Samobójstwo sprawia, że wszyscy dookoła czują się winni. Proszę

zatem, jeśli nie masz nic przeciw temu, skończ z dowcipami o duchach.

Już chciałem ją zapytać o artykuły w niedzielnych gazetach na temat porwania podejrzanych o terroryzm i przekazaniu ich trzeciej stronie w celu przesłuchania, ale zauważyłem, że zapaliły się światła hamowania jaguara. Mikrobus się zatrzymał.

- No, znowu jesteśmy w domu - westchnęła. Po raz pierwszy dosłyszałem w jej głosie znużenie.

Zrobiło się ciemno - było pewnie po siedemnastej – a temperatura spadła wraz z zachodem słońca. Stojąc obok mikrobusu, przyglądałem się, jak Lang wysiada z samochodu. Jak zwykle, natychmiast otoczyli go pracownicy i ochroniarze. Wciągnęli go do domu tak szybko, jakby wiedzieli, że w krzakach czai się zamachowiec ze snajperskim karabinem. Natychmiast wzdłuż całej fasady wielkiego domu w oknach zaczęły zapalać się światła. Przez krótką chwilę można było pomyśleć, że to prawdziwa siedziba władzy, a nie jej mizerna parodia. Poczulem, że jestem tu kimś obcym. Zastanawiałem się, co powinienem zrobić. Wciąż byłem zakłopotany gafą, jaką popełniłem na lotnisku. Stałem parę minut na dworze. Ku mojemu zdziwieniu to Lang zauważył, że mnie nie ma, i wyszedł mnie poszukać.

- Hej, człowieku! - krzyknął, stojąc w progach. - Do licha, co pan tam robi? Czy nikt pana nie szuka? Niech pan wejdzie i czegoś się napije.

Gdy wchodziłem, położył rękę na moim ramieniu i skierował mnie do pokoju, gdzie rano piłem kawę. Zdążył już zdjąć marynarkę i włożyć gruby szary sweter.

- Przepraszam, że nie przywitałem się z panem jak należy na lotnisku. Na co ma pan ochotę?

- A co pan pije? - Modliłem się w duszy, żeby to był jakiś alkohol.

- Mrożoną herbatę.

- Też chętnie się napiję.

- Jest pan pewny? Ja wolałbym coś mocniejszego, ale Ruth by mnie zabiła. - Lang zawołał do jednej z sekretarek: - Luce, skarbie, poproś Dep, żeby przyniosła nam herbaty, dobrze? No, więc - Lang opadł na środkową sofę i rozłożył szeroko ramiona na oparciu - będzie pan musiał ze mną wytrzymać cały miesiąc, niech panu Bóg pomoże. - Szybko skrzyżował nogi, opierając prawą kostkę na lewym kolanie. Zabębnił palcami, pokręcił stopą i przez chwilę przyglądał jej się uważnie, po czym znowu zwrócił na mnie spojrzenie bezchmurnych oczu.

- Mam nadzieję, że to będzie w miarę bezbolesna operacja dla nas obu - odpowiedziałem. Zawahałem się, nie byłem pewny, jak powinienem się do niego zwracać.

- Adam - powiedział Lang. - Proszę mi mówić po imieniu.

Z doświadczenia wiedziałem, że w osobistych kontaktach ze sławną osobą zawsze nadchodzi moment, kiedy wydaje ci się, że to sen. Tego właśnie doświadczyłem w tej chwili: to było naprawdę niesamowite przeżycie. Patrzyłem na siebie z góry, obserwowałem, jak swobodnie rozmawiam z wielkim mężem stanu w domu miliardera ze świata mediów. On bardzo się starał być dla mnie miły. Potrzebował mnie. Ale heca, pomyślałem.

- Dziękuję - odrzekłem. - Muszę ci wyznać, że jeszcze nigdy nie spotkałem premiera.

- Hm - uśmiechnął się w odpowiedzi. - Ja nigdy nie spotkałem ducha, więc jesteśmy kwita. Sid Kroll twierdzi, że jesteś najlepszym człowiekiem do wykonania tego zadania. Ruth też tak uważa. Jak zatem będziemy pracowali?

- Będę przeprowadzał z tobą wywiady i zmienię twoje odpowiedzi w normalny tekst. W razie konieczności będę dodawał akapity łączące, starając się naśladować twój sposób mówienia. Skoro o tym mowa, chcę cię zapewnić, że będziesz miał okazję wprowadzić poprawki. Nie myśl, że chcę włożyć w twoje usta słowa, których nie chciałbyś użyć.

- Człowieku, ile czasu to zajmie?

- W przypadku grubej książki zwykle potrzebuję od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu godzin wywiadu. To da mi około czterystu tysięcy słów, a po redakcji zostanie z tego sto tysięcy.

- Ale przecież mamy już maszynopis.

- Owszem, ale szczerze mówiąc, ten tekst nie nadaje się do druku. To notatki z badań, nie zaś książka. Nie słyhać w niej głosu autora. - Lang zrobił niezadowoloną minę. Najwyraźniej nie rozumiał, w czym problem. - Skoro już to powiedziałem - dodałem szybko - chcę zauważyć, że ta praca nie pójdzie całkowicie na marne. Wykorzystamy ją jako źródło informacji o faktach i cytatów. Nie mam też nic przeciw zaproponowanej strukturze - podziałowi na szesnaście rozdziałów - ale wolałbym inaczej zacząć, znaleźć coś bardziej osobistego.

Wietnamska gospoia podała herbatę. Była ubrana na czarno - czarne jedwabne spodnie i czarna koszula bez kołnierzyka. Chciałem się przedstawić, ale gdy stawiała przede mną filiżankę, unikała mojego spojrzenia.

- Słyszałeś o Mike'u? - spytał Lang.

- Tak. Bardzo mi przykro.

Lang odwrócił wzrok, spojrzał w ciemne okno.

- Musimy napisać o nim coś miłego. Jego matka się ucieszy.

- To chyba nie będzie trudne.

- Mike towarzyszył mi bardzo długo. Przyłączył się do mnie, nim jeszcze zostałem premierem. Był pracownikiem partii. Odziedziczyłem go po moim poprzedniku. Wydaje się, że znamy kogoś bardzo dobrze, a potem... - Wzruszył ramionami i wbił wzrok w ciemność.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc milczałem. W swojej pracy muszę niekiedy odgrywać rolę powiernika. Nauczyłem się zachowywać jak psychoanalityk - siedzieć w milczeniu i dać klientowi czas na zebranie myśli i wygadanie się. Zastanawiałem się, co takiego Lang widzi za oknem. Mniej więcej po trzydziestu sekundach przypomniał sobie, że jestem w pokoju.

- Tak. Jak długo będziesz mnie potrzebował?

- Od rana do wieczora? - Upiłem łyk herbaty. Poczułem w ustach słodki smak i z trudem powstrzymałem grymas obrzydzenia. - Jeśli będziemy ciężko pracowali, powinniśmy uporać się z tym w tydzień.

- Tydzień? - Lang zrobił przerażoną minę.

Powstrzymałem się od wskazania, że dziesięć milionów dolarów za tydzień pracy to trochę lepiej niż minimalna płaca.

- Zapewne później będę musiał jeszcze z tobą porozmawiać, żeby uzupełnić braki, ale jeśli będziemy pracowali od jutra do piątku, będę miał dość materiału, żeby napisać na nowo zasadniczą część tekstu. Musimy zacząć jutro rano, żeby jak najszybciej załatwić lata młodości.

- Dobra. Im szybciej to odwalimy, tym lepiej. - Nagle Lang pochylił się do przodu, oparł łokcie o kolana, trzymając filiżankę w obu dłoniach. Przyjął wystudiowaną pozę człowieka prowadzącego szczerą, intymną rozmowę. - Ruth tutaj wariuje. Namawiam ją, żeby wróciła do Londynu, odwiedziła dzieci, a ja zostanę, by skończyć książkę, ale ona nie chce o tym słyszeć. Muszę przyznać, że bardzo podobają mi się twoje książki.

Niemal zachłysnąłem się herbatą.

- Czytałeś jakieś? - Próbowałem sobie wyobrazić, jaki piłkarz, piosenkarz, iluzjonista lub bohater reality show zainteresował premiera.

- Oczywiście - powiedział, jakby to rzeczywiście było oczywiste. - Spędzaliśmy wakacje u jednego faceta...

- Christy'ego Costello?

- Tak, Christy Costello. Znakomicie sobie poradziłeś. Człowieku, jeśli potrafiłeś jakoś uporządkować i sensownie przedstawić jego życie, to może uda ci się również ze mną. - Zerwał się z sofy i podał mi rękę. - Cieszę się, że cię poznałem. Zaczniemy jutro z samego rana. Powiem Amelii, żeby

wezwała samochód. Ktoś odwiezie cię do hotelu. - Nagle zaczął śpiewać.

Raz w życiu

Masz wszystko,

Ale nigdy o tym nie wiesz,

Dopóki wszystkiego nie stracisz.

- Christy Costello - powiedział, wyciągając palec w moim kierunku. - *Raz w życiu*. To był przebój, w siedemdziesiątym... - Pochylił głowę, przymknął oczy, żeby się skupić. Pokiwał ręką, jakby spekulował. - Chyba siedemdziesiątym siódmym?

- Ósmym.

- Siedemdziesiątym ósmym! To były czasy! Już czuję, jak przeżywam to jeszcze raz.

- Poczekaj z tym do jutra - poprosiłem.

* * *

- Jak udała się rozmowa? - spytała Amelia, odprowadzając mnie do drzwi.

- Chyba całkiem nieźle. Był bardzo przyjacielski. Wciąż mówił do mnie „człowieku”.

- Normalne - stwierdziła. - Zawsze tak robi, gdy nie pamięta czyjegoś imienia.

- Jutro będę potrzebował pomieszczenia, w którym mógłbym w spokoju przeprowadzić wywiad - powiedziałem.

- Sekretarka musi na bieżąco spisywać jego odpowiedzi. Podczas przerw będę jej przynosił nowe dyski. Muszę mieć

własną kopię maszynopisu na twardym dysku. Wiem, wiem.
- Uniosłem rękę, żeby uciąć jej obiekcje. - Nie wyniosę jej z budynku, ale muszę mieć wersję elektroniczną, żeby swobodnie wycinać fragmenty, wklejając je do nowego tekstu i zmieniać tak, żeby choć w przybliżeniu wyglądało to na autentyczną wypowiedź ludzkiej istoty.

Amelia spisała moje życzenia w notatniku.

- Jeszcze coś?
- Może pójdziemy na kolację?
- Dobranoc - odpowiedziała zdecydowanie i zamknęła drzwi.

Jeden z agentów odwiózł mnie do Edgartown. Był równie ponury jak jego kolega przy bramie.

- Mam nadzieję, że napisze pan tę książkę możliwie szybko - powiedział. - Ja i wszyscy chłopcy mamy już po dziurki w nosie siedzenia tutaj.

Zawiózł mnie do hotelu i zapowiedział, że przyjedzie rano. Ledwo zdążyłem wejść do pokoju, gdy zadzwoniła komórka. To była Kate.

- Wszystko u ciebie w porządku? - spytała. - Odśluchałam twoją wiadomość. Mówiłeś jakoś dziwnie.

- Naprawdę? Przepraszam. Nic mi nie jest. - Powstrzymałem się od zadania pytania, gdzie była, gdy dzwoniłem.

- I co? Rozmawiałeś z nim?
- Tak. Właśnie wróciłem ze spotkania.
- No i co? Tylko nie mów, że jest czarujący - dodała, nim zdążyłem coś powiedzieć.

Odsunąłem telefon od ucha i wystawiłem środkowy palec do mikrofonu.

- Z pewnością wybrałeś właściwy moment - kontynuowała Kate. - Czytałeś wczorajsze gazety? Stanowisz zapewne pierwszy odnotowany przypadek szczura, który wchodzi na tonący statek.

- Tak, oczywiście, czytałem gazety - odpowiedziałem defensywnym tonem. - Zamierzam go o to spytać.

- Kiedy?

- Kiedy przyjdzie właściwa pora.

Kate wydała głośny dźwięk, który jednocześnie wyrażał rozbawienie, wściekłość, pogardę i niedowierzanie.

- Pewnie, spytaj go. Spytaj, dlaczego wbrew prawu porywa obywateli brytyjskich w innym kraju i przekazuje ich komuś, kto ich torturuje. Spytaj, czy zna stosowaną przez CIA technikę symulowanego utopienia. Spytaj, co zamierza powiedzieć wdowie i dzieciom tego człowieka, który zmarł na serce podczas...

- Wolniej - przerwałem jej. - Straciłem wątek po utopieniu.

- Spotykam się z kimś innym - powiedziała.

- Powodzenia - odpowiedziałem i przerwałem połączenie.

Po tej rozmowie nie miałem już nic do zrobienia, jak tylko zejść do baru i się upić.

Bar wyglądał tak, jakby w każdej chwili mógł tu wpaść kapitan Ahab po całym dniu ciężkiej pracy z harpunem. Siedziska i stoły zrobiono ze starych beczek. Na nierównych ścianach z desek wisiały stare sieci i pułapki na homary,

modele żaglowców w butelkach i fotografie w kolorze sepia przedstawiające morskich wędkarzy dumnie demonstrujących swoją zdobycz. Pomyślałem, że ci rybacy są już równie martwi, jak złowione przez nich ryby. Ta refleksja pasowała do mojego nastroju. Nad barem wisiał wielki telewizor nastawiony na sprawozdanie z meczu hokeja. Zamówiłem piwo i zupę z małży. Usiadłem przy stoliku, skąd widać było ekran. Nie znam się na hokeju, ale sport to dobry sposób, żeby na chwilę o wszystkim zapomnieć. Gotów byłem oglądać byle co.

- Jest pan Anglikiem? - spytał mężczyzna siedzący w rogu. Widocznie słyszał, jak zamawiałem. Poza nim w barze nie było innych klientów.

- Pan również - odpowiedziałem.

- Rzeczywiście. Przyjechał pan tu na urlop?

Mówił tonem starego kumpla, który proponuje partyjkę golfa. To, w połączeniu z koszulą w paski i wytartym kołnierzem, dwurzędową marynarką ze złotymi guzikami i niebieską jedwabną chusteczką w kieszonce, zapowiadało nudziarza, i to tak wyraźnie, jak świeciła latarnia morska Edgartown.

- Nie. Do pracy - odrzekłem i wróciłem do oglądania meczu.

- Czym się pan trudni? - Podniósł szklanekę z jakimś przejrzystym napojem z lodem i kawałkiem cytryny. Wódka z tonikiem? Gin z tonikiem? Nie miałem najmniejszej ochoty dać się wciągnąć w rozmowę.

- Różnymi rzeczami. Pan wybaczy.

Poszedłem do toalety umyć ręce. W lustrze zobaczyłem

twarz człowieka, który w ciągu ostatnich czterdziestu godzin spał tylko sześć. Gdy wróciłem do baru, na stoliku czekała już zupa z małży. Zamówiłem jeszcze jedno piwo, ale nie zaproponowałem drinka mojemu krajanowi. Czułem, że mnie obserwuje.

- Słyszałem, że Adam Lang przebywa na wyspie - odezwał się.

Przyjrzałem mu się uważniej. Miał pięćdziesiąt parę lat, był szczupły, ale barczysty, i na pewno bardzo silny. Staloszare włosy zaczesywał do góry. W jego wyglądzie było coś, co kojarzyło się z wojskiem, ale równocześnie wydawał się zaniedbany, jakby polegał na paczkach z żywnością rozdawanych przez organizacje weteranów.

- Doprawdy? - odpowiedziałem obojętnym tonem.

- Tak słyszałem. Nie wie pan, gdzie mieszka?

- Nie. Przepraszam pana.

Zająłem się jedzeniem zupy. Usłyszałem ciężkie westchnienie, potem stukanie lodu o szkło. Postawił szklanke na barze.

- Pizda - powiedział, gdy przechodził obok mojego stolika.

Rozdział 6

Moi klienci często mówili mi, że pod koniec procesu zbierania materiałów czuli się jak po psychoterapii.

Andrew Crofts

Gdy rano zszedłem na śniadanie, tego faceta nigdzie nie było. Recepcjonistka powiedziała mi, że jestem jedynym gościem w hotelu. Twierdziła równie zdecydowanie, że nie widziała żadnego Anglika w dwurzędowej marynarce. Obudziliśmy się o czwartej - krok naprzód w porównaniu z drugą, ale nie za duży. Byłem nieprzytomny i miałem kaca, dlatego zacząłem się zastanawiać, czy to spotkanie mi się przyśniło. Po filiżance kawy poczułem się nieco lepiej. Poszedłem na spacer wokół latarni morskiej, żeby trochę oprzytomnieć i przewietrzyć głowę. Gdy wróciłem, przed hotelem już czekał mikrobus, żeby zawieźć mnie do pracy.

Spodziewałem się, że najtrudniejszym zadaniem pierwszego dnia będzie zmuszenie Adama Langa do przyścia do

pokoju, zajęcia miejsca i wytrwania na fotelu dostatecznie długo, bym mógł zacząć wywiad. Lang mnie jednak zaskoczył: gdy przyjechałem do rezydencji, już na mnie czekał. Amelia postanowiła, że powinniśmy skorzystać z gabinetu Rhineharta. Znaleźliśmy byłego premiera ubranego w ciemnozielony dres, rozwalonego na wielkim fotelu przed biurkiem, z nogą na oparciu. Przeglądał historię drugiej wojny światowej, którą niewątpliwie przed chwilą wziął z półki. Na podłodze obok fotela stał kubek herbaty. Na podszwach adidasów widać było ziarnka piasku; odgadłem, że rano na pewno biegał po plaży.

- Cześć, człowieku - powiedział, patrząc na mnie. - Gotowy do startu?

- Dzień dobry - odpowiedziałem. - Muszę najpierw załatwić kilka spraw.

- Oczywiście. Nie zwracaj na mnie uwagi.

Wrócił do swojej książki. Otworzyłem torbę i wyjąłem z niej swoje podstawowe narzędzia: cyfrowy magnetofon Sony, kilka minidysków MD-R 74, zasilacz sieciowy (na podstawie przykrych doświadczeń nauczyłem się nie polegać na akumulatorach), srebrzysty laptop Panasonic Toughbook - niewiele większy od książki w twardej okładce, a na pewno lżejszy - kilka czarnych notesów, trzy nowiutkie pisaki Mitsubishi Pencil Co., dwa białe plastikowe konwertery umożliwiające włączenie brytyjskiej wtyczki do amerykańskiego gniazdko. Miałem również listę pytań, przygotowaną na podstawie książek o Langu, które kupiłem w Londynie, oraz lektury maszynopisu McAry.

- Czy wiedziałeś - spytał nagle Lang - że w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku Niemcy mieli odrzutowe myśliwce? Popatrz tu. - Pokazał mi zdjęcie w książce. - To cud, że zwyciężyliśmy.

- Nie używamy dyskietek - powiedziała Amelia - tylko karty pamięci flashdrive. Skopiowałam maszynopis na kartę. - Podała mi przedmiot wielkości zapalniczki. - Możesz go skopiować na swój dysk, ale obawiam się, że jeśli to zrobisz, będziesz musiał zostawić tu laptop na noc, zamknięty w sejfie.

- I to Niemcy wypowiedzieli wojnę Stanom Zjednoczonym, a nie na odwrót.

- Czy to nie zakrawa na paranoję?

- Maszynopis zawiera potencjalnie tajne informacje, na których ujawnienie musi się zgodzić Biuro Gabinetu. Co ważniejsze, musimy się liczyć z poważnym niebezpieczeństwem, że niektórzy przedstawiciele mediów bez skrupułów użyją nielegalnych metod, żeby uzyskać dostęp do maszynopisu. Jakiś przeciek może zagrozić naszym umowom z gazetami na publikację wspomnień w odcinkach.

- Naprawdę zapisałaś całą książkę na czymś takim? - zainteresował się Lang.

- Adamie, na tym można zapisać sto takich książek - cierpliwie wyjaśniła Amelia.

- Zdumiewające. - Lang pokręcił głową. - Wiecie, co jest najgorsze w moim życiu? - Zamknął z trzaskiem książkę i odstawił ją na półkę. - Oderwanie od rzeczywistości. Nigdy nie chodzę po zakupy. Wszystko ktoś robi za mnie. Nie noszę przy sobie pieniędzy - gdybym teraz potrzebował pieniędzy, musiałbym poprosić sekretarkę lub ochroniarza,

żeby pojechał do bankomatu. Sam nie potrafiłbym tego zrobić. Nie znam nawet swojego... no, jak to nazywają? Nawet tego nie wiem.

- PIN-u?

- Widzisz? Nie mam pojęcia o takich rzeczach. Dam ci jeszcze jeden przykład. Tydzień temu Ruth i ja poszliśmy na kolację z jakimiś ludźmi z Nowego Jorku. Zawsze byli dla mnie bardzo szczerzy, więc powiedziałem, że tym razem to ja zapraszam. Dałem kelnerowi kartę kredytową, a on przychodzi po paru minutach, bardzo zakłopotany, i wyjaśnia, na czym polega problem. Wskazuje czysty pasek, gdzie powinienem się podpisać. - Lang wyrzucił ręce do góry i uśmiechnął się ironicznie. - Nie aktywowałem karty.

- To są właśnie takie detale, jakie musimy wykorzystać w książce - powiedziałem z podnieceniem. - Nikt nie zdaje sobie z tego sprawy.

Lang wydawał się zdziwiony.

- Nie mogę czegoś takiego napisać. Ludzie pomyślą, że jestem kompletnym idiotą.

- To ważny szczegół. Ukazuje, jak wygląda twoje życie. - To był ważny moment. Nadarzyła się okazja. Musiałem skłonić go, żeby od razu skupił się na tym, czego potrzebujemy. Wyszedłem zza biurka i stanąłem tuż przed nim. - Może postaramy się, żeby ta książka różniła się od wszystkich wspomnień polityków, jakie zostały opublikowane? Może spróbujemy powiedzieć prawdę?

- To rzeczywiście byłoby coś nowego - zaśmiał się Lang.

- Mówię poważnie. Spróbujmy opowiedzieć ludziom,

jak wygląda życie premiera. Nie piszmy wyłącznie o polityce, każdy nudziarz może to zrobić. - Niewiele brakowało, a zacytowałbym McAreę, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem. - Skoncentrujmy się na tym, czego nie wie nikt oprócz ciebie: Jak czuje się człowiek, który rządzi całym krajem? Co czuje premier każdego dnia rano? W jakim żyje napięciu? Jak znosi odcięcie od zwyczajnego życia? Jak znosi nienawiść?

- Serdeczne dzięki.

- To nie polityka fascynuje ludzi. Kogo obchodzi polityka? Dla ludzi zawsze fascynujący są inni ludzie, interesują ich szczegóły z życia innych. Oczywiście, ponieważ te detale są dla ciebie takie banalne, nie potrafisz wybrać tego, czego chcą się dowiedzieć czytelnicy. Muszę to z ciebie wyciągnąć. Dlatego mnie potrzebujesz. To nie powinna być książka dla zawodowych polityków. To ma być książka dla zwykłych ludzi.

- Pamiętnik dla ludu - wtrąciła oschle Amelia, ale ją zignorowałem. Co ważniejsze, Lang również nie zwrócił uwagi na jej komentarz. Patrzył na mnie zupełnie inaczej niż wcześniej, jakby przed jego oczami zapaliła się żarówka z napisem „własny interes”.

- Większości mężów stanu na to nie stać - tłumaczyłem. - Są zbyt sztywni, zbyt nieporadni. Zbyt starzy. Gdyby zdjęli garnitur i krawat, a włożyli dres - wskazałem jego strój - nie wyglądałoby autentycznie. Ty jesteś inny. Dlatego powinienes napisać inne wspomnienia polityczne, przeznaczone dla innej epoki.

Lang wciąż na mnie patrzył.

- Co o tym sądzisz, Amelio? - spytał.
- Sądzę, że wy dwaj jesteście dla siebie stworzeni. Czuję, że nic tu po mnie.

- Czy mogę zacząć nagrywać? - spytałem. - Z tej rozmowy może wyniknąć coś ciekawego. Nie martw się, wszystkie nagrania będą stanowić twoją własność.

Lang wzruszył ramionami i wskazał ręką magnetofon. Gdy nacisnąłem „record”, Amelia wyszła z gabinetu i cicho zniknęła za sobą drzwiami.

- Pierwsza rzecz, która wydaje mi się uderzająca - zacząłem, przenosząc fotel zza biurka, tak abym mógł usiąść blisko niego - to to, że wcale nie jesteś politykiem w konwencjonalnym sensie tego słowa, choć odniosłeś zdumiewające sukcesy. - Taki ostry styl wywiadu był moją specjalnością. - To znaczy, gdy dorastałeś, nikt chyba nie spodziewał się, że zostaniesz politykiem?

- Boże, ależ skąd! - westchnął Lang. - Zupełnie nie interesowałem się polityką ani w dzieciństwie, ani jako nastolatek. Uważałem, że ludzie mający obsesję na punkcie polityki są jacyś dziwni. Właściwie nadal tak uważam. Lubiłem grać w piłkę. Lubiłem chodzić do teatru i do kina. Nieco później lubiłem umawiać się z dziewczynami. Nigdy nie myślałem, że zostanę politykiem. Studenci, którzy zajmowali się polityką na uniwersytecie, wydawali mi się stuknięci.

Bingo! - pomyślałem. Zaczęliśmy dwie minuty temu, a już mieliśmy zdanie, od którego mogłaby zacząć się książka:

GDY DORASTAŁEM, ZUPEŁNIE NIE INTERESOWAŁEM SIĘ POLITYKĄ. TAK NAPRAWDĘ UWAŻAŁEM, ŻE LUDZIE MAJĄCY OBSESJĘ NA PUNKCIE POLITYKI SĄ DZIWNIE.

WCIAŻ TAK UWAŻAM...

- Co zatem się zmieniło? Co sprawiło, że nagle podnieciła cię polityka?

- „Podnieciła” to dobre słowo - odrzekł Lang ze śmiechem. - Skończyłem studia w Cambridge i przez rok dryfowałem bez wyraźnego celu, mając nadzieję, że sztuka, w której grałem, zostanie wystawiona w jakimś londyńskim teatrze. Tak się nie stało, dlatego wyłądowną w banku. Mieszkałem w podobnej do jaskini suterenie w Lambeth, bardzo sobie współczułem, bo wszyscy moi znajomi z Cambridge pracowali w BBC, zarabiali fortunę, podkładając głos w reklamach lub w inny sposób. Pamiętam, to było niedzielne popołudnie. Padało. Ja jeszcze leżę w łóżku, a tu nagle ktoś puka do drzwi...

Lang z pewnością opowiadał tę historię tysiąc razy, ale trudno to było odgadnąć, obserwując go tego ranka. Rozparł się wygodnie w fotelu i uśmiechał się do swoich wspomnień. Używał tych samych starych słów i wypróbowanych gestów, odgrywał pukanie do drzwi - a ja myślałem z uznaniem, jakim jest wytrawnym aktorem: doświadczonym profesjonalistą, który zawsze stara się dobrze zagrać, niezależnie od tego, czy występuje dla jednego widza, czy dla miliona.

- ...no i ten ktoś nie chciał spasować. Puk, puk, puk. Wiesz, poprzedniego wieczoru trochę wypilem i nie tylko,

więc teraz jęcę i kwękam. Zakrywam głowę poduszką, ale mimo to znowu słyszę: puk, puk, puk. W końcu - a mogę ci powiedzieć, że już klnę pod nosem - wstaję z łóżka, wkładam szlafrok i otwieram drzwi. Na klatce schodowej stoi dziewczyna - cudowna. Jest cała mokra, ale się tym nie przejmuję. Od razu zaczyna mówę na temat lokalnych wyborów. Jakie to dziwne. Muszę przyznać, że nawet nie wiedziałem, iż mają się odbyć jakieś lokalne wybory. Wystarczyło mi rozsądki, żeby udawać, iż bardzo mnie to interesuje. Zapraszam ją do środka, robię herbatę. Jej ubranie powoli schnie. No i stało się - jestem zakochany. Szybko zrozumiałem, że najłatwiej mi będzie spotkać ją ponownie, jeśli wezmę jej ulotkę i w następny wtorek wieczorem - nie pamiętam, czy to był naprawdę wtorek - pojawię się na zebraniu i wstąpię do partii. Tak też zrobiłem.

- Czy tą dziewczyną jest Ruth?

- Tak.

- A gdyby ona należała do innej partii politycznej?

- To nie miałyby znaczenia, i tak bym się zapisał. Ale nie zostałbym w niej długo - dodał szybko. - Oczywiście to był dla mnie początek długiego procesu politycznego rozbudzenia. Uświadamiałem sobie, jakie wartości uznaję i jakie mam przekonania, ale one już we mnie tkwiły, niejako w uspieniu. Nie, nie mógłbym pozostać w zupełnie dowolnej partii, ale wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby tego dnia Ruth nie zapukała do moich drzwi i nie była uparta.

- No i gdyby nie padało.

- Gdyby nie padało, wymyśliłbym inny pretekst, żeby

zaprosić ją na herbatę - odpowiedział Lang z uśmiechem. - Człowieku, nie myśl, że byłem zupełnie beznadziejny.

Też się uśmiechnąłem, pokręciłem głową i zapisałem w notesie: „początek??”.

* * *

Pracowaliśmy przez całe przedpołudnie, robiąc przerwy tylko na zmianę minidysku. Wtedy szybko schodziłem na dół, do pokoju, który Amelia i dwie sekretarki zmieniły w tymczasowe biuro. Jedna z nich spisywała nagranie z minidysku. To powtórzyło się kilkakrotnie, i za każdym razem, gdy wracałem, Lang siedział dokładnie tam, gdzie go zostawiłem. Początkowo uznałem to za świadectwo jego umiejętności koncentracji, ale stopniowo zrozumiałem, że po prostu nie miał niczego innego do zrobienia.

Poprowadziłem go przez lata dzieciństwa i młodości, skupiając się nie na faktach i datach (McAra sumiennie je zgromadził), lecz raczej na wrażeniach i fizycznych aspektach życia. Mówiliśmy o bliźniaku na osiedlu w Leicester, charakterach ojca (budowniczego) i matki (nauczycielki), apolityczności mieszkańców angielskiej prowincji z lat sześćdziesiątych, gdzie w niedziele słyhać było tylko kościelne dzwony i furgonetki rozwożące lody, grze w piłkę na błotnistym boisku w lokalnym parku, długich letnich popołudniach spędzanych na grze w krykieta nad rzeką, o austynie atlanticu ojca i pierwszym rowerze Raleigh Adama, komiksach - *Orzeł* i *Zwycięzca*, komediowych słuchowiskach

radiowych - *Przepraszam, przeczytam to jeszcze raz* i *Cyrk we flocie*, finale piłkarskich mistrzostw świata w 1966, *Z Cars, Ready, Steady, Go!*, *Działach Navarony* i *Proszę kontynuować, doktorze*, Millie śpiewającej *My Boy Lollipop* i singlach Beatlesów na płytach odgrywanych z prędkością czterdziestu pięciu obrotów na minutę na Dansette Capri, adapterze matki. Gdy tak siedzieliśmy w gabinecie Rhineharta, opis życia w Anglii przed półwieczem wydawał nam się równie odległy, jak detale z wiktoriańskiego *trompe l'oeil* - oraz, można by pomyśleć, równie istotny. W tym szaleństwie była jednak metoda i Lang, geniusz empatii, od razu zrozumiał, o co mi chodzi. Opisywaliśmy nie tylko jego dzieciństwo, ale również moje i wszystkich, którzy urodzili się w Anglii w latach pięćdziesiątych i dojrzewali w siedemdziesiątych.

- Musimy się postarać - tłumaczyłem mu - żeby czytelnik utożsamiał się emocjonalnie z Adamem Langiem. Nie może cię uważać wyłącznie za odległą postać w kuloodpornym samochodzie. Musi dostrzegać w tobie swoje własne cechy, swoje życie. Może nie znam się na tym rzemiośle, ale jedno wiem na pewno: gdy już zdobędziesz sympatię czytelników, pójdą za tobą wszędzie.

- Rozumiem - odpowiedział Lang, empatycznie kiwając głową. - To znakomity pomysł.

Przez kilka godzin wymienialiśmy się wspomnieniami. Nie posunąlbym się do stwierdzenia, że wymyśliliśmy jego dzieciństwo - zawsze staram się nie oddalać od historycznej prawdy - ale z pewnością połączyliśmy nasze doświadczenia do tego stopnia, że niektóre moje wspomnienia zmieszały się z jego. Ktoś mógłby uznać to za szokujące. Sam byłem

zaszokowany, gdy po raz pierwszy słyszałem, jak mój klient ze łzami opowiada w telewizji wstrząsające zdarzenie z dzieciństwa, które w rzeczywistości pochodziło z mojej przeszłości. Tak już jest. Ludzie sukcesu rzadko mają refleksyjną naturę. Stałe patrzą w przyszłość - dzięki temu odnoszą sukcesy. Nie leży w ich naturze pamiętanie, co przeżywali, jak byli ubrani, kto im towarzyszył, jak pachniała świeżo skoszona trawa na dziedzińcu kościoła w dniu ich ślubu lub jak mocno ich pierwsze dziecko trzymało ich za palec. Dlatego potrzebują murzyna, który żmudnie wyciągnie z nich te wspomnienia. Już po krótkiej chwili mogłem szczerze stwierdzić, że nigdy jeszcze nie miałem klienta bardziej skłonnego do współpracy niż Lang. Postanowiliśmy, że jego najwcześniejszym wspomnieniem będzie historia ucieczki z domu w wieku trzech lat. Lang pamiętał, jak słyszał ciężkie kroki goniącego go ojca, i czuł twarde mięśnie jego ramion, gdy ojciec niósł go do domu. Wspominaliśmy, jak jego mama prasowała, w domu czuć było zapach mokrych ubrań suszących się przy piecu węglowym, a Adam robił sobie szalę pod koziółkiem do rozwieszania prania. Jego ojciec siadał do stołu w podkoszulku, jadał wieprzowe skwarki i wędzonego śledzia, matka lubiła słodkie sherry i miała książkę *Piękność* z czerwonozłotą okładką. Mały Adam godzinami oglądał ilustracje i to skłoniło go do zainteresowania się teatrem. Opowiadał o pantomimach z okazji święta Bożego Narodzenia (zanotowałem, że mam sprawdzić, jakie sztuki wystawiano w Leicester w tamtych latach) i o swoim aktorskim debiucie w szkolnej szopce.

- Czy byłem mędrcem ze Wschodu?
- To brzmi trochę zbyt pysznie.
- Barankiem?
- To zaś zbyt skromnie.
- Gwiazdą przewodnią?
- Doskonała rola!

Do lunchu udało się nam dojść do jego siedemnastego roku życia, gdy występ w tytułowej roli w *Doktorze Faustusie* Christophera Marlowe'a utwierdził go w przekonaniu, że chce zostać aktorem. McAra, z typową dla niego pedanterią, wyszukał recenzję opublikowaną w „Leicester Mercury” w grudniu 1971. Jej autor napisał, że Lang „oczarował widownię” końcowym monologiem, gdy Faust już zobaczył perspektywę wiecznego potępienia.

Zrobiliśmy przerwę. Lang poszedł pograć w tenisa z jednym z ochroniarzy, ja zaś zszedłem na dół sprawdzić, jak idzie transkrypcja. Godzinny wywiad powinien dać od siedmiu do ośmiu tysięcy słów, a ja rozmawiałem z Langiem od dziewiątej do prawie trzynastej. Amelia posadziła do tej pracy obie sekretarki. Siedziały ze słuchawkami na uszach, a ich palce wprawnie biegały po klawiaturze. W pokoju słyhać było stukot plastikowych klawiszy. Jeśli wszystko pójdzie gładko, to przedpołudnie powinno przynieść około stu stron materiału (z interlinią). Po raz pierwszy od przyjazdu na wyspę poczułem przypływ optymizmu.

- To wszystko jest dla mnie nowością - wyznała Amelia. Stała pochylona nad Lucy, wpatrując się w ekran, na którym pojawiały się słowa Langa. - Nigdy wcześniej o tym nie wspominał.

- Ludzka pamięć to prawdziwy skarbiec, Amelio - odrzekłem ze śmiertelną powagą. - Problemem jest tylko do-branie odpowiedniego klucza.

Zostawiłem ją przed monitorem i poszedłem do kuchni wielkości mojego całego londyńskiego mieszkania. Było w niej tyle polerowanego granitu, że starczyłoby go na rodzinne mauzoleum. Na stole stała taca z kanapkami. Położyłem sobie jedną na talerzu, po czym poszedłem na tyły domu, aż trafiłem do solarium - przypuszczam, że tak należało nazwać to pomieszczenie z wielkimi szklanymi drzwiami wychodzącymi na otwarty basen. Basen był zakryty szarym brezentem, uginającym się pod ciężarem deszczówki, po której pływały gnijące brązowe liście. Po drugiej stronie stały dwa sześciennie budynki z drewna utlenionego na srebrny kolor, a dalej już tylko zarośla, karłowate drzewa i białe niebo. Niski ciemnowłosy mężczyzna - tak skulony z powodu zimna, że wydawał się niemal sferyczny - grabił liście i ładował je na taczkę. Przyjąłem, że to na pewno ten wietnamski ogrodnik Due. Koniecznie muszę tu przyjechać latem, pomyślałem.

Usiadłem na leżaku pachnącym chlorem i olejkiem do opalania i zadzwoniłem do Ricka do Nowego Jorku. Jak zwykle, dokądś się śpieszył.

- Jak ci idzie? - spytał.

- Mieliśmy udane przedpołudnie. Lang to profesjonalista.

- Doskonale. Zadzwonię do Maddoksa. Na pewno się ucieszy. Nawiasem mówiąc, przyszedł przelew na pierwsze

pięćdziesiąt tysięcy. Prześlę ci pieniądze. Muszę kończyć, zadzwonię później.

Rick się rozłączył.

Skończyłem kanapkę i wróciłem na górę, wciąż ściskając w rękę milczący telefon. Wpadłem na pewien pomysł, a dzięki udanemu przedpołudniu nabrałem dość pewności siebie, żeby go zrealizować. Zamknąłem za sobą drzwi gabinetu. Włożyłem kartę pamięci Amelii do gniazda w moim laptopie, a następnie połączyłem komputer z telefonem komórkowym i uruchomiłem połączenie z Internetem. O ile łatwiejsze będzie moje życie, rozumowałem, o ile szybciej skończę książkę, jeśli będę mógł pracować w nocy w moim pokoju. Przekonywałem siebie, że nie robię niczego złego. Ryzyko było minimalne. Rzadko rozstawałem się z laptopem. Był tak niewielki, że w nocy mogłem go trzymać pod poduszką. Gdy tylko uzyskałem połączenie, napisałem list do siebie, załączyłem plik z tekstem wspomnień Langa i nacisnąłem WYŚLIJ.

Miałem wrażenie, że przysłanie pliku trwa wieki. Słyszałem, jak na dole Amelia mnie woła. Zerknąłem na drzwi. Czuję, jak ze zdenerwowania pocą mi się dłonie. „Wiadomość została wysłana” - usłyszałem wreszcie komunikat. Z jakiegoś powodu mój dostawca Internetu preferował kobiecy głos. „Masz nową wiadomość” - oznajmiła ułamek sekundy później.

Natychmiast wyrwałem kabel z komputera i odłączyłem kartę pamięci. W tym momencie gdzieś w domu zawyła syrena. Równocześnie nad oknem za moimi plecami rozległ się głośny metaliczny grzechot. Natychmiast się odwróciłem.

Zdażyłem jeszcze zobaczyć, jak opada solidna, metalowa żaluzja. Spadała bardzo szybko, zasłaniając najpierw niebo, potem morze i wydmy oraz zmieniając wczesne popołudnie w wieczór. W ułamku sekundy przecięła ostatnie promienie światła i w gabinecie zapadły ciemności. Rzuciłem się do drzwi. Gdy je otworzyłem, dźwięk syreny stał się tak głośny, że poczułem wibracje w brzuchu.

Dokładnie to samo stało się w salonie: trzy żaluzje opały jednocześnie, tworząc stalową kurtynę. Potknąłem się w ciemnościach, uderzając kolanem o jakiś ostry kant. Upuściłem telefon. Pochyliłem się, żeby go podnieść, a w tym momencie syrena zająknęła się na wysokiej nucie i ucichła. Słyszałem ciężkie kroki na schodach, a potem ciemności przecięł snop światła i padł na mnie: kucąłem na podłodze, zasłaniając rękami twarz, tak jakbym parodiował przestępcę przyłapanego na gorącym uczynku.

- Przepraszamy, proszę pana - usłyszałem głos agenta. Był wyraźnie zaskoczony. - Nie wiedzieliśmy, że ktoś tutaj jest.

* * *

To były ćwiczenia. Urządzali je raz na tydzień. Zdaje się, że nazywali je „blokada”. Ochrona Rhineharta zainstalowała ten system, żeby zabezpieczyć go przed atakiem terrorystów, porwaniem, huraganami, związkami zawodowymi, Komisją Papierów Wartościowych i Giełdy i innymi widmami zaburzającymi spokojny sen osób z listy pięciuset

najbogatszych ludzi na świecie magazynu „Fortune”. Gdy podniesiono żaluzje i blade atlantyckie światło znowu wypełniło pokoje, Amelia weszła do salonu i przeprosiła, że zapomniała mnie ostrzec.

- Na pewno się przestraszyłeś.

- Można to tak określić.

- Straciłam cię z oczu. - W jej manikiurowanym głosie zabrzmiała nutka podejrzenia.

- To duży dom, a ja jestem dużym chłopcem. Nie możesz cały czas mieć mnie na oku - odpowiedziałem możliwie swobodnie, ale wiedziałem, że nie potrafię ukryć zakłopotania.

- Dam ci radę. - Amelia rozchyliła w uśmiechu lśniące różowe wargi, ale jej duże niebieskie oczy były zimne jak kryształ. - Nie włócz się za wiele po domu w pojedynkę. Chłopcy z ochrony niezbyt to lubią.

- Zrozumiałem - odrzekłem, także z uśmiechem.

Rozmowę przerwał pisk gumowych podeszew na gładkim drewnie. Lang wbiegł po schodach, przeskakując po dwa lub trzy stopnie. Na szyi miał ręcznik, był zarumieniony, a jego gęste falujące włosy były mokre od potu. Wydawał się rozgniewany.

- Wygrałeś? - spytała Amelia.

- Pod koniec już nie graliśmy - wyrzucił z siebie i opadł na sofę. Pochylił się do przodu i energicznie wytarł głowę ręcznikiem. - Ćwiczyliśmy w siłowni.

Siłownia? Spojrzałem na niego zdziwiony. Przecież rano już biegał. Po co on tak trenuje? Zamierza wystartować w olimpiadzie?

- Jesteś gotów wrócić do pracy? - spytałem jowialnym tonem, żeby zademonstrować Amelii, iż wcale się nie zdeenerwowałem.

- Twoim zdaniem to, co robimy, to praca? - prychnął Lang, mierząc mnie złym spojrzeniem.

Po raz pierwszy miałem okazję zobaczyć, jak demonstruje zły humor. To było jak objawienie: zrozumiałem, że te wszystkie ćwiczenia - bieganie, podnoszenie ciężarów i gra - nie miały nic wspólnego ze sportowym treningiem. Lang nawet nie robił tego dla przyjemności, po prostu tego wymagał jego metabolizm. Przypominał rzadką rybę głębino-wą wyłowioną z oceanu, która może żyć tylko pod wielkim ciśnieniem. Wyrzucony na brzeg, narażony na życie pod normalnym ciśnieniem atmosferycznym, Lang mógł w każdej chwili umrzeć z nudów.

- Owszem, to z pewnością jest praca – odrzekłem oficjalnym tonem. - I to dla nas obu. Jeśli jednak uważasz, że dla ciebie nie stanowi wystarczającego wyzwania intelektualnego, możemy zaraz przerwać.

Bąłem się, że posunąłem się za daleko, ale Lang z wielkim wysiłkiem - tak wielkim, że widać było, jak poruszają się mięśnie jego twarzy - zdołał się opanować. Uruchomił wszystkie wewnętrzne dźwignie i bloczki, żeby wyciągnąć z magazynu sfatygowany uśmiech.

- Dobra, człowieku - powiedział bezbarwnym głosem. Machnął ręcznikiem w moim kierunku. - Wygrałeś. Tylko żartowałem. Wracajmy do pracy.

Rozdział 7

*Często się zdarza, zwłaszcza gdy pomagasz
pisać wspomnienia lub autobiografię,
że opowiadając swoją historię, autor rozczula
się i płacze... W takiej sytuacji musisz podawać
mu chusteczki, zachowywać spokój i nadal
nagrywać.*

Andrew Crofts

- Czy twoi rodzice angażowali się politycznie?

Znowu siedzieliśmy w gabinecie Rhineharta, na naszych starych miejscach. On rozwałił się na sofie. Wciąż miał na sobie dres i ręcznik zarzucony na szyję. Pachniał potem. Ja siedziałem naprzeciwko niego z notesem i listą pytań. Magnetofon leżał na biurku za mną.

- Nie, ani trochę. Przypuszczam, że ojciec nawet nie głosował. Mówił, że wszyscy politycy to łajdacy.

- Opowiedz mi o nim.

- Był budowląncem. Prowadził własną firmę. Poznał moją matkę, gdy przekroczył pięćdziesiątkę. Miał już dwóch

nastoletnich synów z pierwszego małżeństwa. Jego żona uciekła od niego jakiś czas temu. Mama była nauczycielką, dwadzieścia lat od niego młodszą. Była bardzo ładna i bardzo nieśmiała. Podobno ojciec dostał zlecenie na naprawę dachu szkoły, spotkał ją tam, zaczęli rozmawiać i ostatecznie skończyło się to małżeństwem. Ojciec zbudował dom i cała czwórka zamieszkała razem. Ja pojawiłem się rok później, co bardzo chyba ojca zaskoczyło.

- Dlaczego?
- Sądził, że już skończył z dziećmi.
- Czytając książki o tobie, odniosłem wrażenie, że nie byliście sobie szczególnie bliscy.

Lang przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Ojciec zmarł, gdy miałem szesnaście lat. Nieco wcześniej przeszedł na emeryturę z powodu złego stanu zdrowia. Moi bracia przyrodni pożenili się i wyprowadzili. Tylko w tym okresie siedział przez większą część czasu w domu. Zacząłem go poznawać, ale zaraz zmarł na serce. Nasze stosunki były zupełnie dobre, ale jeśli chcesz powiedzieć, że mama była mi bliższa, to niewątpliwie masz rację.

- A twoi przyrodni bracia? Przyjaźniłeś się z nimi?
- Boże, skąd! - Po raz pierwszy po lunchu Lang głośno się zaśmiał. - Hm, lepiej to wykreśl. Możemy ich pominąć, prawda?

- To twoja książka.
- Pomińmy ich zatem. Obaj zajęli się budownictwem i żaden nigdy nie przegapił okazji, żeby powiedzieć dziennikarzom,

iż nie zamierza na mnie głosować. Nie widziałem ich od lat. Obu już chyba stuknęła siedemdziesiątka.

- Jak on umarł?

- Słucham?

- Przepraszam, mówię o ojcu. Jak on zmarł? Gdzie to się stało?

- Och, w ogrodzie. Próbował przenieść płytę chodnikową, która była dla niego za ciężka. Nie umiał zmienić zwyczajów... - Lang spojrzął na zegarek.

- Kto go znalazł?

- Ja.

- Możesz to opisać? - Ciężko nam szło, znacznie ciężiej niż podczas porannej sesji.

- Właśnie wróciłem ze szkoły. To był naprawdę piękny wiosenny dzień. Mama wyszła w sprawach jednej ze swych instytucji charytatywnych. Napilem się czegoś w kuchni i poszedłem do ogrodu za domem, nawet nie zdejmując mundurka. Zamierzałem pokopać piłkę albo się pobawić: Ojciec leżał na środku trawnika. Miał tylko lekko zadrapaną twarz, uderzył o coś, gdy się przewrócił. Lekarze powiedzieli nam, że zapewne zmarł, nim jeszcze upadł na ziemię. Podejrzewam, że zawsze to mówią, żeby ulżyć rodzinie. Kto to może wiedzieć? Umieranie nie może być takie łatwe i szybkie, prawda?

- A twoja matka?

- Chyba wszyscy synowie sądzą, że ich matki są święte, prawda? - Spojrzął na mnie, oczekując potwierdzenia. - Moja taka była. Gdy przyszedłem na świat, zrezygnowała z

pracy zawodowej. Niczego nikomu nie odmawiała. Pochodziła z bardzo pobożnej rodziny kwakrów. Całkowicie wolna od egoizmu. Gdy dostałem się do Cambridge, była ze mnie bardzo dumna, choć to oznaczało, że zostanie sama w domu. Nigdy nie zdradziła, jak poważnie chorowała - nie chciała przysparzać mi kłopotów, gdy byłem na studiach, zwłaszcza gdy już zacząłem występować i byłem bardzo zajęty. To dla niej typowe. Dopiero pod koniec drugiego roku dowiedziałem się, że jest ciężko chora.

- Opowiedz mi o tym.

- Dobrze. - Lang odkaslnął. - Boże, wiedziałem, że mama nie czuje się najlepiej, ale... no, wiesz, w wieku dziewiętnastu lat człowiek na ogół widzi tylko siebie. Występowałem w Footlights, miałem dziewczyny. Cambridge było dla mnie rajem. Dzwoniłem do niej w każdą niedzielę wieczorem. Zawsze zapewniała, że wszystko jest w porządku, choć mieszkała sama. Gdy w końcu przyjechałem do domu, przeżyłem szok. Ona... wyglądała jak chodzący szkielet. Miała nowotwór wątroby. Może obecnie lekarze potrafią coś na to poradzić, ale wtedy... - Lang wzruszył bezradnie ramionami. - Zmarła miesiąc później.

- Co wtedy zrobiłeś?

- Wróciłem do Cambridge na ostatni rok studiów i pograżyłem się w wirze życia, tak chyba można to określić.

Lang zamilkł.

- Przeżyłem coś podobnego - wyznałem.

- Naprawdę? - spytał obojętnym tonem. Patrzył na ocean, na atlantyckie fale wtaczające się na plażę, a jego myśli krążyły gdzieś za horyzontem.

- Tak. - Zwykle w profesjonalnych kontaktach nie mówię o sobie, zresztą w innych również. Czasami jednak krótkie wyznanie skłania klienta do szczerości. - Straciłem rodziców mniej więcej w tym samym wieku co ty. Czy nie przekonałeś się, choć to paradoksalne, że to smutne doświadczenie jednak cię wzmocniło?

- Wzmocniło? - Lang odwrócił wzrok od okna i spojrzał na mnie, ściągając brwi.

- Uczyniło cię człowiekiem bardziej samodzielnym i odpornym na przeciwności. Wiedziałeś, że najgorsze już się zdarzyło i jakoś to przetrwałeś. Że możesz sam sobie radzić w życiu.

- Może masz rację. Nigdy o tym nie myślałem. Może dopiero ostatnio. To dziwne. Powiedzieć ci coś? - Lang pochylił się do przodu. - Gdy byłem nastolatkiem, zobaczyłem dwoje martwych ludzi, a potem, choć byłem premierem, musiałem wysłać ludzi na wojnę, przyjeżdżać na miejsca zamachów bombowych i tak dalej, przez trzydzieści pięć lat nie widziałem żadnych zwłok.

- A kim był następny zmarły? - zadałem głupie pytanie.

- Mike McAra.

- Czy nie mogłeś wysłać jednego z agentów, żeby zidentyfikował ciało?

- Nie - odpowiedział, kręcąc głową. - Nie mogłem. Byłem mu to winny. - Zamilkł, gwałtownym ruchem zerwał

ręcznik z szyi i wytarł twarz. - To koszmarna rozmowa. Zmieńmy temat.

Spojrzałem na listę pytań. Miałem na niej sporo pytań dotyczących Mike'a Mc Ary. Nie oznacza to, że chciałem wykorzystać ten materiał w książce. Nawet ja zdawałem sobie sprawę, że relacja z wizyty w kostnicy w celu zidentyfikowania zwłok asystenta nie najlepiej pasuje do rozdziału „Nadzieja w przyszłości”. Chciałem raczej zaspokoić własną ciekawość. Wiedziałem jednak, że nie mam czasu na folgowanie takim zachciankom, musiałem kontynuować, dlatego spełniłem jego życzenie.

- Cambridge - podsunąłem. - Porozmawiajmy o twoich studiach.

Spodziewałem się, że lata w Cambridge będą najłatwiejszą częścią książki. Sam tam studiowałem, niedługo po Langu, a przez te lata Cambridge niewiele się zmieniło: na tym polegał urok miasta i uniwersytetu. Mogłem wykorzystać wszystkie banalne tematy - rowery, szaliki, togi, regaty, ciastka, piecyki gazowe, chórzyści, łodzie, puby nad rzeką, tragarze w melonikach, wiatry z Fenlands, wąskie uliczki, podniecenie na myśl, że kiedyś chodzili po nich Newton i Darwin, i tak dalej, i tak dalej. I bardzo dobrze, pomyślałem, przeglądając maszynopis, bo znowu będę mógł porównać wspomnienia Langa ze swoimi. Lang studiował ekonomię, przez pewien czas grał w drugiej jedenastce swojego college'u, zdobył uznanie jako aktor. Choć McAra sumiennie skompletował listę wszystkich przedstawień, w których występował były premier, a nawet odgrzebał cytaty z kilku

skeczy, które Lang odegrał w Footlights, ta relacja wydawała się powierzchowna i nieprzekonująca. Brakowało w niej pasji. Naturalnie uznałem, że to wina McAry. Łatwo mi było wyobrazić sobie, że ten surowy aparatczyk okazywał niewiele sympatii i zrozumienia dla tych dyletantów i ich młodzieńczych popisów w sztukach Brechta i Ionesco. Jednak to Lang unikał pytań na ten temat, co wydawało mi się dziwne.

- To było tak dawno - powiedział. - Prawie wszystko zapomniałem. Szczerze mówiąc, nie byłem dobrym aktorem. Aktorstwo stanowiło dla mnie przede wszystkim okazję do poznawania dziewczyn. Tylko nie napisz czegoś takiego.

- Przecież byłeś dobry - zaprotestowałem. -

W Londynie przeczytałem wywiady z ludźmi, którzy twierdzili, że spokojnie mogłeś zostać zawodowym aktorem.

- Pewnie nie miałbym nic przeciwko - przyznał Lang. - Przynajmniej wtedy. Jednak aktor nie może niczego zmienić. Jeśli chcesz coś zmienić, musisz zostać politykiem. - Znowu spojrział na zegarek.

- No, ale przecież Cambridge z pewnością było czymś bardzo ważnym w twoim życiu - nalegałem. - Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę twoje pochodzenie społeczne.

- To prawda. Świetnie się tam bawiłem. Poznałem wielu wspaniałych ludzi. To jednak nie był prawdziwy świat, tylko jakaś kraina fantazji.

- Wiem. Dlatego tak mi się tam podobało.

- Mnie też. Między nami mówiąc: kochałem aktorstwo.
- Oczy Langa zalśniły. - Wychodziłem na scenę, udawałem kogoś innego, a potem wszyscy bili brawo! Cóż może być lepszego?!

- Świetnie - stwierdziłem, zdziwiony zmianą jego nastroju. - To dobrze brzmi. Tak to opiszemy.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Dlaczego nie? - Lang westchnął ciężko. - Bo to mają być wspomnienia premiera. - Nagle mocno uderzył pięścią w oparcie fotela. - W ciągu całej mojej politycznej kariery, gdy moi przeciwnicy nie wiedzieli, jak mnie zaatakować, zawsze mówili, że jestem tylko pierdolonym aktorem. - Lang wstał z fotela i zaczął krążyć po gabinecie. - „Och, Adam Lang - mówił, parodiując wymowę Anglików z wyższych sfer. - Czy zauważyłeś, jak zmienia głos, żeby dostosować się do towarzysztwa?”. „O, tak - teraz zmienił się w szorstkiego Szkota - temu zasranemu sukinsynowi nie można ufać. To tylko aktorzyna, wypchany garnitur”. - Lang zaczął mówić pompacyjnym tonem, zacierając ręce i udając wielki namysł. - „Tragedia pana Langa polega na tym, że aktor może być tylko tak dobry, jak jego rola, a temu premierowi już skończyły się kwestie ze scenariusza”. Z pewnością znasz tę ostatnią opinię ze swoich rozległych badań.

Pokręciłem głową. Byłem zbyt zaskoczony tą tyradą, żeby coś odpowiedzieć.

- To z artykułu redakcyjnego opublikowanego w „Time-sie” w dniu, w którym poinformowałem o swojej rezygnacji.

Zatytułowali go: *Łaskawie zejdz ze sceny*. - Lang usiadł na fotelu i starannie przyglądał włosy. - Jeśli pozwolisz, nie będziemy pisali o mojej karierze w studenckim teatrze. Zostawmy to dokładnie tak, jak to opisał Mike.

Przez chwilę milczeliśmy. Udawałem, że porządkuję notatki. Przez okno widać było agenta ochrony, który, ciężko walcząc z przeciwnym wiatrem, wspinał się na wydmgę, ale dzięki dźwiękochłonnym szybom sprawiał wrażenie mima. Przypomniałem sobie, co powiedziała Ruth o mężu: „Z nim jest coś nie w porządku i trochę się boję zostawić go samego”. Teraz lepiej rozumiałem, co miała na myśli. Ciszę przerwał trzask magnetofonu.

- Muszę zmienić dysk - powiedziałem. Ucieszyłem się z okazji, żeby na chwilę wyjść z gabinetu. - Zaniosę nagranie Amelii. To zajmie niecałą minutę.

Lang znowu ponuro wpatrywał się w okno i rozmyślał. Machnął niedbale ręką na znak, że mogę wyjść. Zszedłem na dół do pokoju, gdzie pracowały sekretarki. Amelia stała obok stalowej szafy na dokumenty. Gdy wszedłem, spojrzała na mnie. Przypuszczam, że zdradził mnie wyraz twarzy.

- Co się stało? - spytała.

- Nic - odpowiedziałem, ale poczułem potrzebę podzielenia się swoim niepokojem. - No, on wydaje się trochę wytrącony z równowagi.

- Naprawdę? To do niego niepodobne. Jak się to przejawia?

- Właśnie naskoczył na mnie bez żadnego powodu. Po-
dejrzewam, że przesadził z ćwiczeniami - powiedziałem,
próbując zamienić to w żart. - Sport może zaszkodzić każ-
demu.

Podąłem dysk jednej z sekretarek - chyba Lucy - i ode-
brałem od niej ostatnią porcję spisanego tekstu. Amelia
nadal patrzyła na mnie, lekko pochylając głowę na bok.

- O co chodzi?

- Masz rację. Coś go niepokoi, to widać. Zaraz po waszej
porannej sesji ktoś do niego zadzwonił.

- Kto?

- Nie wiem. Zadzwonił na komórkę. Adam mi nie po-
wiedział. Zastanawiam się... Alice, kochanie, pozwolisz?

Alice wstała, a Amelia zajęła jej miejsce przed kom-
puterem. Chyba nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak szybko
stuknął w klawiaturę. Kolejne trzaski klawiszy łączyły się w
jednostajny szum, jakby przewracał się długi szereg kostek
domina. Obrazy na ekranie zmieniały się niemal tak samo
szybko. Nagle szum zmienił się w wolniejsze staccato. Ame-
lia znalazła to, czego szukała.

- Cholera!

Obróciła ekran w moją stronę, po czym odchyliła się do
tyłu na fotelu. Na jej twarzy malował się wyraz niedowie-
rzania. Pochyliłem się, żeby przeczytać tekst na ekranie
monitora.

To była strona internetowa z bieżącymi wiadomościami.

27 STYCZNIA, 14.57 (ET)

NOWY JORK (AP). BYŁY BRYTYJSKI MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH RICHARD RYCART ZWRÓCIŁ SIĘ DO MIĘDZYNARODOWEGO TRYBUNAŁU KARNEGO W HADZE (MTK) Z PROŚBĄ O ZBADANIE ZARZUTÓW, JAKOBY BYŁY BRYTYJSKI PREMIER ADAM LANG WBRĘW PRAWU POLECIEĆ PRZEKAZAĆ CIA OSOBY PODEJRZEWANE O DZIAŁALNOŚĆ TERRORYSTYCZNĄ W CELU PRZESŁUCHANIA ICH Z UŻYCIEM TORTUR.

PAN RYCART, KTÓREGO PAN LANG ZDYMISJONOWAŁ ZE STANOWISKA MINISTRA CZTERY LATA TEMU, OBECNIE JEST SPECJALNYM WYŚLANNIKIEM ORGANIZACJI NARODÓW ZJEDNOCZONYCH DO SPRAW HUMANITARNYCH I GŁOŚNYM KRYTYKIEM POLITYKI ZAGRANICZNEJ STANÓW ZJEDNOCZONYCH. PO ODEJŚCIU Z GABINETU LANGA PAN RYCART TWIERDZIŁ, ŻE ZOSTAŁ ZWOLNIONY, PONIEWAŻ NIE PROWADZIŁ DOSTATECZNIE PROAMERYKAŃSKIEJ POLITYKI.

W KOMUNIKACIE WYDANYM PRZEZ JEGO BIURO W NOWYM JORKU PAN RYCART ZAWIADAMIA, ŻE JUŻ KILKA TYGODNI TEMU PRZESŁAŁ DO MTK WIELE DOKUMENTÓW. DOKUMENTY TE - KTÓRYCH SZCZEGÓŁY UJAWNIŁA BRYTYJSKA PRASA W NIEDZIEŁĘ - MAJĄ POTWIERDZIĆ, IŻ PAN LANG, JAKO PREMIER, OSOBIŚCIE POLECIEĆ SIŁOM SPECJALNYM PORWAĆ CZTERECH OBYWATELI BRYTYJSKICH W PAKISTANIE PIĘĆ LAT TEMU.

PAN RYCART OŚWIADCZYŁ: „WIELOKROTNIE ZWRAÇAŁEM SIĘ PRYWATNIE DO RZĄDU BRYTYJSKIEGO O ZBADANIE TEGO NIELEGALNEGO POSTĘPOWANIA. ZGODZIŁEM SIĘ ZEZNAWAĆ W ŚLEDZTWIE. JEDNAK RZĄD SYSTEMATYCZNIE ODMAWIA NAWET PRZYZNANIA, ŻE OPERACJA „BURZA” W OGÓLE MIAŁA MIEJSCE.

W TEJ SYTUACJI NIE MAM INNEGO WYJŚCIA, JAK TYLKO PRZEDSTAWIĆ POSIADANE DOWODY MIĘDZYNARODOWEMU TRYBUNAŁOWI KARNEMU”.

- Mały gówniarz - syknęła Amelia.

W tym momencie zadzwonił telefon stojący na biurku. Po chwili dołączył się drugi, na niewielkim stoliku przy drzwiach. Nikt się nie poruszył. Lucy i Alice patrzyły na Amelię, czekając na polecenie. Nim się odezwała, włączył się elektroniczny werbel jej komórki, którą nosiła w skórzanym futerale przy pasku. Przez krótką chwilę widziałem na jej twarzy panikę - to musiała być jedna z bardzo nielicznych sytuacji w jej życiu, gdy nie wiedziała, co zrobić. Lucy sięgnęła po słuchawkę, nie czekając dłużej na instrukcje.

- Zostaw! - krzyknęła Amelia. - Nie odbieraj - dodała spokojniej. - Musimy najpierw ustalić linię postępowania. - W różnych zakątkach domu dzwoniły telefony. Miałem wrażenie, że to południe u zegarmistrza. Amelia wyjęła komórkę i spojrzała na numer na wyświetlaczu. - Sfora rzuciła się w pościg - stwierdziła i wyłączyła telefon. Przez chwilę bębniła palcami o blat. - Dobra. Wyłącz wszystkie telefony - poleciła Alice. Odzyskała już niemal swoją zwykłą pewność siebie. - Potem poszperaj w Internecie, sprawdź, czy uda ci się ustalić, co Rycart może jeszcze powiedzieć. Lucy, znajdź telewizor i monitoruj wiadomości na wszystkich kanałach. - Spojrzała na zegarek. - Czy Ruth jeszcze spaceruje? Cholera! Jeszcze nie wróciła?

Amelia wzięła swój czarno-czerwony notes i szybko wyszła na korytarz, głośno stukając obcasami. Nie wiedziałem, co powinienem zrobić i co właściwie się stało, ale uznałem, że lepiej będzie, jeśli pójdę za nią.

- Barry! Barry! - zawołała agenta z Wydziału Specjalnego. Wystawił głowę z kuchni. - Barry, proszę, znajdź jak najszybciej panią Lang i przyprowadź ją do domu.

Amelia ruszyła na górę, do salonu.

Lang siedział nieruchomo na fotelu dokładnie tam, gdzie go zostawiłem. Zmieniło się tylko jedno: teraz trzymał w ręku komórkę. Na nasz widok zatrzasnął klapkę.

- Wnioskując z tych wszystkich telefonów, on opublikował swoje oświadczenie - powiedział.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłeś? - spytała Amelia, szeroko rozkładając ręce w geście wyrażającym irytację i zniecierpliwienie.

- Miałem ci powiedzieć, zanim powiedziałem o tym Ruth? Nie sądzisz chyba, że to byłoby rozsądne posunięcie, nieprawdaż? Poza tym, miałem ochotę zachować to przez chwilę w tajemnicy. - Lang spojrział na mnie. - Przepraszam, że straciłem panowanie nad sobą.

Wzruszyły mnie te przeprosiny. Umie się zachować w trudnej sytuacji, pomyślałem.

- Nie przejmuj się tym - powiedziałem.

- No i co? - spytała Amelia. - Powiedziałeś jej?

- Chciałem to zrobić osobiście. Najwyraźniej to już niemożliwe, dlatego właśnie do niej zadzwoniłem.

- Jak to przyjęła?

- A jak myślisz?
- „Mały gówniarz” - powtórzyła Amelia słowa Ruth.
- Ruth powinna lada chwila wrócić.

Lang wstał z fotela. Wyrzwał przez okno, opierając ręce na biodrach. Znowu poczułem ostry zapach jego potu. Przypominał zwierzę w klatce.

- Chciał mnie przekonać, że to nie jest osobista sprawa - powiedział, stojąc plecami do nas. - Zapewniał, że czyni to wyłącznie dlatego, iż jego powszechnie znane stanowisko w sprawie praw człowieka zmusza go do przerywania milczenia. - Lang prychnął ironicznie do swojego odbicia w szybie. - Jego powszechnie znane stanowisko w sprawie praw człowieka... Boże!

- Czy sądzisz, że nagrywał rozmowę? - spytała Amelia.

- Kto to wie? Pewnie tak. Chyba zamierza ujawnić nagranie. Z nim wszystko jest możliwe. Powiedziałem tylko: „Bardzo dziękuję za wiadomość, Richardzie” i przerwałem rozmowę. - Lang odwrócił się do nas. - Jest tu denerwująco cicho.

- Kazałam wyłączyć telefony. Musimy ustalić linię postępowania.

- Jak odpowiedzieliśmy w niedzielę?

- Oświadczyliśmy, że nie czytaliśmy artykułu w „Sunday Timesie” i nie zamierzamy niczego komentować.

- Teraz przynajmniej wiemy, skąd wzięli dokumenty. - Lang pokręcił głową. Jego mina wyrażała coś na kształt podziwu. - On naprawdę chce mnie wykończyć. Przeciek do prasy w niedzielę, żeby przygotować grunt pod oświadczenie

we wtorek. Trzy dni medialnej wrzawy, zamiast tylko jednego, rosnące napięcie i sensacyjna wiadomość. Jak z podręcznika.

- Twojego podręcznika.

Lang lekkim skinieniem głowy podziękował za komplement i znowu wyjrzał przez okno.

- No, nadciąga burza.

Ścieżką prowadzącą z wydmy schodziła niewielka postać w niebieskim skafandrze. Szła tak szybko, że idący za nią agent musiał co chwilę podbiegać, żeby za nią nadążyć. Ruth naciągnęła na głowę szpiczasty kaptur i przyciskała brodę do piersi, żeby ochronić twarz przed wiatrem. Wyglądała jak średniowieczny rycerz w plastikowym hełmie śpieszący do walki.

- Adamie, naprawdę musimy przygotować jakieś oświadczenie - powiedziała Amelia. - Jeśli zachowasz milczenie lub będziesz zwlekał, sprawisz wrażenie... - Zawahała się. - No, w każdym razie oni sami wyciągną wnioski.

- Zgoda - odrzekł Lang. - Może coś takiego. - Amelia wyciągnęła niewielkie srebrne pióro i otworzyła notatnik. - W odpowiedzi na oświadczenie Richarda Rycarta Adam Lang stwierdził, co następuje: „Gdy polityka stuprocentowego poparcia Stanów Zjednoczonych w globalnej wojnie z terroryzmem była popularna w Wielkiej Brytanii, pan Rycart całkowicie ją aprobował. Gdy straciła popularność, zaczął ją potępiać. Gdy został poproszony o odejście z Ministerstwa Spraw Zagranicznych z powodu własnej niekompetencji, nagle stał się zagorzałym obrońcą tak zwanych praw

człowieka osób podejrzanych o terroryzm. Nawet trzyletnie dziecko jest w stanie przejrzeć jego dziecinną taktykę, której celem jest postawienie w kłopotliwej sytuacji jego dawnych kolegów”. Kropka. Amelia przestała notować mniej więcej w połowie tego dyktanda. Patrzyła na byłego premiera i gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, gotów byłbym przysiąc, że ta Królowa Lodu jest bliska płaczu. Lang wytrzymał jej spojrzenie. Ciszę przerwało delikatne pukanie do drzwi. Do gabinetu weszła Alice z kartką w dłoni.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała. - To nowa depeza AP.

Miałem wrażenie, że Lang nie chce zerwać kontaktu wzrokowego z Amelią. Nie miałem już najmniejszych wątpliwości, że łączy ich coś więcej niż tylko profesjonalna zależność. Niezręczne milczenie się przedłużało. W końcu Lang wziął kartkę, którą przyniosła Alice, i zaczął czytać. W tym momencie do gabinetu weszła Ruth. Zacząłem się czuć jak ktoś, kto opuścił widownię w teatrze, żeby w środku przedstawienia pójść do toalety, a potem zabłądził i trafił na scenę: główni aktorzy nie zwracali na mnie uwagi. Wiedziałem, że powinienem wyjść, ale nie przychodziło mi do głowy żadne usprawiedliwienie.

Lang skończył czytać i podał kartkę żonie.

- Według Associated Press ich ludzie w Hadze, kimkolwiek są, twierdzą, iż jutro rano biuro prokuratora Międzynarodowego Trybunału Karnego wyda oświadczenie - obwieścił.

- Och - jęknęła Amelia i przyłożyła dłoń do ust.

- Dlaczego nie otrzymaliśmy żadnego ostrzeżenia? - spytała Ruth. - Co robi Downing Street? Dlaczego nie dostaliśmy żadnej wiadomości z ambasady?

- Telefony są wyłączone - powiedział Lang. - Pewnie właśnie teraz próbują się do nas dodzwonić.

- Co mnie obchodzi teraz! - krzyknęła Ruth. - Pierdołę! Co nam po tym, że teraz dzwonią? Powinniśmy o tym wiedzieć tydzień temu! Co ci ludzie robią? - Zmierzyła Amelię wściekłym spojrzeniem. - Wydawało mi się, że siedzisz tutaj głównie po to, żeby utrzymywać kontakt z Biurem Gabinetu. Chyba nie powiesz mi, że Biuro nic o tym nie wiedziało?

- Prokurator Międzynarodowego Trybunału Karnego zawsze bardzo usilnie stara się, żeby podejrzany nic nie wiedział o dochodzeniu - wyjaśniła Amelia. - Dotyczy to również państwa, którego jest obywatelem. Chodzi o to, żeby nikt nie zniszczył dowodów.

Jej słowa wstrząsnęły Ruth. Na chwilę zamilkła.

- Kim więc jest teraz Adam? Podejrzany? - spytała, gdy odzyskała głos. Spojrzała na męża. - Musisz skontaktować się z Sidem Krollem.

- Nie wiemy jeszcze, co zamierza zrobić Międzynarodowy Trybunał Karny - przypomniał jej Lang. - Najpierw muszę skontaktować się z Londynem.

- Adamie - powiedziała bardzo wolno Ruth, jakby miał wypadek i doznał wstrząsu mózgu - jeśli to będzie im pasowało, rzucać cię na pożarcie. Potrzebujesz adwokata. Zadzwoń do Sida.

Lang wahał się przez chwilę.

- Połącz mnie z Sidem - polecił w końcu Amelii.
- Co z mediami?
- Przekaż im krótkie oświadczenie - odpowiedziała jej Ruth. - Wystarczy jedno, góra dwa zdania.

Amelia wyciągnęła komórkę i zaczęła przeszukiwać listę telefonów.

- Czy mam przygotować brudnopis komunikatu prasowego? - spytała.

- A może on to zrobi? - powiedziała Ruth, wskazując mnie palcem. - Podobno jest pisarzem.

- Doskonale - wyjaśniła Amelia, nie kryjąc irytacji. - Ale musimy zaraz wydać jakiś komunikat.

- Chwileczkę... - odezwałem się.

- Muszę sprawiać wrażenie, że jestem pewny siebie - powiedział do mnie Lang. - Z pewnością nie mogę się bronić, to miałyby katastrofalne skutki. Z drugiej strony, nie powinienem zachowywać się jak chojrak. Żadnej goryczy, żadnego gniewu. Tylko nie pisz, że cieszę się z okazji do oczyszczenia mojego nazwiska ani żadnych pierdoł w tym stylu.

- Zatem, ani się nie bronisz, ani nie jesteś chojrakiem. Nie jesteś ani rozgniewany, ani zadowolony, tak?

- Zgadza się.

- To jaki właściwie jesteś?

Zaskakujące, że w tych okolicznościach wszyscy się zaśmiali.

- Mówiłam ci, że on jest zabawny - powiedziała Ruth.

Amelia nagle podniosła rękę i pomachała, nakazując nam, żebyśmy się uciszeli.

- Dzwoni Adam Lang do Sidneya Krolla - powiedziała. - Nie, nie będzie czekał. Proszę połączyć.

* * *

Alice i ja zeszliśmy na dół. Stałem obok Alice, która usiadła przy komputerze i cierpliwie czekała, aż z moich ust spłyną słowa byłego premiera. Dopiero gdy zacząłem się zastanawiać, co Lang powinien powiedzieć, uświadomiłem sobie, że nie zadałem mu kluczowego pytania: Czy on rzeczywiście polecił porwać tych czterech ludzi? W tym momencie uświadomiłem sobie również, że z pewnością to zrobił. Gdyby było inaczej, po prostu już w niedzielę, gdy opublikowano pierwsze doniesienia, zaprzeczyłby wszystkim oskarżeniom. Nie po raz pierwszy poczułem, że sytuacja mnie przerasta.

- Zawsze z zapalem popierałem... - zacząłem. - Nie, skreśl to. Zawsze zdecydowanie, nie, z głębokim przekonaniem wspierałem działania Międzynarodowego Trybunału Karnego. - Czy rzeczywiście? Nie miałem pojęcia. Założyłem, że tak. Ścisłej mówiąc, założyłem, że zawsze udawał, iż wspiera Trybunał. - Nie mam wątpliwości, że Międzynarodowy Trybunał Karny szybko zorientuje się, iż ma do czynienia z politycznie umotywowaną intrygą. - Przerwałem. Konieczne było jeszcze jedno zdanie, coś ogólnego i godnego męża stanu. Co powiedziałbym na jego miejscu? - Międzynarodowa walka z terroryzmem - powiedziałem pod wpływem nagłego przypływu natchnienia - jest zbyt ważna, żeby wykorzystywać ją dla osobistej zemsty.

Alice wydrukowała oświadczenie. Zaniósłem je na górę, do gabinetu. Czuję nieśmiałą dumę, jak uczeń, który wręcza nauczycielowi pracę domową. Udałem, że nie zauważyłem wyciągniętej ręki Amelii i wręczyłem kartkę Ruth. (Stopniowo uczyłem się etykiety na tym dworze na wygnaniu). Ruth pokiwała głową z aprobatą i podsunęła oświadczenie mężowi, który siedział z telefonem przy uchu. Spojrzał na nie w milczeniu, gestem poprosił mnie o długopis, naniósł jedną poprawkę i oddał mi kartkę, po czym pokazał kciuk uniesiony do góry.

- Doskonale, Sid - powiedział do telefonu. - Co wiemy o tych trzech sędziach?

- Czy wolno mi zobaczyć ten komunikat? - spytała Amelia, gdy razem schodziliśmy po schodach.

Podając jej kartkę, zauważyłem, że Lang zmienił ostatnie zdanie: „Międzynarodowa walka z terroryzmem jest zbyt ważna, żeby wykorzystywać ją dla osobistej zemsty w krajowych rozgrywkach politycznych”. Brutalne przeciwstawienie „międzynarodowej walki” z „krajowymi rozgrywkami” sprawiło, że Rycart wydawał się jeszcze bardziej małoduszny.

- Bardzo dobrze - pochwaliła Amelia. - Możesz z powodzeniem zastąpić Mike'a McArę.

Spojrzałem na nią. Myślę, że to miał być komplement, ale z nią nigdy nie było wiadomo. Niewiele mnie to obchodziło. Po raz pierwszy w życiu doświadczyłem przyływu adrenaliny wywołanego przez politykę. Teraz zrozumiałem, dlaczego Lang nie może spokojnie znieść emerytury. Przypuszczam, że podobne wrażenia daje sport, gdy jest uprawiany na

odpowiednio wysokim poziomie. To przypominało mecz na centralnym korcie Wimbledonu. Rycart zaserwował tuż nad siatką, my dobiegliśmy do piłki i zagraliśmy return, prosto w niego, nadając piłce rotację.

Po kolei włączyliśmy wszystkie telefony. Natychmiast zaczęły dzwonić, domagając się naszej uwagi. Słyszałem, jak sekretarki karmiły moimi słowami głodnych dziennikarzy - „Zawsze z głębokim przekonaniem wspierałem działania Międzynarodowego Trybunału Karnego”. Widziałem, jak przesyłają moje zdania do agencji prasowych. Po kilku minutach zobaczyłem je znowu na ekranie komputera i usłyszałem w telewizji. („W oświadczeniu wydanym kilka minut temu były premier Wielkiej Brytanii stwierdza...”). Echo naszych słów odbijało się od całego świata.

Gdy to oglądałem, zadzwonił mój telefon. Przycisnąłem komórkę do ucha, a drugie zatkałem palcem, żeby usłyszeć, kto dzwoni.

- Słyszysz mnie? - usłyszałem cichy głos.
- Kto mówi?
- John Maddox z wydawnictwa Rhinehart w Nowym Jorku. Do diabła, gdzie ty jesteś? Mam wrażenie, że w domu wariatów.
- Nie jesteś pierwszym człowiekiem, który tak nazwał ten dom. Poczekaj chwilę, John. Spróbuję znaleźć nieco spokojniejsze miejsce. - Wyszedłem na korytarz i skierowałem się w głąb domu. - Teraz lepiej?
- Właśnie służyłem wiadomości - powiedział Maddox.
- To może nam tylko pomóc. Musimy od tego zacząć.
- Od czego? - Wciąż szedłem przez korytarz.

- Od zbrodni wojennych. Pytałeś go o to?
- Szczerze mówiąc, nie miałem okazji. - Staralem się, żeby to nie zabrzmiało zbyt sarkastycznie. - Jest teraz dość zajęty.

- Dobra, to co dotychczas załatwiliście?
- Wczesne lata - dzieciństwo, studia...
- Nie, nie - niecierpliwie przerwał mi Maddox. - Daj spokój z tymi bzdurami. To nie jest interesujące. Zmusz go, żeby skupił się na zbrodniach wojennych. I jeszcze jedno: Lang nie może z nikim o tym rozmawiać. Musimy dopilnować, żebyśmy mieli wyłączność.

Trafiłem do solarium, skąd w czasie przerwy na lunch dzwoniłem do Ricka. Zamknąłem za sobą drzwi, ale i tak słyszałem dzwonki telefonów w drugim końcu domu. Pomyślałem, że Lang mógłby nie wypowiadać się publicznie na temat nielegalnego porwania i tortur aż do ukazania się jego wspomnień, był chyba żartem. Oczywiście nie powiedziałem tego wprost dyrektorowi trzeciego pod względem wielkości wydawnictwa na świecie.

- Powiem mu o tym - zapewniłem. - Myślę, że powinien zadzwonić do Sida Krolla. Może Adam mógłby oświadczyć, że prawnicy zakazali mu wypowiadać się publicznie.

- Dobry pomysł. Zaraz zadzwonię do Sida. Aha, chciałbym, żebyś skrócił harmonogram pracy. Musisz przyspieszyć.

- Przyspieszyć? - W pustym pokoju mój głos zabrzmiał bardzo słabo.

- Tak, oczywiście. Przyspieszyć. To znaczy zwiększyć szybkość. W tym momencie Lang to wielka sensacja. Ludzie znowu się nim zainteresowali. Nie możemy przegapić takiej okazji.

- Czy mam rozumieć, że chcesz dostać książkę w czasie krótszym niż miesiąc?

- Wiem, że to trudne zadanie. To prawdopodobnie oznacza, że musisz ograniczyć się do wygładzenia maszynopisu, nie możesz napisać wszystkiego od nowa. Co z tego? I tak nikt tego nie przeczyta. Im szybciej książka trafi na rynek, tym lepsze będą wyniki sprzedaży. Jak sądzisz, dasz radę?

„Nie”, tak powinna brzmieć odpowiedź. Nie, ty łysy sukinsynie, ty psychopatyczny kutasie - czy ty naprawdę przeczytałeś te śmieci? Masz nasrane w głowie.

- Cóż, John - powiedziałem spokojnie - mogę spróbować.

- To lubię. I nie obawiaj się o swój kontrakt. Zapłacimy ci tyle samo za dwa tygodnie pracy, ile dostałbyś za cztery. Mówię ci, jeśli uda się z tymi zbrodniami wojennymi, to będzie odpowiedź na nasze modlitwy.

Nim skończyliśmy rozmowę, jakimś sposobem dwa tygodnie zmieniły się z daty wziętej z nieba w twardo ustalony termin. Miałem zrezygnować z czterdziestu godzin wywiadu z Langiem na temat całego jego życia, skłonić go do skoncentrowania się na wojnie z terroryzmem i od tego zacząć jego wspomnienia. Jeśli wystarczy czasu, miałem w miarę możliwości przeredagować resztę, ewentualnie pisząc na nowo niektóre fragmenty.

- A jeśli Adamowi nie spodoba się ta zmiana planów? - spytałem. Jak się okazało, to była końcowa część naszej rozmowy.

- Spodoba mu się - zapewnił mnie Maddox. - A jeśli nie, możesz po prostu przypomnieć Adamowi - jego ton sugerował, że on i ja jesteśmy parą angielskich pedałów, którzy chcą okraść uczciwego Amerykanina - o jego zobowiązaniach wynikających z umowy. Ma napisać książkę zawierającą wyczerpujący i szczery opis wojny z terroryzmem. Polegam na tobie. Dobrze?

Gdy nie ma słońca, solarium skłania do melancholii. Wietnamski ogrodnik pracował dokładnie w tym samym miejscu co poprzedniego dnia. W ciepłym ubraniu poruszał się sztywno i nieporadnie, ale nadal łądował liście na taczkę. To była syzyfowa praca: Due wywoził liście, a wiatr stale przywiewał nowe. Pozwoliłem sobie na krótką chwilę przygnębienia: oparłem się o ścianę, wbiłem wzrok w sufit i pomyślałem o przelotnej naturze letnich dni i ludzkiego szczęścia. Zadzwoiłem do Ricka, ale sekretarka powiedziała mi, że wyszedł na całe popołudnie. Obiecała, że przekaże mu moją prośbę o telefon. W końcu poszedłem poszukać Amelii.

Nie było jej ani w biurze, gdzie sekretarki nadal odbierały telefony, ani na korytarzu, ani w kuchni. Zdziwiłem się, gdy jeden z ochroniarzy powiedział mi, że wyszła na dwór. Było już po czwartej i temperatura na dworze szybko spadała. Amelia stała na podjeździe przed domem. W styczniowej szarówce dostrzegłem żarzący się koniec papierosa. Gdy przestała się zaciągać, czerwony punkcik znikł.

- Nigdy bym nie zgadł, że palisz - powiedziałem.
- Od czasu do czasu pozwalam sobie na jednego papierosa. Tylko w chwilach wielkiego stresu lub radości.
- A jaka jest teraz przyczyna?
- Bardzo zabawne.

Amelia zapięła żakiet, starając się jakoś ochronić przed zimnym zmrokiem. Paliła w osobliwy sposób, jakby mówiła *noli me tangere*, co czasem zdarza się kobietom. Jedną ręką objęła się w pasie, a drugą - tę z papierosem - trzymała na skos przez pierś. Pod wpływem zapachu palącego się tytoniu też zachciało mi się papierosa. To byłby mój pierwszy od dziesięciu lat i z pewnością stanowiłby początek drogi powrotnej do dwóch paczek dziennie, ale mimo to, gdyby mnie poczęstowała, zapaliłbym.

Nie zaproponowała mi papierosa.

- Właśnie zadzwonił John Maddox - powiedziałem. - Teraz chce dostać książkę za dwa tygodnie, nie za cztery.
- Jezu. Powodzenia.
- Przypuszczam, że nie ma najmniejszej szansy, żebym dzisiaj kontynuował wywiad z Adamem, prawda?
- A jak sądzisz?
- W takim razie, czy ktoś mógłby mnie odwieźć do hotelu? Tam będę mógł trochę popracować.

Amelia wypuściła dym przez nos i uważnie mi się przyjrzała.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz zabrać ze sobą maszynopisu?

- Oczywiście, że nie! - Gdy kłamię, mój głos zawsze wznosi się o oktawę. Nigdy nie mógłbym zostać politykiem: mówiłbym jak Kaczor Donald. - Po prostu chcę spisać to, o czym dzisiaj rozmawialiśmy, to wszystko.

- Chyba zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji?

- Oczywiście. Jeśli chcesz, możesz sprawdzić mój laptop.

Amelia milczała dostatecznie długo, żeby dać mi do zrozumienia, że mnie podejrzewa.

- W porządku - powiedziała wreszcie, dopalając papierosa. - Ufam ci. - Rzuciła niedopałek na jezdnię i zgasiła go delikatnie ostrym czubkiem pantofla, a potem pochyliła się i go podniosła. Wyobraziłem sobie, jak w szkole podobnie likwidowała dowody: wzorowa uczennica, której nigdy nie złapano na paleniu. - Zbierz swoje rzeczy. Poproszę jednego z agentów, żeby zawiózł cię do Edgartown.

Wróciliśmy do domu. Rozstaliśmy się w korytarzu: Amelia poszła do biura, gdzie wciąż dzwoniły telefony, ja udałem się na górę, do gabinetu. Idąc po schodach, słyszałem krzyki Adama i Ruth, ale nie mogłem odróżnić poszczególnych słów. Zrozumiałem tylko ostatnie zdanie jej tyrady: „Mam tu spędzić resztę mojego pieprzonego życia?”. Drzwi były uchylone. Zawahałem się. Nie chciałem im przeszkadzać, ale z drugiej strony nie chciałem też, żeby ktoś mnie tu zobaczył i pomyślał, że podsłuchuję. W końcu lekko zapukałem.

- Proszę - usłyszałem po chwili znużony głos Langa.

Siedział za biurkiem, jego żona stała w drugim końcu pokoju. Oboje ciężko dyszeli. Wyczułem, że przed chwilą

stało się coś ważnego - nastąpiła od dawna oczekiwana eksplozja. Zrozumiałem teraz, dlaczego Amelia uciekła na dwór na papierosa.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziałem, wskazując swoje rzeczy. - Chciałem tylko...

- Proszę bardzo - powiedział Lang.

- Zadzwoń do dzieci - powiedziała Ruth z goryczą. - Chyba że ty już to zrobiłeś.

Lang nie patrzył na nią, tylko na mnie. Och, ileż uczuć kryło się w tych zielononiebieskich oczach! W tym przeciągającym się momencie Lang zachęcał mnie, żebym przyjrzał się, co się z nim stało: pozbawiony władzy, prześladowany przez wrogów, tropiony, stęskniony za domem, w pułapce między żoną a kochanką. Mógłbym napisać sto stron o tym jednym spojrzeniu i nie wyczerpać tematu.

- Przepraszam - warknęła Ruth i dość gwałtownie odepchnęła mnie na bok, zmierzając do wyjścia. W tym samym momencie w drzwiach pojawiła się Amelia z telefonem w ręku.

- Adamie, to Biały Dom - powiedziała. - Prezydent chce z tobą rozmawiać. - Uśmiechnęła się do mnie i wskazała drzwi. - Czy mógłbyś wyjść? Potrzebujemy tego pokoju.

* * *

Gdy dotarłem do hotelu, było już ciemno. Zostało jednak jeszcze dość światła, żeby zobaczyć wielkie, czarne chmury burzowe, nadciągające znad Atlantyku i gromadzące się nad Chappaquiddick. Recepcjonistka, jak zwykle w koronkowym

czepku na głowie, powiedziała mi, że zapowiadają kiepską pogodę.

Poszedłem do swojego pokoju. Przez chwilę stałem w ciemnościach, wsłuchując się w trzaski starego neonu hotelowego i szum przyboju, nieubłagane atakującego brzeg. Latarnia morska zapaliła się dokładnie w chwili, gdy snop światła był skierowany na hotel. Pokój nagle wypełniło czerwone światło, wrywając mnie z zadumy. Włączyłem lampę na biurku i wyjąłem z torby laptop. Długo mi służył, wiele razem przeżyliśmy. Znosiliśmy gwiazdorów rocka przekonanych, że są mesjaszami i mają zbawić planetę, piłkarzy zdolnych wyłącznie do wydawania monosylabicznych pomruków - w porównaniu z nimi dominujący gorył brzmiał tak, jakby wygłaszał monologi Szekspira. Jakoś znieśliśmy aktorów, którzy wprowadzie już wkrótce mieli odejść w zapomnienie, ale mimo to cechowała ich pycha rzymskich imperatorów i otaczał ich równie liczny dwór. Poklepałem maszynę. Metalowa obudowa, kiedyś gładka i lśniąca, była teraz podrapana i pogięta: to były zaszczytne rany po wielu trudnych kampaniach. Przeżyliśmy je, więc jakoś przeżyjemy i tę.

Podłączyłem komputer do gniazdka telefonicznego, wykręciłem numer mojego dostawcy Internetu, a czekając na połączenie, poszedłem do łazienki napić się wody. Twarz, którą zobaczyłem w lustrze, wyglądała jeszcze gorzej niż poprzedniego dnia. Ściągnąłem w dół dolne powieki i obejrzałem poźółkłe białka oczu. Potem przyjrzałem się poszarzałym zębom, brudnym włosom, czerwonym żyłkom na policzkach i nosie. Martha's Vineyard w środku zimy

widocznie przyspiesza proces starzenia się. To Shangri-La na odwrót.

- Masz nową wiadomość. - Dobrze znany głos z komputera przerwał te ponure rozmyślenia.

Od razu zorientowałem się, że coś jest nie w porządku. Na liście nowych wiadomości było kilkanaście śmieci, z różnymi ofertami, od protez penisa do prenumeraty „Wall Street Journal”, list z biura Ricka z potwierdzeniem przelewu pierwszej raty honorarium, brakowało tylko wiadomości, którą wysłałem do siebie po południu.

Przez kilka sekund wpatrywałem się w ekran zupełnie ogłupiały, a potem otworzyłem oddzielny folder na dysku laptopa, gdzie komputer automatycznie zapisywał wszystkie wiadomości odbierane i wysyłane. Ku mojej ogromnej uldze, na samej górze listy „Wiadomości wysłane” zobaczyłem wiadomość „bez tematu” z dołączonym plikiem maszynopisu wspomnień Langa. Gdy jednak otworzyłem wiadomość i chciałem przeczytać załącznik, na ekranie pojawił się napis „plik niedostępny”. Spróbowałem jeszcze raz, z takim samym skutkiem.

Wyciągnąłem komórkę i zadzwoniłem do dostawcy Internetu.

Pozwolę sobie pominąć dokładną relację z dalszych trzydziestu minut - niekończącego się procesu wybierania opcji, czekania w kolejce, słuchania muzyki, nerwowej rozmowy z pracownikiem biura obsługi klientów firmy w Uttar Pradesh czy gdzie indziej. Pociłem się coraz bardziej.

Ostateczny wynik tych poszukiwań był całkowicie jednoznaczny: plik z maszynopisem zaginął, a na serwerach nie pozostał żaden ślad, który świadczyłby, że kiedykolwiek istniał.

Położyłem się na łóżku.

Nie jestem zbyt dobrze obeznany z techniką, ale nawet ja zrozumiałem, co się stało. Z jakiegoś powodu maszynopis Langa znikł z dysków i pamięci komputerów dostawcy Internetu. Nasuwały się dwa możliwe wyjaśnienia. Po pierwsze, może nie został poprawnie wysłany - to jednak było wykluczone, ponieważ jeszcze w gabinecie Rhineharta otrzymałem dwie wiadomości: „Wiadomość została wysłana” i „Masz nową wiadomość”. Po drugie, plik mógł zostać później usunięty. Jak jednak to się stało? Mógł to zrobić tylko ktoś, kto miał dostęp do komputerów jednej z największych firm internetowych świata i następnie dokładnie zatarł wszystkie ślady. To również oznaczałoby - musiało oznaczać - że ktoś monitoruje moją pocztę elektroniczną.

Przypomniałem sobie słowa Ricka: „To dopiero operacja. Za duża, jak na gazetę. To musiał być rząd...”, a później ostrzeżenie Amelii: „Chyba zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji?”

„Ale przecież książka Langa to pieprzone gówno!”, wykrzyknąłem z rozpaczą do wiktoriańskiego portretu wielorybnika wiszącego na ścianie naprzeciwko łóżka. - Nie ma w niej nic, co uzasadniałoby taki wysiłek!

Stary wilk morski mierzył mnie surowym spojrzeniem, bynajmniej nieporuszony moimi słowami. Złamałeś słowo - mówił mi wyraźnie. Ktoś - jakaś bezimienna siła - o tym wie.

Rozdział 8

Autorzy to często bardzo zajęci ludzie, których trudno złapać, niekiedy mają wybuchowy temperament. Z tego powodu wydawcy polegają na murzynach, którzy mają w miarę możliwości zapewnić gładki przebieg pracy nad wydaniem książki.

Andrew Crofts

Jakakolwiek praca tego wieczoru była wykluczona. Nawet nie włączyłem telewizora. Chciałem tylko zapomnienia. Wyłączyłem komórkę, zszedłem do baru, a gdy zamknęli, siedziałem w pokoju nad butelką whisky jeszcze długo po północy. To pewnie wyjaśnia, dlaczego do rana spałem jak zabity.

Obudził mnie dzwonek telefonu stojącego na nocnym stoliku. Świdrujący metaliczny ton rozdzierał mi uszy, w oczach miałem piasek, a gdy przekręciłem się na bok, żeby sięgnąć po słuchawkę, poczułem, jak mój żołądek buja się w brzuchu niczym balon wypełniony lepką cieczą. W wirującym

pokoju było bardzo gorąco, bo ogrzewanie było włączone na maksimum. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że leżę w ubraniu i nie zgasilem światła.

- Musisz natychmiast wyprowadzić się z hotelu - usłyszałem głos Amelii. - Sytuacja się zmieniała. - Jej głos przeszył moją czaszkę jak szydło. - Samochód już po ciebie jedzie.

To wszystko, co powiedziała. Nie dyskutowałem, nie mogłem. Amelia przerwała połączenie.

Czytałem kiedyś, że starożytni Egipcjanie przed mumifikacją zwłok faraona usuwali z czaszki mózg, wyciągając go haczykiem przez nos. Najwyraźniej w nocy ktoś poddał mnie takiej operacji. Począpiałem przez pokój do okna, żeby rozsunać zasłony. Niebo i morze były szare jak śmierć. Całe otoczenie trwało w bezruchu. Nawet krzyki mew nie przeływały absolutnej ciszy. Niewątpliwie nadciągał sztorm, nawet ja mogłem to przewidzieć.

Już miałem się odwrócić, gdy usłyszałem odległy warkot silnika. Przed hotel zajęchało kilka samochodów. Z pierwszego wysiedli dwaj mężczyźni - młodzi, wysportowani, w narciarskich kurtkach, dżinsach i zimowych butach. Kierowca spojrział w kierunku mojego okna. Instynktownie cofnąłem się o krok. Gdy zaryzykowałem jeszcze jedno spojrzenie, stał z tyłu samochodu, z głową w bagażniku. Po chwili się wyprostował; trzymał coś, co w pierwszej chwili, w moim paranoicznym stanie uznałem za karabin maszynowy. W rzeczywistości była to kamera telewizyjna.

Zacząłem się krzątać tak szybko, jak pozwalał na to mój

stan fizyczny. Otworzyłem okno, żeby wpuścić do pokoju podmuch zimnego powietrza, rozebrałem się, wziąłem letni prysznic i się ogoliłem. Włożyłem czyste ubranie i spakowałem swoje rzeczy. Gdy zszedłem do recepcji, była już ósma czterdzieści pięć. Godzinę wcześniej do Vineyard Haven zainwiał pierwszy prom ze stałego lądu. Hotel sprawiał wrażenie, jakby odbywała się tu międzynarodowa konferencja mediów. Czego by nie mówić o Adamie Langu, z pewnością wywierał on błogosławiony wpływ na lokalną gospodarkę: w Edgartown nie było takiego ruchu od wypadku Teda Kennedy'ego. Na parterze kręciło się ze trzydzieści osób - pili kawę, wymieniali plotki w kilkunastu językach, rozmawiali przez komórki, sprawdzali sprzęt. Znałem dostatecznie dobrze środowisko dziennikarzy, żeby ich rozróżnić. Korepondenci telewizyjni byli ubrani tak, jakby wybierali się na pogrzeb, pismacy z agencji prasowych przypominali natomiast grabarzy.

Kupiłem „New York Timesa” i poszedłem do restauracji. Wypiłem duszkiem trzy szklanki soku pomarańczowego i dopiero potem rozłożyłem gazetę. Doniesienia o Langu awansowały już ze środka działu międzynarodowego na pierwszą stronę dziennika. Zobaczyłem wielkie tytuły:

TRYBUNAŁ DS. ZBRODNI WOJENNYCH
OSĄDZI BYŁEGO PREMIERA
WIELKIEJ BRYTANII

TRYBUNAŁ WYDA DZIŚ OŚWIADCZENIE

BYŁY MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH
TWIERDZI, ŻE LANG ZAAPROBOWAŁ
UŻYCIE TORTUR PRZEZ CIA.

Lang wydał „twarde” oświadczenie (poczułem przyływ dumy). Był „znekany”, „radząc sobie z kolejnymi ciosami” - zaczynając od „przypadkowego utonięcia bliskiego współpracownika kilka tygodni temu”. Sprawa ta była „kłopotliwa” dla rządów Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. „Wysoki urzędnik administracji” twierdził jednak, że Biały Dom będzie lojalny wobec polityka, który był kiedyś najbliższym sojusznikiem prezydenta. *On pomógł nam, my pomożemy jemu*, stwierdził ów urzędnik, ale wypowiadał się anonimowo.

Jednak to ostatni akapit sprawił, że o mało nie zachłysnąłem się kawą.

WYDANIE WSPOMNIEŃ PANA LANGA, PLANOWANE PIERWOTNIE NA CZERWIEC, ZOSTAŁO PRZENIESIONE NA KONIEC KWIETNIA, POINFORMOWAŁ MEDIA JOHN MADDOX, DYREKTOR NACZELNY RHINEHART INC. WYDAWNICTWO TO PODOBNO ZAPŁACIŁO ZA KSIĄŻKĘ DZIESIĘĆ MILIONÓW DOLARÓW. MADDOX OŚWIADCZYŁ, ŻE PRACA NAD MASZYNOPISEM ZBLIŻA SIĘ JUŻ DO KOŃCA. „TO BĘDZIE WIELKIE WYDARZENIE NA ŚWIATOWYM RYNKU WYDAWNICZYM” - POWIEDZIAŁ W CZORAJ DZIENNIKOWI „NEW YORK TIMES” W TELEFONICZNYM WYWIADZIE.

„ADAM LANG, JAKO PIERWSZY PRZYWÓDCA ZACHODU, SZCZEGÓŁOWO OPOWIE O WOJNIE Z TERRORYZMEM”.

Złożyłem gazetę, wstałem i z godnością przeszedłem przez hol hotelu, uważnie omijając pudła z kamerami, metrowe teleskopy i mikrofony w szarych, kosmatych osłonach zabezpieczających przed wiatrem. Wśród przedstawicieli czwartej władzy panowała pogodna atmosfera, niemal jak na przyjęciu. W XVIII wieku tak zapewne zachowywali się dostojni obywatele w miły dzień publicznej egzekucji skazańca.

- Według redakcji, konferencja prasowa w Hadze jest wyznaczona na dziesiątą czasu wschodniego! - krzyknął ktoś.

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Wyszedłem na werandę, skąd zadzwoniłem do mojego agenta. Telefon odebrał jego sekretarz - Brad, Brett czy Brat, nie pamiętam imienia, bo Rick zmieniał pracowników niemal tak często, jak żony.

Poprosiłem pana Ricardellego.

- Nie ma go obecnie w biurze.
- A gdzie jest?
- Pojechał na ryby.
- Na ryby?!
- Dzwoni od czasu do czasu, żeby odebrać wiadomości.
- To bardzo uprzejmie z jego strony. Dokąd pojechał?
- Do Parku Narodowego Bouma.
- Chryste. Gdzie to jest?

- Zdecydował się jechać zupełnie niespodziewanie...
 - Gdzie to jest?
- Brad, Brett lub Brat chwilę się wahał.
- Na Fidzi - odpowiedział w końcu.

* * *

Kierowca mikrobusu minął księgarnię, kościół wielorybników i skierował się na wzgórze za Edgartown. Gdy wyjechaliśmy z miasta, skręcił w lewo w kierunku West Tisbury, nie zaś w prawo do Vineyard Haven, z czego wynikało, że zapewne nie zostałem deportowany za złamanie ustawy o tajemnicy państwowej. Siedziałem za agentem prowadzącym mikrobus, a moja walizka leżała obok mnie. To był jeden z młodszych członków ekipy Wydziału Specjalnego, ubrany w ich cywilny mundur - szarą kurtkę na suwak i czarny krawat. Spojrzał na moje odbicie w lusterku i powiedział, że to wszystko jego zdaniem bardzo kiepsko wygląda. Przyznałem, że rzeczywiście bardzo kiepsko, po czym demonstracyjnie odwróciłem wzrok, żeby uniknąć rozmowy.

Po chwili jechaliśmy już przez płaskie okolice. Równoległe do drogi ciągnęła się pusta ścieżka rowerowa, a za nią ponury las. Moja doczesna powłoka znajdowała się na wyspie Martha's Vineyard, ale duchem przebywałem na południowym Pacyfiku. Myślałem o Ricku na Fidzi i snułem różne skomplikowane i upokarzające plany zwolnienia go po powrocie. Racjonalna część mojego umysłu podpowiadała mi, że nigdy tego nie zrobię - dlaczego nie miałby pojechać na ryby? - ale tego ranka triumfował irracjonalizm.

Jak sędzę, bałem się, a strach zaburza zdolność osądu jeszcze bardziej niż alkohol i zmęczenie. Czułem się opuszczony i urażony.

- Po odwiezieniu pana do rezydencji - kontynuował policjant niezrażony moim milczeniem - mam pojechać na lotnisko po pana Krolla. Gdy zaczynają się pokazywać adwokaci, to zawsze oznacza, że sytuacja jest niedobra. - Urwał i przysunął twarz do przedniej szyby. - Cholera, znowu to samo.

Z daleka to wyglądało tak, jakby zdarzył się wypadek. Widziałem migające niebieskie światła wozu policyjnego oświetlające okoliczne drzewa jak w nowoczesnej inscenizacji opery Wagnera. Gdy podjechaliśmy bliżej, zauważyłem kilkanaście samochodów i furgonetek zaparkowanych po obu stronach drogi. Wokół stali beczynnierajacy ludzie. Mój mózg wciąż opornie rejestrował informacje, dlatego założyłem, że doszło do karambolu. Gdy jednak mikrobus zwolnił i kierowca włączył lewy kierunkowskaz, ci ludzie zaczęli podnosić z ziemi jakieś rzeczy i biec w naszą stronę. „Lang, Lang, Lang!” - krzyczała jakaś kobieta przez tubę. „Kłamca, kłamca, kłamca!”. Przez okno widziałem kiwające się wizerunki Langa, w pomarańczowym kombinezonie, rozpaczliwie trzymającego się kraty zakrwawionymi rękami. „Poszukiwany! Zbrodniarz wojenny! Adam Lang!”

Policja z Edgartown zablokowała drogę do posiadłości Rhineharta. Na nasz widok szybko podnieśli barierę, ale i tak musieliśmy się zatrzymać. Demonstranci walili pięściami i kopali boki mikrobusu. W świetle reflektora ekipy

telewizyjnej zauważyłem mężczyznę zakapturzonego jak mnich. Odwrócił się od dziennikarza prowadzącego wywiad i spojrzał na nas. Odniosłem wrażenie, że skądś go znam, ale po chwili zniknął wśród wykrzywionych twarzy i uniesionych ramion.

- Ci cholerni obrońcy pokoju zawsze są skłonni do przemocy - zauważył mój kierowca i wcisnął pedał gazu. Koła przez chwilę kręciły się w miejscu, po czym samochód gwałtownie wystrzelił w kierunku cichego lasu.

* * *

Spotkałem Amelię na korytarzu. Spojrzała na moją niewielką walizkę z pogardą, do jakiej zdolna jest tylko kobieta.

- To naprawdę wszystkie twoje rzeczy?
- Lubię podróżować z lekkim bagażem.
- Lekkim? To chyba waży mniej niż odrobina puchu. - Amelia westchnęła. - Chodź ze mną.

Miałem typową walizkę na kółkach, z wyciąganą rączką. Zaturkotała na kamiennej posadzce, gdy ciągnąłem ją przez korytarz w głąb domu.

- Dzwoniłam do ciebie kilka razy wczoraj wieczorem - powiedziała Amelia, nie oglądając się za siebie. - Nie odbierałeś.

Zbliża się chwila prawdy, pomyślałem.

- Zapomniałem naładować komórkę.
- Tak? A co z telefonem w pokoju? Też próbowałam.
- Wyszedłem.

- I wróciłeś po północy?

Skrzywiłem się za jej plecami.

- Co chciałaś mi powiedzieć?

- To.

Zatrzymała się przed jakimiś drzwiami, otworzyła je i puściła mnie pierwszego. Ciężkie zasłony były zaciągnięte, ale nie stykały się w środku, dlatego zdołałem dostrzec zarys podwójnego łóżka. W pokoju pachniało stęchłymi ubraniami i lawendowym mydłem. Amelia szybko podeszła do okna i rozsunęła zasłony.

- Od tej pory będziesz tu spał.

To był zwykły pokój, z rozsuwanymi drzwiami wychodzącymi prosto na trawnik. Poza łóżkiem, umeblowanie składało się z biurka z lampą kreślarską, fotela pokrytego jakąś beżową, grubo tkaną narzutą i wbudowanej szafy z lustrzanymi drzwiami. Pokój był połączony z łazienką. Przez uchylone drzwi dostrzegłem białą glazurę. To był porządny, funkcjonalny, okropny pokój.

- Więc to tutaj ulokowaliście babcię, tak? - spróbowałem zażartować.

- Nie, tutaj ulokowaliśmy Mike'a McArę.

Odsunęła drzwi szafy; w środku wisiały marynarki i koszule.

- Przepraszam, nie mieliśmy czasu tu posprzątać. Jego matka mieszka w domu starców, więc nie ma miejsca, żeby to gdzieś trzymać. Jak sam powiedziałeś, nie masz dużo rzeczy. Poza tym, skoro termin publikacji został przyśpieszony, będziesz tu mieszkał tylko kilka dni.

Nie jestem szczególnie przesądny, ale uważam, że pewne

miejsca mają swoją atmosferę, a gdy tylko wszedłem do tego pokoju, od razu mi się nie spodobał. Na myśl o kontakcie z ubraniami McAry poczułem coś zbliżonego do paniki.

- Zawsze przestrzegam zasady, żeby nie mieszkać w domu klienta - powiedziałem. Staralem się mówić swobodnym, niedbałym tonem. - Wielokrotnie się przekonałem, że po długim dniu pracy konieczne jest zachowanie dystansu.

- Ale za to będziesz miał stały dostęp do maszynopisu. Chyba ci na tym zależało? - Amelia uśmiechnęła się do mnie. Tym razem była naprawdę rozbawiona. Ustawiała mnie dokładnie tak, jak chciała, w przenośni i dosłownie. - Poza tym, nie możesz wciąż przedzierać się przez tłum dziennikarzy. Wcześniej czy później dowiedzą się, kim jesteś, a wtedy zaczną cię prześladować pytaniami. To byłoby dla ciebie okropne. Tutaj będziesz mógł spokojnie pracować.

- Czy nie ma innego pokoju, do którego mógłbym się wprowadzić?

- W rezydencji jest tylko sześć sypialni. Adam i Ruth śpią w oddzielnych pokojach, ja również. Dziewczyny mieszkają razem. Dyżurni policjanci używają jednej sypialni podczas nocnych zmian. Kompleks gościnny zajęli agenci Wydziału Specjalnego. Nie bądź taki wrażliwy, zmieniliśmy pościel. - Zerknęła na swój elegancki złoty zegarek. - Słuchaj, lada chwila przyjedzie tu Sidney Kroll. Za niecałe pół godziny mamy otrzymać oświadczenie Międzynarodowego Trybunału Karnego. Rozgość się tutaj, a potem przyłącz się

do nas, jesteśmy w gabinecie na górze. Cokolwiek postanowimy, będzie miało znaczenie również dla ciebie. Praktycznie jesteś jednym z nas.

- Tak?

- Oczywiście. Przecież to ty napisałeś wczorajsze oświadczenie. Jesteś już współnikiem.

Gdy wyszła, nie zabrałem się do rozpakowywania walizki. Nie mogłem się na to zdobyć. Usiadłem ostrożnie na łóżku i gapilem się przez okno na omiatany wiatrem trawnik, niskie krzaki i bezkresne niebo. Zauważyłem szybko zbliżające się, niewielkie, ale bardzo jasne białe światło. W miarę jak malała odległość, szybko rosło. Helikopter. Przeleciał na niewielkiej wysokości, wstrząsając ciężkimi szklanymi drzwiami. Minutę lub dwie później pojawił się ponownie - zawisł w odległości mniej więcej mili, tuż nad horyzontem, jak złowróżbna kometa. Jeśli jakiś oszczędny dyrektor wiadomości telewizyjnych, któremu zarząd niedawno obciął budżet - pomyślałem - zdecydował się na wynajęcie helikoptera, żeby zdobyć migawkowe zdjęcie byłego premiera, to sytuacja jest bardzo poważna. Wyobraziłem sobie, jak zadowolona Kate ogląda wiadomości na żywo w swoim londyńskim biurze. Nagle poczułem nieodparte pragnienie, żeby wybiec i zacząć wirować jak Julia Andrews na początku *Dźwięków muzyki*: tak, kochanie, to ja! Jestem tu ze zbrodniarzem wojennym! Jestem współnikiem!

Siedziałem tak przez chwilę, aż wreszcie moją zadumę przerwał warkot silnika mikrobusu. Kierowca zaparkował przed domem. Potem usłyszałem kilka głosów w korytarzu i

tupot nóg na drewnianych schodach. To z pewnością były odgłosy kopyt honorarium wysokości tysiąca dolarów za godzinę. Dałem Krollowi i jego klientowi kilka minut na wymianę uścisków dłoni, kondolencje i wyrazy generalnego optymizmu, po czym wyszedłem z pokoju zmarłego, żeby do nich dołączyć.

* * *

Kroll przyleciał z Waszyngtonu prywatnym odrzutowcem w towarzystwie dwojga młodych asystentów, przepięknej Meksykanki, którą przedstawił jako Encarnacion, oraz Joshua, czarnego nowojorczyka. Wszyscy troje usiedli na sofie, Kroll w środku, plecami do oceanu. Encarnacion i Josh otworzyli laptopy. Adam i Ruth usiedli na sofie naprzeciwko, Amelii i mnie przypadły fotele z boku. Na wiszącym na ścianie obok kominka płaskim telewizorze, wielkości kinowego ekranu, widać było rezydencję Rhineharta filmowaną z helikoptera, którego warkot docierał nawet tutaj. Od czasu do czasu wiadomości przekazywały obraz z wielkiej sali w Hadze, ozdobionej kryształowymi żyrandolami, gdzie dziennikarze czekali na zapowiedzianą konferencję prasową. Za każdym razem, gdy widziałem pustą mównicę ze znakiem Międzynarodowego Trybunału Karnego - wieniec z laurowych gałązek i waga Temidy na gustownym niebieskim tle ONZ - denerwowałem się coraz bardziej. Lang zachowywał spokój. Siedział bez marynarki, w białej koszuli i niebieskim krawacie. Jego metabolizm był dostosowany do życia pod wysokim ciśnieniem.

- Oto, jaki jest stan meczu - zaczął Kroll, gdy wszyscy usiedli. - Nie jesteś oskarżony, nie będziesz aresztowany. Zapewniam cię, że cała ta historia to zawracanie głowy. W tej chwili pani prokurator domaga się tylko pozwolenia na rozpoczęcie formalnego dochodzenia. Rozumiesz? Możesz zatem wyjść stąd dumnie wyprostowany, opanowany, ze spokojnym sercem, ponieważ wszystko będzie dobrze.

- Prezydent powiedział mi, że według niego ona nie dostanie zgody na otwarcie dochodzenia - powiedział Lang.

- Staram się nie podważać tego, co mówi przywódca wolnego świata - odrzekł Kroll - ale dziś rano w Waszyngtonie panowało dość powszechne przekonanie, że sędziowie będą musieli wyrazić zgodę. Wygląda na to, iż nasza pani prokurator jest kuta na cztery nogi. Brytyjski rząd zawsze odmawiał wszczęcia śledztwa w sprawie operacji „Burza”, co daje jej prawniczy pretekst, żeby się tym zająć. Decydując się na przeciek do mediów tuż przed posiedzeniem sądu, wywarła ogromną presję na sędziów, żeby przynajmniej zgodzili się na rozpoczęcie dochodzenia. Dobrze wiedzą, że jeśli oddalą jej wniosek, wszyscy uznają, że Trybunał boi się zdrzeć z ważnym państwem.

- To prymitywna taktyka oszczerstw - prychnęła Ruth. Miała na sobie czarne legginsy i jeden ze swych bezkształtnych swetrów. Siedziała bez butów, z podwiniętymi nogami, plecami do męża.

- Taka już jest polityka. - Lang wzruszył ramionami.

- Też tak sędzę - odrzekł Kroll. - Musisz to uważać za problem polityczny, nie zaś prawniczy.

- Musimy przedstawić naszą wersję zdarzeń - powiedziała Ruth. - Wstrzymywanie się od komentarzy już nie wystarczy.

Uznałem, że to dobra okazja.

- John Maddox... - zacząłem.

- Tak - przerwał mi Kroll - rozmawiałem z Johnem. On ma rację. Naprawdę musimy przedstawić całą tę historię w twoich wspomnieniach. To doskonała okazja, żeby odpowiedzieć na zarzuty. Wszyscy w wydawnictwie są tym bardzo podnieceni.

- Proszę bardzo - zgodził się Lang.

- Gdy tylko będzie to możliwe, musisz porozmawiać z naszym przyjacielem. - Zdałem sobie sprawę, że Kroll zapomniał mojego imienia i nazwiska. - I dokładnie opowiedzieć, jak było naprawdę. Potem dacie mi tekst do sprawdzenia. Oceniając waszą relację, musimy sobie wyobrazić, jak zabrzmiałoby każde słowo, gdyby ktoś przeczytał je głośno w sądzie podczas twojego procesu.

- Dlaczego? - wtrąciła się Ruth. - Przed chwilą powiedziałeś, że nic z tego nie wyjdzie.

- Tak rzeczywiście będzie - gładko zapewnił ją Kroll. - Szczególnie jeśli zadbamy, żeby nie dostarczyć im dodatkowej amunicji.

- W ten sposób przedstawimy sprawę tak, jak chcemy - dodał Lang. - Gdy ktoś mnie o to spyta, zawsze będę mógł odesłać go do wspomnień. Kto wie? Może to nawet pomoże nam sprzedać kilka książek. - Popatrzył na zebranych.

Wszyscy się uśmiechnęli. - Dobra, zajmiemy się tym jeszcze dziś. Właściwie, czego ma dotyczyć to dochodzenie? O co jestem podejrzany?

Kroll dał sygnał Encarnacion.

- Albo zbrodnie przeciw ludzkości, albo zbrodnie wojenne - powiedziała spokojnie.

W pokoju zapadła cisza. Dziwne, jakie wrażenie mogą wyrzucić takie słowa. Może to dlatego, że to właśnie ona je wypowiedziała - wydawała się taka niewinna. Z naszych twarzy znikły uśmiechy.

- To niewiarygodne - przerwała milczenie Ruth. - Oni chcą porównać to, co Adam zrobił lub czego nie zrobił, do zbrodni nazistów.

- Właśnie dlatego Stany Zjednoczone nie uznają Międzynarodowego Trybunału Karnego - przypomniał Kroll. Pokiwał palcem jak surowy nauczyciel. - Ostrzegaliśmy was, że tak się to skończy. Pomysł powołania międzynarodowego trybunału do osądzania przestępstw wojennych wydaje się bardzo szlachetny. Jeśli jednak zaczniemy oskarżać tych wszystkich oszalałych morderców z Trzeciego Świata, to wkrótce oni zaczną oskarżać nas, a Trybunał nie odrzuci tych oskarżeń, bo to wyglądałoby na dyskryminację. Oni zabijają trzy tysiące ludzi, my zabijamy jednego z nich, i nagle wszyscy jesteśmy zbrodniarzami wojennymi. To najgorszy możliwy przykład zrównywania ocen moralnych zupełnie nieporównywalnych zdarzeń. Nie udało im się zaciągnąć Stanów Zjednoczonych do tego lipnego Trybunału, to co im zostało? Oczywiście, mogą oskarżyć naszego najbliższego

sojusznika, czyli ciebie. Jak już powiedziałem, to nie jest problem prawniczy, lecz polityczny.

- Powinieneś wykorzystać ten argument, Adamie - odezwała się Amelia i zanotowała coś w swoim czarno-czerwonym notesie.

- Nie martw się - odpowiedział ponuro. - Na pewno to zrobię.

- Mów dalej, Connie - polecił Kroll. - Posłuchajmy, co jeszcze tam masz.

- W tym momencie nie mamy pewności, jaką drogę wybiorą, ponieważ tortury są zabronione zarówno na mocy artykułu siódmego Statutu Rzymskiego z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku, gdzie uznano je za zbrodnię przeciw ludzkości, jak i przez artykuł ósmy, dotyczący zbrodni wojennych. Artykuł ósmy uznaje za zbrodnię wojenną również - spojrzała na ekran laptopa - *celowe pozbawienie jeńców wojennych lub innych chronionych osób prawa do bezstronnego procesu oraz bezprawną deportację, bezprawne uwięzienie lub przekazanie jeńców trzeciej stronie. Prima facie*, panie premierze, może pan zostać oskarżony o przestępstwo określone przez oba te artykuły.

- Przecież nie kazałem nikogo torturować! - wykrztusił Lang, a jego głos zdradzał niedowierzanie i oburzenie. - Nikogo nie pozbawiłem prawa do uczciwego procesu, nikogo nielegalnie nie uwięziłem! Może... może dałoby się o to oskarżyć Stany Zjednoczone, ale nie Wielką Brytanię.

- To prawda, panie premierze - przyznała Encarnacion - ale zgodnie z artykułem dwudziestym piątym, dotyczącym indywidualnej odpowiedzialności karnej - znowu spojrzała swoimi chłodnymi ciemnymi oczami na ekran - *każdy, kto pomaga w popełnieniu takich zbrodni, współdziała w ich popełnieniu, ułatwia je lub w inny sposób przyczynia się do ich popełnienia, podlega odpowiedzialności karnej.* To dotyczy również zapewnienia winnym środków do popełnienia przestępstwa.

Znowu zapadło milczenie. Słysząc było tylko warkot helikoptera.

- To raczej bardzo ogólne sformułowanie - zauważył spokojnie Lang.

- To absurd, nic innego - wtrącił Kroll. - To oznacza, że jeśli CIA zabierze gdzieś podejrzanego na przesłuchanie prywatnym samolotem, właściciel samolotu jest winny współdziałaniu w zbrodni przeciw ludzkości.

- Jednak z prawnego punktu widzenia... - zaczął Lang.

- To nie jest problem prawniczy - przerwał mu Kroll z lekkim zniecierpliwieniem. - To sprawa polityczna.

- Nie, Sid - odezwała się Ruth. Ściągnęła brwi i wpatrywała się ze skupieniem w podłogę, kręcąc głową dla podkreślenia swoich słów. - To również problem prawny. Te dwa aspekty są nierozdzielne. Z artykułów, które przed chwilą przeczytała ta młoda dama, wynika jednoznacznie, że sąd będzie musiał się zgodzić na rozpoczęcie dochodzenia, ponieważ Richard Rycart przedstawił dokumenty, które

sugerują, iż Adam popełnił te wszystkie przestępstwa, to znaczy pomagał, współdziałał, ułatwiał. - Ruth podniosła głowę. - To zagrożenie prawne, które natychmiast prowadzi do zagrożenia politycznego, ponieważ ostatecznie wszystko to sprowadza się do tego, jakie będzie zdanie opinii publicznej, a w kraju i bez tego nie cieszymy się wielką popularnością.

- Nie wiem, czy to wielka pociecha, ale Adamowi z pewnością nic nie grozi, jeśli zostanie tutaj, wśród przyjaciół.

Pancerne szyby w oknach zadrżały. Helikopter znowu nadleciał, żeby kamerzysta mógł zrobić zbliżenie, ale na ekranie telewizora widać było tylko odbicie oceanu w wielkiej szybie okiennej.

- Chwileczkę. - Lang przeczesał palcami włosy. Sprawiał wrażenie, że dopiero teraz coś do niego dotarło. - Chcesz powiedzieć, że nie mogę opuścić Stanów Zjednoczonych?

- Josh. - Kroll skinął na swojego asystenta.

- Panie premierze - powiedział Josh bardzo poważnym tonem - jeśli mogę, chciałbym przeczytać początek artykułu pięćdziesiątego ósmego dotyczącego nakazów aresztowania. - Zmierzył Langa uroczystym spojrzeniem. - W dowolnej chwili po rozpoczęciu dochodzenia Wydział Przygotowawczy, na wniosek prokuratora, wydaje nakaz aresztowania, jeśli po zbadaniu wniosku i dowodów przedstawionych przez prokuratora uzna, iż są uzasadnione powody, by sądzić, że dana osoba popełniła przestępstwo będące w jurysdykcji Trybunału, a aresztowanie jest konieczne w celu

zagwarantowania, że osoba ta stanie przed Trybunałem.

- Jezu - westchnął Lang. - Co to są „uzasadnione powody”?

- Nie dojdzie do tego - zapewnił Kroll.

- Wciąż to powtarzasz - gniewnie zauważyła Ruth. - Ale może dojść.

- Może się zdarzyć, ale się nie zdarzy. - Kroll rozłożył ręce. - Te dwa stwierdzenia nie są sprzeczne. - Pozwolił sobie na jeden z tych swoich prywatnych uśmiechów i zwrócił się do Adama: - Mimo to, jako twój adwokat, zdecydowanie radzę ci, żebyś, dopóki ta sprawa się nie zakończy, nie wyjeżdżał do żadnego kraju, który uznaje jurysdykcję Międzynarodowego Trybunału Karnego. Jeśli dwaj sędziowie z tej trójki zechcą przypodobać się obrońcom praw człowieka, wydadzą nakaz aresztowania, a to wystarczy, żeby cię zatrzymali.

- Ale przecież prawie wszystkie kraje uznają Trybunał - zauważył Lang.

- Ale nie Stany Zjednoczone.

- I jeszcze kto?

- Irak - zaczął wyliczać Josh - Chiny, Korea Północna, Indonezja.

Czekaliśmy na ciąg dalszy, ale on zamilkł.

- To wszystko? - upewnił się Lang. - Wszystkie inne kraje uznają Trybunał?

- Nie, proszę pana. Jeszcze Izrael i kilka co bardziej parszywych reżimów afrykańskich.

- Chyba coś się dzieje - wtrąciła Amelia, wskazując pilotem telewizor.

* * *

Wszyscy przyglądaliśmy się, jak pani prokurator z Hiszpanii - z burzą czarnych włosów, jaskrawo umalowanymi ustami, elegancka jak gwiazda filmowa w lawinie błysków fleszy - zakomunikowała, że Trybunał wyraził zgodę na wszczęcie dochodzenia przeciwko byłemu premierowi Wielkiej Brytanii, Adamowi Peterowi Benetowi Langowi, w sprawie ewentualnego naruszenia artykułów siódmego i ósmego Statutu Rzymskiego z 1998 roku, będącego podstawą działania Międzynarodowego Trybunału Karnego.

Wszyscy pozostali patrzyli na ekran, natomiast ja obserwowałem Langa. „Maksymalnie skoncentrowany”, zapisałem w notesie, udając, że notuję słowa pani prokurator. W rzeczywistości przyglądałem się mojemu klientowi w nadziei, że lepiej go zrozumiem i będę mógł to wykorzystać. „Wyciąga rękę do R., ona nie reaguje. Spogląda na nią. Samotny, zagubiony. Cofa rękę. Znowu patrzy na ekran. Kręci głową. P. mówi: »Czy to był pojedynczy przypadek, czy też element systematycznego planu przestępczej działalności?«. AL zachnął się. Zły. P.: »Sprawiedliwość musi być jednako- wa dla wszystkich, bogatych i biednych, potężnych i słabych«. Krzyczy do ekranu: »A może też dla terrorystów?«.,,

Nigdy dotychczas nie widziałem mojego klienta w prawdę kryzysowej sytuacji. Przyglądając się Langowi, zdałem

sobie sprawę, że moje uniwersalne pytanie „Co pan wówczas odczuwał?” jest bardzo prymitywnym narzędziem, tak ogólnym, że niemal bezużytecznym. W ciągu trwającej kilka minut rozmowy na temat prawnych aspektów jego sytuacji, na jego wyrazistej twarzy dostrzegłem uczucia równie przełotne, jak cień chmury przesuwającej się wiosną nad górską doliną - szok, wściekłość, urazę, upór, odrazę, wstyd... Jak można je rozplatać? A skoro on sam nie wiedział, co dokładnie teraz czuje, jak mógłby to przeanalizować za dziesięć lat? Nawet teraz to ja musiałbym opisać jego reakcję, uprościć ją na tyle, żeby stała się prawdopodobna i zrozumiała. Musiałbym skorzystać z wyobraźni. W pewnym sensie, musiałbym kłamać.

Pani prokurator skończyła wygłaszać oświadczenie, odpowiedziała na kilka pytań i zeszła z mównicy. Nim opuściła salę, zatrzymała się jeszcze na chwilę, żeby ułatwić zadanie kamerzystom i fotografom. Nastąpiła eksplozja fleszy, a gdy już zaprezentowała światu swój wspaniały orli profil, wreszcie sobie poszła. Na ekranie znowu pojawiła się rezydencja Rhineharta widziana z lotu ptaka, otoczona lasem, tuż obok jeziora i oceanu. Świat czekał na pojawienie się byłego premiera.

Amelia przyciszyła telewizor. Na dole zaczęły dzwonić telefony.

- Hm - Kröll przerwał ciszę. - Nie było w tym niczego, czego byśmy się nie spodziewali.

- Rzeczywiście - przyznała Ruth. - Dobra robota.

Kröll udał, że nie usłyszał jej komentarza.

- Adamie, musisz natychmiast udać się do Waszyngtonu. Mój samolot czeka na lotnisku.

Lang wciąż wpatrywał się w ekran.

- Gdy Marty zaproponował, żebym zatrzymał się w jego letnim domu, nie zdawałem sobie sprawy, że to miejsce jest tak odcięte od świata. Nie powinniśmy tu przyjeżdżać. Teraz wygląda to tak, jakbyśmy się ukrywali.

- Też tak sędzę. Nie możesz się tu melinować, w każdym razie nie dzisiaj. Wykonałem kilka telefonów. Załatwiłem ci spotkanie podczas lunchu z przewodniczącym większości w Izbie Reprezentantów, a po południu sesję fotograficzną z sekretarzem stanu.

- Nie jestem pewny, czy to dobry pomysł. - Lang w końcu oderwał wzrok od ekranu. - Będzie można odnieść wrażenie, że wpadłem w panikę.

- Wcale nie. Już z nimi rozmawiałem. Przesyłają ci pozdrowienia i są gotowi zrobić wszystko, żeby ci pomóc. Obaj powiedzą, że umówiliście się na spotkanie już kilka tygodni temu, żeby porozmawiać o Fundacji Langa.

- To brzmi fałszywie, nie sądzisz? - Lang ściągnął brwi. - O czym właściwie mielibyśmy rozmawiać?

- Kogo to obchodzi? O pomocy dla biednych. O nędzy. Zmianie klimatu. Pokoju na Bliskim Wschodzie. Afryce. Wszystko jedno. Musimy zademonstrować, że zachowujesz się normalnie, jakby nic się nie stało. Mam swój program zajęć, to są ważne sprawy i nie zamierzam ich porzucić z powodu błaznów udających wielkich sędziów w Hadze.

- Co z ochroną? - chciała wiedzieć Amelia.

- Tym zajmie się Tajna Służba. My będziemy musieli tylko zatroszczyć się o ochronę podczas przerw w rozkładzie zajęć. Cały Waszyngton pojawi się na spotkaniu z tobą. Czekam na odpowiedź z biura wiceprezydenta, ale to będzie prywatne spotkanie.

- Co z mediami? - spytał Lang. - Musimy wkrótce dać odpowiedź.

- Zatrzymamy się w drodze na lotnisko i powiesz kilka słów. Jeśli chcesz, mogę wygłosić oświadczenie. Ty będziesz musiał tylko stać obok mnie.

- Wykluczone - zaprotestował zdecydowanie Lang. - Całkowicie wykluczone. To wyglądałoby tak, jakbym naprawdę był winny. Muszę sam coś powiedzieć. Ruth, co ty myślisz o wyjeździe do Waszyngtonu?

- Moim zdaniem to fatalny pomysł. Przykro mi, Sid, wiem, że ciężko pracujesz, starając się nam pomóc, ale musimy wziąć pod uwagę, jak to zostanie odebrane w Wielkiej Brytanii. Jeśli Adam pojedzie teraz do Waszyngtonu, sprawi wrażenie chłopca do bicia, który z płaczem ucieka pod opiekę amerykańskiego tatusia.

- Co zatem proponujesz?

- Wracajmy do Londynu. - Kroll zaczął się sprzeciwiać, ale Ruth nie pozwoliła sobie przerwać. - Brytyjczycy niezbyt cię teraz lubią, ale z pewnością znacznie bardziej nie lubią, gdy obcokrajowcy wtrącają się w nasze sprawy i mówią nam, jak mamy postępować. Rząd będzie musiał cię poprzeć.

- Rząd brytyjski zamierza w pełni współpracować z prokurator prowadzącą dochodzenie - powiedziała Amelia.

- Doprawdy? - odrzekła Ruth głosem słodkim jak cyjanek. - A co skłania cię do takiego wniosku?

- Nie zmyślam tego, Ruth, tylko właśnie czytam. Tak podaje telewizja. Spójrz sama.

Wszyscy spojrzeliśmy na ekran. Na dole strony przesuwiał się pasek: „WIADOMOŚĆ Z OSTATNIEJ CHWILI. RZĄD BRYTYJSKI »BĘDZIE W PEŁNI WSPÓŁPRACOWAŁ« Z PROKURATOR PROWADZĄCĄ ŚLEDZTWO W SPRAWIE ZBRODNI WOJENNYCH”.

- Jak oni mają czelność?! - krzyknęła Ruth. - I to po tym wszystkim, co dla nich zrobiliśmy!

- Z całym szacunkiem, proszę pani - odezwał się Josh - muszę zauważyć, że jako sygnatariusz Statutu Rzymskiego rząd brytyjski nie ma wyboru. Zgodnie z prawem międzynarodowym, rząd jest zobowiązany do „pełnej współpracy”. Tak dokładnie brzmi artykuł osiemdziesiąty szósty.

- A jeśli Trybunał w końcu postanowi mnie aresztować? - spytał spokojnie Lang. - Czy rząd brytyjski będzie „w pełni współpracował” z Trybunałem również wtedy?

Josh już znalazł odpowiedni fragment Statutu.

- O tym rozstrzyga artykuł pięćdziesiąty dziewięty. *Państwo będące stroną Statutu, które otrzyma nakaz tymczasowego zatrzymania lub zatrzymania i przekazania do dyspozycji Trybunału danej osoby, natychmiast podejmie kroki niezbędne do zaaresztowania tej osoby.*

- To rozstrzyga sprawę - powiedział Lang. - Jedziemy do Waszyngtonu.

Ruth skrzyżowała ramiona. Ten gest przypomniał mi zachowanie Kate: to była zapowiedź burzy.

- Nadal sądzę, że to będzie źle wyglądało - powiedziała.
- Nie tak źle, jak zakucie w kajdanki na Heathrow.
- W ten sposób przynajmniej pokazałbyś, że się nie boisz.

- Do diabła, więc dlaczego sama nie polecisz do Londynu? - prychnął gniewnie Lang. Podobnie jak poprzedniego dnia, zaskoczył mnie nie tyle sam wybuch, co jego nagłość. - Jeśli rząd brytyjski chce mnie przekazać temu sądowi kapturowemu, to niech się pieprzy! Pojadę tam, gdzie jestem mile widziany. Amelio, powiedz chłopcom, że za pięć minut wyruszamy. Niech jedna z dziewczyn spakuje moją torbę z rzeczami na jedną noc. Ty też się spakuj.

- Może lepiej spakujecie się do jednej walizki? - podsunęła Ruth. - Tak będzie wam znacznie wygodniej.

Atmosfera w pokoju wyraźnie zgęstniała. Nawet uśmiech Krolla zastygł. Amelia zawahała się, po czym nerwowo wygładziła spódnicę, wzięła notes i wstała, czemu towarzyszył szelest jedwabiu. Wyszła z pokoju, patrząc prosto przed siebie. Miała ponętnie zaróżowioną szyję i mocno zaciskała usta. Ruth poczekała, aż Amelia wyjdzie, po czym powoli wyprostowała nogi i uważnie założyła drewniaki. Ona również wyszła bez słowa. Trzydzieści sekund później usłyszeliśmy trzask drzwi na dole.

Lang skrzywił się i ciężko westchnął. Wstał, sięgnął po wiszącą na oparciu fotela marynarkę i zarzucił ją na ramiona. To był sygnał dla nas, że rozmowa dobiegła końca. Encarnacion i Josh zamknęli laptopy, a Kroll wstał, przeciągnął się, rozczapierzając szeroko palce: przypominał mi kota z wygiętym grzbietem i wysuniętymi pazurami. Schowałem notes.

- Spotkamy się jutro - powiedział Lang, podając mi rękę. - Czuj się jak w domu. Przykro mi, że cię zostawiam. Mam nadzieję, że ta sprawa przynajmniej zwiększy sprzedaż.

- Z pewnością - odpowiedziałem. Chciałem powiedzieć coś, co zmniejszyłoby napięcie. - To pewnie sprawka wydziału marketingowego Rhineharta.

- Powiedz im, żeby z tym skończyli, dobrze? - Lang uśmiechnął się, ale miał sińce pod oczami.

- Co zamierzasz powiedzieć dziennikarzom? - spytał go Kroll, kładąc ręce na jego ramionach.

- Nie wiem. Porozmawiamy o tym w samochodzie.

Gdy Lang odwrócił się i wyszedł, Kroll puścił do mnie oko.

- Powodzenia, duchu - rzucił.

Rozdział 9

Co zrobić, gdy klient kłamie? Kłamstwo to prawdopodobnie zbyt mocne słowo. Większość z nas upiększa swoje wspomnienia tak, żeby pasowały do tego, jak chcemy, żeby widzieli nas inni.

Andrew Crofts

Mogłem zejść na dół i odprowadzić ich do drzwi. Zamiast tego obserwowałem ich odjazd na ekranie telewizora. Zawsze mówię, że jeśli chce się mieć autentyczne, bezpośrednie doświadczenie, nic nie przebije telewizji. Na przykład, to interesujące, jak w relacji filmowej nakręconej z helikoptera nawet najbardziej niewinne czynności nabierają kryminalnego charakteru. Gdy kierowca Jeff podstawił pod drzwi opancerzonego jaguara i zostawił zapalony silnik, widzowie na całym świecie z pewnością uważali, że organizuje ucieczkę mafijnego bossa tuż przed przybyciem policji. Wielki samochód wyglądał tak, jakby płynął w chmurze spalin

zawieszanej w zimnym powietrzu Nowej Anglii.

Czułem się podobnie zdezorientowany jak poprzedniego dnia, gdy echo oświadczenia Langa zaczęło docierać do nas z eteru. Widziałem na ekranie, jak jeden z agentów Wydziału Specjalnego otworzył drzwiczki samochodu i stanął obok. Słyszałem, jak Lang i pozostali przygotowują się do wyjścia. „No, jak tam?”, usłyszałem głos Krolla. „Wszyscy gotowi? Dobra. Pamiętajcie tylko o uśmiechu. Wszyscy mają zadowolone miny”. Chwilę później na ekranie pojawiła się widziana z góry głowa byłego premiera. Lang szybko zrobił kilka kroków od drzwi do samochodu i zniknął w środku. Za nim popędził Kroll; obszedł auto i wsiadł z drugiej strony. Na dole ekranu ukazał się napis: „ADAM LANG OPUSZCZA DOM NA MARTHA'S VINEYARD”. Ci spece od satelitarnego dziennikarstwa wszystko wiedzą, pomyślałem, ale nigdy nie słyszeli o tautologii.

Kolejni członkowie otoczenia premiera wyłaniali się z drzwi i szli gęsiego do mikrobusu. Na czele kroczyła Amelia, przytrzymując ręką nienagannie uczesane włosy, którymi szarpały podmuchy powietrza spod wirnika helikoptera. Po niej pojawiły się sekretarki, asystenci Krolla i wreszcie kilku agentów ochrony.

Długie, ciemne samochody, z włączonymi długimi światłami, opuściły teren rezydencji i popędziły przez szary las w kierunku szosy prowadzącej do West Tisbury. Helikopter leciał za nimi, a pęd powietrza unosił liście i przygniatał rzadką trawę. W miarę jak cichł ryk silników, do domu wracał

spokój, tak mocno zaburzony od samego rana, zupełnie jakby wreszcie oddaliło się oko cyklonu. Zastanawiałem się, dokąd poszła Ruth i czy również ogląda relację telewizyjną. Wstałem z fotela, wyszedłem na korytarz i przez chwilę nasłuchiwałem, ale w domu panowała cisza. Gdy wróciłem, na ekranie widać już było obraz przekazywany przez kamery na ziemi. Z lasu wyłonił się jaguar Langa.

Dzięki uprzejmości władz stanu Massachusetts w miejscu, gdzie leśna droga łączyła się z szosą, zjawił się liczny oddział policji. Policjanci zmusili demonstrantów do cofnięcia się na drugą stronę drogi. Przez chwilę wydawało się, że jaguar przyspiesza w kierunku lotniska, ale nagle zapaliły się tylne światła i kierowca stanął. Mikrobus zatrzymał się za jaguarem, nieco zarzucając. Na ekranie pojawił się Lang, bez płaszcza. Nie zwracał uwagi ani na zimno, ani na hałaśliwy tłum. Szybkim krokiem podszedł do kamer, za nim podążali trzej agenci Wydziału Specjalnego. Szybko odszukałem pilota na fotelu, na którym siedziała Amelia - na skórze pozostał jeszcze jej zapach - skierowałem go w stronę telewizora i podkręciłem głoś.

- Przepraszam, że przeze mnie musieliście tak długo czekać na zimnie - zaczął Lang. - Chcę tylko powiedzieć parę słów w odpowiedzi na wiadomości, jakie nadeszły z Hagi. - Urwał na chwilę i wbił wzrok w ziemię. Często tak robił. Czy to było naturalne, czy też tylko chciał stworzyć wrażenie, że mówi spontanicznie? Z nim nigdy nic nie wiadomo. W tle wyraźnie słychać było, jak tłum krzyczy: „Lang, Lang,

Lang! Kłamca, kłamca, kłamca!”.

- To dziwne czasy - powiedział i znowu się zawahał. -
Dziwne czasy - powtórzył i wreszcie podniósł głowę. - Ci,
którzy zawsze bronili wolności, pokoju i sprawiedliwości, są
oskarżani o zbrodnie, natomiast ci, którzy otwarcie podze-
gali do nienawiści, wychwalali morderstwa i starali się
zniszczyć demokrację, są traktowani przez prawo tak, jakby
to oni byli ofiarami.

- Kłamca! Kłamca! Kłamca!

- Jak stwierdziłem we wczorajszym oświadczeniu, zaw-
sze zdecydowanie wspierałem ideę Międzynarodowego Try-
bunału Karnego. Wierzę w jego pracę. Wierzę w uczciwość
sędziów Trybunału, dlatego nie obawiam się dochodzenia.
W głębi serca wiem, że nie zrobiłem niczego złego.

Lang spojrzał na demonstrantów. Wydawało się, że do-
piero teraz dostrzegł plakaty: jego twarz, więzienne kraty,
pomarańczowy kombinezon, zakrwawione ręce. Zacisnął
mocno usta.

- Nie dam się zastraszyć - ciągnął, wysuwając do przodu
brodę. - Nie dam zrobić z siebie kozła ofiarnego. Nie pozwo-
lę, żeby przeszkodziło mi to w mojej działalności, której
celem jest walka z AIDS, biedą i globalnym ociepleniem. Z
tego powodu zamierzam wyjechać teraz do Waszyngtonu,
zgodnie z wcześniej ustalonym planem zajęć. Wszystkim w
Wielkiej Brytanii i na całym świecie, którzy mnie teraz słu-
chają, chcę jedno jasno powiedzieć: dopóki starczy mi tchu
w piersiach, będę walczył z terroryzmem albo na polu bitwy,

albo na sali sądowej, jeśli to okaże się konieczne. Dziękuję.

Ignorując pytania - „Kiedy pan wróci do Anglii, panie Lang?”, „Czy jest pan zwolennikiem tortur, panie Lang?” - odwrócił się i odszedł. Pod szytą na miarę marynarką widać było napięte mięśnie ramion. Trzej ochroniarze szli z tyłu i po bokach. Jeszcze tydzień temu to wystąpienie zrobiłoby na mnie duże wrażenie, podobnie jak jego przemówienie w Nowym Jorku po zamachu bombowym w Londynie, ale teraz sam byłem zdziwiony swoją obojętnością. Zupełnie jakbym widział wielkiego aktora w ostatniej fazie scenicznej kariery, emocjonalnie wyczerpanego, którego gra opiera się już wyłącznie na technicznym kunszcie. Poczekalem, aż znajdzie się w swoim hermetycznym i kuloodpornym kokonie, po czym wyłączyłem telewizor.

* * *

Po wyjeździe Langa i pozostałych dom wydawał się nie tylko pusty, ale opuszczony, pozbawiony celu. Zszedłem na dół i minąłem stojące w korytarzu oświetlone gabloty z prymitywną sztuką erotyczną. Krzesło przy drzwiach wejściowych, na którym zawsze siedział ochroniarz, teraz było puste. Cofnąłem się do pokoju sekretarek. Niewielkie pomieszczenie, gdzie zwykle panował kliniczny porządek, wyglądało jak pokój szyfrów w zagranicznej ambasadzie, gdy obce wojska wkraczają do miasta - wszędzie widać było dowody, że opuszczono je w panice. Na biurku wałały się niezliczone dokumenty, płyty kompaktowe, stare numery „Hansard” i „Congressional Record”. Dopiero teraz przyszło

mi do głowy, że nie mam maszynopisu Langa, nad którym mógłbym pracować. Szafa z dokumentami była zamknięta, a obok stał przepelniony kosz na śmieci z odpadkami z niszcarki.

Zajrzałem do kuchni. Na desce do krojenia leżały noże; na dwóch dostrzegłem świeże ślady krwi. Zawołałem z wahaniami „Halo?”, ale nikt nie odpowiedział. Zajrzałem jeszcze do spiżarni, ale i tam nikogo nie było.

Zupełnie zapomniałem, w którym pokoju nocuję, dlatego nie miałem innego wyjścia, jak przejść przez korytarz i sprawdzić wszystkie. Pierwszy był zamknięty na klucz, w drugim czuć było mocny zapach płynu po goleniu, a na łóżku leżał dres - niewątpliwie z tego pokoju korzystali agenci podczas nocnych zmian. Trzeci pokój też był zamknięty. Już chciałem nacisnąć klamkę kolejnych drzwi, gdy usłyszałem płacz kobiety. Nie miałem wątpliwości, że to Ruth: nawet w jej łkaniu było coś wojowniczego. „W rezydencji jest tylko sześć sypialni” - powiedziała Amelia. „Adam i Ruth śpią w oddzielnych, ja również”. Co to za układ - pomyślałem, idąc dalej na palcach. Były premier i jego żona śpią oddzielnie, a jego kochanka w sąsiednim pokoju. To właściwie *ménage à trois*.

Ostrożnie uchyliłem drzwi do następnego pokoju. Poczulem zapach starych ubrań i lawendowego mydła, który wyraźnie dowodził, że znalazłem się w dawnym pokoju Mc Ary. Dodatkowym dowodem była moja stara walizka. Cicho zamknąłem za sobą drzwi. Wielka szafa z lustrem na drzwiach zajmowała całą ścianę oddzielającą ten pokój od sypialni Ruth. Gdy odsunąłem nieco drzwi, usłyszałem

stłumiony płacz. Drzwi zazgrzytały na prowadnicy. Ruth widocznie to usłyszała, bo natychmiast przestała płakać. Wyobraziłem sobie, jak podnosi głowę z mokrej poduszki i patrzy zdziwiona na ścianę. Na moim łóżku leżało pudło papieru formatu A4, tak wypełnione, że nie dało się go domknąć. Dostrzegłem przyklejoną żółtą karteczkę z napisem „Powodzenia. Amelia”. Usiadłem na łóżku i otworzyłem pudło. Zobaczyłem stronę tytułową: „Wspomnienia, Adam Lang”. Amelia jednak nie zapomniała o mnie, mimo nadzwyczaj kłopotliwych okoliczności wyjazdu. Wiele mógłbym o niej powiedzieć, ale musiałem przyznać, że jest profesjonalistką.

Zdawałem sobie sprawę, że znalazłem się w punkcie zwrotnym: albo będę nadal trzymał się na marginesie tego grzęznącego przedsięwzięcia, żałośnie mając nadzieję, że ktoś mi pomoże, albo - wyprostowałem się, rozważając tę możliwość - wezmę sprawę w swoje ręce, spróbuję przerobić te sześćset dwadzieścia trudnych do strawienia stron na coś, co będzie nadawało się do wydania, skasuję swoje dwieście pięćdziesiąt patyków i pojedę na miesiąc gdzieś na plażę, żeby zapomnieć o Langach.

Gdy tak sformułowałem wybór, decyzja była oczywista. Zmusiłem się do zignorowania zarówno śladów McAry w pokoju, jak i bardziej namacalnej obecności Ruth za ścianą. Wyjąłem maszynopis z pudełka, położyłem go na stoliku obok okna, po czym wyciągnąłem laptop i zapis wczorajszego wywiadu. Na stole było mało miejsca do pracy, ale to mi nie przeszkadzało. Ze wszystkich form ludzkiej aktywności najłatwiej znaleźć wymówkę uwalniającą od pisania - biurko

za małe, biurko za duże, nadmierny hałas, irytująca cisza, za gorąco, za zimno, za wcześnie, za późno. W ciągu wielu lat pracy nauczyłem się ignorować takie czynniki. Po prostu siadam i zaczynam pisać. Włączyłem komputer, zapaliłem lampę kreślarską i spojrzałem na czysty ekran oraz pulsujący kursor.

Nienapisana książka to cudowny wszechświat nieskończonych możliwości. Wystarczy jednak napisać słowo, a już zostaje ściągnięta na ziemię. Po jednym zdaniu jest już w połowie taka, jak każda pieprzona książka, która kiedykolwiek została napisana. Nie można jednak nigdy pozwolić, żeby lepsze wypierało dobre. Gdy brakuje geniuszu, pozostaje zawsze rzemiosło. Można przynajmniej spróbować napisać coś, co przykuje uwagę czytelników - zachęci ich, po przeczytaniu pierwszego akapitu, do spojrzenia na drugi, a potem na trzeci. Wziąłem do ręki pierwsze kartki maszynopisu McAry, żeby przypomnieć sobie, jak nie należy zaczynać autobiografii za dziesięć milionów dolarów:

ROZDZIAŁ PIERWSZY

WCZESNE LATA

LANG TO SZKOCKIE NAZWISKO. JESTEM DUMNY Z MEGO POCHODZENIA. NASZE NAZWISKO WYWODZI SIĘ OD SŁOWA OZNACZAJĄCEGO „ WYSOKI” W JĘZYKU STAROANGIELSKIM. MOI PRZODKOWIE POCHODZĄ Z PÓŁNOCY. TO W XVI WIEKU PIERWSI LANGOWIE...

Boże, ratuj! Przekreśliłem grubą niebieską linią ten i kilka następnych akapitów poświęconych historii rodziny Langów. Jeśli potrzebuje pan drzewa genealogicznego, niech pan idzie do heraldyka - zawsze powtarzam to moim klientom. Nikogo innego to nie interesuje. Maddox polecił mi rozpocząć od oskarżeń o zbrodnie wojenne, co mi odpowiadało, ale ten temat mógł stanowić tylko coś w rodzaju przedłużonego prologu. W pewnym momencie należało rozpocząć właściwe wspomnienia. Do tego potrzebowałem świeżej i oryginalnej nuty - czegoś, co sprawiłoby, że Lang przemawiałby jak normalna ludzka istota. To, że nie jest normalną ludzką istotą, nie miało znaczenia.

Z pokoju Ruth dobiegły mnie odgłosy kroków, potem trzask otwieranych i zamykanych drzwi. W pierwszej chwili pomyślałem, że postanowiła sprawdzić, kto zamieszkał obok niej, ale jej kroki słychać było coraz słabiej - najwyraźniej się oddalała. Odłożyłem maszynopis McAry i spojrzałem na zapis wywiadu. Wiedziałem, czego szukam. To był początek naszej pierwszej sesji:

*PAMIĘTAM, TO BYŁO NIEDZIELNE POPOŁUDNIE. PA-
DAŁO. JA JESZCZE LEŻĘ W ŁÓŻKU, A TU NAGLE KTOŚ PUKA
DO DRZWI...*

Gdybym poprawił błędy gramatyczne, opowieść o tym, jak Ruth przyszła namówić Langa do zagłosowania w lokalnych wyborach i wciągnęła go do polityki, mogłaby stanowić doskonały początek. Mimo to McAra, z charakterystyczną głuchotą na wszystko, co ukazywałoby Langa od

ludzkiej strony, nawet nie wspomniał o tym wydarzeniu. Położyłem palce na klawiaturze i zacząłem pisać:

ROZDZIAŁ PIERWSZY

WCZESNE LATA

ZOSTAŁEM POLITYKIEM Z MIŁOŚCI. NIE Z MIŁOŚCI DO JAKIEJŚ PARTII LUB IDEOLOGII, ALE DO KOBIETY, KTÓRA ZAPUKAŁA DO MOICH DRZWI W PEWNE NIEDZIELNE DESZCZOWE POPOŁUDNIE...

Ktoś mógłby powiedzieć, że to sentymentalny początek, ale proszę pamiętać, że a) sentymentalizm świetnie się sprzedaje, b) miałem tylko dwa tygodnie na przerobienie całego maszynopisu, c) to z pewnością był lepszy początek niż wywody na temat etymologii nazwiska Lang. Pisałem tak szybko, jak mogłem, stukając dwoma palcami.

BYŁA PRZEMOKNIĘTA DO SUCHEJ NITKI, ALE SIĘ TYM NIE PRZEJMOWAŁA. OD RAZU ZACZEŁA MOWĘ NA TEMAT LOKALNYCH WYBORÓW. MUSZĘ ZE WSTYDEM PRYZNAĆ, ŻE DO TEJ PORY NAWET NIE WIEDZIAŁEM, IŻ MAJĄ SIĘ ODBYĆ JAKIEŚ LOKALNE WYBORY. STARCZYŁO MI ROZSADKU, ŻEBY UDAWAĆ, IŻ BARDZO MNIE TO INTERESUJE.

Podniosłem głowę. Zobaczyłem przez okno Ruth idącą z determinacją przez wydmy, pod wiatr, na kolejny samotny

spacer poświęcony ponurym rozmyśleniom, w towarzystwie ochroniarza. Przyglądałem się jej przez chwilę, a gdy znikła za wydumą, wróciłem do pracy.

* * *

Pracowałem przez kilka godzin, aż koło pierwszej prze-rwało mi delikatne pukanie do drzwi. Podskoczyłem na krześle.

- Proszę pana? - usłyszałem nieśmiały kobiecy głos. - Sir? Czy zje pan lunch?

Otworzyłem drzwi. Na korytarzu stała Dep, wietnamska gosposia, w czarnym jedwabnym mundurku. Miała jakieś pięćdziesiąt lat, wydawała się drobna jak ptaszek. Gdybym kichnął, pewnie przeleciałaby na drugi koniec domu.

- Chętnie, bardzo dziękuję.
- Tutaj czy w kuchni?
- W kuchni mi odpowiada.

Dep bezszelestnie ruszyła do kuchni. Rozejrzałem się po pokoju. Wiedziałem, że nie mogę tego dłużej odkładać. Myśl o tym jak o pisaniu, powiedziałem sobie. Zadanie do wykonania. Otworzyłem walizkę i wyłożyłem jej zawartość na łóżko. Wziąłem głęboki oddech, po czym odsunąłem drzwi szafy. Zacząłem zdejmować z wieszaków rzeczy McAry, układając je na ręce - tanie koszule, marynarki i spodnie z supermarketów, krawaty, jakie kupuje się na lotnisku. Żadnych ubrań szytych na miarę, prawda Mike? Patrząc na rozmiar kołnierzyków i obwód spodni, zdałem sobie sprawę, że był wielkim facetem, znacznie wyższym i mocniej zbudowanym niż ja. No i oczywiście stało się to, czego się

obawiałem: dotyk nieznanych tkanin i brząk wieszaków o chromowaną rurę wystarczył, żeby przełamać barierę, jaką cierpliwie wznosiłem przez dwadzieścia pięć lat. Znowu znalazłem się w sypialni rodziców, którą musiałem posprzątać. Zdobyłem się na to trzy miesiące po pogrzebie mamy.

Rzeczy zmarłego zawsze wyprowadzają mnie z równowagi. Czy jest coś smutniejszego od bałaganu, jaki ludzie zostawiają po sobie? Kto powiedział, że pozostaje po nas tylko miłość? Wszystko, co zostawił po sobie Mc Ara, to jego rzeczy. Położyłem je na fotelu, a potem wyciągnąłem z półki nad wieszakiem jego walizkę. Spodziewałem się, że jest pusta, ale gdy pociągnąłem za rączkę, w środku coś się przesunęło. Aha, pomyślałem. Wreszcie. Tajne dokumenty.

Takich walizek nie produkuje się od dziesięciu lat, dziś można je kupić pewnie tylko gdzieś na albańskiej prowincji. W środku wyłożonym ohydny, lśniącym plastikiem dyn-dały gumowe paski. Znalazłem tam jedną dużą kopertę za-adresowaną do M. McAra, Esq., Vineyard Haven, poste restante. Z tyłu był wypisany adres nadawcy: Archiwum Adama Langa w Cambridge w Wielkiej Brytanii. W kopercie był plik zdjęć, kserokopii i grzecznościowy list od doktor Julii Crawford-Jones, dyrektorki archiwum.

Jedno zdjęcie rozpoznałem od razu: Lang w kostiumie kurczaka, z Footlights Revue z początku lat siedemdziesiątych. Kilkanaście zdjęć przedstawiało całą obsadę przedstawienia. Na innych zdjęciach widać było Langa na łodzi wiosłowej, w słomkowym kapeluszu wioslarza, w bluzie

w paski, oraz na pikniku nad rzeką - najwyraźniej wszystkie zostały wykonane tego samego dnia. Przejrzałem kserokopie - były to programy Footlights, recenzje teatralne z Cambridge, liczne artykuły o lokalnych wyborach w Cambridge w maju 1977 roku i kopia legitymacji partyjnej Langa. Dopiero gdy spojrzałem na datę, zachwiałem się. Legitymacja pochodziła z 1975 roku.

Teraz znacznie staranniej przejrzałem całą zawartość paczki, zaczynając od artykułów o wyborach. Na pierwszy rzut oka wydawało mi się, że pochodzą z „Evening Standard”, ale teraz się zorientowałem, że zostały wycięte z biuletynu partyjnego - partii Langa. Znalazłem jego zdjęcie wśród ochotników prowadzących kampanię wyborczą. Trudno było go rozpoznać na kiepskiej kopii. Miał długie włosy, był nieporządnie ubrany. Ale to był on, z całą pewnością. Widocznie, jak inni, chodził od drzwi do drzwi: agitator A. Lang.

Byłem raczej zirytowany niż oburzony. To z pewnością nie wydawało mi się szczególnie ciężkim grzechem. Wszyscy poprawiamy swoje życiorysy. Zaczynamy od prywatnych fantazji, a pewnego dnia, dla zabawy, zmieniamy je w anegdoty. Często powtarzana anegdota po latach staje się uznanym faktem. Już wkrótce przyznanie, że ten rzekomy fakt nie jest zgodny z rzeczywistością, bywa ambarasujące. Po pewnym czasie sami wierzymy, że to wszystko zdarzyło się naprawdę. Historia kształtuje się przez takie gromadzenie kolejnych warstw mitów, jak rafa koralowa. Łatwo mi było zrozumieć, dlaczego Lang lubił udawać, że zajął się polityką

tylko dlatego, że spodobała mu się jakaś dziewczyna. To mu pochlebiało, bo nie sprawiał wrażenia karierowicza, to pochlebiało Ruth, bo wydawało się, że odegrała w jego życiu większą rolę, niż było naprawdę. Słuchacze lubili tę opowieść. Wszyscy byli zadowoleni. Musiałem jednak odpowiedzieć na pytanie, co mam teraz zrobić z tym fantem?

W moim zawodzie nie jest to rzadka sytuacja. Reguły zachowania są proste: zwracasz uwagę klienta na rozbieżności i pozostawiasz mu decyzję, co chce z tym zrobić. Murzyn nie ma obowiązku nalegać, żeby książka zawierała absolutną prawdę: gdyby tak było, wydawnictwa upadłyby pod ciężarem rzeczywistości. Tak jak kosmetyczka nie mówi klientce, że jest podobna do ropuchy, tak murzyn nie przekonuje klienta, że jego ukochane wspomnienia to bajki. Nie dyryguj, lecz ułatwiał - to nasze motto. Oczywiście McAra nie przestrzegał tej reguły. Najwyraźniej miał jakieś podejrzenia, że to, co usłyszał od Langa, nie było zgodne z prawdą, zamówił materiały z archiwum, a potem usunął ulubioną anegdotę ze wspomnień. Co za amator! Mogłem sobie wyobrazić, jak Lang to przyjął. Niewątpliwie to przynajmniej częściowo wyjaśniało, dlaczego ich stosunki stały się takie napięte.

Znowu skupiłem się na materiałach z Cambridge. Było coś dziwnie niewinnego w tej wyblakłej *jeunesse dorée*, spędzonej w zapomnianej, lecz szczęśliwej dolinie między dwoma kulturowymi szczytami dwóch ruchów, hippisów i punków. Pod względem duchowym była bliższa latom sześćdziesiątym niż siedemdziesiątym. Dziewczyny nosiły

długie, kwieciste, mocno wydekoltowane sukienki i wielkie słomkowe kapelusze dla ochrony przed słońcem. Mężczyźni mieli długie włosy, jak kobiety. Na jedynym kolorowym zdjęciu Lang trzymał w jednej ręce butelkę szampana, a w drugiej coś, co wyglądało na skręta. Dziewczyna karmiła go truskawkami, a w głębi siedział jakiś mężczyzna z gołym torsem, unosząc do góry kciuki.

Na największym zdjęciu z teatru widać było ośmiu młodych ludzi, ustawionych w świetle reflektorów, z wyciągniętymi ramionami, jakby właśnie skończyli jakiś numer rewii. Lang stał z prawej strony, w prążkowanej marynarce, muszce i słomkowym kapeluszu. W grupie były dwie dziewczyny w trykotach, siatkowych rajstopach i pantoflach na szpilkach: jedna krótko ostrzyżona blondynka, druga z ciemnymi, kędzierzawymi włosami, być może rudymi, ale na czarno-białym zdjęciu trudno było się zorientować. Obie bardzo ładne. Poza Langiem rozpoznałem jeszcze dwóch mężczyzn: jeden został później sławnym komikiem, drugi aktorem. Jeden z mężczyzn wydawał się starszy od pozostałych, może był już doktorantem. Wszyscy nosili rękawiczki.

Z tyłu zdjęcia był przyklejony pasek papieru z nazwiskami występujących i nazwami ich uczelni: G.W. Syme (Caius), W.K. Innes (Pembroke), A. Parke (Newnham), P. Emmett (St. John's), A.D. Martin (King's), E.D. Vaux (Christ's), H.C. Martineau (Girton), A.P. Lang (Jesus).

W lewym dolnym rogu znajdowało się zastrzeżenie praw autorskich „Cambridge Evening News”. Obok, na skos, był nabazgrany numer telefonu, poprzedzony międzynarodowym

numerem kierunkowym Wielkiej Brytanii. Bez wątpienia McAra, niezmordowany tropiciel faktów, odnalazł kogoś z obsady. Zaciekawilo mnie, kto to jest i czy pamieyta zdarzenie przedstawione na zdjeciu. Pod wplywem impulsu siegnalem po komorkę i wykręcilem numer.

Zamiast dobrze znanego, dwutonowego sygnalu angielskiego, uslyszalem ciagly dzwonek amerykanski. Czekałem dluzsza chwile. Juz mialem zrezygnowac, gdy odezwal sie jakis mezczyzna.

- Richard Rycart - przedstawil sie ostroznie. Ten głos, z lekkim kolonialnym akcentem, niewatpliwie nalezal do bylego ministra spraw zagranicznych. - Kto mowi? - spytal podejrzliwie.

Natychmiast przerwalem polaczenie. Tak sie przestraszylem, ze nawet rzucilem telefon na lozko. Trzydzieści sekund pozniej zadzwonil. Podbieglem do lozka, chwycilem komorkę i spojrzalem na wyswietlacz, ale numer sie nie pokazal. Szybko przerwalem polaczenie. Bylem tak zdumiony, ze przez dobre pol minuty stalem nieruchomo.

Powtarzalem sobie w myslach, ze nie wolno mi wyciagac zbyt pochopnych wnioskow. Nie wiedzialem, czy to na pewno McAra zanotowal numer i czy z niego skorzystal. Sprawdzilem, kiedy zostala wyslana paczka. Opuścila Wielka Brytanie trzeciego stycznia, dziewiec dni przed smiercia McAry.

Nagle zaczelo mi bardzo zalezec, zeby jak najszybciej usunac z pokoju wszystkie slady po moim poprzedniku. Pośpiesznie wyjalem z szafy reszte jego ubrań, wyciagnalem

szuflady i wyrzuciłem prosto do walizki skarpetki i majtki (pamiętam, że nosił grube podkolanówki i workowate gacie z rozporkiem - ten facet był staromodny do szpiku kości). Nie znalazłem żadnych osobistych dokumentów - żadnego dziennika, notesu z adresami czy choćby książek. Prawdopodobnie policja zabrała wszystkie papiery zaraz po jego śmierci. Usunąłem z łazienki jego niebieską, plastikową, jednorazową maszynkę do golenia, szczoteczkę do zębów, grzebień i kosmetyki. Zadanie zostało wykonane: wszystkie doczesne ruchomości Michaela McAry, byłego asystenta wielce szanownego Adama Langa, zostały upchane w walizce i przygotowane do wyniesienia. Zostawiłem walizkę w solarium, nie obchodziło mnie, że zapewne będzie tam leżeć do lata. Dla mnie liczyło się tylko to, że nie będę dłużej oglądał jego rzeczy. Musiałem chwilę odpocząć, żeby wyrównać oddech.

Gdy jednak wracałem do jego... mojego... naszego pokoju, wciąż czułem za plecami obecność tego wielkiego faceta. „Odpierdol się, McAra” - mruknąłem do siebie. „Po prostu odpierdol się, daj mi w spokoju skończyć tę książkę i się stąd wynieść”. Włożyłem fotografie i kserokopie do starej koperty i zacząłem się rozglądać, gdzie mógłbym ją schować. Po chwili się zreflektowałem: dlaczego właściwie chcę ją ukryć? To nie są ściśle tajne dokumenty. Nie mają nic wspólnego ze zbrodniami wojennymi. Zdjęcia sprzed trzydziestu lat, młodego człowieka, studenta i aktora, na słonecznym brzegu rzeki, pijącego szampana z przyjaciółmi. Numer telefonu Rycarta mógł się znaleźć na odwrocie

fotografii z wielu powodów. A jednak czułem, że powinienem schować kopertę. Wstyd mi przyznać, że z braku lepszego pomysłu uciekłem się do banalnego rozwiązania: wsunąłem ją pod materac.

- Lunch, proszę pana! - zawołała Dep, stojąc w korytarzu. Odwróciłem się gwałtownie. Nie wiedziałem, czy zauważyła, jak chowam kopertę, ale to chyba nie miało znaczenia: w porównaniu ze wszystkim, czego z pewnością była świadkiem w ciągu ostatnich paru tygodni w tym domu, moje dziwne zachowanie zapewne można było uznać za małe piwo.

Poszedłem za nią do kuchni.

- Czy pani Lang jest w domu? - spytałem.

- Nie, proszę pana. Ona jechać do Vineyard Haven. Zakupy.

Dep przygotowała dla mnie wielkiego sandwicza z szynką i sałatą. Usiadłem na wysokim stołku przy barze śniadaniowym i zmusiłem się do jedzenia. Gospoia owinięła wszystkie produkty w folię i schowała je do jednej z sześciu lodówek z nierdzewnej stali. Zastanawiałem się, co powinienem zrobić. Normalnie zmusiłbym się do powrotu do biurka i pracowałbym przez całe popołudnie, ale teraz, po raz pierwszy w mojej karierze murzyna, byłem zablokowany. Straciłem pół dnia na komponowanie intymnych wspomnień o zdarzeniu, które nie miało miejsca, bo nie mogło, ponieważ Ruth Lang przyjechała do Londynu, żeby rozpocząć karierę, dopiero w 1976 roku, a wtedy jej przyszły mąż już od roku należał do partii.

Nawet gdy myślałem o zabraniu się do rozdziału o Cambridge, o którym kiedyś sądziłem, że mam go jak w banku, teraz napotykałem ścianę. Kim on właściwie był, ten niefrasobliwy uwodziciel, kandydat na aktora, mający rzekomo alergię na punkcie polityki? Co nagle zmieniło go w partyjnego aktywistę, chodzącego od drzwi do drzwi i od rezydencji do rezydencji, jeśli to nie było spotkanie z Ruth? To wszystko było dla mnie niezrozumiałe. Zdałem sobie wtedy sprawę, na czym polega mój fundamentalny problem z naszym ekspremierem. Lang nie był postacią wiarygodną psychologicznie. W bezpośrednim kontakcie lub w telewizji, gdy grał rolę męża stanu, sprawiał wrażenie człowieka silnego. Wystarczyło się jednak nad nim zastanowić, a nic z tego nie zostawało. To powodowało, że moje zadanie było niemal niewykonalne. W przeciwieństwie do wielu wariatów ze świata estrady i sportu, z którymi miałem do czynienia, gdy chodziło o Langa, po prostu nie mogłem go wymyślić.

Wyjąłem z kieszeni komórkę. Patrząc na nią, zastanawiałem się, czy zadzwonić do Rycarta. Im dłużej myślałem, jak może potoczyć się ta rozmowa, tym większą czułem niechęć do tego pomysłu. Co właściwie miałem powiedzieć? „Cześć, nie zna mnie pan, ale to ja zastąpiłem Mike'a McArę jako murzyn Langa. Sądzę, że on rozmawiał z panem dzień lub dwa przed swoją śmiercią”. Schowałem telefon, ale nie mogłem uwolnić się od obrazu ciężkiego ciała McAry huśtającego się na falach przyboju. Czy roztrzaskał się o skały, czy został wyrzucony na piasek? Gdzie go znalezione?

Rick wymienił nazwę tego miejsca podczas naszego lunchu w londyńskim klubie. Lambert, czy coś takiego.

- Przepraszam, Dep - zwróciłem się do gosposi.
- Tak, proszę pana? - Dep wyprostowała się i zamknęła lodówkę. Miała taką miłą twarz.
- Czy może jest tu mapa wyspy, którą mógłbym pożyczyć?

Rozdział 10

*Można z powodzeniem napisać czyjś
autobiografię wyłącznie na podstawie rozmów
z klientem, ale dodatkowe badania często
przynoszą więcej materiału i podsuwają
nowe pomysły.*

Andrew Crofts

To miejsce znajdowało się w odległości mniej więcej dziesięciu mil, na północno-zachodnim wybrzeżu. Zatoka Lambert: to tam.

Było coś urzekającego w nazwach wielu miejsc w tej okolicy: potok Czarna Woda, Staw Wuja Setha, Indiańskie Wzgórze, droga przy Strumieniu Starego Śledzia. Kojarzyło mi się to z mapą z książki przygodowej dla dzieci. Dziwne, ale tak właśnie oceniałem mój plan - to miała być zwykła wycieczka. Dep zaproponowała, żebym wziął rower - o, tak, pan Rhinehart, on trzymać dużo rowerów dla gości - co również mi się spodobało, choć nie jeździłem rowerem już od wielu lat i w głębi duszy przeczuwałem, że to się źle skończy.

Minęły już ponad trzy tygodnie od znalezienia zwłok. Co mogłem tam zobaczyć? Ciekawość jest jednak potężnym bodźcem - może słabszym niż seks i chciwość, przyznaję to, ale na pewno silniejszym od altruizmu - a ja byłem po prostu ciekawy.

Najpoważniejszym czynnikiem zniechęcającym mnie do tego pomysłu była pogoda. Recepcjonistka w hotelu w Edgartown uprzedziła mnie już wcześniej, że meteorolodzy zapowiedzieli burzę, a choć jeszcze się nie zaczęła, niebo już opadało pod jej ciężarem jak wielki szary worek, który w każdej chwili mógł pęknąć. Pokusa wyrwania się z domu choć na chwilę była jednak zbyt silna. Nie miałem najmniejszej ochoty wracać do dawnego pokoju McAry i siedzieć przed komputerem. Pożyczyłem nieprzemakalną kurtkę Langa. Ogrodnik Due poprowadził mnie przez ogród do drewnianych sześciennych budynków, gdzie mieściły się pokoje służby, garaż i szopa.

- Na pewno pan bardzo ciężko pracuje, żeby ogród tak ładnie wyglądał - zauważyłem po drodze.

- Ziemia zła. Wiatr zły. Deszcz zły. Sól zła. Gówno - odpowiedział Due, nie odrywając oczu od ziemi.

Nie miałem nic więcej do powiedzenia na tematy ogrodnicze, więc zamilkłem. Minęliśmy pierwsze dwa budynki. Due zatrzymał się przy trzecim i otworzył wielką dwuskrzydłową bramę. Z wysiłkiem odciągnął jedno skrzydło. Weszliśmy do środka. Pod ścianą stało pewnie z dziesięć rowerów, ale ja patrzyłem na piaskowego fordę escape SUV, który zajmował drugą połowę garażu. Dużo słyszałem o tym

samochodzie i wyobrażałem go sobie, wsiadając na prom, dlatego gdy zobaczyłem go na własne oczy, był to dla mnie spory wstrząs. Długo dostrzegł, że przyglądam się samochodowi.

- Chce pan pożyczyć? - spytał.

- Nie, nie - odpowiedziałem pośpiesznie. Najpierw ro-
bota zmarłego, potem jego łóżko, a teraz jeszcze samochód.
Któż mógłby przewidzieć, jak się to skończy? - Wolę rower.
Przejażdżka dobrze mi zrobi.

Ogrodnik z bardzo sceptyczną miną przyglądał się, jak odjeżdżam na jednym z drogich rowerów górskich Rhine-
harta, niepewnie kiwając się na boki. Niewątpliwie uważał,
że zwariowałem i może miał rację - czy nie nazywają tego
wyspiarskim szaleństwem? Przejeżdżając obok drewnianej
budki wartownika, pomachałem do dyżurującego agenta.
To był błąd: gdy puściłem kierownicę, rower gwałtownie
skręcił w krzaki. W ostatniej chwili udało mi się wrócić na
środek drogi. Gdy już nauczyłem się korzystać z przerzutki
(mój poprzedni rower miał tylko trzy przełożenia, a dwa nie
działały), posuwałem się po gruntowej drodze z całkiem
niezłą prędkością.

W lesie panował niesamowity spokój, jakby jakaś wielka
wulkaniczna katastrofa pokryła rośliny białym pyłem i spo-
wodowała śmierć wszystkich zwierząt. Z rzadka słychać było
tylko krzyki gołębi grzywaczy, co podkreślało głuchą ciszę.
Pedałowałem pod górę do miejsca, gdzie leśna droga łączy
się z szosą.

Z tłumu przeciwników Langa pozostał tylko jeden mężczyzna. Niewątpliwie od kilku godzin zajmował się wznoszeniem jakiejś instalacji - na niskim drewnianym rusztowaniu ustawił wyrwane z kolorowych magazynów zdjęcia poparzonych dzieci, zwłok ze śladami tortur, ściętych zakładników i zbombardowanych osiedli. Ten kolaż śmierci uzupełniały listy nazwisk i wiersze. Wszystko to było umieszczone w plastikowych kopertach, dla ochrony przed deszczem. Na górze zawiesił transparent, jak reklamę nad straganem: I JAK W ADAMIE WSZYSCY UMIERAJĄ, TAK TEŻ W CHRYSZTUSIE WSZYSCY BĘDĄ OŻYWIENI. Pod transparentem stała prymitywna budka z tyczek i przezroczystej folii. Przy składanym stoliku siedział cierpliwie mężczyzna, którego zauważyłem rano, ale nie potrafiłem rozpoznać. Teraz go poznałem. To był ten przypominający emerytowanego oficera facet z hotelowego baru, który nazwał mnie pizdą.

Niepewnie zatrzymałem się przy wjeździe na szosę, żeby sprawdzić, czy nie jedzie jakiś samochód. Czuję na sobie jego spojrzenie; dzieliło nas tylko dwadzieścia stóp. Widocznie on również mnie poznał, bo ku mojemu przerażeniu wstał z krzesła.

- Chwileczkę! - zawołał tym swoim osobliwym, urywanym głosem. Nie miałem najmniejszej ochoty dać się wciągnąć w rozmowę z wariatem, dlatego wjechałem na szosę, choć nadjeżdżał jakiś samochód. Stałem na pedałach, żeby przyspieszyć. Kierowca samochodu zatrąbił. Słyszałem wycie klaksonu, widziałem światła reflektorów, poczułem podmuch powietrza. Samochód jakoś mnie minął. Obejrzałem się za siebie. Tamten zrezygnował z pościgu; stał pośrodku drogi,

podparty pod boki.

Staralem się jechać szybko, bo zdawałem sobie sprawę, że wkrótce zacznie się ściemniać. Było zimno i wilgotno, ale rozgrzałem się, pedałując. Minąłem lotnisko i jechałem drogą wzdłuż skraju lasu; szerokie przecinki przeciwpożarowe przypominały mi cieniste nawy katedry. Nie mogłem uwierzyć, że McAra wybrał się na taką wycieczkę - nie wyglądał na amatora jazdy rowerem. Znowu zacząłem się zastanawiać, co mi to da, poza tym, że na pewno zmoknę. Mijałem kolejne białe drewniane domy i starannie utrzymane pola Nowej Anglii. Bez większego wysiłku wyobraziłem sobie, że wciąż jeszcze mieszkają tu kobiety chodzące w surowych czarnych czepkach i mężczyźni, którzy w niedzielę wkładają garnitur, zamiast odwiesić go do szafy.

Tuż za West Tisbury zatrzymałem się przy Alei Szkota, żeby sprawdzić, dokąd dalej jechać. Niebo wyglądało naprawdę groźnie, wiatr się wzmaczał. Niewiele brakowało, a wyrwałby mi mapę. Niewiele brakowało, a zawróciłbym, ale skoro przejechałem już taki kawał drogi, głupio byłoby rezygnować. Usiadłem na wąskim, twardym siodełku i ruszyłem dalej. Dwie mile dalej droga się rozwidliła; zjechałem z szosy w lewo, w kierunku morza. Do zatoki prowadziła droga gruntowa, taka jak do rezydencji Rhineharta. Krzaki, karłowaty dąb, stawy, wydmy, ale w tej okolicy było więcej domów. Z reguły były to domy letniskowe. Teraz stały puste, z zamkniętymi okiennicami, ale z paru kominów unosił

się dym, a z jednego okna usłyszałem radio nastawione na muzykę klasyczną. Koncert wiolonczelowy. W tym momencie zaczęło lać - to był prawie grad, duże, zimne krople rozpryskiwały się na mojej twarzy i rękach. Pachniały morzem. Pojedyncze krople uderzały z pluskiem o powierzchnię stawów, ale już po chwili zerwała się jakaś powietrzna tama i z nieba polewał się potok wody. Teraz przypomniałem sobie, dlaczego nie lubię jeździć na rowerze: nie ma dachu, przedniej szyby i ogrzewania.

Pokręcone i bezlistne drzewa nie zapewniały żadnego schronienia przed deszczem, ale nie mogłem jechać dalej - nie widziałem drogi przed sobą. Zsiadłem i ruszyłem piechotą, prowadząc rower, aż doszedłem do niskiego płotu. Spróbowałem oprzeć rower o sztachety, ale się przewrócił, a tylne koło zawirowało w powietrzu. Nie chciało mi się walczyć z rowerem - zostawiłem go na ziemi i pobiegłem wysypaną żużlem ścieżką, obok masztu flagowego, żeby się schować na werandzie domu. Gdy już schroniłem się przed deszczem, pochylilem się do przodu i gwałtownie pokręciłem głową, żeby strząsnąć krople wody z włosów. W tym momencie jakiś pies zaczął szczekać i drapać drzwi za mną. Myślałem, że dom jest pusty - z pewnością takie robił wrażenie - ale w zakurzonym oknie pojawił się zamglony księżyc białej twarzy. Przez moskitierę trudno było dostrzec gospodarza. Chwilę później otworzył drzwi i pies rzucił się na mnie.

Nie lubię psów niemal tak bardzo, jak psy nie lubią mnie, ale starałem się sprawiać wrażenie, że jestem oczarowany

tym okropny, jazgoczącym białym kłębkim futra, bo nie chciałem się jeszcze bardziej narazić jego panu. Sądząc po licznych plamach wątrobianych, dobiegał dziewięćdziesiątki. Zwróciłem uwagę na jego bardzo kształtną czaszkę, wyraźnie widoczną przez cienką jak papier skórę. Miał na sobie dobrze skrojoną sportową marynarkę, pod nią rozpinały sweter, a na szyi apaszkę w szkocką kratę. Jąkając się, przeprosiłem go za naruszenie jego spokoju i prywatności, ale on zaraz mi przerwał.

- Jest pan Anglikiem? - spytał, mierząc mnie uważnym spojrzeniem.

- Tak.

- W porządku. Może się pan tu schronić. To nic nie kosztuje.

Nie znam dostatecznie dobrze Ameryki, żeby na podstawie akcentu określić jego pochodzenie i prawdopodobny zawód. Miałem wrażenie, że to emerytowany przedstawiciel wolnych zawodów. Z pewnością był zamożny - nie mogło być inaczej, skoro mieszka na wyspie, gdzie szopa ze sławojką w ogrodzie kosztuje pół miliona dolarów.

- Anglik, tak? - powtórzył. Przyjrzał mi się uważnie przez okulary bez oprawki. - Jest pan jakoś związany z tym Langiem?

- Owszem, w pewien sposób.

- Wydaje się inteligentny, więc dlaczego współpracował z tym cholernym durkiem w Białym Domu?

- Wszyscy chcieliby się tego dowiedzieć.

- Zbrodnie wojenne! - powiedział, kręcąc głową. Za-uważylem, że ma w uszach aparaty słuchowe. - O to można

byłoby oskarżyć nas wszystkich. Może i na to zasłużyliśmy. Nie wiem. Przypuszczam, że trzeba poczekać na wyrok wyższego trybunału. - Zaśmiał się smutno. - Nie będę długo czekał.

Nie zrozumiałem, o co mu chodzi, ale byłem zadowolony, że woda nie leje mi się na głowę. Obaj oparliśmy się o balustradę i popatrzyliśmy na deszcz, podczas gdy pies skakał jak oszalały po całej werandzie. W przerwie między drzewami dostrzegłem morze - ogromne, szare z białymi liniami piany na falach niezmordowanie atakujących brzeg. Wyglądało jak ekran starego czarno-białego telewizora podczas zakłóceń odbioru.

- Cóż zatem sprowadza pana w te okolice Martha's Vineyard? - spytał starszek.

Nie widziałem powodu, żeby kłamać.

- Kilka tygodni temu morze wyrzuciło tu na brzeg ciało człowieka, którego znałem - powiedziałem. - Chciałem zobaczyć to miejsce, okazać pamięć i szacunek - dodałem, żeby nie pomyślał, że jestem miłośnikiem makabry.

- A, to zabawna sprawa - powiedział. - Mówi pan o tym Angliku? Wykluczone, żeby prąd poniósł ciało tak daleko na zachód. Nie o tej porze roku.

- Co takiego? - spojrzałem na niego. Mimo podeszłego wieku, w jego ostrych rysach i dziarskich ruchach było coś młodzieńczego. Rzadkie siwe włosy zaczesywał do góry. Wyglądał jak stary harcerz.

- Znam morze w tej okolicy prawie od urodzenia. Do diabła, przecież jeden facet usiłował wyrzucić mnie za burtę

tego cholernego promu, gdy jeszcze pracowałem w Banku Światowym. Jedno mogę panu powiedzieć: gdyby mu się udało, z pewnością nie wypłynąłbym na brzeg w zatoce Lambert!

Słyszałem szum, ale nie byłem pewny, czy to pulsowanie krwi, czy to krople deszczu spadające na dach.

- Wspomniał pan o tym policji?

- Policji? Młody człowieku, zostało mi tak mało czasu, że nie mam ochoty tracić go na rozmowy z policją! Ale powiedziałem o tym Annabeth. To ona miała do czynienia z policją. - Stary dostrzegł, że nie wiem, o kim mówi. - No, Annabeth Wurmbrand. Wszyscy ją znają, to wdowa o Marsie Wurmbrandzie. Mieszka najbliżej oceanu. - Gdy nadal nie reagowałem, trochę się zirytował. - To ona powiedziała policji o światłach.

- Jakich światłach?

- Na plaży, tej nocy, kiedy morze wyrzuciło ciało. Wykluczone, żeby coś się tutaj zdarzyło, a ona tego nie wiedziała. Kay zawsze mówiła, że spokojnie wyjeżdża jesienią z Mohu, bo wie, że przez całą zimę Annabeth będzie miała wszystko na oku.

- Co to były za światła?

- Pewnie latarki.

- Dlaczego gazety o tym nie pisały?

- Gazety? - Stary znowu zachichotał ironicznie. - Annabeth pewnie nigdy w życiu nie rozmawiała z dziennikarzem! No, może z wyjątkiem redaktora „Świata Wnętrz”. Minęło dziesięć lat, nim nabrała zaufania do Kay, wyłącznie z powodu „Postu”.

Zaczął opowiadać o wielkim domu Kay przy Lambert's Cove Road, który Bill i Hillary kiedyś tak bardzo lubili i gdzie czasami przyjeżdżała Lady Di, a teraz pozostały z niego tylko kominy. Już go nie słuchałem. Miałem wrażenie, że deszcz trochę osłabł, i chciałem jechać. Przerwałem jego opowieść.

- Czy mógłby mi pan wskazać drogę do domu pani Wurmbrand?

- Oczywiście - odrzekł. - Ale nie ma sensu, żeby pan tam jechał.

- Dlaczego?

- Dwa tygodnie temu Annabeth spadła ze schodów. Do tej pory nie odzyskała przytomności. Biedaczka. Ted twierdzi, że już nigdy nie dojdzie do siebie. Kolejna osoba odeszła. Hej! - krzyknął, ale ja już schodziłem po schodach wewnątrz.

- Dziękuję serdecznie za schronienie! - odkrzyknąłem przez ramię. - I za rozmowę. Muszę już jechać.

Stary stał pod pochyłym dachem, z którego skapywała woda, niedaleko smukłego masztu z flagą Stanów Zjednoczonych podobną do mokrej ścierki. Wydawał się tak osamotniony, że niewiele brakowało, a zawróciłbym, żeby dotrzymać mu towarzystwa.

- Niech pan powie panu Langowi, żeby się nie załamywał! - krzyknął jeszcze, zsalutował, a potem pomachał ręką. - Niech pan jedzie ostrożnie.

Podniosłem rower i pojechałem dalej. Przestałem zwracać uwagę na deszcz. Čwierć mili dalej, patrząc w dół zboczyła, na polanie blisko wydm i jeziora można było zobaczyć

duży, niski dom otoczony drucianą siatką, z dyskretnymi tablicami „Własność prywatna”. Choć z powodu burzy było ciemno, w oknach domu nie paliło się nawet jedno światło. To pewnie dom tej nieprzytomnej wdowy - pomyślałem. Czy to była prawda? Czy rzeczywiście widziała jakieś światła? Z pewnością z okien na piętrze miała dobry widok na plażę. Oparłem rower o krzak i zacząłem wdrapywać się na wydmnę. Szedłem wąską ścieżką między pożółkłymi krzakami i zielonymi paprociami. Gdy dotarłem na szczyt, potężny podmuch wiatru niemal zepchnął mnie w dół, jakby to również był teren prywatny, a ja nie miałem prawa wstępu.

Już z werandy starego dostrzegłem, co znajduje się za wydmnami, a gdy jechałem ścieżką, słyszałem coraz głośniejszy szum przyboju. Mimo to przeżyłem szok, gdy po wejściu na wydmnę zobaczyłem przed sobą szarą półkulę mknących chmur, kołyszącego się oceanu i fal bijących o brzeg, czemu towarzyszył nieprzerwany huk. Niski piaszczysty brzeg ciągnął się łukiem w prawo, do skalistego przylądka Makonikkey, zasłoniętego mgłą rozproszonej wody. Wytarłem oczy, żeby lepiej widzieć. Wyobraziłem sobie McArę, samego na tym rozległym brzegu, leżącego twarzą na piasku, opitego słoną wodą, w tanim zimowym ubraniu sztywnym od soli i zimna. O bładym świetle przyniósł go tu prąd przyływu z cieśniny Vineyard. Szorował o dno wielkimi stopami, cofał się z falą, następna fala wyrzucała go nieco wyżej na brzeg,

aż wreszcie zatrzymał się na piasku. Potem wyciągnęli go na plażę ludzie z latarkami, a parę dni później wrócili, żeby zrzucić ze starannie zaprojektowanych przez architekta schodów zbyt gadatliwą starą babę, która to wszystko widziała.

Kilkaset jardów dalej na plaży pojawili się jacyś ludzie. Dwie osoby szły w moim kierunku. Na tle pejzażu burzliwej natury wydawały się ciemne, drobne i kruche. Spojrzałem w drugą stronę. Bryzgi wody unoszonej przez wiatr docierały aż na plażę, niczym pierwsze oddziały sił desantowych; woda płynęła po plaży, po czym wsiąkała w piach.

Stałem na wydmie, z trudem zachowując równowagę. Powiniennem donieść o wszystkim prasie - pomyślałem - jakiemuś upartemu reporterowi w „Washington Post”, godnemu dziedzicowi tradycji Woodwarda i Bernsteina. Wyobraziłem sobie tytuł i początek artykułu, a w myślach miałem już gotową całą historię.

WASZYNGTON (AP). ŚMIERĆ MICHAELA MCARY, ASYSTENTA BYŁEGO PREMIERA WIELKIEJ BRYTANII ADAMA LANGA, BYŁA WYNIKIEM TAJNEJ OPERACJI, KTÓRA ZAKOŃCZYŁA SIĘ TRAGICZNIE - JAK TWIERDZĄ NASZE ŹRÓDŁA W AGENCJACH WYWIADOWCZYCH.

Czy to rzeczywiście było tak nieprawdopodobne? Jeszcze raz spojrzałem na zbliżających się ludzi. Miałem wrażenie, że przyspieszyli i zacierają w moim kierunku. Moją twarz cięły niesione przez wiatr krople deszczu. Wymarłem oczy.

Powiniennem wracać, pomyślałem. Tamci zbliżyli się jeszcze bardziej. Szli wytrwale po piaszczystej plaży. Wysoki mężczyzna i niska kobieta. Tą kobietą była Ruth Lang.

* * *

Jej widok zupełnie mnie zaskoczył. Poczekalem, aż nabiorę pewności, że to rzeczywiście ona, po czym poszedłem jej na spotkanie. Spotkaliśmy się w połowie wysokości wydmy. Szum wiatru i fal zagłuszał nasze słowa. Ruth pociągnęła mnie za ramię, żeby mogła mi krzyczeć prosto do ucha.

- Dep powiedziała mi, że tu jesteś - powtórzyła.

Poczułem na zmarzniętej skórze jej szokująco gorący oddech. Wiatr zerwał jej z głowy niebieski kaptur. Sięgnęła rękami do karku, usiłując go założyć, ale zrezygnowała. Krzyknęła coś, ale w tym momencie fala eksplodowała na brzegu niedaleko niej. Uśmiechnęła się bezradnie, poczekała na chwilę względnej ciszy, złożyła dłonie wokół ust i znowu spróbowała. - Co tutaj robisz?

- Och, chciałem odetchnąć świeżym powietrzem.
- Nie, poważnie.
- Chciałem zobaczyć, gdzie znaleziono Mike'a McArę.
- Dlaczego?
- Z ciekawości - wzruszyłem ramionami.
- Przecież nawet go nie znałeś.
- Zaczynam się czuć tak, jakbym go znał.
- Gdzie masz rower?

- Po drugiej stronie wydmy.
- Przyjechaliśmy zabrać cię do domu, zanim zaczniesz lać.
- Skinęła na policjanta. Stał pięćdziesiąt jardów od nas - przemoknięty, znudzony, zde gustowany. - Barry, idź po samochód! - krzyknęła. - Spotkamy się przy drodze. Pójdziemy po rower i potem cię znajdziemy. - Mówiła do niego tak, jakby był służącym.

- Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić, proszę pani - odpowiedział. - Zgodnie z regulaminem, nie wolno mi zostawić pani samej.

- Och, na litość boską! - prychnęła gniewnie. - Czy naprawdę myślisz, że w Stawie Wujja Setha działa komórka terrorystycznej organizacji? Lepiej idź po samochód, bo dostaniesz zapalenia płuc.

Na jego kwadratowej nieszczęśliwej twarzy widać było, jak poczucie obowiązku walczy z pragnieniem jak najszybszego powrotu do domu.

- Dobrze - powiedział wreszcie. - Spotkamy się za dziesięć minut. Proszę, niech pani nie schodzi ze ścieżki i nie rozmawia z nieznajomymi.

- Nie będę, proszę pana - odpowiedziała, udając grzeczne dziecko. - Obiecuję.

Agent zawahał się, ale odwrócił się i pobiegł drogą, którą przyszedł.

- Traktują nas jak dzieci - poskarżyła się Ruth, gdy wspinaliśmy się na wydmy. - Czasami zastanawiam się, czy mają rozkaz nas ochraniać, czy raczej szpiegować.

Na szczycie wydmy oboje automatycznie obróciliśmy się, żeby popatrzeć na morze. Po kilku sekundach za ryzykowałem

szybkie spojrzenie na Ruth. Jej blada twarz lśniła od deszczu, a krótkie ciemne włosy przylepiły się do czaszki jak pływacki czepek. Jej ciało wydawało się twarde niczym alabaster. Ludzie często powtarzali, że nie mają pojęcia, co Lang w niej widzi, ale w tym momencie dobrze to rozumiałem - było w niej napięcie, nerwowa energia, siła.

- Szczerze mówiąc, sama tu przyjeżdżałam parę razy - wyznała. - Zwykle przynoszę kilka kwiatków i kładę je między kamieniami. Biedny Mike. Nie lubił wyjeżdżać z miasta. Nie znosił spacerów po wiejskiej okolicy. Nie potrafił nawet pływać.

Ruth szybko wytarła ręką policzki. Miała zbyt mokrą twarz, żebym mógł stwierdzić, czy się rozplakała.

- To przykre skończyć życie w takim parszywym miejscu.

- Och, wcale nie. Gdy świeci słońce, jest tu bardzo ładnie. Ta zatoka przypomina mi Kornwalię.

Ruth zesza wąską ścieżką do miejsca, gdzie zostawiłem rower. Poszedłem za nią. Ku mojemu zaskoczeniu, nagle wsiadła na rower i odjechała. Zatrzymała się sto jardów dalej, na skraju lasu. Gdy ją dogoniłem, zmierzyła mnie przenikliwym spojrzeniem. W gasnącym świetle jej brązowe oczy wydawały się niemal czarne.

- Myślisz, że jego śmierć była podejrzana?

Zaskoczyła mnie tak bezpośrednim pytaniem.

- Nie jestem pewny - odpowiedziałem. Z trudem powstrzymałem się od powiedzenia jej, czego dowiedziałem się od starca. Wyczułem jednak, że nie jest to właściwe miejsce

i pora. Nie byłem pewny tych faktów, a przekazywanie niesprawdzonych plotek przygnębionej znajomej zmarłego wydawało mi się prostactwem. Poza tym, trochę się jej bałem: nie miałem ochoty narażać się na krzyżowy ogień pytań. - Za mało wiem o tym, jak zginął. Przypuszczam, że policja przeprowadziła szczegółowe dochodzenie.

- Tak, oczywiście.

Zsiadła z roweru i zaczęliśmy iść pod górę do szosy. Tutaj, wśród drzew i krzewów, było znacznie spokojniej. Deszcz prawie przestał padać, w powietrzu unosił się świeży zapach ziemi, drzew i ziół. Gdy szliśmy, słyszałem terkot piasty tylnego koła roweru.

- Początkowo policja działała bardzo energicznie - odezwiała się Ruth - ale ostatnio spasowali. Przypuszczam, że śledztwo zostało zawieszono. Prawdopodobnie niewiele ich to obchodzi. Tydzień temu wydali ciało Mike'a. Ambasada zorganizowała przewiezienie zwłok do Wielkiej Brytanii.

- Tak? - Postarałem się, żeby nie okazać zdziwienia. - To dość szybko.

- Chyba nie. Minęły trzy tygodnie. Przeprowadzono sekcję. Był pijany i utonął. Koniec sprawy.

- No tak, ale co on robił na promie?

Ruth rzuciła mi ostre spojrzenie.

- Nie wiem. Był dorosły, nie musiał zdawać sprawy ze wszystkiego, co robił.

Szliśmy w milczeniu. Przyszło mi do głowy, że McAra mógł bez trudu opuścić wyspę, żeby w czasie weekendu

spotkać się z Richardem Rycartem w Nowym Jorku. To wyjaśniliby, dlaczego zanotował jego numer i nie powiedział Langom, dokąd jedzie. Jak mógłby się do tego przyznać? „Cześć, jadę do ONZ, pogadać z waszym najbardziej zaciętym politycznym wrogiem...”

Minęliśmy dom, w którym schroniłem się przed ulewą. Sprawdziłem, czy zobaczę starego gospodarza, ale biały drewniany dom wydawał się tak opustoszały, zamknięty i porzucony, jak wtedy, gdy byłem tu poprzednio - tak bardzo, że przez chwilę zastanawiałem się, czy ta rozmowa nie była wytworem mojej wyobraźni.

- Pogrzeb odbędzie się w poniedziałek w Londynie - poinformowała Ruth. - Ma być pochowany na Streatham. Jego matka jest zbyt chora, żeby przyjść. Zastanawiam się, czy pojechać. Ktoś z nas powinien się pojawić, a nie wydaje mi się prawdopodobne, żeby to był mój mąż.

- Powiedziałaś, że nie chcesz go zostawić.

- Wygląda na to, że to on zostawił mnie, nie sądzisz? Ruth zamilkła. Znowu zaczęła walczyć z kapturem,

choć naprawdę, nie był jej potrzebny. Wolną ręką pomogłem jej wyprostować i założyć kaptur. Naciągnęła go mocno i poszła dalej, bez słowa podziękowania. Szła, wpatrując się w ziemię.

Barry czekał na nas w mikrobusie, w miejscu, gdzie droga łączy się z szosą. Czytał powieść o Harrym Potterze. Silnik był włączony, światła zapalone. Z wyraźną niechęcią wysiadł, otworzył tylne drzwi i przesunął do przodu fotele. Razem załadowaliśmy rower. Barry wrócił na swoje miejsce za kierownicą, a ja usiadłem obok Ruth.

Jechaliśmy krętą drogą pod górę; Barry wybrał inną trasę niż ta, którą tu przyjechałem. Popołudnie było szare i ponure; chmury burzowe nie pękły, lecz stopniowo opadły na wyspę niczym sterowiec, który stracił część gazu. Rozumiałem, dlaczego zdaniem Ruth ta okolica przypominała Kornwalię. W świetle reflektorów mikrobusem widziałem dziki pejzaż podobny do tamtejszych wrzosowisk, a w bocznym lusterku mogłem zobaczyć białe bałwany przetaczające się przez cieśninę Vineyard. Barry włączył ogrzewanie, dlatego co chwila musiałem ścierać parę z szyby, żeby widzieć, dokąd jedziemy. Schnące ubranie przylepiło mi się do skóry. Czulem nieprzyjemny zapach potu i płynu do prania chemicznego, taki sam jak w pokoju Mc Ary.

Przez całą drogę Ruth milczała. Siedziała odwrócona do mnie plecami i wyglądała przez okno. Jednak gdy mijaliśmy lotnisko, nieoczekiwanie przesunęła zimną twardą rękę po siedzeniu fotela i chwyciła moją dłoń. Nie wiem, o czym myślała, ale mogłem się domyślić. Oddałem uścisk: nawet duch może od czasu do czasu okazać ludzkie współczucie. W lusterku wstecznym zobaczyłem oczy Barry'ego - patrzył na mnie. Przy skręcie z szosy w las mignęły nam w ciemnościach zdjęcia tortur i śmierci oraz transparent: I JAK W ADAMIE WSZYSCY UMIERAJĄ, ale, na ile mogłem stwierdzić, szalas z folii był pusty. Samochód kołysał się na drodze wiodącej do rezydencji.

Rozdział 11

Zdarza się niekiedy, że klient mówi murzynowi coś, co jest sprzeczne z wcześniejszymi wypowiedziami lub z tym, co murzyn sam ustalił. W takiej sytuacji należy natychmiast zwrócić mu na to uwagę.

Andrew Crofts

Po powrocie do domu natychmiast napuściłem do wanny gorącej wody. Dolałem do niej pół butelki olejku do kąpielii, który znalazłem w łazience (żywica sosnowa, kardamon i imbir). Czekaając, aż wanna się napełni, zasłoniłem okna i zdjąłem mokre ubranie. Naturalnie w nowoczesnym domu Rhineharta nie było czegoś tak prymitywnie użytecznego jak kaloryfer, dlatego zostawiłem mokre rzeczy na podłodze i zanurzyłem się w wielkiej wannie.

Czasem warto nieco się przegłodzić, żeby lepiej docenić smak jedzenia. Tak samo przyjemność, jaką daje gorąca kąpiel, można naprawdę poczuć po spędzeniu kilku godzin

na zimnym deszczu. Jęknąłem z ulgą i zanurzyłem się tak, że pachnąca woda podeszła mi prawie pod nos. Przez kilka minut wylegiwałem się jak aligator w parującej lagunie. Pewnie dlatego nie usłyszałem pukania do drzwi, ale gdy uniosłem głowę nad powierzchnię, usłyszałem, że po pokoju ktoś chodzi.

- Kto tam?! - krzyknąłem.

- Przepraszam! - odkrzyknęła Ruth. - Pukałam. Przyniosłam ci suche ubranie.

- Dziękuję, ale dam sobie radę.

- Musisz włożyć coś naprawdę suchego, bo umrzesz.

Poproszę Dep, żeby wrzuciła twoje rzeczy do pralki.

- Naprawdę, to nie jest konieczne.

- Obiad będzie za godzinę. Dobrze?

- Doskonale - poddałem się. - Dziękuję.

Gdy usłyszałem trzask drzwi, natychmiast wyszedłem z wanny i sięgnąłem po ręcznik. Ruth położyła na łóżku świeżo wypraną koszulę męża (szytą na zamówienie, z monogramem APBL na kieszeni), sweter i dżinsy. Jedynym śladem po moim ubraniu była mokra plama na podłodze. Podniosłem materac - koperta leżała na swoim miejscu.

W zachowaniu Ruth Lang było coś, co wytrącało mnie z równowagi. Trudno było przewidzieć, czego się po niej spodziewać. Niekiedy kipiała agresją bez żadnego powodu - nie zapomniałem jej zachowania podczas pierwszej rozmowy, gdy niemal oskarżyła mnie o zamiar napisania plotkarskiej książki o niej i Langu. Kiedy indziej nie zachowywała dystansu - trzymała mnie za rękę lub dyktowała, jak mam się

ubrać. Wyglądało na to, że w jej mózgu brakuje jakiegoś drobnego mechanizmu sterującego zachowaniem wobec innych.

Owinąłem się ciasno ręcznikiem, zawiązałem węzeł i usiadłem przy stole. Już wcześniej zwróciłem uwagę, że jest dziwnie nieobecna w autobiografii męża. Między innymi dlatego chciałem zacząć główną część książki od relacji z ich spotkania - przynajmniej dopóty, dopóki nie dowiedziałem się, że Lang to zmyślił. Naturalnie, pojawiła się w dedykacji

*DLA RUTH,
MOICH DZIECI
I MIESZKAŃCÓW WIELKIEJ BRYTANII*

- ale potem trzeba było poczekać pięćdziesiąt stron, aż wreszcie Lang o niej wspomniał. Przekartkowałem maszynopis, żeby odszukać ten fragment.

TO W CZASIE LOKALNYCH WYBORÓW W LONDYNIE POZNAŁEM RUTH CAPEL, JEDNĄ Z NAJBARDZIEJ ENERGETYCZNYCH AKTYWISTEK MIEJSCOWEJ ORGANIZACJI. CHĘTNIE POWIEDZIAŁBYM, ŻE ZWRÓCIŁEM NA NIĄ UWAGĘ ZE WZGLĘDU NA JEJ POLITYCZNE ZAANGAŻOWANIE, ALE W RZECZYWISTOŚCI WYDAŁA MI SIĘ OGROMNIE ATRAKCYJNA - DROBNA, PEŁNA ZAPAŁU, Z KRÓTKIMI CIEMNYMI WŁOSAMI I PRZENIKLIWYMI OCZAMI. POCHODZIŁA Z PÓŁNOCNY LONDYNU, BYŁA JEDYNYM DZIECKIEM MAŁŻEŃSTWA WYKŁADOWCÓW UNIWERSYTECKICH. W PRZECIWIENSTWIE DO MNIE, NAMIĘTNIE INTERESOWAŁA SIĘ POLITYKĄ, NIEMAL OD KIEDY NAUCZYŁA SIĘ MÓWIĆ!

*POZA TYM, O CZYM MOI PRZYJACIELE ZAWSZE MI PRZY-
POMINALI, BYŁA ZNACZNIE INTELIGENTNIEJSZA ODE
MNIENIE. SKOŃCZYŁA Z WYRÓŻNIENIEM POLITOLOGIE, EKO-
NOMIE I FILOZOFIE W OKSFORDZIE, A POTEM PRZEZ ROK
PROWADZIŁA BADANIA POSTKOLONIALNYCH RZĄDÓW JA-
KO STYPENDYSTKA FULBRIGHTA. JAKBY TEGO BYŁO MA-
ŁO, ŻEBY MNIE ONIEŚMIELIĆ, ZDAŁA Z PIERWSZĄ LOKATĄ
EGZAMIN DLA KANDYDATÓW DO SŁUŻBY DYPLMATYCZ-
NEJ, ALE PÓŹNIEJ ZREZYGNOWAŁA Z PRACY W MINISTER-
STWIE SPRAW ZAGRANICZNYCH, ŻEBY PRZYŁĄCZYĆ SIĘ
DO PARTYJNEGO ZESPOŁU DO SPRAW MIĘDZYNARODO-
WYCH W PARLAMENCIE.*

*MIMO TO, ZGODNIE Z RODZINNYM POWIEDZENIEM
„NIE RYZYKUJESZ, NIE ZYSKUJESZ”, POSTARAŁEM SIĘ,
ŻEBYŚMY PROWADZILI RAZEM KAMPANIĘ. PO CIĘŻKIM
WIECZORZE, SPĘDZONYM NA PUKANIU DO DRZWI WY-
BORCÓW I ROZDAWANIU ULOTEK, NIE BYŁO TRUDNO ZA-
PROSIĆ JĄ NA DRINKA DO PUBU. POCZĄTKOWO PRZYŁĄ-
CZALI SIĘ DO NAS INNI CZŁONKOWIE ZESPOŁU AGITACYJ-
NEGO, ALE PO PEWNYM CZASIE ZORIENTOWALI SIĘ, ŻE
WOLELIBYŚMY BYĆ SAMI. ROK PO WYBORACH ZAMIESZ-
KALIŚMY RAZEM, A GDY RUTH ZASZŁA W CIAŻĘ, POPROSI-
ŁEM JĄ O RĘKĘ. NASZ ŚLUB ODBYŁ SIĘ W URZĘDZIE STA-
NU CYWILNEGO MARYLEBONE W CZERWCU 1979 ROKU.
MOIM ŚWIADKIEM BYŁ ANDY MARTIN, STARY PRZYJA-
CIEL Z FOOTLIGHTS. PO ŚLUBIE WYBRALIŚMY SIĘ DO
WIEJSKIEGO DOMU RODZICÓW RUTH NIEDALEKO HAY-
ON-WYE. PO DWÓCH SZCZĘŚLIWYCH TYGODNIACH WRÓ-
CILIŚMY DO LONDYNU, GOTOWI DO DALSZEJ WALKI POLI-
TYCZNEJ PO ZWYCIĘSTWIE MARGARET THATCHER.*

To była jedyna istotna wzmianka o Ruth.

Powoli przejrzałem dalsze rozdziały, podkreślając miejsca, gdzie była o niej mowa. Jej „wieloletnia znajomość partii” była dla Langa „cenną pomocą” w walce o miejsce w parlamencie. „Ruth pierwsza dostrzegła, że mam szansę zostać przywódcą partii” - to był obiecujący początek trzeciego rozdziału, ale Lang nie wyjaśnił, na jakiej podstawie doszła do tego dalekowzrocznego przekonania. Pojawiała się znowu, żeby dać mu „charakterystyczną dla niej, przebiegłą radę”, gdy musiał zwolnić z pracy kolegę. Dzielila z nim apartamenty hotelowe podczas partyjnych konferencji. Poprawiła mu krawat tego wieczoru, kiedy został premierem. Chodziła na zakupy z żonami mężów stanu, goszczących w Anglii z oficjalną wizytą. Nawet urodziła jego dzieci („dzięki dzieciom zawsze stałem mocno na ziemi, zamiast bujać w obłokach”). To wszystko nie zmieniało jednak faktu, iż występowała w tych wspomnieniach tylko migawkowo, choć w rzeczywistości było zupełnie inaczej. Może dlatego dążyła do tego, żeby mnie zatrudnić: przypuszczała, że będę chciał więcej o niej napisać.

Gdy spojrzałem na zegarek, okazało się, że już od godziny siedzę nad maszynopisem. Powinienem pójść na obiad. Spojrzałem na leżące na łóżku ubranie. Jestem, jak mówią Anglicy, „wybredny”, a Amerykanie nazywają takich „pieprzonymi delikacikami”. Nie jem jedzenia z cudzego talerza, nie noszę nie swoich ubrań. Te jednak były czystsze i cieplejsze niż wszystkie moje rzeczy, a Ruth zadała sobie trud, żeby je przynieść, więc je włożyłem. Musiałem podwinąć

rękawy, bo nie miałem spinek do mankietów. Gdy byłem gotowy, poszedłem na górę.

* * *

Na kamiennym palenisku kominka płonęły grube szczapy. Ktoś - prawdopodobnie Dep - zapalił świece rozstawione w pokoju. Latarnie na zewnątrz oświetlały cienkie białe drzewa i żółto-zielone krzewy, uginające się pod naporem wiatru. Gdy wszedłem do pokoju, bryzgi deszczu uderzyły w wielkie okno. Czuję się jak w salonie luksusowego hotelu poza sezonem, w którym było tylko dwoje gości.

Ruth siedziała na tej samej sofie, w tej samej pozycji, co rano - z podwiniętymi nogami. Czytała „New York Review of Books”. Na niskim stole leżały rozłożone magazyny, a obok stał wysoki kieliszek z białym winem. Na ten widok poczułem przypływ nadziei. Ruth popatrzyła na mnie z aprobatą.

- Ubranie doskonale na ciebie pasuje - stwierdziła. - Na pewno chcesz się napić. - Odchyliła głowę do tyłu, opierając ją na sofie - widziałem, jak napięły się mięśnie jej karku. - Dep! - krzyknęła męskim głosem w kierunku schodów, po czym zwróciła się do mnie: - Na co masz ochotę?

- A co ty pijesz?

- Biodynamiczne białe wino. Z winnicy Rhineharta w dolinie Napa.

- Przypuszczam, że nie posiada gorzelni?

- Jest znakomite. Musisz spróbować. Dep - powiedziała do gosposi, która pojawiła się na górnym podejściu schodów - czy mogłabyś przynieść butelkę i jeszcze jeden kieliszek?

Usiadłem naprzeciwko Ruth. Miała na sobie długą czerwoną sukienkę, była też lekko umalowana. Wzruszał mnie jej wysiłek, żeby zachować dobrą minę, choć wokół, jeśli można tak powiedzieć, sypały się bomby. Gdybyśmy jeszcze mieli nakręcany gramofon, moglibyśmy odegrać dzielne angielskie małżeństwo ze sztuki Noela Cowarda, dbające o pozory, choć wokół wszystko się wali. Dep naląła mi wina i zostawiła butelkę na stole.

- Usiądziemy do stołu za dwadzieścia minut - poinformowała ją Ruth. - Najpierw musimy zobaczyć wiadomości. - Podniosła pilota i wycelowwała w kierunku telewizora. - Na zdrowie! - zwróciła się do mnie i uniosła kieliszek.

- Na zdrowie! - odpowiedziałem i też podniosłem kieliszek.

Opróżniłem kieliszek w trzydzieści sekund. Białe wino. Po co w ogóle pić wino? Cóż w nim osobliwego? Sięgnąłem po butelkę, żeby przeczytać etykietę. Winogrona rosły na ziemi uprawianej zgodnie z cyklem księżycowym, nawożonej łąnkiem zmieszany z krowimi rogami i kwiatami krwawnika, które fermentowały w pęcherzu jelenia. To wszystko brzmiało jak opis podejrzanych praktyk, za które kiedyś, całkiem słusznie, palono kobiety na stosie jako czarownice.

- Smakuje ci?

- Subtelne i owocowe. Z delikatną nutą pecherza.
- Naley nam jeszcze trochę. A oto i Adam. Chryste, to główna wiadomość. Myślę, że dla odmiany się upiję.

Na ścianie studia za spikerem pojawił się napis „LANG - ZBRODNIE WOJENNE”. Nie spodobało mi się, że już przestali się fatygować użyciem znaku zapytania. Potem ukazały się sceny znane nam z porannych wiadomości: konferencja prasowa w Hadze, wyjazd Langa z domu na Martha's Vineyard, oświadczenie przekazane dziennikarzom czekającym na szosie do West Tisbury. Następnie zdjęcia z przyjazdu Langa do Waszyngtonu, powitanie przez członków Kongresu, z ciepłym błyskiem fleszy i wyrazami wzajemnego podziwu, poważniejsze spotkanie z sekretarzem stanu. W tle widać było wyraźnie Amelię Bly: urzędową żonę. Nie miałem odwagi spojrzeć na Ruth.

„Adam Lang - zadeklarował sekretarz stanu - był po naszej stronie w wojnie z terrorem. Dziś jestem dumny, że mogę stanąć u jego boku i zaoferować mu, w imieniu całego amerykańskiego narodu, naszą przyjaźń. Adamie, cieszę się z tego spotkania”.

- Tylko się nie uśmiechnij - powiedziała Ruth.

„Dziękuję”, odpowiedział Adam z szerokim uśmiechem. Uścisnął dłoń sekretarza. Pokazał kamerzystom rozpromienioną twarz. Wyglądał jak gorliwy uczeń, który odbiera nagrodę. „Bardzo ci dziękuję. Miło mi cię widzieć”.

- No, ja pierdołę! - zaklęła Ruth.

Podniosła pilota i już miała zmienić kanał, gdy na ekranie pojawił się Richard Rycart. Przechodził przez hol siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych, jak zwykle otoczony przez asystentów i urzędników. Pozornie w ostatniej chwili zboczył ze swojej drogi w stronę kamer. Był nieco starszy od Langa, dobiegał sześćdziesiątki. Urodził się w Australii lub Rodezji, czy też innym kraju Wspólnoty, a do Anglii przyjechał dopiero jako nastolatek. Miał grzywę srebrnych włosów, która efektownie spływała mu na kołnierz. Niewątpliwie dobrze wiedział - sądząc po tym, jak się ustawiał - że lepiej wygląda z lewej strony. Z opaloną skórą i orlim nosem przypominał wodza Siuksów.

- Gdy oglądałem dziś wystąpienie pani prokurator w Hadze - powiedział - przeżyłem wielki wstrząs i wpadłem w przygnębienie. - Przesunąłem się na krawędź fotela. Niewątpliwie to jego głos usłyszałem, gdy zadzwoniłem na numer zanotowany na zdjęciu: trudno było zapomnieć ten śpiewny akcent. - Adam Lang był moim przyjacielem i nadal nim jest...

- Obłudny łajdak - syknęła Ruth.

- ...Bardzo żałuję, że sprowadził tę sprawę do poziomu osobistego sporu. Tu nie chodzi los poszczególnych osób. Tu chodzi o sprawiedliwość. Musimy odpowiedzieć na pytanie, czy jedno prawo obowiązuje bogate kraje Zachodu, a zupełnie inne całą resztę świata. Musimy doprowadzić do tego, że każdy przywódca polityczny i wojskowy, podejmując decyzję, będzie zdawał sobie sprawę, że zostanie osądzony zgodnie z międzynarodowym prawem. Dziękuję.

- Jeśli zostanie pan powołany na świadka, czy będzie pan zeznawał?! - krzyknął jeden z dziennikarzy.

- Z pewnością pojedę złożyć zeznania.

- W to nie wątpię, ty zasrańcu - mruknęła Ruth.

Spiker przeszedł do relacji o samobójczym zamachu bombowym na Bliskim Wschodzie. Ruth wyłączyła telewizor. W tym momencie zadzwonił jej telefon komórkowy.

- To Adam, dzwoni, żeby spytać, jak wypadł. - Wyłączyła komórkę. - Dajmy mu trochę czasu, niech się spoci.

- Czy zawsze pyta cię o radę?

- Zawsze. I jeszcze niedawno z reguły z niej korzystał. To zmieniło się dopiero niedawno.

Znowu napelnilem nasze kieliszki. Poczulem, że wino powoli zaczyna działać.

- Miałaś rację - przyznałem. - Nie powinien był lecieć do Waszyngtonu. To źle wypadło.

- W ogóle nie powinniśmy byli tu przyjeżdżać. - Zatoczyła kółko kieliszkiem. - Tylko popatrz na to. I to wszystko z powodu Fundacji Adama Langa. Jakie to ma znaczenie? To wysokiej klasy działalność zastępcza dla nowego bezrobotnego. - Pochyliła się nad kieliszkiem. - Chcesz, żebym ci zdradziła pierwszą regułę polityki?

- Bardzo proszę.

- Nigdy nie trać kontaktu z bazą.

- Postaram się.

- Cicho bądź. Mówię poważnie. Możesz sięgnąć dalej, a nawet musisz, jeśli chcesz wygrać. Ale nigdy, przenigdy nie

zrywaj z nią więzi. Gdy to zrobisz, jesteś skończony. Wyobraź sobie, że dzisiaj telewizja pokazała, jak przybył do Londynu - wrócił, żeby walczyć z tymi śmiesznymi ludźmi i ich absurdalnymi twierdzeniami. To wyglądałoby wspaniale! Zamiast tego... Boże! - Pokręciła głową, czemu towarzyszyło westchnienie gniewu i frustracji. - Chodźmy coś zjeść.

Wstając z sofy, rozlała nieco wina. Kilka kropel prysnęło na jej czerwonej wełnianej suknię. Chyba nawet tego nie zauważyła. Miałem okropne przeczucie, że się upije. (Podzielałam powszechne uprzedzenie pijaków, że nie ma nic gorszego od pijanego mężczyzny, z wyjątkiem pijanej kobiety. Wszystkim przysparzają kłopotów). Gdy jednak chciałem jej dolać, zakryła kieliszek dłonią.

- Ja już mam dość.

Długi stół pod oknem został nakryty dla dwóch osób. Widok szalejącej za oknem natury podkreślał intymność otoczenia: świece, kwiaty, trzaskający ogień. Ta scenografia wydała mi się trochę przesadna. Dep przyniosła dwa talerze przejrzystej zupy. Przez chwilę brzękaliśmy srebrnymi łyżkami o porcelanę Rhineharta. Zapadło niezręczne milczenie.

- Jak ci idzie? - Ruth przerwała w końcu ciszę.

- Książka? Szczerze mówiąc, w ogóle nie idzie. Stoję w miejscu.

- Dlaczego, jeśli pominąć oczywistą przyczynę?

Zawahałem się.

- Mogę mówić otwarcie?

- Oczywiście.

- Trudno mi go zrozumieć.
- Och, doprawdy? - Ruth piła teraz wodę z lodem. Spojrzała na mnie ponad krawędzią szklanki. Jej oczy przypominały koniec lufy dubeltówki. - Pod jakim względem?
- Nie pojmuję, dlaczego ten przystojny osiemnastolatek, który pojechał do Cambridge, gdzie długo nie okazał najmniejszego zainteresowania polityką, lecz spędzał czas, grając w teatrze, pijąc i uganiając się za dziewczynami, nagle...
- Nagle ożenił się ze mną?
- Nie, nie, nie o to mi chodzi. Wcale nie. - (Tak, to chciałem powiedzieć. Tak, tak, oczywiście). - Nie. Nie rozumiem, dlaczego w wieku dwudziestu dwóch lub trzech lat nagle wstąpił do partii. Co go do tego skłoniło?
- Spytałeś go?
- Powiedział mi, że to z twojego powodu. Przyszłaś namówić go do głosowania, wpadłaś mu w oko i zajął się polityką z miłości do ciebie. Żeby cię częściej widywać. To potrafię zrozumieć. Tak mogłaby wyglądać prawda.
- Ale wygląda inaczej?
- Hm, dobrze wiesz, że tak nie było. Zapisał się do partii rok przed waszym spotkaniem.
- Tak? - Ruth zmarszczyła czoło i napiła się wody. - Ale on zawsze opowiada tę historię, gdy ktoś go pyta, co przyciągnęło go do polityki. Dobrze pamiętam to zdarzenie, bo brałam udział w kampanii wyborczej w Londynie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku i z pewnością zapukałam do niego. Później zaczął się regularnie pokazywać

na zebraniach partyjnych. W tej opowieści jest zatem ziarno prawdy.

- Może ziarno - przyznałem. - Może wstąpił do partii w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym, przez dwa lata niezbyt interesował się polityką, a potem spotkał ciebie i się uaktywnił. To jednak nie jest odpowiedź na podstawowe pytanie, dlaczego wstąpił do partii politycznej.

- Czy to ważne?

Dep przyszła zabrać talerze po zupie. Podczas przerwy w rozmowie zastanawiałem się nad pytaniem Ruth.

- Tak - odpowiedziałem, gdy znowu byliśmy sami. - Może to dziwne, ale ta sprawa wydaje mi się ważna.

- Dlaczego?

- Ten drobny szczegół zdradza, że on nie jest kimś, za kogo my go uważamy. Nie jestem nawet pewny, czy on jest kimś, za kogo sam się uważa, a to poważna trudność, gdy mam napisać jego wspomnienia. Mam poczucie, że go nie znam. Nie mogę uchwycić jego głosu.

Ruth ściągnęła brwi. Poprawiła minimalne niedokładności w ułożeniu noża i widelca.

- Skąd wiesz, że wstąpił do partii w siedemdziesiątym piątym? - spytała, nie podnosząc głowy.

Przez chwilę bałem się, że powiedziałem za dużo, ale naprawdę nie widziałem powodów, dlaczego miałbym to utrzymać w tajemnicy przed nią.

- Mike Mc Ara znalazł oryginał jego legitymacji partyjnej w archiwum w Cambridge.

- Jezu, to archiwum! - westchnęła. - Mają tam wszystko, od cenzurek z podstawówki do rachunków z pralni. To typowe dla Mike'a: zbyt dokładnymi poszukiwaniami zepsuł dobrą opowieść.

- Znalazł również jakiś nikomu nieznaną biuletyn partyjny, z którego wynika, że w siedemdziesiątym siódmym roku Adam brał udział w kampanii wyborczej.

- Na pewno po tym, jak się poznaliśmy.

- Być może.

Widziałem, że coś ją niepokoi. Kolejna salwa deszczu uderzyła o szybę. Ruth przyłożyła opuszki palców do grubego szkła, jakby chciała wyczuć ślady kropli. W świetle latarni ogród wyglądał jak dno oceanu: wszędzie widać było kołyszające się liście, gałęzie i cienkie pnie, podobne do sterujących masztów zatopionego statku. Dep przyniosła główne danie - rybę na parze, kluski i jakieś nieznanne mi, bladzielone warzywa, które przypominały chwasty: prawdopodobnie to rzeczywiście były chwasty. Ostentacyjnie wlałem resztkę wina do kieliszka i zacząłem studiować etykietę.

- Czy przynieść jeszcze jedną butelkę, proszę pana? - spytała Dep.

- Nie przypuszczam, żebyście mieli tu whisky, prawda? Gosposia spojrzała na Ruth. Czekala na polecenie.

- Och, przynieś mu jakąś cholerną whisky - rzuciła Ruth.

Dep wróciła z butelką pięćdziesięcioletniej whisky Chivas Regal Royal Salute i szklanką z rżniętego kryształu. Ruth zaczęła jeść. Nalałem sobie szkockiej z wodą.

- Znakomita ryba, Dep! - zawołała Ruth. Wytarła serwetką kącik ust i ze zdziwieniem spojrzała na ślad szminki, jakby pomyślała, że to krew. - Wróćmy do twojego pytania - zwróciła się do mnie. - Moim zdaniem, nie powinieneś szukać tajemnicy tam, gdzie jej nie ma. Adam zawsze miał dobrze rozwinięte sumienie społeczne - odziedziczył to po matce. Wiem też, że po przeprowadzce z Cambridge do Londynu był bardzo nieszczęśliwy. Sądzę, że miał wręcz kliniczną depresję.

- Kliniczna depresja? Czy się leczył? Naprawdę? - Starałem się nie okazywać nadmiernego podniecenia. Jeśli Ruth mówi prawdę, to jest to najlepsza wiadomość, jaką dostałem tego dnia. Nic bardziej nie zwiększa sprzedaży wspomnień niż solidna dawka nieszczęść. Molestowanie seksualne w dzieciństwie, nędza, paraliż: we właściwych rękach to już pieniądze w banku. W księgarniach powinny znajdować się oddzielne półki oznaczone napisem *Schadenfreude*.

- Postaw się na jego miejscu. - Ruth mówiła, jedząc i machając widelcem z nadzianym kawałkiem ryby. - Jego rodzice zmarli. Po studiach wyjechał z Cambridge, które bardzo lubił. Wielu jego znajomych z teatru otrzymało oferty pracy. On nie. Myślę, że był zagubiony, nie wiedział, co ze sobą zrobić. Polityka miała być rekompensatą. On zapewne nie opisałby tego w ten sposób - autoanaliza nie jest jego mocną stroną - ale moim zdaniem tak właśnie było. Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, ilu ludzi skończyło na polityce, bo nie powiodło im się w zawodzie, o którym marzyli.

- Zatem poznanie ciebie musiało mieć dla niego bardzo duże znaczenie.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ponieważ ty autentycznie interesowałaś się polityką. Znałaś się na polityce i miałaś kontakty w partii. Na pewno dzięki tobie dostrzegł jakiś cel, do którego mógł dążyć. - Miałem wrażenie, że mgła się przerzedza. - Czy mógłbym to sobie zanotować?

- Proszę bardzo. Jeśli sądzisz, że to ci się przyda.

- O, na pewno. - Odłożyłem nóż i widelec, kładąc je równoległe do siebie - nie jestem wielkim amatorem ryb i chwastów - po czym wyjąłem notes i otworzyłem go na nowej stronie. Znowu wyobraziłem sobie, że jestem na miejscu Langa: mam dwadzieścia parę lat, moi rodzice zmarli, żyję samotnie, mam pewien talent aktorski, ale niewystarczający, żeby zrobić karierę, szukam drogi w życiu, bez większego przekonania zwracam się ku polityce, po czym spotykam kobietę, dzięki której widzę dla siebie przyszłość.

- Ślub z tobą był zwrotnym punktem w jego życiu.

- Z pewnością różniłam się od jego przyjaciółek z Cambridge, tych wszystkich Jokast i Pandor. Już jako dziewczynka zawsze bardziej interesowałam się polityką niż kucykami.

- Czy nie chciałaś zostać normalnym politykiem, zrobić samodzielnie karierę?

- Oczywiście, że tak. A ty nie chciałeś zostać normalnym pisarzem?

To było jako uderzenie w pysk. Chyba odłożyłem notes.

- Aj! - jęknąłem.

- Przepraszam. Nie chciałam być nieuprzejma. Widzisz chyba jednak, że jedziemy na tym samym wózku, ty i ja. Zawsze lepiej od Adama znałam się na polityce. Ty lepiej znasz się na pisaniu, ale to on jest gwiazdorem, nieprawdaż? Oboje wiemy, że naszą rolą jest służenie gwiazdorowi. To jego nazwisko będzie na okładce książki i zadecyduje o jej powodzeniu, nie twoje. Tak samo było ze mną. Szybko zdałam sobie sprawę, że on może zająć na samą górę. Jest przystojny, czarujący i potrafi dobrze przemawiać. Ludzie go lubią. Ja natomiast zawsze byłam trochę takim brzydkim kaczątkiem, z wielkim talentem do popełniania gaf i antagonizowania ludzi, który przed chwilą zademonstrowałam. - Ruth położyła rękę na mojej dłoni. Teraz była ciepła i miękka. - Przepraszam. Uraziłam twoje uczucia. Przypuszczam, że nawet duchy mają uczucia, jak my wszyscy.

- Jeśli ukłujesz ducha, będzie krwawił - odpowiedziałem.

- Skończyłeś jeść? Jeśli tak, to może pokaż mi te materiały, które wykopał Mike? Może coś sobie przypomnę. To mnie zaciekało.

* * *

Poszedłem do mojego pokoju po kopertę McAry. Gdy wróciłem, Ruth siedziała na sofie. Na palenisku płonęły nowe szczapy, a w kominie huczał wiatr, zasysając pomarańczowe iskry. Dep sprzątała ze stołu. W ostatniej chwili uratowałem szklankę i butelkę szkockiej.

- Masz ochotę na deser? - spytała Ruth. - Może kawy?

- Nie, dziękuję.

- Skończyliśmy już, Dep. Dziękuję ci. - Ruth przesunęła się nieco, dając mi sygnał, żebym usiadł obok, ale udałem, że tego nie zauważyłem. Usiadłem na swoim starym miejscu naprzeciwko niej, po drugiej stronie stolika. Wciąż czułem urazę z powodu jej uwagi, że nie jestem normalnym pisarzem. Może i nie. To prawda, nie napisałem ani jednego wiersza. Nie pisuję rozwlekłych analiz swoich młodzieńczych niepokojów. Nie mam wyraźnych opinii na temat kondycji człowieka poza przekonaniem, że lepiej nie badać jej zbyt szczegółowo. Uważam, że w dziedzinie literatury jestem odpowiednikiem wykwalifikowanego tokarza, tkacza, może raczej garncarza: wytwarzam przedmioty zapewniające pewną przyjemność i rozrywkę, które ludzie chcą kupować.

Wyjąłem z koperty kserokopie legitymacji partyjnej Langa i artykułów o wyborach w Londynie. Przesunąłem je po blacie w stronę Ruth. Skrzyżowała nogi w kostkach i pochyliła się nad dokumentami. Nieoczekiwanie miałem okazję wpatrywać się w zaskakująco głęboki i cienisty przedziałek między jej piersiami.

- Nie można temu zaprzeczyć - stwierdziła, odkładając na bok legitymację. - To z pewnością jego podpis. - Postukała palcem w artykuł o agitatorach z kampanii wyborczej w 1977 roku. - Poznają niektóre twarze. Widocznie tego wieczoru miałam wolne lub pracowałam z inną grupą. W przeciwnym razie byłabym na zdjęciu, obok niego. - Spojrzała

na mnie. - Co jeszcze tam masz?

Uznałem, że próby ukrycia czegoś byłyby bezsensowne. Podąłem jej całą kopertę. Ruth sprawdziła nazwisko, adres i stempel pocztowy.

- Co Mike znalazł ciekawego?

Rozchyliła kopertę kciukiem i palcem wskazującym, po czym ostrożnie zajrzała do środka, jakby obawiała, że w środku może kryć się coś, co ją ukąsi. Wysypała zawartość na stolik. Przyglądałem się uważnie, jak sortuje zdjęcia i programy teatralne - szukałem na jej bladej, inteligentnej twarzy wskazówki, dlaczego McAra uważał te dokumenty za ważne. Gdy wzięła zdjęcie Langa w prążkowanej marynarce, stojącego na zalanym słońcem brzegu rzeki, jej rysy wyraźnie złagodniały.

- Spójrz na niego - powiedziała. - Czyż nie jest piękny?

Pokazała mi zdjęcie, trzymając je obok swego policzka.

- Nikt nie mógłby mu się oprzeć.

Ruth przyjrzała się zdjęciu.

- Boże, jak oni wyglądają. Spójrz na jego włosy. To był inny świat, prawda? Pomyśl, co się wtedy działo? Wietnam. Zimna wojna. Pierwszy strajk górników w Wielkiej Brytanii od tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku. Zamach wojskowy w Chile. A co oni robią? Piją szampana i pływają łódką po rzece!

- Wypiję za ich niefrasobliwość.

Ruth podniosła jedną z kserokopii.

- Posłuchaj - powiedziała i zaczęła czytać:

Wszystkie dziewczyny będą tęskniły,
Gdy pociąg ruszy ze stacji.
Prześlą całusy i westchną: „Wróćcie
Do Cambridge pewnego dnia”.
Niedbale rzucimy róże i powiemy: „Żegnajcie”.
Bo dobrze wiemy, że mają szansę
Taką jak śnieżka w piekle.
Bądź zdrowe, Cambridge, kolacje, bumps i majówki,
Trinners, Fenner's, krykiet, tenis,
Rewie i sztuki w Footlights.
Pójdziemy na pożegnalny spacer
Kochaną, starą KP.
I na ostatnią przejażdżkę łódką po Cam
Do Grantchester na herbatę.

- Nie rozumiem połowy z tego - wyznała, z uśmiechem kręcąc głową. - To szyfr z Cambridge.
- Bumps to regaty wioślarskie - wyjaśniłem. - W Oksfordzie studenci też wiosłują, ale pewnie byłaś zbyt zajęta strajkiem górników, żeby to zauważyć. Majówki to majowe bale, które oczywiście odbywają się w czerwcu.
- Oczywiście.
- Trinners to Trinity College. Fenner's to uniwersyteckie boisko do krykieta.
- AKP?
- King's Parade.
- To miała być parodia i kpina, ale teraz brzmi dość nostalgicznie.

- Możesz to uznać za satyrę.

- A czyj to numer telefonu?

Powinienem wiedzieć, że nic nie umknie jej uwagi. Pokazała mi fotografię z numerem zapisanym na odwrocie. Nie odpowiedziałem. Czuję, że się czerwienię. Oczywiście powinienem powiedzieć jej wcześniej. Teraz wyjdę na winnego.

- Słucham? - nalegała.

- Richarda Rycarta - odpowiedziałem spokojnie.

Warto było to przyznać, choćby po to, żeby zobaczyć wyraz jej twarzy. Wyglądała, jakby połknęła szerszenia. Przycisnęła rękę do gardła.

- Dzwoniłeś do Richarda Rycarta? - wykrztusiła po chwili.

- Nie, nie ja. Na pewno McAra.

- To niemożliwe.

- Kto inny mógł zanotować jego numer? - powiedziałem, podając jej komórkę. - Spróbuj sama.

Ruth patrzyła na mnie tak, jakbym rzucił jej wyzwanie. Wzięła telefon, wystukała czternastocyfrowy numer i przyłożyła komórkę do ucha. Patrzyła na mnie. Mniej więcej po trzydziestu sekundach po jej twarzy przemknął grymas. Przerwała połączenie i odłożyła telefon.

- Odebrał? - spytałem.

- Tak - kiwnęła głową. - Chyba jest w restauracji.

Telefon zadzwonił. Komórka dygotała na blacie, jakby ożyła.

- Co mam zrobić? - spytałem.

- Rób, co chcesz. To twój telefon.

Wyłączyłem komórkę. Ciszę przerywał tylko szum ognia w kominku.

- Kiedy to znalazłeś? - spytała.
- Dzisiaj. Gdy wprowadziłem się do pokoju McAry.
- A potem pojechałeś do zatoki Lambert, żeby zobaczyć, gdzie morze wyrzuciło jego ciało?
- Zgadza się.
- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała cicho i spokojnie. - Powiedz szczerze.

- Sam nie wiem. - Zamilkłem na chwilę. - Ale spotkałem tam pewnego człowieka - wyrzuciłem z siebie. Nie mogłem się dłużej powstrzymywać. - Starego emeryta, który dobrze zna prądy w cieśninie Vineyard. Według niego, o tej porze roku jest całkowicie wykluczone, żeby ciało człowieka, który wypadł z promu z Woods Hole, trafiło do zatoki Lambert. Powiedział mi również, że jego sąsiadka, która ma dom tuż przy wydmach, tej nocy, kiedy zginął McAra, widziała na plaży jakieś światła. Parę dni później spadła ze schodów i nie odzyskała przytomności, więc nie może opowiedzieć o tym policji. - Rozłożyłem bezradnie ręce. - To wszystko, co wiem.

Ruth patrzyła na mnie z lekko rozchyłonymi ustami.

- To wszystko, co wiesz - powtórzyła powoli. - Jezu. - Zaczęła macać sofę, klepiąc rękami po skórzanym obiciu, po czym przerzuciła zdjęcia i kserokopie na stoliku. - Jezu. Cholera. - Wyciągnęła do mnie rękę. - Daj mi telefon.
- Po co ci? - spytałem, jednocześnie podając jej komórkę.

- Czy to nie jest oczywiste? Muszę zadzwonić do Adama. - Trzymała komórkę w wyciągniętej ręce. Przyjrzała się jej, po czym zaczęła wybierać numer, naciskając guziki kciukiem. Mniej więcej w połowie przerwała.

- Co się stało?

- Nic. - Ruth patrzyła gdzieś ponad moim ramieniem, przygryzając dolną wargę. Przez dłuższą chwilę trzymała kciuk nad klawiaturą, aż wreszcie odłożyła telefon na stolik.

- Nie chcesz do niego zadzwonić?

- Może zadzwonię później. - Wstała z sofy. - Najpierw pójde na spacer.

- Przecież jest już dziewiąta - zaprotestowałem. - Leje deszcz.

- Deszcz pomoże mi ochłonać.

- Pójde z tobą.

- Nie. Dziękuję, ale muszę sama wszystko przemyśleć. Zostań tutaj i napij się whisky. Sądząc po twojej minie, whisky dobrze ci zrobi. Nie czekaj, aż wrócę.

* * *

Szczerze współczułem biednemu gliniarzowi. Bez wątpienia siedział sobie na dole, z nogami na stole, przed telewizorem, mając nadzieję na spokojną noc. Zamiast tego ta cholerna Lady Makbet znowu postanowiła pójść na spacer, tym razem podczas burzy. Stojąc przy oknie, patrzyłem, jak idą przez trawnik w kierunku kiwających się drzew i krzewów. Jak zwykle, Ruth szła pierwsza, z pochyloną głową,

jakby zgubiła coś cennego i próbowała to znaleźć. Jej cień rozchodził się w cztery strony. Agent ochrony jeszcze dopinał płaszcz.

Nagle poczułem ogromne znużenie. Od pedałowania bolały mnie mięśnie nóg, czułem, że się przeziębilem. Nawet whisky Rhineharta przestała mnie kusić. Ruth powiedziała, żebym nie czekał na jej powrót, więc postanowiłem nie czekać. Schowałem zdjęcia i kserokopie do koperty i zszedłem na dół do swojego pokoju. Gdy zdjąłem ubranie, zgasilem światło i położyłem się do łóżka, natychmiast pogrążyłem się we śnie - miałem wrażenie, że zapadam się w ciemną wodę, jakbym płynął w silnym prądzie i tracił już siły.

Wynurzyłem się obok McAry. Jego wielkie, niezgrabne ciało unosiło się w wodzie niczym wieloryb. Był całkowicie ubrany, w ciężkim czarnym płaszczu i butach na grubych podszwach. „Nie dam rady, powiedział do mnie, płyn dalej sam”.

Gwałtownie usiadłem na łóżku. Nie wiedziałem, jak długo spałem. W pokoju było ciemno, tylko w szczelinie pod drzwiami widać było pasek światła.

- Nie śpisz? - usłyszałem cichy głos Ruth. Zapukała do drzwi. Uchyliła je i zajrzała do środka, stojąc na korytarzu.

- Już nie.

- Przepraszam.

- Nie szkodzi. Chwileczkę.

Poszedłem do łazienki po szlafrok, który wisiał na drzwiach. Gdy wróciłem do sypialni i otworzyłem drzwi,

zauważyłem, że Ruth jest ubrana tak samo. Szlafrok był na nią za duży, wydawała się w nim zaskakująco drobna i bezbronna. Miała mokre włosy. Na korytarzu widać było mokre ślady jej stóp.

- Która godzina? - spytałem.

- Nie wiem. Właśnie rozmawiałam z Adamem. - Ruth drżała, była wyraźnie wstrząśnięta. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

- No i co?

Ruth rozejrzała się po korytarzu.

- Mogę wejść?

Zapaliłem lampkę na nocnym stoliku. Odsunąłem się, wpuściłem ją i zamknąłem drzwi. Wciąż jeszcze nie otrząsnąłem się ze snu.

- Dzień przed śmiercią Mike'a między nim a Adamem doszło do piekielnej awantury – powiedziała bez wstępu. - Nikomu o tym nie mówiłam, nawet policji.

Masowałem skronie i starałem się skoncentrować.

- O co się pokłócili?

- Nie wiem, ale to była straszna kłótnia. Ostateczne zerwanie. Potem już nie rozmawiali. Gdy spytałam Adama, nie chciał o tym mówić. Zachowywał się tak samo, ilekroć poruszałam ten temat. W świetle tego, czego dowiedziałam się dziś od ciebie, uznałam, że muszę o tym z nim porozmawiać i uzyskać jakieś wyjaśnienie.

- Co ci powiedział?

- Jadł kolację z wiceprezydentem. W pierwszej chwili ta cholerna kobieta nie chciała nawet podać mu telefonu.

Usiadła na łóżku i ukryła twarz w dłoniach. Nie wiedziałem, jak się zachować. Czulem się niezręcznie, stojąc nad nią, dlatego usiadłem obok. Dygotała, może ze strachu, może z gniewu, a może po prostu z zimna.

- Zaczął od tego, że nie może rozmawiać - podjęła - ale odpowiedziałam, że mam to w dupie i musi ze mną porozmawiać. Poszedł z telefonem do toalety. Gdy mu powiedziałam, że Mike kontaktował się na krótko przed śmiercią z Rycartem, nawet nie udawał zdziwienia. - Ruth spojrzała na mnie. Była wstrząśnięta. - On wiedział.

- Przyznał to?

- Nie musiał. Poznałam to po jego głosie. Powiedział, że nie możemy o tym mówić przez telefon. Porozmawiamy po jego powrocie. Boże, w co on się wplątał?

Coś się w niej załamało. Oparła głowę na mojej piersi. Przez chwilę bałem się, że zemdleje, ale ona przytuliła się, zaciskając palce na moich ramionach tak mocno, że nawet przez grubą tkaninę czulem jej obgryzione paznokcie. Moje dłonie zawisły nad jej plecami, jakby wytwarzała jakieś odpychające pole magnetyczne. W końcu pogłaskałem ją po włosach i spróbowałem wyszeptać kilka słów pociechy, w które sam nie wierzyłem.

- Boję się - powiedziała zduszonym głosem. - Jeszcze nigdy w życiu się nie bałam, a teraz się boję.

- Masz mokre włosy - szepnąłem łagodnie. - Jesteś przemoczona. Poczekaj, przyniosę ręcznik.

Uwolniłem się z jej uścisku i poszedłem do łazienki.

Spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Czuję się jak narciarz, który ma po raz pierwszy zjechać czarną nartostradą. Gdy wróciłem do pokoju, Ruth zdjęła szlafrok i położyła się do łóżka, zakrywając kołdrą piersi.

- Masz coś przeciwko? - spytała.

- Oczywiście, że nie.

Zgasilem światło i położyłem się obok niej na zimnej połówce łóżka. Przekręciła się na bok, położyła rękę na mojej piersi i mocno przycisnęła wargi do moich ust, jakby ten pocałunek miał mnie przywrócić do życia.

Rozdział 12

*Książka to nie miejsce, gdzie murzyn może
wyrażać swoje poglądy na jakikolwiek temat.*

Andrew Crofts

Gdy obudziłem się następnego dnia rano, nie spodziewałem się, że ją zobaczę. Tak wygląda zwykły protokół w takich sytuacjach, nieprawdaż? Nocny interes załatwiony, strona, która dokonała odwiedzin, wraca do swojej kwatery, gdyż równie silnie jak wampir pragnie uniknąć bezwzględnych promieni świtu. To nie dotyczyło Ruth Lang. W półmroku dostrzegłem jej nagie ramię i czarne włosy. Sądząc po jej nieregularnym i niemal bezgłośnym oddechu, była równie przytomna jak ja. Nasłuchiwała, co robię.

Położyłem się na wznak, splatając ręce na brzuchu. Leżałem nieruchomo jak nagrobny posąg krzyżowca. Od czasu do czasu zamykałem oczy, gdy docierał do mnie jeszcze jakiś aspekt tej sytuacji. W skali Richtera kiepskich pomysłów ten miał dziesięć punktów. To było piramidalne szaleństwo.

Po pewnym czasie sięgnąłem po zegarek leżący na nocnym stoliku i przysunąłem go sobie do oczu. Był kwadrans po siódmej.

Ostrożnie, wciąż udając, że nie wiem, iż ona udaje, wstałem z łóżka i poszedłem na palcach do łazienki.

- Nie śpisz - stwierdziła Ruth, nadal leżąc bez ruchu.

- Przepraszam, jeśli cię obudziłem - odpowiedziałem. - Chciałem wziąć prysznic.

Zamknąłem za sobą drzwi, puściłem tak gorący i tak mocny strumień wody, jaki tylko mogłem wytrzymać, i poddałem się chłóście - plecy, brzuch, nogi, czaszka. Para szybko wypełniła niewielką łazienkę. Później, gdy się goliłem, musiałem wielokrotnie wycierać lustro, żeby zobaczyć swoje odbicie.

Nim wróciłem do pokoju, Ruth już włożyła płaszcz kąpielowy. Siedząc przy biurku, przeglądała maszynopis. Nie rozsunęła firanek.

- Wykreśliłeś historię jego rodziny - zauważyła. - Nie będzie z tego zadowolony. Jest bardzo dumny ze swego rodu. - Dlaczego za każdym razem podkreśliłeś moje imię?

- Chciałem sprawdzić, jak często jest mowa o tobie. Zdziwiło mnie, że tak rzadko.

- To pewnie wciąż jeszcze kac po badaniach fokusowych.

- Przepraszam?

- Gdy jeszcze urzędowaliśmy na Downing Street, Mike często powtarzał, że ilekroć otworzę publicznie usta, Adam traci dziesięć tysięcy głosów.

- To na pewno nieprawda.
- Oczywiście, że tak. Ludzie zawsze szukają kogoś, kogo mogliby nie cierpieć. Często myślę, że z jego punktu widzenia byłam użyteczna przede wszystkim jako piorunochron. To na mnie ludzie wyładowywali gromy gniewu, nie na nim.
- Nawet jeśli tak było, to jeszcze nie powód, żeby wykreślać cię ze wspomnień.
- Dlaczego nie? To los większości kobiet. Wcześniej lub później nawet takie Amelie Bly zostają wykreślone.
- Tak czy inaczej, zamierzam zapewnić ci należyte miejsce. - Otworzyłem szafę tak gwałtownie, że drzwi trzasnęły o futrynę. Chciałem wyrwać się z tego domu. Wiedziałem, że muszę zdystansować się od tego destruktywnego *ménage à trois*, bo inaczej zwariuję, tak jak oni. - Gdy będziesz miała czas, chciałbym przeprowadzić z tobą długi wywiad. Mógłbym wtedy uwzględnić wszystkie ważne zdarzenia, o których on zapomniał.
- Bardzo miło z twojej strony - powiedziała z goryczą. - Chcesz odegrać rolę sekretarki, która przypomina szefowi o urodzinach żony?
- Coś w tym stylu. Jak sama powiedziałaś, nie jestem normalnym pisarzem.
- Czuję, że uważnie mnie obserwuje. Włożyłem bokserki, nie zdejmując szlafroka.
- Ach, ta poranna skromność - zauważyła ironicznie.
- Trochę spóźniona - odpowiedziałem.
- Zdjąłem szlafrok i sięgnąłem po koszulę. Gdy rozległ się brzęk wieszaka, pomyślałem, że dyskretnie nocne odejście

wymyślono właśnie po to, żeby uniknąć takich przykrych scen. To było dla niej typowe - nie miała wycucia, czego wymaga dana sytuacja. Teraz dzieliła nas intymna noc. Milczenie przedłużało się, twardniało, aż jej niechęć zmieniła się w niemal kamienną barierę. Teraz nie mógłbym jej pocałować; to było równie wykluczone, jak podczas pierwszego dnia naszej znajomości.

- Co chcesz zrobić? - spytała.
- Wyprowadzam się.
- Z mojego punktu widzenia to nie jest konieczne.
- Natomiast z mojego jest, jak najbardziej.

Włożyłem spodnie.

- Czy zamierzasz powiedzieć o tym Adamowi? - spytała.
- Och, na litość boską! - krzyknąłem. - A jak myślisz?

Położyłem walizkę na łóżku.

- Dokąd zamierzasz się przeprowadzić? - Ruth wyglądała, jakby znowu miała się rozpłakać. Miałem nadzieję, że tego nie zrobi. To byłoby dla mnie już za wiele.

- Wracam do hotelu. Tam będzie mi łatwiej pracować. - Zacząłem wrzucać swoje rzeczy do walizki, nawet nie fatygując się ich składaniem. Chciałem jak najszybciej wyjść. - Przepraszam. Nie powinienem był zgodzić się na zamieszkanie w domu klienta. To zawsze kończy się... - zawahałem się.

- Pieprzeniem jego żony?

- Nie, skądże. Po prostu to bardzo utrudnia zachowanie profesjonalnego dystansu. Zresztą, przypomnij sobie, że to nie był wyłącznie mój pomysł.

- To nie była uwaga godna dżentelmena.

Nie odpowiedziałem. Nadal się pakowałem. Śledziła każdy mój ruch.

- A co z tym wszystkim, o czym opowiedziałam ci wczoraj wieczorem? - spytała. - Co zamierzasz zrobić w tej sprawie?

- Nic.

- Nie możesz po prostu tego zignorować.

- Ruth - powiedziałem, wreszcie przerywając pakowanie. - Jestem murzynem, nie dziennikarzem śledczym. Jeśli on zechce wyznać, jak to było naprawdę, jestem na miejscu, żeby mu pomóc. Jeśli nie - jego sprawa. Ja zajmuję stanowisko neutralne moralnie.

- Jeśli wiesz, że popełniono przestępstwo, i ukrywasz fakty, to nie jest to stanowisko moralnie neutralne. Przeciwnie, łamiesz prawo.

- Nic mi nie wiadomo o tym, że faktycznie zostało popełnione jakieś przestępstwo. Wszystko, co wiem, to numer zapisany na odwrocie zdjęcia oraz plotki jakiegoś starucha, który być może ma sklerozę. Jeśli ktoś z nas dysponuje jakimiś dowodami, to raczej ty, nie ja. To jest właściwe pytanie: Co ty zamierzasz zrobić?

- Nie wiem - odpowiedziała. - Może napiszę własne wspomnienia. *Szczere wyznania żony byłego premiera.*

Wróciłem do pakowania.

- Jeśli się kiedyś na to zdecydujesz, zadzwoń do mnie - powiedziałem.

Ruth zaśmiała się swoim charakterystycznym, gardłowym śmiechem.

- Czy naprawdę sądzisz, że gdybym chciała napisać książkę, potrzebowałabym pomocy kogoś takiego jak ty?

Ruth wstała i rozwiązała pasek. Przez chwilę myślałem, że zamierza się rozebrać, ale tylko go rozluźniła, żeby ciaśniej owinąć się szlafrokiem. Mocno zacisnęła pasek i zawiązała go, a ten definitywny gest w pewien sposób przywrócił jej wyższość. Moje prawo dostępu zostało unieważnione. Jej zdecydowanie było tak wyraźne, że niemal zrobiło mi się żal; gdyby w tym momencie wyciągnęła do mnie ramiona, to rzuciłbym się jej na szyję, ale zamiast tego odwróciła się, po czym pociągnęła za sznurek od firanek.

- Ogłaszam oficjalnie początek nowego dnia - powiedziała jak żona premiera na oficjalnej uroczystości. - Niech Bóg błogosławi ten dzień i wszystkim, którzy muszą go przeżyć.

- Hm - mruknąłem, wyglądając przez okno. - To rzeczywiście wygląda na poranek po burzliwej nocy.

Deszcz zmienił się w mokry śnieg, a na trawniku leżały połamane gałęzie i przewrócone na bok wiklinowe krzesło. Tu i ówdzie, w osłoniętych miejscach, śnieg utrzymał się i zamarzył, tworząc paski podobne do opakowania z polistyrenu. Jednym jasnym punktem była plama światła z lampy naszej sypialni. Przypominała latający spodek unoszący się

nad wydumą. Widziałem w oknie wyraźne odbicie twarzy Ruth: czujnej i zamyślonej.

- Nie zamierzam udzielić ci wywiadu - oznajmiła. - Wcale nie chcę pojawić się w jego pieprzonej książce, żeby mógł mnie traktować protekcyjnie i łaskawie dziękować, używając twoich słów. - Odwróciła się, minęła mnie i skierowała się do drzwi. - Teraz niech radzi sobie sam. Wystąpię o rozwód. Potem niech ona odwiedza go w więzieniu.

Po chwili usłyszałem trzask drzwi jej sypialni i plusk spuszczonej wody w toalecie. Już prawie skończyłem się pakować. Ubranie, które Ruth pożyczyła mi poprzedniego dnia, zostawiłem złożone na krześle. Włożyłem laptop do torby. Został już tylko maszynopis. Gruba trzycalowa ryza papieru leżała na stole tam, gdzie Amelia ją zostawiła - moje koło młyńskie, moje nieszczęście, mój bon żywnościowy. Nie mogłem pracować bez niego, ale nie miałem prawa wynieść go z domu. Przyszło mi do głowy, że zapewne mógłbym twierdzić, iż wszczęcie dochodzenia w sprawie zbrodni wojennych całkowicie zmieniło sytuację Langa, a zatem stare reguły straciły moc. W każdym razie to było jakieś usprawiedliwienie. Nie miałem ochoty zostać tutaj i czuć zakłopotanie przy każdym spotkaniu z Ruth. Włożyłem maszynopis i kopertę z archiwum do walizki, zamknąłem ją i wyszedłem na korytarz.

Barry, agent Wydziału Specjalnego, siedział przy drzwiach frontowych z powieścią o Harrym Potterze. Podniósł głowę znad książki i popatrzył na mnie ze znużoną dezaprobatą zmieszaną z szyderczą pogardą.

- Dzień dobry panu - powiedział. - Nocna zmiana skończona?

On wie, pomyślałem. Oczywiście, że wie, ty durniu, przecież na tym polega jego pieprzona praca. Nagle wyobraziłem sobie jego kpiące rozmówki z kolegami, oficjalny raport przesłany do Londynu, dyskretne zapisanie meldunku w odpowiednim pliku. Ogarnęła mnie wściekłość, czułem niechęć do tego całego systemu. Pewnie mógłbym odpowiedzieć puszczeniem oka lub jakimś kolokwializmem: - „No, wie pan, jak to się mówi, na starych skrzypkach można zagrać wiele ładnych melodii” lub coś w tym stylu.

- Może się pan odpierdolić? - rzuciłem zamiast tego. Może nie była to reakcja godna Oskara Wilde'a, ale w ten sposób udało mi się przynajmniej wyjść z domu. Skierowałem się ku drodze. Poniewczasie zdałem sobie sprawę, że moje zasadnicze stanowisko nie zapewnia ochrony przed śniegiem z deszczem. Zrobiłem kilka kroków, usiłując zachować godność, a następnie schowałem się za domem. Zdjąłem kurtkę i osłoniłem nią głowę. Deszczówka przepelniła rynsztok i wsiąkała w piach. Zacząłem się zastanawiać, jak dotrę do Edgartown. Przyszło mi do głowy, że mógłbym pożyczyć piaskowego forda escape SUV.

Jakże inaczej - zupełnie inaczej - potoczyłoby się moje życie, gdybym natychmiast nie pobiegł do garażu, wymijając kałuże, ciągnąc za sobą walizkę, a dragą ręką przytrzymując kurtkę nad głową. Widzę to teraz jak na filmie lub raczej jednej z tych telewizyjnych rekonstrukcji przestępstwa:

ofiara nieświadomie idzie na spotkanie swego losu, groźne akordy podkreślają dramatyzm sceny. Brama garażu była otwarta, kluczyki w stacyjce - któż lękałby się złodziei, mieszkając dwie mile od szosy, pod opieką sześciu uzbrojonych ochroniarzy? Wrzuciłem rzeczy na miejsce pasażera, włożyłem kurtkę i usiadłem za kierownicą.

W fordzie było zimno jak w kostnicy i brudno jak na strychu. Gdy przejechałem palcami po nieznanym mi przyciskach i dźwigniach, zostały na nich szare plamy kurzu. Nie mam samochodu - mieszkam samotnie w Londynie i nie jest mi potrzebny - a ilekroć wynajmuję, zawsze wydaje mi się, że dodano kilka nowych urządzeń i deska w zwykłym rodzinnym wozie wygląda jak kokpit odrzutowca. Na prawo od kierownicy zauważyłem jakiś tajemniczy ekran, który zapalił się, gdy przekręciłem kluczyk w stacyjce. Na ekranie widać było pulsujące zielone strzałki łączące Ziemię z satelitą. Po chwili zmieniły kierunek - teraz były zwrócone od stacji ku Ziemi. Chwilę później obraz całkowicie się zmienił - teraz widziałem dużą czerwoną strzałkę, żółty pas i wielką niebieską plamę.

- Wjedź na drogę najszybciej jak to możliwe - usłyszałem gdzieś z tyłu łagodny, ale stanowczy kobiecy głos.

Chętnie bym ją wyłączył, ale nie wiedziałem jak, a bałem się, że warkot silnika wkrótce skłoni Barry'ego do wyjścia z domu w celu sprawdzenia, co się dzieje. Sama myśl o jego lubieżnym uśmiechu skłoniła mnie do natychmiastowego

odjazdu. Wrzuciłem wsteczny i wyprowadziłem samochód z garażu. Ustawiłem lusterka, włączyłem reflektory i wycieraczki, po czym skierowałem się do bramy. Gdy mijalem budkę wartownika, scena na ekranie urządzenia nawigacyjnego szybko się zmieniła, zupełnie jakby to była jakaś gra komputerowa. Teraz czerwona strzałka znalazła się pośrodku żółtej drogi. Ruszyłem przed siebie.

W miarę jak jechałem, na ekranie pojawiały się mijane ścieżki i potoki, wszystkie starannie oznaczone, po czym przesunęły się w dół i zniknęły. To działało na mnie uspokajająco, czułem, że świat jest bezpieczny i oswojony, wszystkie jego elementy zmierzone i oznaczone, a dane zmagazynowane w niebiańskiej sterowni, gdzie łagodne anioły czuwają nad ziemskimi podróżnikami.

- Za dwieście jardów skręć w prawo - poinstruowała mnie kobieta.

- Za pięćdziesiąt jardów skręć w prawo.

- Skręć w prawo.

Samotny przeciwnik Langa siedział skulony w swoim szałasie, czytając gazetę. Gdy zobaczył, że zbliżam się do skrzyżowania, wyszedł na zewnątrz. Zauważyłem zaparkowany w pobliżu samochód kempingowy - dużego, starego volkswagena. Zastanowiło mnie, dlaczego ten facet nie schował się w samochodzie. Skręcając w prawo, miałem okazję mu się przyjrzeć: jego szara chuda twarz była nieruchoma i pozbawiona wyrazu. Znosił deszcz i śnieg z taką obojętnością, jakby był z drewna. Naciśnąłem pedał gazu.

Jechałem do Edgartown, czując lekkie podniecenie - prowadzenie samochodu w obcym kraju zawsze jest przygodą. Moja bezcielesna przewodniczka milczała przez cztery mile. Już prawie o niej zapomniałem, ale gdy dojeżdżałem do miasta, odezwała się ponownie.

- Za dwieście jardów skręć w lewo.

Podskoczyłem na fotelu.

- Za pięćdziesiąt jardów skręć w lewo.

- Skręć w lewo - poleciała po raz trzeci, gdy dojechałem do skrzyżowania.

Zaczęła mi działać na nerwy.

- Bardzo przepraszam - powiedziałem i skręciłem w prawo, w kierunku ulicy Main.

- Zawróć, gdy tylko będzie to możliwe.

- To jakiś absurd - mruknąłem. Zjechałem na bok i zaparkowałem. Zacząłem naciskać różne guziki odbiornika GPS, próbując go wyłączyć. Na ekranie pojawiło się menu poleceń. Nie pamiętam wszystkich. Na pewno było „WPROWADŹ NOWE MIEJSCE DOCELOWE” i „POWRÓT NA ADRES DOMOWY”. Zwróciłem uwagę na podświetlony napis „LISTA POPRZEDNICH MIEJSC DOCELOWYCH”. Przyglądałem jej się przez dłuższą chwilę, powoli uświadamiając sobie ukryte tu możliwości. Ostrożnie nacisnąłem „WYBIERZ”.

Ekran zgasł. Najwyraźniej urządzenie źle działało.

Zgasilem silnik, żeby poszukać instrukcji obsługi. Zdecydowałem się nawet, mimo śniegu z deszczem, wyjść z wozu, żeby sprawdzić, co jest w bagażniku. Na próżno. Wróciłem do samochodu i znowu zapaliłem silnik. GPS

włączył się automatycznie i nawiązał kontakt z satelitami. Wrzuciłem bieg, po czym zjechałem ze wzgórza.

- Zawróć, gdy tylko będzie to możliwe.

Zabębniłem palcami w kierownicę. Po raz pierwszy w życiu miałem do czynienia z przeznaczeniem w prawdziwym sensie tego słowa. Minąłem wiktoriański kościół wielorybników. Jechałem w dół zbocza, opadającego aż do portu. Między szarymi strugami deszczu widać było kilka białych masztów. Byłem niedaleko hotelu - dziewczyny w czepku, marynistycznych grafik i starego kapitana Johna Coffina patrzącego surowym wzrokiem ze ściany. Do ósmej zostało jeszcze kilka minut, na ulicach nie było samochodów, a na chodnikach nie dostrzegłem żywej duszy. Jechałem dalej, mijając zamknięte sklepy z pogodnymi wywieszkami: „Zamknięte na zimę - do zobaczenia w przyszłym roku!”.

- Zawróć, gdy tylko będzie to możliwe.

Niechętnie podporządkowałem się losowi. Włączyłem kierunkowskaz i skręciłem w niewielką uliczkę wśród jednorodzinnych domów - chyba nazywała się Letnia, co zupełnie nie pasowało do okoliczności. Zahamowałem. Deszcz bębnił o dach forda, wycieraczki kiwały się raz w jedną, raz w drugą stronę. Czarno-biały terier załatwiał się do rynszotka z wyrazem wielkiego skupienia na bystrym pysku. Jego właściciel, zbyt grubo okutany w ciepłe ubranie, bym mógł rozpoznać wiek lub płeć, niezdarnie obrócił się, żeby na mnie spojrzeć. Poruszał się jak astronauta podczas spaceru po Księżycu. W rękę trzymał plastikową łopatkę do zbierania psich kup. Szybko wróciłem na ulicę Main. Przy zawracaniu

musiałem wjechać na chodnik. Z piskiem opon ruszyłem pod górę. Strzałka przez chwilę poruszała się bezładnie, po czym znieruchomiła na środku drogi.

Wciąż nie rozumiem, dlaczego to zrobiłem. Nie miałem nawet pewności, że to McAra był ostatnim kierowcą, który wprowadził adres do urządzenia nawigacyjnego. Równie dobrze mógł to zrobić ktoś z gości Rhineharta, Dep lub Due, a nawet ktoś z policji. Z pewnością myślałem, że jeśli sytuacja stanie się choć trochę groźna, zawsze mogę się wycofać, co dało mi fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

Gdy już wyjechałem z Edgartown na drogę do Vineyard Haven, mój anioł stróż na kilka minut zamilkł. Mijałem ciemny las i białe domy. Nieliczne samochody jadące z naprzeciwka z zapalonymi światłami poruszały się powoli, a mimo to spod kół tryskały bryzgi wody. Pochyliłem się do przodu, uważnie patrząc przed siebie. Minąłem szkołę średnią, gdzie właśnie zaczynał się poranny ruch. Obok były chyba jedyne na wyspie światła uliczne (zaznaczono je na mapie jak turystyczną atrakcję, coś, co należy zobaczyć zimą). Za ostrym zakrętem droga się zwęziła, a las zbliżył do pobocza. Na ekranie widziałem kolejne wymowne nazwy: Droga Łowcy Jeleni, Aleja Skiffisty.

- Za dwieście jardów skręć w prawo.
- Za pięćdziesiąt jardów skręć w prawo.
- Skręć w prawo.

Skręciłem. Droga prowadziła w dół, do Vineyard Haven.

Minąłem szkolny autobus, żmudnie pnący się do góry. Kątem oka zobaczyłem opustoszałą handlową ulicę po lewej, po czym znalazłem się na płaskim terenie, wśród nędznych domów wokół portu. Przeciąłem skrzyżowanie, minąłem kawiarnię i wjechałem na wielki parking. Sto jardów dalej, na mokrym betonowym podejździe, stały samochody oczekujące na wjazd na prom. Czerwona strzałka na ekranie wskazywała, że mam tam jechać.

Gdy siedziałem w ciepłym aucie, droga proponowana przez GPS wydawała mi się zachęcająca jak rysunek dziecka z letnich wakacji - żółty pomost wcinający się w jasniebieskie wody portu. Rzeczywistość za oknem była zdecydowanie mniej kusząca: obwisła paszcza furty promu, z widoczną rdzą na zawiasach, a dalej szare fale i tnące strugi deszczu.

Ktoś zapukał w boczne okno samochodu. Przez chwilę szukałem odpowiedniego przycisku, po czym opuściłem szybę. Obok stał mężczyzna w niebieskim sztormiaku z naciągniętym kapturem, który przytrzymał lewą ręką, żeby wiatr go nie zwał. Z przypiętego na piersi identyfikatora wynikało, że jest pracownikiem linii promowej.

- Musi się pan pośpieszyć - powiedział. - Prom odpływa o ósmej piętnaście. Pogoda się psuje. Następny kurs pewnie zostanie przełożony. - Otworzył drzwiczki samochodu i niemal popchnął mnie w kierunku kasy biletowej. - Idź pan zapłacić. Powiem im, że zaraz pan wjedzie.

Zostawiłem włączony silnik i poszedłem do niewielkiego budynku. Nawet stojąc przy kasie, wciąż nie byłem zdecydowany. Przez okno widziałem, jak do ładowni promu wjeżdżają ostatnie samochody. Parkingowy stał przy fordzie, przytupując dla rozgrzewki. Dostrzegł, że patrzę na niego, i gestem wskazał, żebym się pośpieszył.

Stara kasjerka również wyglądała tak, jakby nie miała wątpliwości, że w piątek o ósmej piętnaście wolałaby być gdzieś indziej.

- Jedzie pan czy nie? - spytała.

Westchnąłem, wyciągnąłem portfel i wręczyłem jej pięćdziesiąt dolarów. Podała mi bilet i kilka monet reszty.

* * *

Gdy wjechałem po brzęczącej metalowej pochylni do ciemnej, zabrudzonej smarem ładowni promu, następny mężczyzna w sztormiaku wskazał mi, gdzie mam zaparkować. Przesuwałem się powolutku do przodu, aż wreszcie uniósł pionowo dłoń. Zatrzymałem się. Inni kierowcy już wysiadali z samochodów i przeciskali się między nimi do schodów. Zostałem na fotelu. Próbowałem wybadać, jak działa urządzenie do nawigacji satelitarnej, ale po chwili podszedł do mnie jeden z członków załogi i wskazał gestem, żebym wyłączył silnik. Gdy to zrobiłem, automatycznie zgasł również ekran. Wrota promu zamknęły się zaraz za mną. Motor zaczął pulsować, kadłub zatrząsł się i odbiliśmy od brzegu, czemu towarzyszył deprymujący zgrzyt metalu.

Siedząc w zimnej, mrocznej ładowni, śmierdzącej olejem napędowym i spalinami, nagle poczułem się jak w pułapce. Nie był to tylko atak klaustrofobii spowodowany zamknięciem pod pokładem. Przyczyną był McAra. Czulem wokół siebie jego obecność. Zaraziłem się jego obsesjami. Był jak namolny, przy głupi współpasażer, z którym niepotrzebnie wdajemy się w rozmowę, a potem nie chce się od nas odczepić. Wsiadłem z samochodu, zaniknąłem go na klucz i poszedłem na poszukiwania kawy. W barze na górnym pokładzie stanąłem w kolejce za mężczyzną, który czytał „USA Today”. Zaglądając mu przez ramię, zobaczyłem zdjęcia Langa z sekretarzem stanu i wielki tytuł: „LANG OSKAR-ŻONY O ZBRODNIĘ WOJENNE”, a poniżej, trochę mniejszymi literami: „WASZYNGTON OKAZUJE POPARCIE”. Fotograf uchwycił uśmiech Langa.

Wziąłem kawę, poszedłem do kąta i usiadłem, żeby zastanowić się spokojnie, dokąd zaprowadziła mnie ciekawość. Ścisłe mówiąc, ukradłem samochód. Powinienem przynajmniej zadzwonić i powiedzieć, że zabrałem forda. To jednak najprawdopodobniej doprowadziłoby do rozmowy z Ruth, która spytałaby, gdzie jestem. Nie chciałem jej mówić. Nasuwało się również pytanie, czy to, co robiłem, było mądre. Jeśli rzeczywiście jadę śladami McAry, to muszę wziąć pod uwagę, że on nie wrócił z tej wyprawy żywy. Skąd mam wiedzieć, do czego doprowadzi mnie ta droga? Może powinienem komuś powiedzieć, co zamierzam, lub, jeszcze lepiej, wziąć kogoś na świadka. A może po prostu powinienem zejść na ląd w Woods Hole, posiedzieć trochę w jakimś

barze, wrócić następnym promem na wyspę i starannie zaplanować całe przedsięwzięcie, zamiast bez przygotowania rzucać się w nieznane.

To zapewne zaskakujące, ale nie miałem poczucia zagrożenia - pewnie dlatego, że to wszystko wydawało się takie normalne. Przyjrzałem się innym pasażerom - sądząc po butach i ubraniach, byli to zwykli, pracujący ludzie. Zmęczeni faceci, którzy właśnie dowieźli zaopatrzenie na wyspę, i ludzie jadący do pracy na stałym lądzie. Wielka fala uderzyła w burtę promu. Wszyscy zakołysaliśmy się na krzesłach niczym rośliny na dnie morza. Przez mokry iluminator widać było zarys niskiej linii brzegowej i szare niespokojne morze. Ten widok był zupełnie anonimowy, równie dobrze mogliśmy płynąć po Bałtyku, Morzu Białym lub przez cieśninę Solent - dowolny akwen z płaskim, ponurym brzegiem, gdzie ludzie muszą ciężko harować, żeby przeżyć.

Ktoś wyszedł na pokład na papierosa, wpuszczając do baru zimny mokry podmuch. Nie poszedłem za jego przykładem. Zamówiłem jeszcze jedną kawę i rozsiadłem się wygodniej na krześle w bezpiecznym, dusznym barze. Pół godziny później, gdy minęliśmy latarnię morską na Nobska Point, z głośników rozległo się polecenie, byśmy wrócili do samochodów. W tym momencie w burtę uderzyła szczególnie duża fala, rozległ się głośny huk i prom gwałtownie się zakołysał. Straciłem równowagę i uderzyłem biodrem o poręcz schodów. W ładowni zawyły samochodowe urządzenia alarmowe. Moje poczucie bezpieczeństwa natychmiast wyparowało, wpadłem w panikę, że ktoś włamał się do forda.

Pobiegłem do samochodu. Wydawał się nietknięty, a gdy zajrzałem do walizki, maszynopis Langa był na miejscu.

Zapaliłem silnik. Gdy wyjechałem na mokre od deszczu i omiatane wiatrem ulice Woods Hole, na ekranie znowu pojawiła się złota droga. Mógłbym z łatwością zaparkować i wstąpić do jakiegoś baru na śniadanie, ale zamiast tego pozostałem w kolumnie samochodów, która niosła mnie dalej - drogą przez Woods Hole, ulicami Locust, Main i jeszcze dalej, w głąb ponurej zimy. Miałem pół baku benzyny i cały dzień do dyspozycji.

- Za dwieście jardów, na rondzie, skręć w drugi zjazd.

Wykonałem polecenie. Przez następne czterdzieści pięć minut jechałem autostradą na północ, w przybliżeniu tą samą drogą, którą przyjechałem z Bostonu. To przynajmniej dało odpowiedź na jedno pytanie: na krótko przed śmiercią McAra nie spotkał się z Rycartem w Nowym Jorku. Zastanawiałem się, co mogło go skłonić do podróży do Bostonu. Może pojechał na lotnisko? Wyobraziłem sobie, że wybrał się na spotkanie z kimś, kto miał przylecieć - pewnie z Anglii. Najpierw z powagą i niecierpliwym wyczekiwaniem patrzy na niebo, potem pośpieszne powitanie w hali terminalu i tajemnicze *rendez-vous*. A może sam dokądś poleciał? Gdy już byłem prawie pewien tego scenariusza, GPS skierował mnie na zachód, na międzystanową autostradę numer 95. Mimo kiepskiej znajomości geografii Massachusetts wiedziałem, że oddalam się od lotniska Logan i prawdopodobnie jadę do centrum Bostonu.

Jechałem szeroką drogą jakieś piętnaście mil, starając się prowadzić jak najwolniej. Deszcz osłabł, ale wciąż było ciemno. Na zewnątrz było kilka stopni mrozu. Po obu stronach drogi widać było las, jeziora, budynki biurowe i nowoczesne fabryki, położone w niemal parkowym otoczeniu, jak elitarne kluby lub cmentarze. Już zacząłem podejrzewać, że może McAra chciał uciec do Kanady, gdy anioł stróż polecił mi skręcić w następny zjazd z autostrady. W ten sposób znalazłem się na kolejnej sześciopasmowej autostradzie - Concord Turnpike.

Wprawdzie na drzewach nie było liści, ale gałęzie i tak zasłaniały widok. Jechałem bardzo wolno, co złościło innych kierowców. Co jakiś czas doganiała mnie kolejna ogromna ciężarówka. Zbliżała się z potwornym hukiem, kierowca włączał długie światła, trąbił, po czym wreszcie decydował się mnie wyprzedzić, opryskując przy okazji fontanną brudnej wody.

- Zjedź z autostrady następnym zjazdem za dwieście jardów - odezwał się głos.

Jechałem prawym pasem, więc łatwo mogłem zjechać w bok. Znalazłem się na ukrytym w lesie przedmieściu, z wielkimi domami, podwójnymi garażami, szerokimi podjazdami i rozległymi trawnikami. Tu mieszkali ludzie zamożni, ale skłonni do utrzymywania sąsiedzkich kontaktów. Granice między działkami wyznaczały drzewa, nie zaś płoty, a na prawie każdej skrzynce pocztowej wisiała żółta wstążka na cześć wojska. Wydaje mi się, że była to ulica Przyjemna.

Zauważyłem drogowskaz do Belmont Center. Jechałem mniej więcej w tym kierunku. Tu było mniej domów, widocznie ceny nieruchomości wzrosły. Minąłem pole golfowe, po czym skręciłem w prawo, w las. Niewiele brakowało, a przejechałbym wiewiórkę, ale udało jej się uciec na słup z tablicą z zakazem palenia ognisk. W tym momencie, gdy wydawało mi się, że jestem na zupełnym pustkowiu, mój anioł stróż oświadczył zdecydowanie, że dotarłem do celu.

Rozdział 13

Jestem entuzjastą zawodu murzyna, dlatego zapewne, czytając moją książkę, można odnieść wrażenie, że jest to łatwy sposób zarabiania na życie. Jeśli tak, to powinienem obwarować moje słowa pewnymi zastrzeżeniami.

Andrew Crofts

Skreśliłem na pobocze i zgasilem silnik. Rozglądając się po gęstym mokrym lesie, czułem głębokie rozczarowanie. Nie jestem pewien, czego właściwie się spodziewałem - pewnie nie przewidywałem spotkania z wyrafinowaną prostytutką na jakimś podziemnym parkingu, ale też z pewnością liczyłem na coś więcej. Mc Ara znowu mnie zaskoczył. Podobno miał do wsi i natury jeszcze bardziej wrogie nastawienie niż ja, a oto jego ślad kończył się w rajach amatorów włóczędzy.

Wysiadłem z samochodu i na wszelki wypadek zamknąłem drzwi na klucz. Po dwóch godzinach jazdy chciałem odetchnąć zimnym, wilgotnym powietrzem Nowej Anglii.

Przeciągnąłem się i zacząłem iść mokrą ścieżką. Wieiórka przyglądała mi się uważnie, siedząc na słupie po drugiej stronie drogi. Zrobiłem kilka kroków w jej kierunku i klasnąłem. Mały, sympatyczny gryzoń przeskoczył na sąsiednie drzewo i pokazał mi ogon, niczym wielki środkowy palec. Rozejrzałem się za jakimś patykiem, żeby w niego rzucić, ale się opamiętałem. Marnowałem czas na samotne spacerunki po lesie. Wróciłem na drogę, myśląc, że byłbym szczęśliwy, gdybym musiał przez wiele lat obyc się bez głębokiej, wegetatywnej ciszy dziesięciu tysięcy drzew.

Pięćdziesiąt jardów dalej natknąłem się na niemal niedostrzegalną przecinkę między drzewami, prowadzącą do elektrycznej bramy skromnie położonej w odległości kilku jardów od drogi. Prywatny podjazd ostro skręcał kilkanaście jardów dalej i nikał między drzewami. Stąd nie widziałem domu. Obok bramy stała szara metalowa skrzynka pocztowa bez żadnego nazwiska, oznaczona tylko numerem 3551, oraz kamienny słup z domofonem i rzędem przycisków. Na bramie wisiała tablica z napisem „Obiekt pod ochroną Cyclops Security” i numerem telefonu. Po chwili wahania nacisnąłem dzwonek. Czekając, rozglądałem się. Na gałęzi pobliskiego drzewa dostrzegłem niewielką kamerę. Zadzwońnięłem jeszcze raz. Nikt się nie odezwał.

Cofnąłem się o krok. Zastanawiałem się, co zrobić. Przez głowę przeleciała mi myśl, żeby przejść przez płot i dokonać nieautoryzowanej inspekcji posiadłości, ale nie podobała mi się ta kamera i nie miałem ochoty na kontakt z cyklopami.

Skrzynka pocztowa była tak wypełniona, że się nie domykała. Uznałem, że nikomu nie zaszkodzi, jeśli przynajmniej dowiem się, kto tu mieszka. Jeszcze raz się rozejrzałem, zrobiłem przeproszącą minę do kamery, po czym wyciągnąłem ze skrzynki garść listów. Na kopertach zobaczyłem różne adresy: pan Emmett i pani Emmett, pan Paul Emmett, profesor Paul Emmett i pani Nancy Emmett. Sądząc po stemplach pocztowych, od dwóch dni nikt nie wyjmował poczty. Emmettowie albo wyjechali, albo - co takiego? Leżeli martwi w domu? Co za pomysł. Zacząłem przejawiać skłonność do makabry. Zauważyłem, że kilka listów przesłano tu z adresu, na które były pierwotnie wysłane. Podważyłem paznokciem nalepkę z nowym adresem i tak dowiedziałem się, że profesor Emmett był honorowym emerytowanym prezesem Arcadia Institution, jakiejś organizacji mieszczącej się w Waszyngtonie.

Emmett... Emmett... To nazwisko brzmiało znajomo. Włożyłem listy do skrzynki i wróciłem do samochodu. Otworzyłem walizkę, wyciągnąłem kopertę z materiałami zamówionymi przez McArę i już po kilku minutach znalazłem to, co mgliście pamiętałem. P. Emmett (St. Johns College) był jednym z aktorów grających w przedstawieniu teatru Footlights, uwiecznionym na wspólnym zdjęciu z Lan-giem. To był ten najstarszy z grupy, którego uznałem za doktoranta. Miał krótsze włosy niż pozostali, wyglądał bardziej pospolicie. Czy McAra przejechał taki szmat drogi wyłącznie po to, żeby dowiedzieć się jeszcze czegoś o życiu

Langa w Cambridge? Po dłuższym namyśle przypomniałem sobie, że gdzieś w maszynopisie natknąłem się na nazwisko Emmett. Sięgnąłem po tekst. Szybko przekartkowałem rozdział o latach studenckich, ale tam go nie znalazłem. McAra zacytował go na początku ostatniego rozdziału:

Profesor Paul Emmett z Uniwersytetu Harvarda pisze o wyjątkowej roli narodów anglojęzycznych w rozpowszechnianiu ideałów demokracji na całym świecie: „Dopóki te narody działają razem, wolność jest bezpieczna; gdy zdarzało się, że ich sojusz słabł, umacniała się tyrania”. Całkowicie podzielam ten pogląd.

Wiewiórka wróciła. Usiadła przy drodze i przyglądała mi się złośliwie.

Dziwne. To było dominujące odczucie w tym momencie. Jakie to wszystko dziwne.

Nie wiem, jak długo tak siedziałem. Byłem tak speszony, że zapomniałem włączyć ogrzewanie. Dopiero gdy usłyszałem warkot nadjeżdżającego samochodu, zdałem sobie sprawę, jak bardzo zmarzłem i zdrętwiałem. We wstecznym lusterku dostrzegłem zapalone reflektory. Chwilę później obok mnie przejechał niewielki japoński samochód. Prowadziła brunetka w średnim wieku, a obok niej siedział mężczyzna mający około sześćdziesięciu lat, w okularach, w marynarce, pod krawatem. Spojrzał na mnie. Od razu wiedziałem, że to Emmett, choć wcale go nie poznałem - po prostu nie mogłem sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek inny pojawił się na tej odludnej drodze.

Samochód zatrzymał się przed bramą. Emmett wysiadł, żeby opróżnić skrzynkę pocztową. Jeszcze raz spojrzął w moim kierunku. Miałem wrażenie, że chce podejść i spytać, co tutaj robię, ale wrócił do samochodu. Pojechali dalej, prawdopodobnie do domu, i po chwili straciłem ich z oczu.

Wepchnąłem kopertę i stronę z maszynopisu do torby, dałem Emmettom dziesięć minut na otwarcie domu i zdjęcie płaszczy, po czym włączyłem silnik i podjechałem pod bramę. Tym razem, gdy nacisnąłem dzwonek, natychmiast ktoś się odezwał.

- Halo?

To był kobiecy głos.

- Czy pani Emmett?

- A kto mówi?

- Chciałbym spytać, czy mógłbym zamienić kilka słów z profesorem Emmettem.

- Jest bardzo zmęczony. - Mówiła, przeciągając słowa, jej wymowa była czymś pośrednim między intonacją angielskiej arystokracji i bogatych Amerykanów z Południa. Dodatkowo pogarszał sprawę kiepski głośnik - z trudem mogłem zrozumieć, co mówi.

- Nie zajmę mu dużo czasu.

- Czy jest pan umówiony?

- Nie. Chodzi o Adama Langa. Pomagam mu pisać wspomnienia.

- Proszę chwilę zaczekać.

Nie miałem wątpliwości, że oglądają mnie na monitorze. Staralem się przyjąć odpowiednią pozę. Gdy domofon znowu

zatrzeszczał, tym razem usłyszałem męski głos: mówił dźwięcznie, z aktorską dykcją i amerykańskim akcentem.

- Mówi Paul Emmett. Sądzę, że to jakaś pomyłka.

- O ile mi wiadomo, studiował pan w Cambridge razem z panem Langiem.

- Owszem, byliśmy tam w tym samym czasie, ale nie mogę twierdzić, że go znam.

- Mam zdjęcie z przedstawienia w Footlights, w którym występowaliście.

Emmett długo milczał.

- Proszę, niech pan wejdzie - odezwał się wreszcie.

Usłyszałem wycie elektrycznego silnika. Brama powoli zaczęła się przesuwać.

W miarę jak jechałem, coraz wyraźniej widziałem ukryty za drzewami wielki dwupiętrowy dom: środkowa część z szarego kamienia, dwa skrzydła z drewna, pomalowane na biało, z łukowymi oknami z niewielkimi szybkami, z wielkimi drewnianymi okiennicami. Ten dom mógł być równie dobrze zbudowany sześć miesięcy, jak i sto lat temu. Na ganku z kolumnami czekał na mnie Emmett. Dom, otoczony gęstym lasem i położony na rozległej działce, sprawiał wrażenie odizolowanego od świata. Jedynym odgłosem cywilizacji był ryk silników ukrytego w chmurach odrzutowca podchodzącego do lądowania. Zaparkowałem przed garażem, obok samochodu Emmettów. Wziąłem torbę i wysiadłem z wozu.

- Proszę wybaczyć, jeśli wydam się panu trochę nieprzytomny - powiedział Emmett, gdy już wymieniliśmy

uścisk dłoni. - Właśnie przylecieliśmy z Waszyngtonu i jestem zmęczony. Zwykle nie spotykam się z nikim bez wcześniejszego ustalenia terminu, ale pana wzmianka o fotografii rozbudziła moją ciekawość.

Emmett ubierał się równie starannie, jak przemawiał. Nosił okulary w modnej, szylkretowej oprawce. Do ciemnoszarej marynarki włożył niebieską koszulę i czerwony krawat z motywem lecącego bażanta, a w kieszonce miał jedwabną chusteczkę z identycznym wzorem. Teraz, gdy widziałem go z bliska, w rysach twarzy sześćdziesięciolatka mogłem rozpoznać młodszego mężczyznę ze zdjęcia, upływ czasu tylko trochę je zmięczył. Nie mógł oderwać oczu od mojej torby. Wiedziałem, że chciał, żebym pokazał mu zdjęcie tu, na ganku, ale byłem na to zbyt sprytny. Czekałem i czekałem, aż wreszcie musiał zaprosić mnie do środka.

- Proszę, niech pan wejdzie.

Podłoga w holu była wyłożona lśniącym parkietem. W domu pachniało woskiem i suszonymi kwiatami. Z każdego kąta wiało chłodem. Na podeście schodów głośno tykał zegar z wahadłem. Słyszałem, jak w sąsiednim pokoju żona Emmetta rozmawia przez telefon. „Tak, jest tutaj”, powiedziała. Potem pewnie się oddaliła, bo najpierw przestałem odróżniać słowa, a potem w ogóle jej nie słyszałem.

Emmett zamknął za mną drzwi.

- Czy mogę zobaczyć zdjęcie? - spytał.

Wyjąłem zdjęcie z torby. Emmett przesunął okulary do góry, na siwe włosy, po czym podszedł do okna. Jak na swój

wiek, wydawał się sprawny fizycznie. Pewnie regularnie uprawiał jakiś sport: prawdopodobnie grał w squasha, na pewno w golfa.

- No, no - mruknął, unosząc czarno-białe zdjęcie do światła i przechylając je raz w jedną, raz w drugą stronę. Badał je uważnie, jak ekspert sprawdzający autentyczność obrazu. - Zupełnie nie pamiętam tego zdarzenia.

- Ale to pan?

- O, tak. W latach sześćdziesiątych należałem do zarządu Dramatu. To były czasy, pewnie może pan sobie wyobrazić. - Emmett zachichotał do swojego wizerunku z młodości.

- O, tak.

- Dramat?

- Przepraszam. - Emmett uniósł głowę. - Towarzystwo Dramatyczne Uniwersytetu Yale. Gdy pojechałem do Cambridge prowadzić badania związane z doktoratem, miałem nadzieję, że będę mógł nadal realizować moje ambicje teatralne. Niestety, występowałem w Footlights tylko przez jeden semestr, później obowiązki zmusiły mnie do zakończenia kariery aktorskiej. Czy mogę zatrzymać to zdjęcie?

- Przykro mi, ale nie. Prześlę panu kopię.

- Naprawdę? To bardzo uprzejme z pana strony. - Emmett odwrócił zdjęcie. - To z „Cambridge Evening News”. Musi mi pan powiedzieć, jak pan je znalazł.

- Z przyjemnością - odpowiedziałem. Znowu zamilkłem i czekałem. To było jak gra w karty. Emmett nie zamierzał dobrowolnie oddać żadnej lewy. Słyszeliśmy, jak tyka wielki zegar.

- Przejdźmy do mojego gabinetu - zaproponował wreszcie Emmett.

Otworzył drzwi. Wszedłem za nim do pokoju, który wyglądał jakby został przeniesiony w całości z londyńskiego klubu Ricka: ciemnozielone tapety, szafy biblioteczne sięgające sufitu, schodki konieczne do zdejmowania książek z wysokich półek, ciężkie meble obite brązową skórą, pulpit ozdobiony mosiężnym orłem, rzymskie popiersie, lekki zapach cygar. Na jednej ze ścian wisiały pamiątki: dyplomy, nagrody, honorowe dyplomy doktorskie, liczne zdjęcia. Emmett z Billem Clintonem i Alem Gore'em, Emmett z Margaret Thatcher i Nelsonem Mandela. Mógłbym wymienić jeszcze wiele nazwisk, gdybym je znał. Niemiecki kanclerz. Prezydent Francji. Zauważyłem również zdjęcie z Langiem - uścisk dłoni i uśmiech, chyba na jakimś koktajlu. Emmett dostrzegł, że przyglądam się tej wystawie.

- To ściana próżności - wyjaśnił. - Nikt nie jest od niej wolny. Może pan to uważać za odpowiednik akwarium w poczekalni ortodonta. Proszę, niech pan siada. Niestety, obawiam się, że mam tylko kilka minut.

Przycupnąłem na twardej brązowej sofie. Emmett usiadł na obrotowym fotelu za biurkiem. Swobodnie kiwał się przód i w tył. Położył nogi na blacie, dzięki czemu mogłem podziwiać lekko zarysowane podeszwy jego dziurkowanych półbutów.

- Wróćmy do fotografii - powiedział.
- Pomagam Adamowi Langowi pisać wspomnienia.

- Wiem. Już pan to mówił. Biedny Lang. Haga nadyma się, bo chce, żeby wszyscy bardziej się z nią liczyli, co jest dość kiepskim pomysłem. Jeśli chodzi o Rycarta, moim zdaniem, to najgorszy brytyjski minister spraw zagranicznych od drugiej wojny światowej. Mianowanie go na to stanowisko było ogromnym błędem. Jeśli jednak Międzynarodowy Trybunał Karny będzie zachowywał się tak głupio, osiągnie tylko jedno: najpierw zrobi z Langa męczennika, a potem bohatera. No, a pan - łaskawie wskazał mnie palcem - będzie autorem bestsellera.

- Dobrze go pan zna?

- Langa? Prawie wcale go nie znam. Wydaje się pan zdziwiony.

- Hm, zacznijmy od tego, że wymienia pana we wspomnieniach.

Emmett wydawał się szczerze zaskoczony.

- Teraz to ja jestem zdziwiony. Co takiego o mnie mówi?

- To cytat, z początku ostatniego rozdziału. - Wyjąłem z torby kartkę maszynopisu. - *Dopóki te narody - to znaczy mówiące po angielsku - działają razem, wolność jest bezpieczna; gdy zdarzało się, że ich sojusz słabł, umacniała się tyrania. Całkowicie podzielał ten pogląd.*

- To bardzo uprzejmie z jego strony - odrzekł Emmett. - Moim zdaniem, jako premier wykazywał właściwe instynkty. Ten cytat jednak nie oznacza, że go znam.

- Jest jeszcze ta fotografia - wskazałem ścianę próżności.

- Ach, to! - Emmett machnął lekceważąco ręką. - To z przyjęcia w hotelu Claridge, z okazji dziesiątej rocznicy Arcadia Institution.

- Arcadia Institution? - powtórzyłem.

- To niewielka instytucja, którą kiedyś kierowałem. Bardzo elitarna. Nie ma niczego dziwnego w tym, że nigdy pan o niej nie słyszał. Premier zaszczyił nas swoją obecnością. To był czysto profesjonalny kontakt.

- No, ale znał go pan w Cambridge - nalegałem.

- Niezbyt dobrze. Nasze drogi skrzyżowały się tylko podczas jednego letniego semestru. To wszystko.

- Czy mógłby pan coś o nim opowiedzieć? - poprosiłem, wyciągając notes. Emmett patrzył na notes tak, jakby to był rewolwer. - Przepraszam, czy ma pan coś przeciwko?

- Nie, bynajmniej. Proszę bardzo. Po prostu jestem zaskoczony. Od lat nikt nie pytał mnie o nasze spotkanie w Cambridge. Aż do tej chwili sam o tym prawie nie myślałem. Wątpię, bym mógł panu opowiedzieć coś, co warto zanotować.

- Ale występowaliście razem?

- W jednym przedstawieniu. W letniej rewii. Nawet nie pamiętam, jak była zatytułowana. Wie pan, Footlights liczyło ze stu członków.

- Nie zrobił na panu wrażenia?

- Żadnego.

- Choć później został premierem?

- Rzecz jasna, gdybym wiedział, kim zostanie w przyszłości, postarałbym się go lepiej poznać. W swoim życiu

poznałem ośmiu prezydentów, czterech papieży i pięciu brytyjskich premierów, a żaden z nich nie był kimś szczególnie wybitnym.

Tak, pomyślałem, a czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że ty również nie wywarłeś na nich szczególnego wrażenia? Głośno powiedziałem jednak coś zupełnie innego:

- Czy mogę panu jeszcze coś pokazać?

- Jeśli pan sądzi, że to naprawdę coś interesującego - odrzekł, ostentacyjnie spoglądając na zegarek.

Wyjąłem resztę zdjęć. Teraz, gdy znowu na nie spojrzałem, dostrzegłem Emmetta na kilku fotografiach. Niewątpliwie to on był tym mężczyzną na łodzi, który pokazywał uniesiony kciuk za plecami Langa, gdy przyszły premier odgrywał Bogarta, paląc skręta, pijąc szampana i jedząc truskawki prosto z rąk jakiejś dziewczyny.

Podąłem zdjęcia Emmettowi. Znowu odegrał swój numer z okularami - przesunął je na czoło, żeby spojrzeć na fotografie. Mam przed oczami jego widok: szczupły, różowy, niewzruszony. Wyraz jego twarzy zupełnie się nie zmienił, co wydało mi się dziwne, bo sam w podobnych okolicznościach z pewnością jakoś bym zareagował.

- Och, Boże - westchnął. - Czy moje przypuszczenia są słuszne? Miejmy nadzieję, że się nie zaciągał.

- Ale to pan stoi za nim, prawda?

- Sądzę, że tak. Sądzę też, że właśnie zamierzałem udzielić mu poważnego ostrzeżenia o szkodliwości narkotyków.

Czy nie wyczuwa pan tego, patrząc na moje usta? - Emmett oddał mi zdjęcia i zsunął okulary na nos. Odchylił się jeszcze bardziej na fotelu i zmierzył mnie uważnym spojrzeniem. - Czy pan Lang naprawdę chce opublikować tę fotografię w swoich wspomnieniach? Jeśli tak, wolałbym pozostać niezidentyfikowany. Moje dzieci byłyby zgorszone. Są o wiele bardziej purytańskie, niż my byliśmy kiedyś.

- Czy może pan podać mi nazwiska pozostałych osób na zdjęciach? Może tych dziewczyn?

- Przykro mi. Poszczególne wydarzenia tego lata rozmyły się w mojej pamięci. Było długie i szczęśliwe. Świat wokół nas się walił, ale my świetnie się bawiliśmy.

To przypomniało mi słowa Ruth o wszystkich tragicznych zdarzeniach politycznych, jakie miały miejsce w tym czasie.

- W latach sześćdziesiątych studiował pan w Yale. Miał pan szczęście, że uniknął pan poboru i wyjazdu na wojnę do Wietnamu - zauważyłem.

- Zna pan stare powiedzenie: kto ma kasę, nie idzie w kamasze. Uzyskałem odroczenie służby na czas studiów. - Emmett zdjął nogi z biurka, wyciągnął notes i sięgnął po pióro. Nagle spoważniał. - Miał mi pan wyjaśnić, skąd pan wziął te fotografie.

- Czy nazwisko Michael McAra coś panu mówi?

- Nie. A powinno?

Pomyślałem, że zaprzeczył trochę za szybko.

- McAra był moim poprzednikiem w pracy nad wspomnieniami Langa - powiedziałem. - To on zamówił te zdjęcia

z archiwum w Anglii. Trzy tygodnie temu przyjechał tu na spotkanie z panem, a kilka godzin później zmarł.

- Przyjechał tu spotkać się ze mną? - Emmett pokręcił głową. - Obawiam się, że pan się myli. Skąd jechał?

- Z Martha's Vineyard.

- Martha's Vineyard! Mój drogi panie, o tej porze roku na Martha's Vineyard nie ma nikogo.

To była kolejna kpina. Każdy, kto poprzedniego dnia oglądał wiadomości, dobrze wiedział, gdzie zamieszkał Lang.

- Pański adres był wprowadzony do urządzenia do nawigacji satelitarnej w samochodzie, którym jeździł McAra.

- Hm, nie potrafię tego wyjaśnić. - Emmett potarł brodę. Sprawiał wrażenie, że poważnie rozważa ten problem. - Nie, naprawdę nie potrafię. Nawet jeśli to prawda, nie stanowi dowodu, że rzeczywiście odbył tę podróż. Jak zmarł?

- Utonął.

- Bardzo mi przykro. Nigdy nie wierzyłem w ten mit, że śmierć wskutek utonięcia jest bezbolesna, a pan co o tym sądzi? Z pewnością jest związana z wielkim cierpieniem.

- Policja nic panu o tym nie powiedziała?

- Nie. W ogóle nie miałem żadnych kontaktów z policją.

- A gdzie był pan w ten weekend? To znaczy jedenastego i dwunastego stycznia?

- Ktoś mniej zrównoważony ode mnie uznałby pana pytania za impertynencję - westchnął Emmett. Wstał zza biurka i podszedł do drzwi. - Nancy! - zawołał. - Nasz gość chce się dowiedzieć, gdzie byliśmy w weekend jedenastego i dwunastego stycznia. Czy możemy zaspokoić jego ciekawość? - Stojąc w otwartych drzwiach, uśmiechnął się do mnie nieprzyjaźnie. Gdy pojawiła się pani Emmett, nie przedstawił mnie. Przyniosła duży kalendarz biurkowy.

- W tamten weekend byliśmy w Kolorado - powiedziała, podając mężowi kalendarz.

- Oczywiście - potwierdził. - Byliśmy w Aspen Institute na konferencji *Dwubiegunowe relacje w multipolarnym świecie*.

- Sądząc po tytule, to była świetna zabawa.

- Niewątpliwie. - Emmett z trzaskiem zamknął kalendarz. - Byłem głównym wykładowcą.

- Spędzili tam państwo cały weekend?

- Ja tak - odpowiedziała pani Emmett. - Zostałam, żeby pojeździć na nartach. Emmett wrócił w niedzielę, prawda, kochanie?

- Zatem mógł się pan spotkać z McArą - zauważyłem.

- Mogłem, ale się nie spotkałem.

- Czy możemy wrócić do Cambridge... - zacząłem.

- Nie. - Emmett podniósł dłoń. - Nie wracajmy do Cambridge. Powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia na ten temat. Nancy?

Nancy była od niego jakies dwadzieścia lat młodsza. Gdy

Emmett zwrócił się do niej, drgnęła nerwowo. Żadna pierwsza żona nigdy nie zareagowałaby w taki sposób.

- Emmett?

- Czy mogłabyś odprowadzić naszego gościa do drzwi?

Emmett podał mi rękę na pożegnanie.

- Jestem zapalonym czytelnikiem wspomnień polityków. Na pewno kupię książkę pana Langa, gdy tylko zostanie wydana.

- Może Lang przyśle panu egzemplarz - powiedziałem. - Ze względu na pamięć o dawnych latach.

- Bardzo w to wątpię - odrzekł. - Brama otworzy się automatycznie. Proszę pamiętać, żeby zaraz skrócić w prawo. Jeśli skróci pan w lewo, pojedzie pan w głąb lasu i już nigdy pana nie zobaczymy.

* * *

Pani Emmett zamknęła za mną drzwi, nim jeszcze znalazłem się na dolnym stopniu schodów. Idąc przez mokry trawnik do samochodu, czułem, że jej mąż przygląda mi się z okna gabinetu. Gdy stałem przed bramą, czekając, aż się otworzy, wiatr nagle szarpnął gałęziami drzew po obu stronach podjazdu i na samochód spadł grad kropli. Zaskoczyło mnie to tak bardzo, że włosy zjeżyły mi się na głowie.

Skurczyłem w prawo w pustą drogę i rozpocząłem powrót. Jechałem tą samą drogą, którą przyjechałem. Byłem trochę zdenerwowany, jakbym schodził ciemną klatką schodową

i minął kilka stopni. Chciałem jak najszybciej wyjechać z lasu.

- Zawróć, gdy tylko będzie to możliwe.

Zatrzymałem auto, chwyciłem odbiornik GPS dwiema rękami, po czym równocześnie szarpnąłem je i skręciłem. Usłyszałem trzask pękających przewodów. Rzuciłem go na podłogę po stronie pasażera. W tym momencie zauważyłem, że z tyłu nadjeżdża duży czarny samochód z mocnymi światłami. Minął mnie tak szybko, że nie zdążyłem dostrzec, kto siedzi za kierownicą. Samochód przyśpieszył, dojechał do skrzyżowania i po chwili znikł. Droga znowu była pusta.

Dziwne, jak człowiek się zachowuje pod wpływem strachu. Gdyby tydzień wcześniej ktoś mnie spytał, co zrobiłbym w takiej sytuacji, zapewne powiedziałbym, że jak najszybciej wróciłbym na Martha's Vineyard i postarał się o wszystkim zapomnieć. Teraz jednak odkryłem, że natura połączyła strach z gniewem, co zapewne sprzyja przetrwaniu gatunku. Moja instynktowna reakcja była taka sama, jak jaskiniowca w starciu z tygrysem: nie chciałem uciekać, lecz jakoś ukarać tego pyszałkowego Emmetta. To głupi atawistyczny odruch, który skłania na pozór całkiem rozsądnych ludzi do ruszenia w pościg za uzbrojonymi włamywaczami, co zwykle jest katastrofalne w skutkach.

Z tego powodu, zamiast zgodnie ze zdrowym rozsądkiem wrócić na autostradę, skierowałem się do Belmont. Było to rozległe, zielone, bogate miasteczko, przerażająco czyste i porządne - jedno z tych, gdzie trzeba się starać o pozwolenie

nawet na posiadanie kota. Mijałem kolejne, niemal identyczne ulice z masztami flagowymi przed domami i zaparkowanymi na podjazdach samochodami z napędem na cztery koła. Krążyłem po szerokich ulicach, aż wreszcie znalazłem się w okolicy, którą od biedy można było uznać za centrum. Tym razem, gdy już zaparkowałem, wysiadając, zabrałem walizkę.

Byłem na ulicy Leonarda. Po obu stronach ciągnęły się eleganckie sklepy z kolorowymi markizami, odcinającymi się wyraźnie od bezlistnych drzew. Na szarych dachach leżała warstwa topniejącego śniegu. Tak mógłby wyglądać ośrodek narciarski. Dostrzegłem wiele zakładów, których usług nie potrzebowałem - biuro pośrednictwa w handlu nieruchomościami, jubilera, fryzjera - ale znalazłem również to, czego szukałem: kawiarenkę internetową. Zamówiłem kawę i bajgla, po czym usiadłem na miejscu najbardziej oddalonym od okna. Walizkę postawiłem na krześle naprzeciwko, żeby utrudnić innym przyłączenie się do mnie. Wypiłem łyk kawy, ugryzłem kęs bajgla, otworzyłem Google i wpisałem „Paul Emmett” i „Arcadia Institution”. Pochyliłem się w stronę ekranu, żeby lepiej widzieć.

* * *

Ze strony www.arcadiainstitution.org wynikało, że Arcadia Institution został założony w 1991 roku, z okazji pięćdziesiątej rocznicy pierwszego spotkania na szczycie premiera Winstona S. Churchilla z prezydentem Franklinem D. Rooseveltem w Placentia Bay na Nowej Fundlandii. Na

stronie umieszczono zdjęcie Roosevelta, ubranego w elegancki szary garnitur, przyjmującego Churchilla na pokładzie pancernika. Brytyjski premier miał na sobie jakiś dziwny, pognieciony mundur oficera marynarki, założył nawet czapkę. Wyglądał jak główny ogrodnik, który przyszedł złożyć wyrazy uszanowania miejscowemu hrabiemu.

Celem działania Arcadia Institution było „zacieśnianie stosunków między Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią oraz pielęgnowanie ponadczasowych ideałów demokracji i wolności słowa, których broniły oba narody w czasach wojny i pokoju”. Temu służyć miały „seminaria, prace programowe, konferencje i szkolenie przywódców politycznych”, a także wydawane co sześć miesięcy pismo „Arcadian Review”, dziesięć stypendiów dla doktorantów zajmujących się „problematyką kulturalną, polityczną i strategiczną interesującą zarówno Wielką Brytanię, jak i Stany Zjednoczone”. Instytut miał biura w Waszyngtonie i w Londynie, przy St. James's Square. Na liście członków rady nadzorczej zobaczyłem nazwiska eksambasadorów, prezesów korporacji, profesorów - to mogłaby być lista gości najnudniejszego przyjęcia, jakie kiedykolwiek się odbyło.

Paul Emmett był pierwszym prezesem i dyrektorem Arcadia Institution. Na stronie internetowej znalazłem jego życiorys: urodził się w Chicago w 1949 roku, studiował w Yale i St. John's College w Cambridge (otrzymał stypendium Rhodesa), latach 1975-1979 był wykładowcą spraw międzynarodowych na Uniwersytecie Harvarda, a następnie

profesorem katedry Howarda T. Polka III. Stanowisko to zajmował do 1991 roku, a potem założył Arcadia Institution. W 2007 roku przeszedł na emeryturę, zachowując tytuł honorowego prezesa. Lista publikacji: *Dokąd zmierzasz: Szczególne stosunki Wielkiej Brytanii ze Stanami Zjednoczonymi w latach 1940-1956, Zagadka zmiany, Utrata imperiów i szukanie nowych ról: Niektóre aspekty stosunków angielsko-amerykańskich po 1956 roku, Okowy Prometeusza: Ograniczenia polityki zagranicznej w epoce jądrowej, Tryumfujące pokolenie: Ameryka, Wielka Brytania i nowy światowy ład, Dlaczego jesteśmy w Iraku.* Według biogramu z tygodnika „Time”, lubił squasha, golfa i musicale Gilberta i Sullivana, „które on i jego druga żona, Nancy Cline, ekspert od spraw obronnych z Houston w Teksasie, regularnie wystawiają wraz z gośćmi podczas ich słynnych przyjęć w zamożnym miasteczku Belmont w Massachusetts, będącym sypialnią profesorów Harvardu”.

Google obiecało mi trzydzieści siedem tysięcy odniesień do stron dotyczących Emmetta i Arcadia Institution. Cierpliwie przebrnąłem przez kilka pierwszych:

DYSKUSJA PANELOWA NA TEMAT POLITYKI

BLISKOWSCHODNIEJ - **ARCADIA INSTITUTION**

DEMOKRATYZACJA USTROJU W SYRII I IRANIE...

PAUL EMMETT W SWOIM WYSTĄPIENIU OTWIERAJĄCYM OBRADY WYRAZIŁ PRZEKONANIE...

WWW.ARCADIAINSTITUTION.ORG/SITE/ROUNDTABLE/A56fL%2004.HTM - 35K - CACHED - SIMILAR PAGES.

[ARCADIA INSTITUTION - WIKIPEDIA, THE FREE ENCYCLOPEDIA.](#)

ARCADIA INSTITUTION TO ANGIELSKO-AMERYKAŃSKA ORGANIZACJA NON-PROFIT, ZAŁOŻONA W 1991 ROKU, KTÓREJ PIERWSZYM PREZESEM ZOSTAŁ PROFESOR **PAUL EMMETT...**

[EN.WIKIPEDIA.ORG/WIKI. - **ARCADIA-INSTITUTION - 35K - CACHED - SIMILAR PAGES**](#)

[ARCADIA INSTITUTION/ARCADIA STRATEGY GROUP -SOURCEWATCH](#)

ARCADIA INSTITUTION TWIERDZI, ŻE JEJ CELEM JEST... PROFESOR **PAUL EMMETT**, ZNAWCA STOSUNKÓW ANGIELSKO-AMERYKAŃSKICH...

[WWW.SOURCEWATCH.ORG/INDEX.PHP?TITLE=**ARCADIA INSTITUTION - 39K**](#)

[USATODAY.COM - 5 PYTAŃ DO **PAULA EMMETTA PAUL EMMETT**](#), BYŁY PROFESOR STOSUNKÓW MIĘDZYNARODOWYCH UNIWERSYTETU HARVARDA, TERAZ KIERUJE WPŁYWOWYM **ARCADIA INSTITUTION...**

[WWW.USATODAY.COM/WORLD/2002-08-07/QUESTIONS X. HTM7TAB.HTM - 35K](#)

Gdy znudziły mi się te stare komunikaty o seminariach i konferencjach, zmieniłem kluczowe słowa na „Arcadia Institution” i „Adam Lang”. Tym razem ujrzałem artykuł ze strony „Guardiana” o obecności premiera Langa na przyjęciu z okazji rocznicy założenia Arcadii. Włączyłem Google Images. Tym razem ukazała się mozaika dziwnych zdjęć:

kot, akrobaci w trykotach, karykatura przedstawiająca Langga nadmuchującego torbę z podpisem: „Wkrótce czeka go upokorzenie”. Z mojego doświadczenia wynika, że na tym polega problem z szukaniem informacji w Internecie: stosunek użytecznych wiadomości do sieczki maleje bardzo szybko i poszukiwania przypominają próbę znalezienia koralika za kanapą - zamiast niego znajdujesz drobne monety, guziki, kurz, pestki, gumę do żucia i stare landrynki. Sukces zależy od właściwego sformułowania pytania, a ja najwyraźniej nie potrafiłem tego zrobić.

Przerwałem, żeby przetrzeć oczy, zamówić jeszcze jedną kawę i bajgla. Przy okazji przyjrzałem się pozostałym klientom. Choć nadeszła pora lunchu, nie było ich wielu: starszy mężczyzna z gazetą, para dwudziestolatków trzymających się za ręce, dwie matki - lub raczej nianie - namiętnie plotkujące, podczas gdy troje małych dzieci bawiło się pod stołem, dwaj młodzi, ostrzyżeni na rekruta mężczyźni, być może na przepustce z wojska lub straży pożarnej (w pobliżu zauważyłem remizę strażacką) - siedzieli przy barze plecami do mnie, zajęci gorączkową rozmową.

Wróciłem na stronę Arcadia Institution. Nacisnąłem okienko „Rada nadzorcza”. Natychmiast na ekranie pojawiła się lista duchów, które wynurzyły się z transatlantycznej głębi: Steven D. Engler, były sekretarz obrony USA, lord Leghorn, były minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, sir David Moberly, GCMG, KCVO, liczący już pewnie tysiąc lat byłý ambasador Wielkiej Brytanii w

Waszyngtonie, Raymond T. Streicher, były ambasador Stanów Zjednoczonych w Londynie, Arthur Prussia, prezes i naczelny dyrektor Hallington Group, profesor Mel Crawford ze Szkoły Administracji im. Johna F. Kennedy'ego, Max Hardaker z Godolphin Securities, Stephanie Cox Morland, dyrektorka Manhattan Equity Holdings, sir Milius Rapp z London School of Economics, Cornelius Iremonger z Cordesman Industrials, Franklin R. Dollerman z McCosh & Partners. Zacząłem żmudne poszukiwania. Wpisywałem do wyszukiwarki kolejne nazwiska, razem z nazwiskiem Adama Langa. Engler wychwalał wytrwałość i odwagę Langa w artykule opublikowanym w „New York Timesie”. Leghorn wygłosił pełne niepokoju przemówienie w Izbie Lordów, w którym wyraził ubolewanie z powodu sytuacji na Bliskim Wschodzie, ale pochwalił premiera za „szczerłość”. Moberly przeżył wylew krwi do mózgu i przestał się wypowiadać. Streicher głośno popierał Langa, gdy ten przyleciał do Waszyngtonu, by odebrać Prezydencki Medal Wolności. Już prawie straciłem nadzieję, ale gdy wpisałem nazwisko Arthur Prussia, moja cierpliwość została nagrodzona. Wyszukiwarka znalazła komunikat prasowy sprzed roku:

LONDYN - HALLINGTON GROUP Z SATYSFAKCJĄ INFORMUJE, ŻE ADAM LANG, BYŁY PREMIER WIELKIEJ BRYTANII, PRZYŁĄCZY SIĘ DO KORPORACJI JAKO KONSULTANT DO SPRAW STRATEGII.

STANOWISKO PANA LANGA NIE BĘDZIE WYMAGAŁO, ŻEBY POŚWIĘCIŁ KORPORACJI CAŁY SWÓJ CZAS. JEGO ZADANIEM BĘDZIE SŁUŻENIE RADĄ MENEDŻEROM

HALLINGTON GROUP ZAJMUJĄCYM SIĘ INWESTYCJAMI NA CAŁYM ŚWIECIE.

ARTHUR PRUSSIA, PREZES I DYREKTOR NACZELNY HALLINGTON GROUP, POWIEDZIAŁ DZIENNIKARZOM: „ADAM LANG JEST JEDNYM Z NAJBARDZIEJ DOŚWIADCZONYCH I SZANOWANYCH MEŻÓW STANU. MOŻLIWOŚĆ CZERPANIA Z JEGO DOŚWIADCZENIA JEST DLA NAS ZASZCZYTEM”.

„JESTEM ZADOWOLONY Z WYZWANIA, JAKIM JEST DLA MNIE WSPÓŁPRACA Z KORPORACJĄ O TAKIM ZAKRESIE DZIAŁANIA, ZAANGAŻOWANĄ W DZIAŁANIA NA RZECZ DEMOKRACJI I TAK ZNANĄ Z UCZCIWOŚCI, JAK HALLINGTON GROUP” - STWIERDZIŁ ADAM LANG.

Nigdy nie słyszałem o Hallington Group, ale łatwo mogłem sprawdzić, co to za instytucja. Sześciuset pracowników, dwadzieścia cztery biura na całym świecie, tylko czterystu inwestorów, głównie z Arabii Saudyjskiej - i trzydzieści pięć miliardów dolarów kapitału. Portfel firm kontrolowanych przez korporację wyglądał tak, jakby ułożył go Darth Vader. Przedsiębiorstwa należące do Hallington Group zajmowały się produkcją bomb kasetowych, samobieżnych dział, raket przeciwlotniczych, helikopterów do walki z czołgami, bombowców o zmiennej geometrii skrzydeł, wirówek do separacji izotopów, a nawet budową lotniskowców. Do korporacji należały również firmy zajmujące się ochroną przedsiębiorstw zachodnich realizujących zlecenia na Bliskim Wschodzie, zbieraniem danych na terenie Stanów Zjednoczonych i innych państw, a także budową bunkrów i pasów startowych. Dwaj członkowie zarządu korporacji

w przeszłości pracowali w kierownictwie CIA.

Zdaję sobie sprawę, że Internet to kopalnia materiałów dla paranoików. Jest tu wszystko - Lee Harvey Oswald, księżniczka Diana, Opus Dei, Al-Kaida, Izrael, MI6, koła w zbożu - i to połączone pięknymi niebieskimi hiperłączami w jeden gigantyczny spisec. Z drugiej strony, znam stare porzekadło, iż paranoik to człowiek całkowicie owładnięty faktami. Gdy wpisałem do wyszukiwarki „Arcadia Institute”, „Hallington Group” i „CIA”, poczułem, że z gęstej mgły danych zgromadzonych w sieci zaczyna się coś wyłaniać.

WASHINGTONPOST.COM: ODRZUTOWIEC **HALLINGTON** BYŁ UŻYWANY PRZEZ **CIA** DO PRZEWOŻENIA WIEŻNIÓW W CELU PODDANIA ICH TORTUROM.

KORPORACJA ZAPRZECZYŁA, BY POSIADAŁA JAKĄKOLWIEK WIEDZĘ O PROGRAMIE CIA „PRZEKAZYWANIA WIEŻNIÓW”... CZŁONEK RADY PRESTIŻOWEJ

ARCADIA INSTITUTION STWIERDZIŁ...

[WWW.WASHINGTONPOST.COM/AC2/WP-DYN/A27824-2007DEC26LANGUAGE=CACHED - SIMILAR PAGES](http://WWW.WASHINGTONPOST.COM/AC2/WP-DYN/A27824-2007DEC26LANGUAGE=CACHED-SIMILAR-PAGES)

Otworzyłem artykuł i odnalazłem istotny fragment:

NALEŻĄCY DO HALLINGTON SAMOLOT GULFSTREAM FOUR ZOSTAŁ POTAJEMNIE SFOTOGRAFOWANY - Z ZAMALOWANYM LOGO KORPORACJI - 18 LUTEGO TEGO ROKU NA LOTNISKU W BAZIE WOJSKOWEJ W STARYCH KIEJKUTACH W POLSCE, GDZIE WEDŁUG NIEKTÓRYCH DONIESIEŃ

ZNAJDUJE SIĘ TAJNE WIĘZIENIE CIA.

DWA DNI WCZEŚNIEJ CZTEREJ OBYWATELE BRYTYJSCY - NASIR ASZRAF, SZAKIL QAZI, SALIM CHAN I FARUK AHMED - ZOSTALI RZEKOMO PORWANI PRZEZ AGENTÓW CIA W PESZAWARZE W PAKISTANIE. W MEDIACH POJAWIŁY SIĘ RELACJE, WEDŁUG KTÓRYCH PAN ASZRAF ZMARŁ Z POWODU ATAKU SERCA PO PRZESŁUCHANIU, W CZASIE KTÓREGO ZASTOSOWANO PROCEDURĘ ZWANĄ DESKA WODNA.

W OKRESIE OD LUTEGO DO LIPCA TEGO SAMEGO ROKU ODRZUTOWIEC TEN ŁĄDOWAŁ 51 RAZY W GUANTANAMO, 82 RAZY W BAZIE SIŁ POWIETRZNYCH PRZY LOTNISKU MIĘDZYNARODOWYM WASHINGTON DULLES, W BAZIE SIŁ POWIETRZNYCH ANDREWS NIEDALEKO WASZYNGTONU ORAZ W AMERYKAŃSKICH BAZACH W RAMSTEIN I W RHEIN-MAIN W NIEMCZECH.

Z DZIENNIKA LOTÓW WYNIKA, ŻE SAMOLOT TEN ODWIEDZAŁ RÓWNIEŻ AFGANISTAN, MAROKO, DUBAJ, JORDANIĘ, WŁOCHY, JAPONIĘ, SZWAJCARIĘ, AZERBEJDŻAN I CZECHY.

LOGO KORPORACJI HALLINGTON JEST WIDOCZNE NA ZDJĘCIACH WYKONANYCH 23 SIERPNIĄ PODCZAS POKAZU LOTNICZEGO W SCHENECTADY W STANIE NOWY JORK, OSIEM DNI PO TYM GDY GULFSTREAM WRÓCIŁ DO WASZYNGTONU PO LOCIE DOKOŁA ŚWIATA PRZEZ ANCHORAGE, OSAKĘ W JAPONII, DUBAJ I SHANNON.

NATOMIAST NA ZDJĘCIACH SAMOLOTU ZROBIONYCH NA LOTNISKU W DENVER W LUTYM TEGO ROKU WIDAĆ NIE TYLKO LOGO, ALE RÓWNIEŻ NOWY NUMER REJESTRACYJNY.

RZECZNIK KORPORACJI HALLINGTON POTWIERDZIŁ, ŻE SAMOLOT JEST CZĘSTO WYNAJMOWANY, A ZARZĄD NIE DYSPONUJE INFORMACJAMI, DO CZEGO WYKORZYSTUJĄ GO NAJEMCY.

Deska wodna? Nigdy o tym nie słyszałem. To brzmiało dość niewinnie, jak jakiś popularny sport, coś pomiędzy windsurfingiem a spływem górską rzeczką. Znowu skozystałem z wyszukiwarki.

METODA „DESKI WODNEJ” POLEGA NA PRZYWIĄZANIU WIEŹNIA DO POCHYLONEJ DESKI W TAKI SPOSÓB, ŻEBY JEGO NOGI ZNAJDOWAŁY SIĘ POWYŻEJ GŁOWY I NIE MÓGŁ SIĘ PORUSZAĆ. TWARZ WIEŹNIA NAKRYWA SIĘ NASTĘPNIE MATERIAŁEM LUB CELOFANEM. PRZESŁUCHUJĄCY LEJE STRUMIEŃ WODY NA TWARZ WIEŹNIA. WPRAWDZIE ZDARZA SIĘ, ŻE NIECO WODY DOSTAJE SIĘ DO PŁUC PRZESŁUCHIWANEGO, ALE SKUTECZNOŚĆ TEJ METODY ZWIĄZANA JEST Z POCZUCIEM ZANURZENIA POD WODĄ. WIEZIEŃ ODRUCHOWO SIĘ KRZTUSI, MA WRAŻENIE, ŻE SIĘ TOPI I NIEMAL NATYCHMIAST BŁAGA O UWOLNIENIE. FUNKCJONARIUSZE CIA, KTÓRZY ZOSTALI PODDANI TEJ PROCEDURZE W RAMACH SZKOLENIA, PODDAWALI SIĘ ŚREDNIO PO CZTERNASTU SEKUNDACH. NAJTWARDZSI WIEZIEŃ Z AL-KAIDY, PODEJRZEWANY O ZORGANIZOWANIE ATAKU NA WTC 9/11, CHALID SZEJK MOHAMMED, ZYSKAŁ WIELKIE UZNANIE PRZESŁUCHUJĄCYCH, PONIEWAŻ WYTRZYMAŁ DWIE I PÓŁ MINUTY, NIM W KOŃCU ZACZAŁ BŁAGAĆ, ŻEBY WYSLUCHANO JEGO ZEZNAŃ.

METODA „DESKI WODNEJ” MOŻE SPOWODOWAĆ OSTRY BÓL I USZKODZENIE PŁUC, ZNISZCZENIE MÓZGU WSKUTEK NIEDOTLENIENIA, ZŁAMANIE LUB ZWICHNIECIE KOŃCZYN WSKUTEK PRÓB OSWOBODZENIA SIĘ Z

WIĘZÓW, A TAKŻE TRWAŁĄ TRAUMĘ PSYCHICZNĄ. W 1947 ROKU JAPOŃSKI OFICER ZOSTAŁ SKAZANY NA PIĘTNAŚCIE LAT CIĘŻKICH ROBÓT ZA UŻYWANIE TEJ METODY WOBEC OBYWATELI STANÓW ZJEDNOCZONYCH, CO UZNANO ZA ZBRODNIĘ WOJENNĄ. ZGODNIE Z DOCHODZENIEM PRZEPROWADZONYM PRZEZ SIEĆ ABC NEWS, CIA OTRZYMAŁA POZWOLENIE NA STOSOWANIE TEJ PROCEDURY W POŁOWIE MARCA 2002 ROKU I DYSPONUJE KADRĄ CZTERNASTU FUNKCJONARIUSZY PRZESZKOLONNYCH W TYM ZAKRESIE.

Na stronie internetowej umieszczono zdjęcie z Kambodży z czasów Pol Pota przedstawiające mężczyznę przywiązanego za kostki i nadgarstki do pochylonego stołu. Leżał na wznak, a na głowę miał narzucony worek. Przesłuchujący lał mu na twarz wodę z konewki. Na innym zdjęciu trzech amerykańscy żołnierze poddawali podobnej procedurze Wietnamczyka podejrzewanego o przynależność do Wietkongu. Przesłuchiwany leżał przyciśnięty do ziemi. Żołnierz lejący wodę z butelki uśmiechał się szeroko. Szeregowiec, siedzący na piersi Wietnamczyka, niedbale palił papierosa, trzymając go między palcami prawej ręki.

Odchyliłem się do tyłu i zastanowiłem nad różnymi sprawami. Przypomniał mi się komentarz Emmetta na temat śmierci McAry - że śmierć wskutek utonięcia wcale nie jest bezbolesna, lecz wiąże się z wielkim cierpieniem. Już wtedy ta uwaga wydała mi się dziwna w ustach profesora. Rozciągnąłem palce, jak pianista przed zagranieniem trudnego utworu, po czym wpisałem kolejne hasło do wyszukiwarki: „Paul Emmett” i „CIA”.

Na ekranie natychmiast pojawiły się liczne odnośniki, ale wszystkie, przynajmniej na pierwszy rzut oka, wyglądały na śmieci: artykuły i książki Emmetta, w których wspomniał o CIA, artykuły innych autorów, zawierające wzmianki o CIA i Emmecie, publikacje na temat Arcadia Institution, w których pojawiło się jego nazwisko i skrót „CIA”. Dopiero po przejrzaniu około czterdziestu odnośników trafiłem na coś bardziej obiecującego:

CIA NA UNIWERSYTETACH

CENTRALNA AGENCJA WYWIADU WYKORZYSTUJE OBECNIE KILKuset PRACOWNIKÓW UNIWERSYTETÓW...

PAUL EMMETT... WWW.SPOOKS-ON-CAMPUS.ORG/CHURCH/LIST K1897/A.HTML -11 K

Strona internetowa była opatrzona wielkim nagłówkiem „O kim mówił Frank?”. Zaczynała się od cytatu z raportu komisji senatora Franka Churcha na temat działalności CIA, opublikowanego w 1976 roku:

CENTRALNA AGENCJA WYWIADOWCZA WYKORZYSTUJE OBECNIE KILKuset PRACOWNIKÓW UNIWERSYTETÓW (ADMINISTRATORÓW, CZŁONKÓW FAKULTETU I DOKTORANTÓW MAJĄCYCH KONTAKT Z DYDAKTYKĄ), KTÓRZY NIE TYLKO DOSTARCZAJĄ INFORMACJI, ALE RÓWNIEŻ UŁATWIAJĄ AGENTOM NAWIĄZYWANIE KONTAKTÓW W CELACH WYWIADOWCZYCH I CZASAMI PISZĄ KSIĄŻKI ORAZ PRZYGOTOWUJĄ INNE MATERIAŁY PROPAGANDOWE DO UŻYTKU ZA GRANICĄ. KILKudziesięciu INNYCH NIEŚWIADOMIE SŁUŻY AGENCJI W DROBNYCH SPRAWACH.

Poniżej znajdowała się alfabetyczna lista około dwudziestu nazwisk. Wśród wymienionych dostrzegłem również Paula Emmetta. Gdy kliknąłem na jego nazwisko, miałem wrażenie, że pod moimi nogami otworzyła się zapadnia.

WEDŁUG FRANKA MOLINARIEGO, KTÓRY UJAWNIŁ WIELE SEKRETÓW CIA, ABSOLWENT YALE, PAUL EMMETT, ZOSTAŁ FUNKCJONARIUSZEM AGENCJI W 1969 LUB 1970 ROKU; PRZYDZIELONO GO DO WYDZIAŁU ZASOBÓW ZAGRANICZNYCH ZARZĄDU OPERACYJNEGO. (ŹRÓDŁO: INSIDE THE AGENCY, AMSTERDAM, 1977).

- Och, nie - powiedziałem cicho. - Nie. Tylko nie to.

Gapilem się na ekran pewnie dobrą minutę, aż wreszcie wyrwał mnie z zadumy trzask tłukących się talerzy. Uniósłem głowę. Jedno z dzieci bawiących się na podłodze przechyliło stół i zważyło wszystkie nakrycia na posadzkę. Kelnerka przybiegła ze szcztoką i wiadrem na śmieci, a nianie (czy też matki) skarciły maluchy. W tym momencie zauważyłem, że dwaj krótko ostrzyżeni mężczyźni przy ladzie w ogóle nie zwrócili uwagi na ten niewielki dramat, lecz przez cały czas patrzyli na mnie. Jeden trzymał przy uchu komórkę.

Dość spokojnie - miałem nadzieję, że spokojniej, niż się naprawdę czułem - wyłączyłem komputer i udałem, że dopijam kawę. Kawa wystygła, gdy byłem zajęty poszukiwaniami. Była zimna i gorzka. Położyłem na stole dwadzieścia

dolarów, wzięłem walizkę i powoli ruszyłem do wyjścia. Już wtedy myślałem, że jeśli coś mi się stanie, kelnerka z pewnością będzie pamiętała samotnego Anglika, który usiadł daleko od okna i zostawił absurdalnie duży napiwek. Nie mam pojęcia, jak miałyby mi to pomóc, ale wówczas wydawało mi się to sprytnym manewrem. Wyszedłem, bardzo uważając, żeby nie spojrzeć na tych dwóch przy ladzie.

Na ulicy, w zimnym, szarym świetle, widząc zielone markizy kawiarni Starbucks kilka kroków dalej, powoli przejeżdżające samochody („Dziecko w samochodzie: proszę, jedź ostrożnie”) i emerytów w futrzanych czapkach i rękawicach, przez chwilę mogłem sobie wyobrazić, że przez godzinę zabawiałem się jakąś grą komputerową własnej roboty. Jednak zaraz po moim wyjściu drzwi kawiarenki się otworzyły i wyszli dwaj krótko ostrzyżeni mężczyźni. Szybko poszedłem do forda, usiadłem za kierownicą i zablokowałem drzwi. Spojrzałem w lusterko: tamci dwaj gdzieś znikli.

Przez chwilę siedziałem nieruchomo. Tak czułem się bezpiecznie. Fantazjowałem, że gdybym siedział tu dostatecznie długo, może wskutek osmozy zostałbym wciągnięty w spokojne życie zamożnych mieszkańców Belmont. Mógłbym robić to samo, co wszyscy ci emeryci - grać w brydża, oglądać popołudniowe filmy, zachodzić do biblioteki publicznej, żeby przeczytać magazyny i kręcąc głową twierdzić, że świat schodzi na psy, bo rządzi nim moje niedoświadczone i rozpieszczone pokolenie. Przyglądałem się, jak kolejne damy wychodzą od fryzjera i lekko przyglądają

świeżo uczesane włosy. Młoda para, która trzymała się za ręce w kawiarence, teraz stanęła przed wystawą jubilera: oglądali pierścionki.

Nagle uzaliłem się nad swoim losem. Byłem odseparowany od normalnego życia, zupełnie jakbym mieszkał w szklanej kuli.

Wyjąłem fotografie. Przerzucałem je szybko, aż w końcu znalazłem zdjęcie Emmetta i Langa na scenie. Przyszły premier i rzekomy agent CIA podskakiwali razem, w rękawiczkach i kapeluszach, odgrywając numer w komediowej rewii! To wydawało się nie tyle nieprawdopodobne, co raczej groteskowe, ale przed oczami miałem jednoznaczny dowód. Odwróciłem fotografię, żeby spojrzeć na zanotowany numer. Im dłużej na niego patrzyłem, tym bardziej oczywiste stawało się dla mnie, że nie mam wyboru. Nie mogłem nic na to poradzić: jestem skazany na dalszą wędrówkę śladami McAry.

Poczekalem, aż młodzi kochankowie wejdą do jubilera, po czym wyjąłem komórkę. Odszukałem numer na liście i zadzwoniłem do Richarda Rycarta.

Rozdział 14

Połowa roboty murzyna polega na zdobywaniu informacji o innych ludziach.

Andrew Crofts

Tym razem odebrał już po kilku sekundach.

- No, więc zdecydował się pan znów zadzwonić - powiedział tym swoim nosowym, śpiewnym głosem. - Miałem przeczucie, że pan to zrobi, kimkolwiek pan jest. Niezbyt wielu ludzi zna ten numer. - Przerwał. Czekał, aż coś powiem. W tle słyszałem głos jakiegoś mężczyzny - chyba wygłaszał przemówienie. - No, mój przyjacielu, czy tym razem chce pan porozmawiać?

- Tak - odpowiedziałem.

Rycart znowu czekał, ale ja nie wiedziałem, jak zacząć. Wciąż myślałem o Langu - co on by pomyślał, gdyby zobaczył, jak rozmawiam z kandydatem na jego nemezis. Łamałem wszystkie reguły kodeksu murzynów. Naruszyłem zobowiązanie do zachowania dyskrecji, które podpisałem,

zawierając umowę z Rhinehartem. Z profesjonalnego punktu widzenia to było samobójstwo.

- Kilka razy próbowałem zadzwonić do pana - kontynuował Rycart. W jego głosie dosłyszałem przyganę.

Młodzi kochankowie wyszli ze sklepu jubilera po drugiej stronie ulicy. Szli w moim kierunku.

- Wiem - odpowiedziałem. Wreszcie odzyskałem głos. - Przepraszam. Przypadkiem znalazłem pana numer. Chciałem sprawdzić, czyj to telefon. Rozmowa z panem nie wydawała mi się czymś właściwym.

- Dlaczego?

Para zakochanych minęła samochód. Patrzyłem w lustro, jak się oddalają. On trzymał rękę w jej tylnej kieszeni spodni, ona w jego, jak para kieszonkowców na randce w ciemno.

Zdecydowałem się na skok na głęboką wodę.

- Pracuję dla Adama Langa. Nazywam się...

- Niech pan nie wymienia żadnych nazwisk - przerwał mi pośpiesznie. - Proszę unikać wszelkich konkretów. Gdzie znalazł pan mój numer?

Mówił z takim naciskiem, że wytrąciło mnie to z równowagi.

- Na odwrocie zdjęcia.

- Jakiego zdjęcia?

- Mojego klienta, z czasów studiów. Miał je mój poprzednik.

- Boże, naprawdę? - Teraz Rycart na chwilę zanie-mówił. W tle słychać było oklaski.

- Wydaje się pan zaszokowany - stwierdziłem.

- Owszem, to pasuje do czegoś, co mi powiedział.
 - Spotkałem się z jednym z ludzi z tego zdjęcia. Pomyślałem, że mógłby mi pan pomóc.
 - Dlaczego nie chce pan porozmawiać ze swoim klientem?
 - Wyjechał.
 - Tak, oczywiście - powiedział z wyraźną satysfakcją. - A pan gdzie jest? W przybliżeniu?
 - W Nowej Anglii.
 - Czy mógłby pan od razu przyjechać do miasta, gdzie obecnie przebywam? Zakładam, że wie pan, gdzie jestem. Gdzie pracuję?
 - Zapewne - powiedziałem sceptycznym tonem. - Mam samochód. Mógłbym przyjechać.
 - Nie, niech pan nie jedzie samochodem. Samolot jest znacznie bezpieczniejszy.
 - Tak twierdzą linie lotnicze.
 - Słuchaj, przyjacielu - szepnął gniewnie Rycart - gdybym był na pańskim miejscu, raczej zrezygnowałbym z żartów. Niech pan jedzie na najbliższe lotnisko i polecą pierwszym samolotem. Proszę mi przesłać numer lotu - nic poza tym. Poślę kogoś, żeby odebrał pana z lotniska.
 - Ale jak on mnie pozna?
 - To pan będzie musiał go rozpoznać.
- W tle znowu rozległy się oklaski. Chciałem zgłosić kolejne zastrzeżenie, ale się spóźniłem. Rycart przerwał połączenie.

* * *

Wyjechałem z Belmont, mając bardzo mgliste wyobrażenie, dokąd powinienem jechać. Co kilka sekund nerwowo spoglądałem we wsteczne lusterko. Jeśli ktoś mnie śledził, robił to tak dobrze, że nie potrafiłem się zorientować. Pojawiały się za mną różne samochody, ale żaden nie trzymał się mnie dłużej niż kilka minut. Wypatrywałem drogowskazów do Bostonu. W końcu przejechałem przez dużą rzekę i wjechałem na autostradę, kierując się na wschód.

Jeszcze nie było piętnastej, ale już zaczęło szarzeć. Daleko, po lewej stronie drogi, widać było oświetlone zachodzącym słońcem biurowce, błyszczące na tle szarego atlantyckiego nieba, natomiast przed sobą co chwila widziałem światła pozycyjne samolotów lądujących na lotnisku Logan. Wyglądały jak spadające gwiazdy. Przejechałem ostrożnie kilka mil, zachowując bezpieczną prędkość. Tym, którzy nie mieli przyjemności być tutaj, chciałbym wyjaśnić, że lotnisko Logan znajduje się w środku bostońskiego portu, a od południa dojeżdża się tam tunelem, który wydaje się nie mieć końca. Gdy droga znikła pod ziemią, zadałem sobie pytanie, czy rzeczywiście zamierzam angażować się w to coraz bardziej. Miarą mojej niepewności było to, że gdy po przejechaniu prawie mili znowu znalazłem się na powierzchni, w ponurym popołudniowym zmroku, wciąż nie podjąłem decyzji.

Kierując się drogowskazami, pojechałem na długoterminowy parking. Właśnie wjeżdżałem tyłem na miejsce parkingowe, gdy zadzwonił telefon. Nie rozpoznałem numeru, który pojawił się na wyświetlaczu. Niewiele brakowało,

a nie odebrałbym. Gdy jednak to zrobiłem, usłyszałem apodyktyczne pytanie:

- Do licha, gdzie ty się podziewasz?

Dzwoniła Ruth Lang. Miała czelność zaczynać rozmowę, nie przedstawiając się. Widocznie jej zdaniem każdy powinien ją rozpoznać. Jestem pewny, że jej mąż, nawet gdy był premierem, nie pozwalał sobie na takie zachowanie.

- Pracuję - odpowiedziałem.

- Doprawdy? Nie ma cię w hotelu.

- Nie ma mnie? Ciekawe.

- A co, jesteś? Powiedzieli mi, że w ogóle cię tam nie było.

Gorączkowo szukałem jakiegoś stosownego kłamstwa. W końcu zdecydowałem się na cząstkową prawdę.

- Postanowiłem pojechać do Nowego Jorku.

- Po co?

- Chcę się spotkać z Johnem Maddoksem, porozmawiać o modyfikacji struktury książki, koniecznej z uwagi - przez chwilę myślałem nad taktownym eufemizmem - z uwagi na zmianę okoliczności.

- Niepokoiliam się o ciebie - powiedziała. - Przez cały dzień chodziłam w tę i z powrotem po tej pieprzonej plaży i myślałam o tym, o czym rozmawialiśmy wczoraj wieczorem...

- Lepiej nie mów o tym przez telefon - przerwałem jej.

- Nie bój się, nie będę. Nie jestem ostatnią idiotką. Po prostu im dłużej o tym myślę, tym bardziej mnie to niepokoi.

- Gdzie jest Adam?
- O ile mi wiadomo, nadal w Waszyngtonie. Wciąż dzwoni, ale ja nie odbieram. Kiedy wrócisz?
- Nie jestem pewny.
- Dziś wieczorem?
- Postaram się.
- Wróć, jeśli tylko będziesz mógł. - Teraz mówiła przy-ciszonym głosem. Przypuszczalnie gdzieś blisko stał ochroniarz. - Dep ma dzisiaj wolne. Ugotuję kolację.
- Czy mam to uważać za zachętę?
- Jesteś chamem - zaśmiała się Ruth. Przerwała rozmowę równie nagle, jak ją zaczęła, nie powiedziała nawet „do widzenia”.

Popukałem się telefonem w usta. Perspektywa rozmowy przy kominku z Ruth, a potem może drugiej rundy jej energicznych uścisków miała swoje plusy. Mogłem zadzwonić do Rycarta i powiedzieć mu, że zmieniłem plany. Trudno mi było zdecydować, co zrobić. Wyciągnąłem walizkę z samochodu i, mijając kałuże, poszedłem do czekającego autobusu. Gdy wsiadłem, położyłem walizkę na fotelu obok, po czym rozłożyłem plan lotniska. Miałem przed sobą kolejną decyzję. Terminal B - loty do Nowego Jorku i spotkanie z Rycartem - czy terminal E - loty międzynarodowe i wieczór we własnym domu w Londynie? Dotychczas nie rozważałem tej możliwości. Miałem przy sobie paszport i wszystkie rzeczy. Mogłem po prostu polecieć do domu.

B czy E? Poważnie rozważałem obie możliwości. Zachowywałem się jak wyjątkowo tępy szczur laboratoryjny w

labiryntcie. Wciąż musiałem podejmować decyzje i wciąż wybierałem złą drogę.

Drzwi autobusu otworzyły się z głośnym sapnięciem.

Wysiadłem przed terminalem B. Kupiłem bilet, wysłałem SMS do Rycarta i wsiadłem do samolotu US Airways, lecącego na lotnisko La Guardia.

* * *

Z jakiegoś powodu nasz samolot musiał czekać na płycie lotniska. Zaczęliśmy kołować zgodnie z rozkładem, ale potem samolot zatrzymał się tuż przed pasem startowym, po czym zjechał na bok, żeby uprzejmie przepuścić czekające w kolejce odrzutowce. Zaczęło padać. Popatrzyłem przez okno na płaski trawnik i zespane ze sobą powierzchnie morza i nieba. Na szybie pojawiły się przejrzyste wodne żyłki. Ilekroć startował kolejny samolot, cienka skorupa kabiny dygotała, żyłki pękały i łączyły się ponownie. Pilot samolotu przeprosił pasażerów za opóźnienie: powiedział, że pojawił się jakiś problem z zezwoleniem na lot. Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego podniósł ocenę zagrożenia z podwyższonej (żółty) do wysokiej (pomarańczowy), dlatego pilot poprosił wszystkich o cierpliwość. Siedzący wokół mnie biznesmeni rozmawiali z podnieceniem. Mój sąsiad oderwał wzrok od różowych stron gazety i spojrzał na mnie.

- Coraz gorzej - powiedział.

Złożył „Financial Times”, rzucił gazetę na kolana i zamknął oczy. Zobaczyłem wielki nagłówek „LANG ZDOBYWA POPARCIE USA” i znowu zdjęcie z tym jego uśmiechem.

Ruth miała rację. Nie powinien był się uśmiechać. Jego zadowolona twarz pojawiała się na pierwszych stronach gazet na całym świecie.

Moja niewielka walizka zmieściła się do schowka na bagaż nad głową. Torbę podróżną postawiłem na podłodze, przed fotelem. Teraz opierałem na niej nogi. Wszystko było w porządku, a mimo to nie mogłem się rozluźnić. Czułem się winny, choć nie zrobiłem nic złego. Niemal oczekiwałem, że za chwilę antyterrorysty z FBI zdobędą samolot i wywloką mnie na płytę. Po czterdziestu pięciu minutach silniki nagle zawyły, a pilot obwieścił przez głośnik, że otrzymaliśmy zezwolenie na start. Na koniec jeszcze raz przeprosił i podziękował za zrozumienie sytuacji.

Samolot nabrał prędkości i wzbił się w chmury. Byłem tak wyczerpany, że mimo zdenerwowania - a może z tego powodu - zasnąłem. Obudziłem się z nerwowym szarpnięciem, gdy wyczułem, że ktoś się nade mną pochyla. To tylko stewardesa sprawdzała, czy mam zapięty pas. Wydawało mi się, że spałem tylko kilka sekund, ale sądząc po zmianie ciśnienia w uszach, już schodziliśmy do lądowania na La Guardia. Samolot dotknął pasa dokładnie sześć po szóstej - pamiętam to, bo spojrzałem na zegarek - a dwadzieścia po szóstej już wyminąłem tłum pasażerów niecierpliwie czekających przy taśmociągu na swoje bagaże i skierowałem się do jednej z bramek prowadzących do hali przylotów.

Wczesnym wieczorem na lotnisku panował duży ruch. Wszyscy śpieszyli się, żeby dotrzeć do domu lub do centrum

na kolację. Popatrzyłem na twarze tłoczących się ludzi. Zastanawiałem się, czy może Rycart przyjechał po mnie osobiście, ale nie dostrzegłem nikogo znajomego. Jak zwykle, za bramką stało kilku kierowców, którzy trzymali przy piersi kartki z nazwiskami wypisanymi dużymi literami. Patrzyli przed siebie, unikając kontaktu wzrokowego, jak podejrzani podczas identyfikacji na policji. Ja, jak zdenerwowany świadek, przeszedłem przed nimi, przyglądając się każdemu, żeby nie popełnić błędu. Rycart dał mi do zrozumienia, że rozpoznam właściwą osobę. Gdy zobaczyłem tego mężczyznę, serce na chwilę stanęło mi w piersiach. Stał nieco z boku, zajmując własną przestrzeń - z bladą twarzą, ciemnymi włosami, wysoki, mocno zbudowany, nieco po pięćdziesiątce, w kiepskim garniturze z supermarketu. Trzymał niewielką tabliczkę z wypisanym kredą nazwiskiem „Mike McAra”. Nawet oczy miał takie, jak sobie wyobrażałem oczy McAry: przebiegłe i bezbarwne.

Facet żuł gumę. Wskazał brodą moją walizkę.

- Już pan ma bagaż - powiedział. To było stwierdzenie, nie pytanie, ale mnie nie robiło to różnicy. Nigdy w życiu nie byłem tak uszczęśliwiony, słysząc, jak ktoś mówi z nowojorskim akcentem. Odwrócił się na pięcie. Ruszyłem za nim przez halę. Na zewnątrz panowało wieczorne demonium: krzyki, wycie klaksonów, trzask drzwi, walki o taksówkę.

Nieznajomy przyprowadził samochód, otworzył okno i kiwnął na mnie ręką, żebym szybko wsiadał. Gdy ładowałem walizkę na tylne siedzenie, siedział z rękami na kierownicy,

patrzac prosto przed siebie, nie zachęcając do rozpoczęcia rozmowy. Zresztą, nie było na to czasu. Zaraz po opuszczeniu lotniska podjechaliśmy pod centrum konferencyjne i wielki hotel ze szklaną fasadą przy Grand Central Parkway. Kierowca stęknął, obracając ciężkie ciało na siedzeniu, żeby zwrócić się do mnie. W samochodzie śmierdziało jego potem. Patrząc przez mokrą szybę na anonimowy budynek, przeżyłem chwilę egzystencjalnego przerażenia: co ja, na litość boską, tu robię?

- Jeśli będzie pan musiał nawiązać kontakt, niech pan skorzysta z tego telefonu - powiedział, podając mi nową komórkę, jeszcze nie rozpakowaną z folii. - W środku jest karta za dwadzieścia dolarów. Niech pan nie używa własnej komórki. Najbezpieczniej będzie, jeśli pan ją wyłączy. Zapłaci pan za pokój z góry, gotówką. Ma pan dość pieniędzy? To będzie jakieś trzysta dolców.

Kiwnąłem głową.

- Zatrzyma się pan na jedną noc. Ma pan zarezerwowany pokój. - Facet wyciągnął z tylnej kieszeni gruby portfel. - Tu jest karta kredytowa, której użyje pan jako gwarancji pokrycia dodatkowych wydatków. Zarejestruje się pan w hotelu na nazwisko na karcie. Proszę podać jakiś fikcyjny adres w Wielkiej Brytanii. Jeśli będzie pan miał dodatkowe wydatki, proszę koniecznie zapłacić gotówką. Tu ma pan numer telefonu, pod który może pan zadzwonić, jeśli w przyszłości będzie pan chciał nawiązać kontakt.

- Kiedyś pewnie był pan policjantem - odpowiedziałem. Wziąłem od niego kartę kredytową i pasek papieru z numerem

telefonu wypisanym dziecinnymi kulfonami. Pasek i kartka były jeszcze ciepłe od kontaktu z jego ciałem.

- Niech pan nie korzysta z Internetu i nie rozmawia z obcymi. Proszę szczególnie unikać kobiet, które mogą pana zaczepić.

- Mówi pan jak moja matka.

Nawet się nie uśmiechnął. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu.

- To wszystko - powiedział niecierpliwie. Machnął mięsistą ręką w kierunku drzwiczek. - Pan wysiada.

Gdy już pokonałem obrotowe drzwi ze szkła, sprawdziłem nazwisko na karcie. Clive Dixon. Najwyraźniej niedawno skończyła się jakaś wielka konferencja. W rozległym holu wyłożonym białym marmurem kręciło się kilkudziesięciu delegatów w czarnych garniturach, z żółtymi identyfikatorami w klapach; wszyscy z ożywieniem rozmawiali. Kojarzyli mi się ze stadem wron. Wszyscy wydawali się pełni energii, zmotywowani, gotowi walczyć o realizację celów korporacji i własną karierę. Sądząc po identyfikatorach, należeli do jakiegoś Kościoła. Ponad naszymi głowami, na wysokości trzydziestu jardów, wisiały wielkie świecące kule. Światło odbijało się od chromowanych ścian. To był dla mnie zupełnie obcy świat. Podeszedłem do recepcji.

- Jak sądzę, mam zarezerwowany pokój - powiedziałem do recepcjonisty. - Na nazwisko Dixon.

Sam nie wybrałbym takiego pseudonimu. Nie myślę o sobie jako o Dixonie, kimkolwiek on jest. Recepcjonista nie

zwrócił najmniejszej uwagi na moje zakłopotanie. Miał mnie w komputerze, karta kredytowa nie budziła zastrzeżeń, nic poza tym nie miało dla niego znaczenia. Pokój kosztował 275 dolarów za noc. Wypełniłem kartę meldunkową - podałem numer domu Kate w Shephard's Bush i ulicę, przy której znajduje się londyński klub Ricka. Gdy oświadczyłem, że płacę gotówką, wziął banknoty tak, jakby nigdy w życiu czegoś takiego nie widział. Gotówką? Gdybym przywiązał muła do jego lady i zaproponował, że zapłacę skórkami zwierząt futerkowych i kłami morsa, które rzeźbiłem podczas długiej zimy, zapewne byłby mniej niezadowolony.

Odrzuciłem ofertę pomocy we wniesieniu bagaży, sam pojechałem windą na siódme piętro i włożyłem elektroniczną kartę do zamka pokoju. Dostałem beżowy pokój, miękko oświetlony kinkietami, z widokiem przez Grand Central Parkway na La Guardię i niezgłębianą czerń East River. Telewizor był włączony - leciał kolejny odcinek serialu *Tylko Manhattan*, a na dole widać było napis „Witamy w Nowym Jorku, panie Dixon”. Wyłączyłem telewizor, po czym zajrzałem do minibaru. Nie chciało mi się szukać kieliszka. Odkręciłem niewielką butelkę i napiłem się z gwinta.

Mniej więcej dwadzieścia minut później, gdy już zacząłem drugą małą butelkę, moja nowa komórka zaświeciła się na niebiesko i zaczęła wydawać niepokojące elektroniczne piski. Oderwałem się od okna, żeby po nią sięgnąć.

- To ja - usłyszałem głos Rycarta. - Już się pan rozpakował?

- Tak.
- Jest pan sam?
- Tak.
- To niech pan otworzy drzwi.

Rycart stał na korytarzu, z telefonem przy uchu. Obok niego tkwił kierowca, który przyjechał po mnie na lotnisko.

- W porządku, Frank - powiedział Rycart do ochroniarza. - Zostanę sam. Ty miej oko na hol.

Rycart schował telefon do kieszeni płaszcza, a Frank ruszył ciężkim krokiem do windy. O takich jak Rycart moja mama mówiła „przystojny i wie o tym”. Charakterystyczny profil, wąsko osadzone niebieskie oczy, podkreślone opalenizną, i ta odrzucona do tyłu kaskada włosów, którą tak lubili karykaturzyści. Nie wyglądał na swoje sześćdziesiąt lat. Wskazał brodą butelkę, którą trzymałem w ręce.

- Ciężki dzień?
- Można tak powiedzieć.

Rycart wszedł do pokoju, nie czekając na zaproszenie. Od razu zasunął firanki w oknie. Zamknąłem drzwi.

- Przepraszam za to miejsce spotkania - powiedział - ale na Manhattanie zbyt często jestem rozpoznawany. Zwłaszcza od wczoraj. Czy Frank dobrze się panem zajął?

- Rzadko zdarza mi się, żeby ktoś tak serdecznie mnie powitał.

- Rozumiem, co pan chce powiedzieć, ale on jest bardzo użyteczny. Ekspolicjant z Nowego Jorku. Zajmuje się logistyką i ochroną. Jak może pan sobie łatwo wyobrazić, teraz

nie jestem najbardziej popularnym dzieckiem z okolicy.

- Chce się pan czegoś napić?

- Poproszę trochę wody.

Gdy szukałem szklanki i nalewałem wodę, Rycart obszedł cały pokój. Zajrzał do łazienki i do szafy.

- O co panu chodzi? - spytałem. - Boi się pan, że to jakaś zasadzka?

- Przyszło mi to do głowy - przyznał. Zdjął płaszcz i starannie położył go na łóżku. Jego garnitur od Armaniego kosztował pewnie dwa razy więcej niż całkowity roczny dochód jakiejś afrykańskiej wioski. - Bądźmy szczerzy, w końcu jest pan pracownikiem Langa.

- Po raz pierwszy spotkałem go w poniedziałek - odpowiedziałem. - Praktycznie go nie znam.

- A kto go zna? - zaśmiał się Rycart. - Jeśli spotkał go pan w poniedziałek, zna go już pan nie gorzej niż inni. Ja współpracowałem z nim przez piętnaście lat i z pewnością go nie rozumiem. Mike McAra również go nie rozumiał, a był z nim od samego początku.

- Jego żona dała mi do zrozumienia mniej więcej to samo.

- Widzi pan. Jeśli nawet ktoś tak bystry jak Ruth go nie rozumie - a przecież ona jest jego żoną, na litość boską! - to jakie szanse mają inni? Ten człowiek to chodząca tajemnica. Dziękuję. - Rycart wziął ode mnie szklankę z wodą i wypił kilka łyków, uważnie mi się przyglądając. - Pan jednak mówił tak, jakby zaczął pan układać kawałki tej łamigłówki.

- Szczerze mówiąc, czuję się tak, jakbym to ja zaczął się rozkładać.

- Usiądźmy - zaproponował Rycart, klepiąc mnie po ramieniu. - Może mi pan o tym opowie.

Ten gest przypomniiał mi zachowanie Langa. Urok wielkiego człowieka. Obaj sprawiali, że czułem się jak płotka pływająca wśród rekinów. Musiałem zachować czujność. Usiadłem na jednym z dwóch niewielkich foteli, takiego samego koloru jak ściany. Rycart usiadł naprzeciwko mnie.

- Od czego zaczniemy? - spytał. - Pan wie, kim ja jestem. Kim pan jest?

- Jestem zawodowym murzynem - wyjaśniłem. - Po śmierci Mike'a Mc Ary zlecono mi przerobienie wspomnień Langa. Nie znam się na polityce. Czuję się tak, jakbym przeszedł na drugą stronę lustra.

- Proszę mi powiedzieć, czego się pan dowiedział.

Nawet ja byłem na to za sprytny. Zacząłem się jąkać.

- Może raczej pan mi najpierw opowie, kim był Mike McAra - zaproponowałem.

- Jeśli pan woli - zgodził się Rycart, wzruszając ramionami. - Co mogę o nim powiedzieć? Mike był zawodowcem czystej wody. Gdyby przypiąć kokardę do walizki i powiedzieć mu, że to przywódca partii, poszedłby za nią. Wszyscy oczekiwali, że po objęciu funkcji przewodniczącego Lang go wyrzuci i zatrudni swojego człowieka, ale Mike był zbyt przydatny. Znał partię na wylot. Czego jeszcze chce się pan dowiedzieć?

- Jakim był człowiekiem prywatnie?

- Prywatnie?! - Rycart dziwnie na mnie spojrzał, jakby to było najbardziej niezwykle pytanie, jakie kiedykolwiek słyszał. - On nie miał żadnego życia poza polityką, jeśli o to panu chodzi. Można powiedzieć, że Lang zastępował mu żonę, dzieci i przyjaciół. Co jeszcze? Był obsesyjnym, pedantycznym człowiekiem. Całkowitym przeciwieństwem Adama. Może dlatego trzymał się go przez wszystkie te lata, zarówno na Downing Street, jak i potem, po dymisji Langa. Wszyscy inni odeszli wcześniej, pozalätwiali sobie dobre stanowiska i zarabiają szmal. Nasz Mike nie chciał lukratywnej posady w jakiejś korporacji. Był bardzo lojalny w stosunku do Adama.

- Nie tak do końca - wtrąciłem. - Przecież skontaktował się z panem.

- Ach, ale zrobił to dopiero pod sam koniec. Wspomniał pan o jakiejś fotografii. Czy mogę ją zobaczyć?

Wyciągnąłem kopertę. Rycart patrzył na nią z takim samym pożądaniami, jak Emmett, ale gdy w końcu zobaczył zdjęcie, nie potrafił ukryć rozczarowania.

- Tylko to?_- prychnął. - Banda zamożnych białych dzieciaków odstawiających rewiowy numer?

- To coś bardziej interesującego - odrzekłem. - Przede wszystkim, dlaczego na odwrocie jest zapisany pana numer?

- Dlaczego mam panu pomagać? - spytał Rycart, rzucając mi przebiegłe spojrzenie.

- A dlaczego ja mam pomagać panu?

Patrzyliśmy sobie w oczy. W końcu Rycart uśmiechnął się, pokazując duże białe zęby.

- Powinien pan zostać politykiem - powiedział.

- Uczę się od najlepszych.

Skłonił się skromnie, biorąc ten komplement do siebie. W rzeczywistości myślałem o Langu. Próżność to była słabość Rycarta. Mogłem sobie wyobrazić, jak zręcznie Lang mu pochlebiał i jakim ciosem musiała być dla niego dymisja. Teraz, ze szczupłą twarzą, orlim nosem i przenikliwymi oczami, jak każdy odtrącony kochanek, chciał się przede wszystkim zemścić. Wstał z fotela, żeby wyjrzeć na korytarz. Sprawdzał, czy nikt nie stoi pod drzwiami. Gdy wrócił, pochylił się ku mnie i wycelował opalony palec w moją twarz.

- Jeśli mnie pan oszuka, drogo pan za to zapłaci - ostrzegł. - A jeśli nie wierzy pan, że jestem pamiętliwy i zawsze wyrównuję rachunki, niech pan spyta Adama Langa.

- Doskonale - odrzekłem.

Rycart był zbyt podniecony, żeby usiedzieć na miejscu. Był jeszcze jeden czynnik: dopiero teraz zdałem sobie sprawę, pod jaką jest presją. Jedno na pewno należało mu przyznać: trzeba mieć odwagę, żeby zaciągnąć swojego byłego przywódcę partyjnego i premiera przed Trybunał i oskarżyć o zbrodnie wojenne.

- Ta sprawa Międzynarodowego Trybunału Karnego - zaczął mówić, krążąc przed łóżkiem - trafiła do gazet w zeszłym tygodniu, ale mogę pana zapewnić, że za kulisami dążyłem do tego od lat. Irak, przekazywanie więźniów do innych państw, tortury, Guantanamo - to, co robiono w ramach tak zwanej wojny z terroryzmem, jest równie

nielegalne z punktu widzenia prawa międzynarodowego, jak rozmaite rzeczy, które zdarzyły się w Kosowie czy Libarii. Jest tylko jedna różnica: my to robiliśmy. Ta hipokryzja powoduje odruch wymiotny.

Rycart chyba spostrzegł, że zaczyna przemówienie, które wygłaszał już wiele razy, bo wyraźnie się zreflektował. Wypił trochę wody.

- Co innego retoryka, co innego twarde dowody. Czuję, że zmienia się polityczny klimat. To mi sprzyjało. W miarę jak wybuchały kolejne bomby i ginęli kolejni żołnierze, stawało się coraz bardziej oczywiste, że rozpoczęliśmy następną wojnę stuletnią, nie mając pojęcia, jak ją zakończyć. Każde takie wydarzenie zmieniało nieco sytuację na moją korzyść. Można już było sobie wyobrazić, że przywódca zachodniego państwa skończy na ławie oskarżonych. Im większy stawał się chaos, jaki Lang zostawił po sobie, tym więcej było ludzi, którzy nie tylko byli gotowi to zaakceptować, ale nawet tego chcieli. Potrzebowałem tylko jednego dowodu, który spełniałby prawne kryteria - wystarczyłby jeden dokument z jego podpisem. Niestety, nie miałem takiego dokumentu.

I nagle, tuż przed Bożym Narodzeniem, dostałem taki dowód. Miałem go w rękach. Ktoś przysłał go pocztą. Nawet bez listu przewodniego. „Ścisłe tajne: Memorandum premiera do ministra obrony”. To dokument sprzed pięciu lat, został napisany, gdy byłem jeszcze ministrem spraw zagranicznych, ale nie wiedziałem o jego istnieniu. To był niepodważalny dowód, prawdziwy dymiący pistolet - Jezu, lufa była jeszcze gorąca! Dyrektywa premiera, który polecił SAS

zgarnąć tych czterech lajdaków z ulicy w Pakistanie i przekazać ich CIA.

- Zbrodnia wojenna.

- Owszem, zbrodnia wojenna - powtórzył. - Zgoda, raczej drugorzędna. Ale co z tego? Al Capone trafił do więzienia nie za morderstwa, tylko za przestępstwa podatkowe. To bynajmniej nie oznaczało, że nie był gangsterem. Dyskretnie sprawdziłem autentyczność tego memorandum, a potem osobiście zawiozłem je do Hagi.

- I nie miał pan pojęcia, kto je przysłał?

- Nie. Dowiedziałem się dopiero wtedy, gdy mój anonimowy informator zadzwonił i mi powiedział. Chciałbym zobaczyć Langa, gdy się dowie, kto to był. To będzie dla niego najgorsze. - Rycart pochylił się ku mnie. - Mike Mc Ara!

Gdy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że się tego spodziewałem. Czym innym jednak jest podejrzenie, czym inny dowód. Patrząc na radość i podniecenie Rycarta, mogłem docenić znaczenie tej zdrady.

- To on do mnie zadzwonił! Może pan w to uwierzyć? Gdyby ktoś powiedział, że właśnie Mike McAra pomoże mi oskarżyć Langa, wyśmiałybym go!

- Kiedy do pana zadzwonił?

- Mniej więcej trzy tygodnie po tym, jak otrzymałem dokument. To było chyba ósmego stycznia. Może dziewiątego. Mniej więcej w tym czasie. „Halo, Richardzie, czy dostałeś prezent ode mnie?” Niewiele brakowało, a dostałbym zawału. No, ale musiałem powiedzieć mu, żeby się

zamknął. Wie pan oczywiście, że wszystkie rozmowy telefoniczne z siedziby ONZ są podsłuchiwane?

- Tak? - Wciąż starałem się przyjąć to do wiadomości.

- Och, tak. I nie tylko rozmowy. Narodowa Agencja Bezpieczeństwa monitoruje wszystkie kontakty elektroniczne na zachodniej półkuli. Każda sylaba, którą wypowie pan przez telefon, każdy list elektroniczny, który pan wyśle, każda transakcja z użyciem karty kredytowej - to wszystko jest rejestrowane i przechowywane. Problemem jest tylko sortowanie informacji. Tu, w ONZ, powiedziano nam, że najłatwiej uniknąć podsłuchu, używając telefonów na kartę, często zmieniając komórkę i numer oraz nie wspominając w rozmowie o jakichkolwiek konkretach. Wtedy można przynajmniej zachować pewną przewagę w wyścigu. Powiedziałem więc Mike'owi, żeby nic więcej nie mówił. Podałem mu nowiutki numer, z którego nigdy jeszcze nie korzystałem, i poprosiłem, żeby zadzwonił jeszcze raz.

- Rozumiem. - Mogłem to sobie doskonale wyobrazić. Mc Ara, z telefonem między uchem i ramieniem, sięga po swój tani niebieski długopis. - Na pewno zanotował numer na fotografii, którą akurat trzymał.

- A potem do mnie zadzwonił - kontynuował Rycart. Przestał krążyć po pokoju. Teraz przyglądał się swemu odbiciu w lustrze nad komodą. Przyłożył ręce do czoła i odgarnął włosy za uszy. - Boże, jestem wykończony. Niech pan na mnie spojrz. Nigdy tak nie wyglądałem, nawet gdy byłem ministrem i pracowałem po osiemnaście godzin na dobę.

Wie pan, ludzie nie mają pojęcia, jak to jest naprawdę. Sprawowanie władzy nie jest męczące - to brak władzy jest taki nużący.

- Co on powiedział, gdy zadzwonił? McAra?

- Od razu uderzyło mnie, jak bardzo się zmienił. Pytał pan, jakim był człowiekiem. No, na pewno był twardym manipulatorem i właśnie dlatego Adam tak go lubił: wiedział, że Mike zawsze odwali za niego brudną robotę. Był ostry, rzeczowy. Można niemal powiedzieć, że był brutalny, zwłaszcza w rozmowach telefonicznych. Moi pracownicy nazywali go McHorror. „Dzwonił do pana McHorror, panie ministrze...” Pamiętam jednak, że tego dnia mówił jakimś zduszonym głosem. Wydawał się załamany, przygnębiony. Powiedział, że spędził cały rok w archiwum w Cambridge, pracując nad wspomnieniami Langa. Zbadał całą historię naszego rządu i przeżył gorzkie rozczarowanie. Powiedział, że to tam znalazł memorandum dotyczące operacji „Burza”. Nie to jednak skłoniło go do nawiązania kontaktu ze mną. Twierdził, że ta operacja to tylko wierzchołek góry lodowej. Podobno odkrył coś znacznie ważniejszego - coś, co wyjaśniało wszystkie nasze niepowodzenia, gdy sprawowaliśmy władzę.

Z trudem oddychałem.

- Co miał na myśli?

- Jakie to dziwne, ja też go o to spytałem - zaśmiał się Rycart. - Nie chciał nic powiedzieć przez telefon. Chciał się ze mną umówić, żeby porozmawiać o tym osobiście. To było coś bardzo ważnego. Dodał jeszcze, że klucz można znaleźć

w autobiografii Langa, jeśli dobrze poszukać - wszystko jest gdzieś na samym początku.

- To jego słowa?

- Prawie dokładnie. Notowałem, co mówił. Zapowiedział, że zadzwoni za dzień lub dwa, żeby się ze mną umówić, ale więcej się nie odezwał, a mniej więcej tydzień później przeczytałem w gazecie, że utonął. Nikt inny nie dzwonił na ten numer, bo nikt go nie znał. Może więc pan sobie wyobrazić, jaki byłem podniecony, gdy nagle zadzwonił telefon. I tak się tu znaleźliśmy - wskazał gestem pokój. - Świetne miejsce na spędzenie czwartkowego wieczoru. Myślę, że teraz pan powinien mi wyjaśnić, o co, do cholery, w tym wszystkim chodzi.

- Dobrze, ale jeszcze jedno pytanie. Dlaczego nie powiedział pan o tym policji?

- Chyba pan żartuje! Toczyły się bardzo ważne rozmowy w Hadze. Gdybym powiedział policji, że McAra kontaktował się ze mną, oczywiście zapytaliby mnie, w jakiej sprawie. Lang z pewnością dowiedziałby się o tym i mógłby wykonać jakieś prewencyjne posunięcie przeciw Trybunałowi. Dobrze pan wie, że jest cholernie sprawnym manipulatorem. To oświadczenie, które wygłosił przedwczoraj: „Międzynarodowa walka z terroryzmem jest zbyt ważna, żeby wykorzystywać ją dla osobistej zemsty w krajowych rozgrywkach politycznych”. No, no... - pokręcił głową z podziwem. - Jakie to zjadliwe.

Przez chwilę wierciłem się w fotelu, ale Rycart nie zwrócił na to uwagi. Znowu sprawdzał w lustrze, jak wygląda. Wysunął szczękę do przodu.

- Poza tym - dodał - jak słyszałem, policja uznała, że Mike popełnił samobójstwo, bo przeżywał depresję lub był pijany. Może jedno i drugie. Tylko potwierdziłbym ich teorię. Gdy do mnie dzwonił, niewątpliwie był w bardzo kiepskiej formie.

- Mogę panu powiedzieć, dlaczego. Na krótko przedtem odkrył, że jeden z facetów widocznych na zdjęciu z Langiem w Cambridge - na tym zdjęciu, które trzymał w ręce, gdy dzwonił do pana - był pracownikiem CIA.

Rycart obejrzał swój profil. Przerwał. Zmarszczył brwi. Bardzo powoli odwrócił się w moją stronę.

- Był kim?

- Nazywa się Paul Emmett - nagle zacząłem wyrzucać z siebie wszystko, czego się dowiedziałem. Chciałem koniecznie z kimś się tym podzielić, sprawdzić, czy komuś innemu uda się to sensownie wyjaśnić. - Później został profesorem Harvardu i założył jakiś Arcadia Institution. Słyszał pan o tej organizacji?

- Tak, słyszałem... Oczywiście, słyszałem o Arcadii, ale zawsze starałem się trzymać od tej instytucji z daleka, właśnie dlatego, że moim zdaniem wyraźnie śmierdzi CIA. - Rycart usiadł. Wydawał się wstrząśnięty.

- Czy jednak to wszystko jest prawdopodobne? - spytałem. - Nie wiem, jakie zwyczaje panują w tych kręgach. Czy to możliwe, że ktoś wstąpił do CIA, po czym natychmiast został wysłany na studia doktoranckie w innym kraju?

- Powiedziałbym, że to bardzo prawdopodobne. Czy można wymyślić lepszą przykrywkę? A czy uniwersytet nie

jest doskonałym miejscem, żeby szukać najlepszych i najbystrzejszych? - Rycart wyciągnął rękę. - Niech mi pan pokaże to zdjęcie jeszcze raz. Który z nich to Emmett?

- Być może to wszystko bzdury - ostrzegłem go, wskazując Emmetta. - Nie mam żadnego dowodu. Znalazłem jego nazwisko na jednej z tych stron internetowych prowadzonych przez maniaków. Twierdzą tam, że wstąpił do CIA po skończeniu Yale, a więc to zdjęcie zostało zrobione jakieś trzy lata później.

- Łatwo mi w to uwierzyć - stwierdził Rycart. - W rzeczy samej, teraz, gdy pan o tym wspomniał, wydaje mi się, że słyszałem jakieś plotki na ten temat. Z drugiej strony, na wszystkich międzynarodowych konferencjach pełno jest takich ludzi. To kompleks „militarno-przemysłowo-universytecki”. - Rycart zaśmiał się z własnego dowcipu, ale zaraz spoważniał. - Naprawdę podejrzane jest to, że znał Langa.

- Nie, naprawdę podejrzane jest to, że już kilka godzin po tym, jak Mc Ara znalazł Emmetta w jego domu niedaleko Bostonu, morze wyrzuciło go na plażę na Martha's Vineyard.

* * *

Opowiedziałem Rycartowi o wszystkim, co odkryłem. O prądach i latarkach na plaży nad zatoką Lambert, o dziwnym przebiegu policyjnego dochodzenia. O kłótni Langa z Mc Arą, którą opisała Ruth, i o jego niechęci do wspomnienia studenckich lat. O tym, jak próbował ukryć, iż uaktywnił

się politycznie natychmiast po skończeniu studiów, nie zaś dwa lata później. Opisałem, jak Mc Ara, ze swoją typową, upartą pedanterią, dowiedział się tego wszystkiego, fakt po fakcie, stopniowo niszcząc przedstawioną przez Langa relację z tego okresu życia. To pewnie miał na myśli, mówiąc, że klucz do wszystkiego znajduje się w początkowej części autobiografii. Opowiedziałem mu, jak system nawigacyjny w fordzie zaprowadził mnie do domu Emmetta i jak dziwnie on się zachowywał.

Rzecz jasna, w miarę jak mówiłem, Rycarta ogarniało coraz większe podniecenie. Przypuszczam, że to było dla niego drugie Boże Narodzenie.

- Załóżmy - powiedział, znowu krążąc po pokoju - że to Emmett zasugerował Langowi, iż powinien pomyśleć o karierze politycznej. Nie ludźmy się, ktoś musiał zaszcześcić ten pomysł w jego pięknej głowie. Ja wstąpiłem do partyjnej młodzieżówki, gdy miałem czternaście lat. Kiedy Lang zapisał się do partii?

- W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku.

- W siedemdziesiątym piątym! To wszystko do siebie pasuje. Pamięta pan, jaka była sytuacja w Wielkiej Brytanii w połowie lat siedemdziesiątych? Służby specjalne poza wszelką kontrolą, szpiegowały nawet premiera. Emerytowani generałowie formowali prywatne armie. Kryzys gospodarczy. Strajki, rozruchy. Wcałe bym się nie zdziwił, gdyby okazało się, że CIA postanowiła zwerbować kilku młodych, bystrych ludzi i zachęcić ich do zrobienia kariery

zawodowej w użytecznych dziedzinach - służbie cywilnej, mediach, polityce. Przecież wszędzie tak właśnie postępują.

- Z pewnością nie w Wielkiej Brytanii - zaprotestowałem. - Przecież jesteśmy sojusznikiem Stanów Zjednoczonych.

Rycart spojrział na mnie z pogardą.

- CIA szpiegowała wtedy nawet amerykańskich studentów. Czy naprawdę pan sądzi, że jakieś skrupuły powstrzymałyby ich od szpiegowania naszych? Wciąż to robią. Mają rezydenta w Londynie i liczny personel. Mógłbym wymienić panu nazwiska kilku członków parlamentu, którzy regularnie kontaktują się z CIA. W istocie... - Rycart zatrzymał się i strzelił palcami. - Coś sobie przypomniałem! - Odwrócił się gwałtownie i spojrział na mnie. - Czy nazwisko Reg Giffen coś panu mówi?

- Obiło mi się o uszy.

- Reg Giffen, sir Reginald Giffen, później lord Giffen, teraz już martwy Giffen, dzięki Bogu - tak często wygłaszał przemówienia w Izbie Gmin, w których bronił amerykańskich interesów, że nazywaliśmy go posłem z Michigan. Tydzień po rozpoczęciu kampanii wyborczej w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku oświadczył, że rezygnuje z kandydowania, czym wszystkich bardzo zaskoczył, z wyjątkiem jednego bardzo przedsiębiorczego i fotogenicznego młodego członka partii, który - tak się przypadkiem złożyło - sześć miesięcy wcześniej zamieszkał w jego okręgu wyborczym.

- A następnie, z poparciem Giffena, uzyskał nominację

partyjną - dokończyłem. - Po czym w wieku trzydziestu lat wygrał wybory w jednym z najbezpieczniejszych okręgów w całym kraju. - To była legendarna historia. Tak się zaczęła wielka kariera Langa. - Czy jednak pan na serio sugeruje, że to CIA zażądała od Giffena, żeby pomógł Langowi zostać posłem? To dość fantastyczny pomysł.

- Och, niech pan wyteży wyobraźnię! Proszę sobie wyobrazić, że jest pan profesorem Emmettem. Wrócił pan na Harvard i pisze te swoje niestrawne banialuki o sojuszu narodów mówiących po angielsku i konieczności walki z komunistycznym zagrożeniem. Prowadzi pan potencjalnie najbardziej niezwykłego agenta w całej historii. Człowieka, o którym już mówi się jako o przyszłym przywódcy partii. Kandydacie na premiera. Czy w takiej sytuacji nie przekonałby pan kierownictwa agencji, żeby pomóc mu zrobić karierę? Gdy pojawił się Lang, ja już byłem w parlamencie. Obserwowałem, jak pojawił się znikąd i wszystkich wyprzedził. - Rycart skrzywił się na to wspomnienie. - Oczywiście ktoś mu pomagał. Nie był mocno związany z partią. W ogóle nie rozumieliśmy, o co mu naprawdę chodzi.

- To właśnie było jego cechą charakterystyczną - wtrąciłem. - Nie miał żadnej ideologii.

- Może nie miał ideologii, ale z całą pewnością miał listę zadań. - Rycart znowu usiadł i pochylił się w moją stronę. - Dobra. Oto quiz dla pana. Proszę wymienić jedną decyzję, jaką podjął Lang, sprawując urząd premiera, która nie była zgodna z interesami Stanów Zjednoczonych.

Milczałem.

- No, słucham - zachęcił mnie. - To nie jest podchwytliwe pytanie. Po prostu niech pan wymieni jedną rzecz, którą zrobił wbrew zdaniu Waszyngtonu. Zastanówmy się. - Rycart uniósł kciuk. - Po pierwsze: wysłał nasze oddziały na Bliski Wschód, wbrew opinii praktycznie wszystkich dowódców sił zbrojnych i wszystkich naszych ambasadorów znających ten region. Po drugie - podniósł palec wskazujący - nie zażądał od Białego Domu niczego w zamian, na przykład zleceń dla brytyjskich firm w trakcie odbudowy Iraku. Po trzecie: uparcie popierał politykę bliskowschodnią Stanów Zjednoczonych, choć jest dla nas ewidentnym szaleństwem narażać się na konflikt z całym światem arabskim. Po czwarte: zgodził się na zainstalowanie amerykańskiego systemu antyrakietowego na terenie Wielkiej Brytanii, choć to w najmniejszej mierze nie zwiększa naszego bezpieczeństwa, a przeciwnie, powoduje, że staliśmy się oczywistym celem pierwszego uderzenia, a system ten chroni tylko Stany. Po piąte, podpisał umowę na zakup za pięćdziesiąt miliardów dolarów amerykańskich rakiet z głowicami jądrowymi, który nazywamy naszymi „niezależnymi” siłami jądrowymi, choć w rzeczywistości nie będziemy w stanie ich użyć bez zgody Białego Domu, a tym samym skazał swoich następców na kolejne dwadzieścia lat podległości Waszyngtonowi w zakresie polityki obronnej. Po szóste: zawarł umowę, która przewiduje ekstradycję naszych obywateli oskarżonych przed amerykańskim sądem do Stanów, natomiast obywatelom amerykańskim nic takiego nie grozi. Po

siódme: współdziałał w porywaniu, torturowaniu, więzieniu i nawet mordowaniu naszych obywateli. Po ósme, wyrzucał z gabinetu każdego ministra - mówię to na podstawie własnego doświadczenia - który nie chciał na sto procent popierać sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Po dziewiąte...

- Wystarczy - uniosłem rękę.

- Mam znajomych w Waszyngtonie, którzy nie pojmują, jak Lang mógł w taki sposób prowadzić brytyjską politykę zagraniczną. Są wręcz zakłopotani tym, jak bardzo popierał Waszyngton, nie dostając prawie nic w zamian. I do czego to doprowadziło? Ugrzęźliśmy na dobre w Iraku, prowadzimy wojnę, której nie możemy w żaden sposób wygrać, godzimy się na metody, których nie stosowaliśmy, nawet walcząc z nazistami! - Rycart zaśmiał się z ubolewaniem i pokręcił głową. - Wie pan, właściwie czuję teraz ulgę, gdy wiem, że istnieje racjonalne wyjaśnienie, dlaczego wpakowaliśmy się w to wszystko, gdy on był premierem. Jeśli się nad tym zastanowić, wszystkie inne hipotezy są jeszcze gorsze. Jeśli on był agentem CIA, to przynajmniej jego działania są zrozumiałe. Teraz - powiedział, klepiąc mnie po kolanie - nasuwa się pytanie, co zrobimy w tej sprawie?

Nie spodobało mi się, że użył pierwszej osoby liczby mnogiej.

- Hm - mruknąłem, lekko się krzywiąc. - Ja jestem w trudnej sytuacji. Pomagam mu napisać wspomnienia. Podpisałem zobowiązanie, że nie ujawnię trzeciej stronie niczego, czego dowiem się podczas pracy.

- Już za późno, żeby się pan wycofał.

To również niezbyt mi się spodobało.

- Nie mamy żadnych dowodów - przypomniałem mu. - Nie wiemy nawet na pewno, że Emmett był pracownikiem CIA, więc co tu mówić o wykazaniu, że zwerbował Langa. Jak miałyby wyglądać ich kontakty po tym, jak Lang wprowadził się na Downing Street pod numerem dziesiątym? Może Lang miał na strychu krótkofalówkę czy coś w tym stylu?

- To nie są żarty, mój przyjacielu - powiedział Rycart. - Pracując w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, dowiedziałem się, jak się takie rzeczy załatwia. Utrzymanie kontaktu nie jest problemem. Na przykład Emmett często przyjeżdżał do Londynu w związku z działalnością Arcadii. To był doskonały pretekst. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że ta instytucja została utworzona właśnie po to, żeby prowadzić Langa. Chronologia zdarzeń to potwierdza. Mogli też korzystać z pośredników.

- Nie ma jednak żadnego dowodu - powtórzyłem. - I nigdy nie będzie, chyba że Lang lub Emmett zgodzą się zeznawać albo CIA otworzy swoje archiwa.

- Wobec tego pan musi zdobyć jakiś dowód - stwierdził krótko Rycart.

- Co takiego? - Szczęka mi opadła. Cały opadłem.

- Pana sytuacja idealnie temu sprzyja - kontynuował. - Lang panu ufa. Może pan pytać go o wszystko. Pozwala panu nawet nagrywać odpowiedzi. Może pan skłonić go do powiedzenia czegoś. Będziemy musieli opracować serię pytań,

aby wciągnąć go w pułapkę, na koniec przedstawić mu zarzuty i zobaczyć, jak zareaguje. Zaprzeczy, ale to nie będzie miało znaczenia. Wystarczy jego odpowiedzi na wcześniejsze pytania i sam fakt, że przedstawi mu pan dowody. To wszystko będzie na taśmach, które będą stanowić dowód.

- Nie będą. Dyski z nagraniem są jego własnością.

- Owszem, będą. Międzynarodowy Trybunał Karny może zażądać wydania ich jako dowodu jego udziału w programie CIA.

- A jeśli nie nagram żadnych rozmów?

- W takim razie zasugeruję pani prokurator, żeby wezwała pana na świadka.

- Przecież mogę wszystkiemu zaprzeczyć - zauważyłem przebiegle.

- W takiej sytuacji przekażę jej to nagranie - powiedział Rycart, odchylając połą marynarki. Pod klapą był przypięty mały mikrofon z przewodem biegnącym do wewnętrznej kieszeni. - Frank nagrywa każde słowo naszej rozmowy, prawda Frank? Och, niech pan da spokój. Dlaczego robi pan taką zdziwioną minę? Czego się pan spodziewał? Że przyjdę na spotkanie z kimś zupełnie obcym, kto pracuje dla Langa, bez żadnych środków ostrożności? Aha, jedno się zmieniło. Już nie grasz w drużynie Langa. - Uśmiechnął się, pokazując rząd nienaturalnie białych zębów. - Przeszedłeś do mojej.

Rozdział 15

Autor potrzebuje murzyna, który nie rzuca mu wyzwania, lecz słucha, co ma do powiedzenia, i rozumie, dlaczego zachował się tak, a nie inaczej.

Andrew Crofts

Po kilku sekundach zacząłem kląć, płynnie i na wszystko bez wyjątku. Przeklinałem Rycarta i swoją głupotę, Franka i kogoś, kto w przyszłości spisze tę rozmowę z taśmy. Przeklinałem panią prokurator, Międzynarodowy Trybunał, sędziów, media. Kląłbym tak jeszcze długo, gdyby nie zadzwonił mój telefon - nie ten, który miał służyć do kontaktowania się z Rycartem, ale moja własna komórka, przywieziona z Londynu. Nie muszę chyba dodawać, że zapomniałem ją wyłączyć.

- Nie odbieraj - ostrzegł mnie Rycart. - To doprowadzi ich prosto do nas.

Spojrzałem na wyświetlacz.

- Dzwoni Amelia Bly - powiedziałem. - To może być coś ważnego.

- Amelia Bly - powtórzył Rycart. W jego głosie słyhać było podziw i pożądanie. - Dawno jej nie widziałem. - Zawałał się, niewątpliwie bardzo chciał wiedzieć, czego ona chce. - Jeśli cię monitorują, będą w stanie ustalić twoje miejsce pobytu z dokładnością do stu metrów, a łatwo zgadną, że jesteś w tym hotelu.

Telefon wciąż pulsował w mojej dłoni.

- Idź do diabła! - powiedziałem. - Nie ty mi rozkazujesz. Nacisnąłem zielony guzik.

- Cześć, Amelio - powiedziałem.

- Dobry wieczór - odpowiedziała głosem tak sztywnym, jak fartuch przełożonej pielęgniarek. - Adam chce z tobą rozmawiać.

- To Adam Lang - wyszeptalem bezgłośnie do Rycarta. Przyłożyłem palec do ust, dając mu znak, żeby się nie odzywał. Chwilę później usłyszałem dobrze znany głos.

- Rozmawiałem z Ruth. Powiedziała mi, że jesteś w Nowym Jorku.

- Zgadza się.

- Ja też. Gdzie chcesz się zatrzymać?

- Sam dobrze nie wiem. Jeszcze nie znalazłem hotelu - odpowiedziałem, jednocześnie sygnalizując Rycartowi, że jestem bezradny.

- My jesteśmy w Waldorf Astorii - powiedział Lang. - Może tu przyjedziesz?

- Poczekaj chwilę - odpowiedziałem i zasloniłem ręką mikrofon.

- Jesteś pieprzonym idiotą - powiedział Rycart.
- Adam chce, żebym przyjechał na spotkanie do Waldorf Astorii.

Rycart zassał policzki. Zastanawiał się gorączkowo, co zrobić.

- Powinieneś pojechać.
- A jeśli to pułapka?
- Trzeba zaryzykować. Wyglądałoby dziwnie, gdybyś nie przyjechał. Lang zacznie coś podejrzywać. Powiedz mu szybko, że przyjedziesz, i rozłącz się.

- Już jestem - powiedziałem do mikrofonu. Staralem się mówić swobodnie. - Doskonale. Zaraz do was jadę.

Rycart przesunął palcem w poprzek gardła.

- A co sprowadziło cię do Nowego Jorku? - spytał Lang.
- Myślałem, że masz dość roboty w domu.
- Chciałem spotkać się z Johnem Maddoksem.
- Aha. No i jak on się miewa?
- Doskonale. Słuchaj, Adamie, muszę już kończyć.

Rycart coraz gwałtowniej wodził palcem po gardle.

- Mieliliśmy dwa fantastyczne dni - ciągnął Lang, jakby mnie nie usłyszał. - Amerykanie są fantastyczni. Wiesz, prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

Czy mi się wydawało, czy rzeczywiście powiedział to ze szczególnym naciskiem?

- Cieszę się. Przyjadę najszybciej, jak będę mógł.

Rozłączyłem się. Trzęsła mi się ręka.

- Dobra robota - pochwalił Rycart i sięgnął po płaszcz leżący na łóżku. - Mamy jakieś dziesięć minut, żeby się stąd wynieść. Zbierz swoje rzeczy.

Mechanicznie zebrałem zdjęcia, wsunąłem je do koperty i włożyłem ją do torby. Rycart poszedł do łazienki i głośno się wysikał.

- W jakim był nastroju?
- Pogodnym.

Rycart spuścił wodę i wyszedł z łazienki, dopinając roz-porek.

- Musimy się postarać, żeby stracił dobry humor, prawda?

W windzie było pełno członków Kościoła Maklerów Internetowych Ostatniego Dnia, czy kim, do diabła, oni byli. Zatrzymywała się na każdym piętrze. Rycart denerwował się coraz bardziej.

- Nikt nie może zobaczyć nas razem - mruknął, gdy wyszliśmy z windy na parterze. - Poczekaj trochę. Spotkamy się na parkingu.

Rycart przyspieszył kroku. Frank już wstał - prawdopodobnie podsłuchiwał i wiedział, co zamierzamy. Nie zamieniając ani słowa, skierowali się do wyjścia: elegancki siwowłosy Rycart i jego milkliwy plebejski pomagier. Co za para, pomyślałem. Pochyliłem się, udając, że wiążę sznurowadło, po czym bez pośpiechu przeszedłem przez hol, starannie okrążając grupy dyskutujących gości. Szedłem z pochyloną głową. W całej tej sytuacji było coś komicznego. Gdy zatrzymałem się w tłumie kłębiącym się przy wyjściu, miałem ochotę się roześmiać. To wszystko przypominało mi farsę Feydeau: każda kolejna scena była jeszcze bardziej fantastyczna niż poprzednia, a jednak, gdy się zastanowić, stanowiła jej logiczną kontynuację. Tak, to była farsa!

zekałem w kolejce do drzwi i wtedy zobaczyłem Emmetta, a w każdym razie tak mi się wydawało. Od razu przeszła mi ochota do śmiechu.

Wejście do hotelu stanowiły wielkie obrotowe drzwi, z przedziałami dla pięciu lub sześciu osób, które musiały razem wejść do środka i następnie przesuwać się do przodu, żeby nie wpaść na innych, jak więźniowie skuci łańcuchem. Na szczęście znalazłem się w środku wychodzącej grupy. Pewnie dlatego Emmett mnie nie zauważył. Eskortowali go dwaj mężczyźni. Wchodzili właśnie do hotelu, wszyscy trzej naciskali na szklane drzwi przed nimi, jakby bardzo im się śpieszyło.

Gdy wydostaliśmy się na zewnątrz, potknąłem się i o mało nie przewróciłem. Chciałem jak najszybciej stąd odejść. Moja walizka przekręciła się na bok, a ja ciągnąłem ją za sobą jak krnąbrnego psa. Przeszedłem przez klomb oddzielający podjazd pod hotel od parkingu. Po przeciwnej stronie parkingu zapaliły się reflektory samochodu. Kierowca ruszył w moim kierunku. Zahamował, zarzucając tyłem wozu. Ktoś otworzył drzwiczki.

- Wskakuj! - zawołał Rycart.

Frank przyśpieszył tak gwałtownie, że drzwiczki same się zatrzasnęły. Siła bezwładności wcisnęła mnie w fotel.

- Przed chwilą widziałem Emmetta - powiedziałem.

Rycart i kierowca wymienili spojrzenia za pośrednictwem lusterka.

- Jesteś pewny?

- Nie.

- A on cię zauważył?
- Nie.
- Jesteś pewny?
- Tak.

Trzymałem kurczowo walizkę. To było moje zabezpieczenie. Wjechaliśmy na zatłoczoną ulicę prowadzącą na Manhattan.

- Mogli nas śledzić od La Guardii - zauważył Frank.
- Dlaczego więc czekali? - spytał Rycart.
- Być może czekali na przyłot Emmetta z Bostonu, żeby dokonał jednoznacznej identyfikacji.

Do tej pory nie traktowałem amatorskich wypowiedzi Rycarta na temat technik sił specjalnych zbyt poważnie, ale teraz wpadłem w panikę.

- Słuchaj, chyba nie powinienem jechać na spotkanie z Langiem. To nie jest dobry pomysł. Jeśli założyć, że to był Emmett, to niewątpliwie Lang został poinformowany, co robiłem. Wie, że pojechałem do Bostonu i pokazałem Emmettowi fotografie.

- I co z tego? Co ma w tej sprawie zrobić? - spytał Rycart. - Czy sądzisz, że utopi cię w wannie w hotelu Waldorf Astoria?

- Właśnie - wtrącił Frank, wzruszając z rozbawieniem ramionami. - To byłoby dopiero coś.

Miałem mdłości. Mimo chłodu otworzyłem okno. Wiatr wiał prosto ze wschodu, od strony rzeki, przynosząc fabryczne smrody i mdlącą woń paliwa lotniczego. Gdy o tym myślę, wciąż czuję ten zapach; dla mnie to już zawsze będzie zapach strachu.

- Chyba muszę wymyślić jakąś bajeczkę - powiedziałem.
- Co mam powiedzieć Langowi?

- Nie zrobiłeś niczego złego - uspokoił mnie Rycart. - Po prostu kontynuujesz pracę swojego poprzednika. Próbujesz dowiedzieć się czegoś o jego studenckich latach w Cambridge. Nie zachowuj się tak, jakbyś był winny. Lang nie może mieć pewności, że odkryłeś jego tajemnicę.

- To nie Lang mnie niepokoi.

W samochodzie zapadła cisza. Po kilku minutach zobaczyliśmy nocną panoramę Manhattanu. Automatycznie odszukałem wyrwy w świetlistej fasadzie. Dziwne, że puste miejsce może stać się znakiem topograficznym. Ta wyrwa przypomina czarną dziurę, pomyślałem, pęknięcie w strukturze kosmosu. Może wciągnąć wszystko - miasta, kraje, prawa. Z pewnością może połknąć i mnie. Nawet Rycart był chyba przygnębiony tym widokiem.

- Mógłbyś zamknąć okno? Zmarzłem na kość.

Zrobiłem, o co prosił. Frank włączył radio - nastawił na stację nadającą jazz.

- Co z samochodem? - spytałem. - Wciąż stoi na lotnisku Logana.

- Możesz go zabrać jutro rano.

Stacja radiowa przeszła na bluesa. Poprosiłem Franka, żeby je zgasił, ale on mnie zignorował.

- Lang twierdzi, że kieruję się motywami osobistymi - odezwał się Rycart. - To nieprawda. No, dobra, jest w tym element odwetu, przynajmniej. Kto lubi znosić upokorzenia? Jeśli jednak będziemy godzić się na tortury i oceniać zwycięstwo po

liczbie czaszek wrogów, którymi możemy udekorować ja-skinię, to jak sami skończymy?

- Powiem ci, jak skończymy - odpowiedziałem gwałtownie. - Dostaniemy dziesięć milionów dolarów za wspomnienia i będziemy żyli szczęśliwie do końca naszych dni. - Po raz kolejny się przekonałem, że pod wpływem zdenerwowania wpadam w gniew. - Dobrze wiesz, że to bezcelowa akcja. Skończy się tym, że on osiedli się w Ameryce, będzie dostawał emeryturę z CIA, a tobie i twojemu pieprzonemu trybunałowi do spraw zbrodni wojennych powie, że możecie go pocałować w dupę.

- Może tak będzie, ale w starożytności uważano banicję za karę gorszą od śmierci. A on naprawdę będzie banitą. Nie będzie mógł podróżować, nawet do tych kilku gównianych kraików, które nie uznają Międzynarodowego Trybunału Karnego, bo zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że samolot gdzieś przymusowo wyląduje, zepsuje się silnik lub skończy się paliwo. Będziemy na niego czekali. Nadarzy się okazja, to go dopadniemy.

Spojrzałem na Rycarta. Patrzył prosto przed siebie i lekko kiwał głową.

- Niewykluczone również, że kiedyś zmieni się polityczny klimat w Ameryce - ciągnął. - Zacznie się publiczna kampania na rzecz wydania go w ręce sprawiedliwości. Zastanawiam się, czy on o tym pomyślał. Jego życie zamieni się w piekło.

- Jeszcze chwila, a zrobi mi się go żal.

Rycart rzucił mi ostre spojrzenie.

- Oczarował cię, prawda? Urok! Angielska choroba.
- Są gorsze przypadłości.

Przejechaliśmy przez most Triborough. Koła dudniły na przerwach w jezdni, wybijając szybki puls.

- Czuję się tak, jakbym jechał bryczką - mruknąłem.

Jazda do centrum zajęła nam sporo czasu. Ilekroć samochód zatrzymywał się na światłach na zatłoczonej Park Avenue, myślałem, czy otworzyć drzwi i rzucić się do ucieczki. Był jeden problem: łatwo mogłem sobie wyobrazić pierwszą część - przeciskam się między samochodami i znikam w bocznej ulicy - natomiast ciąg dalszy był dla mnie zupełnie niejasny. Dokąd miałbym pójść? Jak zapłaciłbym za hotel, skoro moja karta kredytowa, a zapewne również ta fałszywa, z której już skorzystałem, były znane moim prześladowcom? Jakkolwiek by na to patrzeć, musiałem niechętnie przyznać, że w towarzystwie Rycarta jestem bezpieczniejszy. On przynajmniej wie, jak przetrwać w obcym mi świecie, w którym niebacznie się znalazłem.

- Jeśli się martwisz, możemy ustalić sygnał alarmowy - zaproponował Rycart. - Dzwon do mnie, używając telefonu, który dał ci Frank. Powiedzmy, dziesięć minut po każdej okrągłej godzinie. Nie musimy rozmawiać. Po prostu daj mi kilka dzwoneczków.

- A co zrobisz, jeśli nie zadzwonię?
- Za pierwszym razem nic. Jeśli nie zadzwonisz godzinę później, zatelefonuję do Langa i powiem mu, że jest osobiście odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo.
- Ciekawe, dlaczego mnie to nie uspokaja?

Już prawie dojechaliśmy. Przed wejściem do hotelu wisiała ogromna, oświetlona reflektorami flaga Stanów Zjednoczonych, a obok nasz Union Jack. Plac przed hotelem był odgradzony masywnymi betonowymi blokami. Zauważyłem sześć policyjnych motocykli, cztery radiowozy, dwie duże czarne limuzyny, kilka ekip telewizyjnych z kamerami i spory tłum ciekawskich. Serce uderzało mi o żebra. Z trudem oddychałem.

Rycart uściśnął moje ramię.

- Odwagi, przyjacielu. On już stracił jednego murzyna w podejrzanych okolicznościach. Nie może sobie pozwolić na utratę następnego.

- Chyba nie wszyscy ci ludzie są tu z jego powodu? - zapytałem zdumiony. - Można pomyśleć, że on wciąż jest premierem.

- Wygląda na to, że dzięki mnie stał się gwiazdorem. Ty i on powinniście być mi wdzięczni. Dobra, powodzenia. Porozmawiamy później. Zatrzymaj się tutaj, Frank.

Rycart postawił kołnierz i osunął się na fotelu. Te środki ostrożności wydały mi się równie absurdalne, co żalodne. Biedny Rycart: wątpię, czy w Nowym Jorku rozpoznałaby go choć jedna osoba na dziesięć tysięcy. Frank zatrzymał się na chwilę na rogu Pięćdziesiątej ulicy. Gdy wysiadłem, zęcnie włączył się do ruchu. Jeszcze przez chwilę widziałem srebrną potylicę Rycarta znikającą w półmroku Manhattanu. Nigdy więcej go nie zobaczyłem.

Zostałem sam.

Przeszedłem przez szeroką ulicę, żółtą od taksówek, mi-
nąłem tłum i policję. Nikt mnie nie zatrzymał: widząc wa-
lizkę, gliniarze zapewne zakładali, że jestem gościem hote-
lowym. Przeszedłem przez drzwi wejściowe w stylu art déco
i po wielkich marmurowych schodach dotarłem do holu
odznaczającego się babilońskim splendorem. Normalnie
skontaktowałbym się z Amelią za pomocą komórki, ale na-
wet ja nauczyłem się, że tutaj nie wolno tego robić. Podsze-
dłem do recepcjonisty i poprosiłem, żeby zadzwonił do jej
pokoju.

Nikt nie odebrał.

Recepcjonista zmarszczył brwi, odłożył słuchawkę i za-
czął coś sprawdzać w komputerze. W tym momencie na
Park Avenue rozległa się głośna detonacja. Kilku gości ner-
wowo przykucnęło, szukając osłony, ale zaraz tego pożało-
wali, gdy okazało się, że to nie bomba, tylko ryk motocykło-
wych silników. Ogromny złoty hol przecinał klin ochronia-
rzy, agentów Wydziału Specjalnego i Tajnej Służby, osłania-
jących Adama Langa, który szedł swoim zwykłym energicz-
nym krokiem. Z nim śpieszyły Amelia i dwie sekretarki.
Amelia rozmawiała przez telefon. Zbliżyłem się do nich.
Lang mnie nie zauważył, patrzył prosto przed siebie, co nie
było w jego stylu. Zwykle nawiązywał kontakt z mijanymi
ludźmi, obdarowywał ich uśmiechem, który pamiętali do
końca życia. Amelia dostrzegła mnie, gdy już zaczynali
schodzić do drzwi. Tym razem wydawała się wytrącona z
równowagi, a jedno pasemko jasnych włosów wyraźnie było
nie na miejscu.

- Dzwoniłam do ciebie - powiedziała, przechodząc obok

mnie. Nie zatrzymała się. - Nastąpiła zmiana planów - do-
dała przez ramię. - Lecimy zaraz na Martha's Vineyard.

- Teraz? - Pośpiesznie ruszyłem za nią. - Jest dość póź-
no, nie sądzisz?

- Adam się uparł. Jakoś znalazłam samolot.

- Dlaczego teraz?

- Nie mam pojęcia. Coś musiało się zdarzyć. Jego spy-
taj.

Lang był przed nami, poniżej. Już doszedł do wielkich
drzwi wejściowych. Ochroniarze otworzyli drzwi i w tym
momencie całą jego sylwetkę, głowę i szerokie ramiona oto-
czyła poświata halogenów. Krzyki dziennikarzy, trzaski fle-
szy i aparatów, ryk motocykli - zupełnie jakby ktoś uchylił
wrota piekieł.

- Co ja mam zrobić? - spytałem.

- Wsiadaj do drugiego samochodu. Przypuszczam, że
Adam będzie chciał porozmawiać z tobą w samolocie. -
Amelia dostrzegła na mojej twarzy strach. - Jesteś jakiś
dziwny. Czy coś się stało?

I co ja mam teraz zrobić? - myślałem gorączkowo. Ze-
mdleć? Powiedzieć, że jestem z kimś umówiony? Znalazłem
się na ruchomym chodniku bez możliwości ucieczki.

- Wszystko dzieje się w takim pośpiechu - powie-
działem słabym głosem.

- To jeszcze nic. Powinieneś być zobaczyć, co się działo,
gdy był premierem.

Wyszliśmy na dwór i od razu ogarnął nas tumult.

Miałem wrażenie, że trwające od lat spory wywołane wojną z terrorem skupiły się na tym jednym człowieku, a ich temperatura sprawiła, że zaczął świecić. Lang zatrzymał się przy otwartych drzwiach limuzyny i pomachał w kierunku tłumu zgromadzonego za kordonem. Wsiadł do samochodu. Amelia chwyciła mnie za rękę i popchnęła do drugiego auta.

- Wsiadaj! - krzyknęła. Policjanci na motocyklach już ruszyli. - Pamiętaj, jeśli zostaniesz, nie będziemy mogli na ciebie czekać!

Amelia znikła w samochodzie Langa, a ja automatycznie wsiadłem do drugiej limuzyny, w której siedziały sekretarki. Z uśmiechem przesunęły się na tylnym siedzeniu, żeby zrobić dla mnie miejsce. Agent Wydziału Specjalnego usiadł z przodu. Obok nas jechał policyjny motocykl z włączoną syreną, jak mały holownik pomagający wyjść z portu wielkiemu liniowcowi.

* * *

W innych okolicznościach ta jazda sprawiłaby mi przyjemność. Mogłem wyprostować nogi, policjanci na motocyklach pilnowali, żebyśmy gładko sunęli naprzód. Przez przydymione szyby widziałem blade twarze przechodniów, którzy oglądali się za nami. Syreny, migające światła, prędkość - to był pokaz siły. Znam tylko dwie kategorie ludzi, którzy są przewożeni z taką pompą i dbałością o efekt: mężowie stanu i schwytani terroryści.

Dyskretnie pomacałem schowany w kieszeni nowy telefon. Czy powinienem zawiadomić Rycarta o zmianie planu?

Zrezygnowałem, bo nie chciałem tego robić w obecności świadków. Czułbym się zbyt skrępowany, każdy mógłby poznać, że czuję się winny. Zdrada wymaga prywatności. Biernie czekałem na dalszy rozwój zdarzeń.

Przemknęliśmy przez most przy Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy. Sekretarki, Alice i Luce, chichotały z podniecenia. Po zaledwie kilku minutach dotarliśmy na La Guardię, minęliśmy terminal i wjechaliśmy przez otwartą metalową bramę prosto na płytę lotniska, gdzie właśnie tankowano duży prywatny odrzutowiec. To był samolot Hallington Group, w ciemnoniebieskiej liberii korporacji, z wielkim logo na stateczniku pionowym: Ziemia otoczona wielkim kołem, jak pierścieniem pewności Colgate. Limuzyna Langa zatrzymała się z piskiem opon. Lang wysiadł pierwszy. Nie oglądając się za siebie, przekroczył ruchomą bramkę bezpieczeństwa i szybko wszedł po schodkach do samolotu. Ochroniarz biegł tuż za nim.

Wygramoliłem się z samochodu, niemal sparaliżowany niepokojem. Musiałem się wysilić, żeby dojść do schodów, gdzie stała Amelia. Powietrze drżało od huku silników lądujących odrzutowców. Widziałem pięć lub sześć samolotów krążących nad oceanem w oczekiwaniu na swoją kolej. Ich światła tworzyły schodki prowadzące w ciemność.

- No, to się nazywa podróżowanie w dużym stylu - powiedziałem, starając się, żeby to zabrzmiało swobodnie. - Zawsze tak jest?

- Chcą pokazać, jak bardzo go cenią - stwierdziła Amelia.
- No i bez wątpienia nie zaszkodzi, jeśli pokażą wszystkim,

jak traktują swoich przyjaciół. *Pour encoura-ger les autres.*

Pracownicy ochrony lotniska sprawdzali bagaże ręcznymi detektorami. Dołożyłem swoją walizkę do pozostałych.

- Powiedział, że musi natychmiast zobaczyć się z Ruth - dodała, spoglądając na samolot. Okna były większe niż w normalnym samolocie pasażerskim. W jednym z nich widać było wyraźnie profil Langa. - Musi z nią o czymś porozmawiać. - Sądząc po tonie jej głosu, to była dla niej zagadka. Mówiła niemal do siebie, jakby mnie tam nie było. Przyszło mi do głowy, że podczas jazdy na lotnisko pokłóciła się z Langiem.

Jeden z ochroniarzy polecił mi otworzyć walizkę. Odciągnąłem suwak i podniosłem pokrywę. Wyjął torbę z maszynopisem, żeby zajrzeć pod spód. Na szczęście Amelia była tak zamyślona, że niczego nie zauważyła.

- To dziwne - mruknęła Amelia - bo wyjazd do Waszyngtonu był bardzo udany. - Wpatrywała się z roztargnieniem w światła lotniska.

- Pańska torba - odezwał się ochroniarz.

Podąłem mu torbę. Wyciągnął kopertę ze zdjęciami.

Przez chwilę myślałem, że zamierza je wyjąć, ale jego bardziej interesował laptop. Czuję potrzebę rozmowy.

- Może dostał jakąś wiadomość z Hagi? - zasugerowałem.

- Nie. To nie ma z tym nic wspólnego. Gdyby chodziło o Hagę, powiedziałby mi o tym.

- Proszę, może pan wsiadać - powiedział ochroniarz.

- Nie zbliżaj się do niego teraz - ostrzegła mnie jeszcze, gdy przechodziłem przez bramkę. - Nie jest w najlepszym humorze. Zawołam cię, gdy będzie chciał z tobą rozmawiać.

Wszedłem po schodkach do samolotu.

Lang siedział w głębi samolotu, najbliżej ogona. Trzymając rękę na brodzie, wyglądał przez okno. (Później się dowiedziałem, że ochrona zawsze wołała, żeby siedział w ostatnim rzędzie foteli: to oznaczało, że nikt nie podejdzie do niego od tyłu). Kabina była przewidziana dla dziesięciu pasażerów. Wzdłuż kadłuba, po obu stronach, stały dwuosobowe sofy, a dla pozostałych przewidziano wygodne fotele ustawione parami, naprzeciwko siebie, z chowanym stolikiem pośrodku. Samolot wyglądał jak hol Waldorf Astorii: złożone okucia, politurowany orzech, fotele obite śmietankową skórą. Lang usiadł na fotelu, funkcjonariusz Wydziału Specjalnego na najbliższej sofie. Steward w białym smokingu pochylał się nad byłym premierem. Nie widziałem, co mu nalewa, ale poznałem po odgłosach. Ktoś może lubić trele słowików w letni wieczór lub bicie dzwoń w wioskowym kościele, natomiast moim ulubionym dźwiękiem jest brzęk lodu w kryształowej szklance. Jestem jego koneserem. Teraz nie miałem wątpliwości, że Lang zrezygnował z herbaty na rzecz whisky.

Steward zauważył, że patrzę na niego. Podszedł do mnie.

- Czy coś panu podać?

- Tak, proszę. To samo, co pije pan Lang.

Pomyliłem się, to była brandy.

W sumie na pokładzie było dwanaście osób: trzech członków załogi (pilot, drugi pilot i steward) i dziewięcioro pasażerów - dwie sekretarki, czterech ochroniarzy, Amelia, Adam Lang i ja. Siedziałem plecami do kokpitu, dzięki czemu cały czas widziałem mojego klienta. Amelia zajęła miejsce naprzeciwko Langa. Gdy zawyły silniki, miałem ochotę rzucić się do drzwi i wyskoczyć na płytę. Z trudem się oparowałem. Od samego początku miałem złe przeczucia. Gulfstream zadygotał i budynek terminalu zaczął przesuwać się za oknem. Widziałem, jak Amelia gestykuluje z emfazą, jakby coś wyjaśniała, ale Lang wciąż wyglądał przez okno.

Ktoś dotknął mojego ramienia. To był ten policjant, z którym jechałem z hotelu na lotnisko. Siedział po drugiej stronie przejścia.

- Wie pan, ile kosztuje takie cacko?

- Nie.

- Niech pan zgadnie.

- Naprawdę nie mam pojęcia.

- Śmiało, niech pan spróbuje.

- Dziesięć milionów dolarów? - rzuciłem, wzruszając ramionami.

- Czterdzieści milionów - poprawił mnie triumfalnie, tak jakby znajomość ceny oznaczała, że jest współwłaścicielem. - A Hallington ma takich pięć.

- Ciekawe, po co im aż tyle.

- Gdy sami ich nie potrzebują, wynajmują je.

- A, tak, ma pan rację - odrzekłem. – Słyszałem o tym.

Ryk silników jeszcze się wzmógł. Pędziliśmy po pasie startowym z coraz większą prędkością. Wyobraziłem sobie podejrzanych terrorystów, skutych, w kapturach na głowach, przywiązanych do tych luksusowych, skórzanych foteli, gdy samolot startuje z polowego lotniska w górach niedaleko granicy z Afganistanem, żeby wylądować wśród sosnowych lasów gdzieś na wschodzie Polski. Gulfstream z łatwością oderwał się od ziemi. Patrzyłem ponad brzegiem szklanki, jak światła Manhattanu najpierw wypełniają całe okno, a potem oddalają się i nikną. Weszliśmy w chmury. Wydawało mi się, że długo wznosimy się na ślepo w tej delikatnej metalowej rurze, ale w rzeczywistości dość szybko gaza opadła. Chmury poniżej były równie masywne i solidne jak Alpy. Od czasu do czasu między szczytami pojawiał się księżyc, oświetlając doliny, lodowce i wąwozy.

Gdy samolot przestał się wzbijać, Amelia wstała z fotela. Szła w moim kierunku, lekko kołysząc biodrami, żeby utrzymać równowagę, co jednak sprawiało uwodzicielskie wrażenie.

- Dobra, jest gotów z tobą porozmawiać - powiedziała. - Ale bądź dla niego łagodny, proszę. Ma za sobą dwa ciężkie dni.

Ja też, pomyślałem.

- Postaram się - obiecałem.

Wziąłem torbę zza fotela i zacząłem przeciskać się obok Amelii. Złapała mnie za ramię.

- Nie masz dużo czasu - ostrzegła. - Ten lot to tylko krótki skok. Zaraz podchodzimy do lądowania.

* * *

Rzeczywiście, to był tylko skok. Jak później sprawdziłem, odległość między Nowym Jorkiem i Martha's Vineyard wynosi dwieście sześćdziesiąt mil, a gulfstream G450 leci z prędkością pięciuset czterdziestu ośmiu mil na godzinę. Te dwa fakty wyjaśniają, dlaczego nagranie mojej rozmowy z Langiem trwa tylko jedenaście minut. Gdy do niego podszedłem, pilot już pewnie zaczął obniżać pułap lotu.

Lang siedział z zamkniętymi oczami, trzymając szklanekę w wyciągniętej ręce. Zdjął marynarkę i krawat, rozluźnił sznurowadła. Rozwalił się na fotelu, szeroko rozkładając nogi i ręce, jak rozgwiżdża. W pierwszej chwili pomyślałem, że zasnął, ale potem zauważyłem, że przygląda mi się uważnie zmrużonymi oczami. Niedbałym gestem wskazał mi fotel naprzeciwko.

- Cześć, człowieku. Siadaj - powiedział. Otworzył oczy, ziewnął, zasłaniając usta wierzchem dłoni. - Przepraszam.

- Cześć.

Usiadłem, trzymając torbę na kolanach. Wyciągnąłem notes, magnetofon i zapasowy dysk. Czy nie tego oczekiwał ode mnie Rycart? Nagrań? Ze zdenerwowania trzęsły mi się ręce. Gdyby Lang choć uniósł brew, natychmiast odłożyłbym magnetofon, ale on zachowywał się tak, jakby nawet go

nie zauważył. Z pewnością to było dla niego rytualne zakończenie każdej oficjalnej wizyty: wybrany dziennikarz ma okazję przeprowadzić z nim wywiad, nerwowo sprawdza magnetofon, pozornie luźny nastrój przy szklaneczce z premierem. Na nagraniu słycać, jaki jest wyczerpany.

- No, jak ci idzie?

- Jakoś idzie - odpowiedziałem. - Na pewno posuwam się naprzód.

Z powodu zdenerwowania mówiłem tak wysokim głosem, jakbym nałykał się helu.

- Dowiedziałeś się czegoś interesującego?

W jego oczach coś się kryło. Pogarda? Rozbawienie? Wyczuwałem, że się ze mną bawi.

- Różnych rzeczy. Jak się udał wyjazd do Waszyngtonu?

- Znakomicie. - Podczas odtwarzania nagrania słycać szelest ubrania. Lang podniósł się nieco na fotelu, zbierając siły na ostatni występ przed zamknięciem teatru na noc. - Wszyscy gorąco mnie poparli. Na Kapitolu, jak pewnie widziałeś, ale również wiceprezydent i sekretarz stanu. Zamierzają pomóc mi, na ile tylko będą w stanie.

- Czy to oznacza, że będziesz mógł zamieszkać w Ameryce?

- Och, tak. Jeśli spełni się czarny scenariusz, to z pewnością zaoferują mi azyl. Może nawet jakąś pracę, niewymagającą zagranicznych podróży. Ale do tego nie dojdzie. Zaproponowali mi coś znacznie cenniejszego.

- Naprawdę?

- Tak - Lang pokiwał głową. - Dowody.

- Aha. - Nie miałem pojęcia, o czym on mówi.
- Czy to jest włączone? - spytał, wskazując magnetofon. Słysząc wyraźny trzask, gdy podnoszę magnetofon.
- Tak. Nie masz nic przeciwko?

Znowu trzask - kładę magnetofon na stół.

- Nie, skądże - powiedział Lang. - Chciałem się tylko upewnić, że to nagrywasz, bo na pewno nam się przyda. To ważna sprawa. Powinniśmy zachować to w tajemnicy aż do opublikowania wspomnień. Z pewnością bardzo nam pomoże w rozmowach na temat publikacji w odcinkach. - Lang pochylił się, żeby nadać większe znaczenie swoim słowom. - Waszyngton jest gotowy dostarczyć oświadczenie złożone pod przysięgą, że nikt z Wielkiej Brytanii nie brał udziału w porwaniu tych czterech ludzi w Pakistanie.

- Naprawdę? Naprawdę? - powtarzałem jak papuga. Krzywię się za każdym razem, gdy słyszę fałsz w swoim głosie. Podlizujący się dworak. Znikający duch.

- Naprawdę. Dyrektor CIA osobiście pojawi się w Hadze i zezna pod przysięgą, że to była czysto amerykańska tajna operacja. Jeśli to nie wystarczy, gotów jest pozwolić, żeby funkcjonariusze, którzy ją przeprowadzili, złożyli zeznania przy drzwiach zamkniętych. - Lang oparł się wygodnie i podniósł do ust szklanekę. - To powinno dać Rycartowi do myślenia. Ciekawe, jak mu się uda udowodnić zarzut popełnienia zbrodni wojennych?

- No, ale twoje memorandum do ministerstwa obrony...

- Owszem, jest autentyczne - przyznał, wzruszając ramionami. - To prawda, nie mogę zaprzeczyć, że proponowałem zlecić robotę SAS. Prawdą jest również, iż rząd brytyjski nie może zaprzeczyć, że nasze siły specjalne były obecne w Peszawarze w czasie realizacji operacji „Burza”. Musimy również przyznać, że to nasz wywiad ustalił miejsce pobytu tych czterech podejrzanych. Nie ma jednak żadnych dowodów, że przekazaliśmy te informacje CIA.

Lang uśmiechnął się do mnie.

- Ale zrobiliśmy to?

- Nie ma żadnych dowodów, że przekazaliśmy te informacje CIA.

- Jeśli to zrobiliśmy, to z pewnością można byłoby to uznać za współdziałanie i pomaganie...

- Nie ma żadnych dowodów, że przekazaliśmy te informacje CIA.

Lang nadal się uśmiechał, ale jednocześnie zmarszczył w skupieniu brwi, niczym tenor pod koniec trudnej arii.

- Jak zatem je dostali?

- To trudne pytanie. Z pewnością nie żadnym oficjalnym kanałem. I z pewnością nie miałem z tym nic wspólnego. - Nastąpiła długa pauza. Z jego twarzy znikł uśmiech. - Co o tym sądzisz?

- To brzmi trochę... - zawahałem się, szukając dyplomatycznego określenia. - Trochę technicznie.

- Co przez to rozumiesz?

Moja odpowiedź jest tak wykrętna, tak pełna oślizgłych uników, że gdy jej słucham, chce mi się śmiać.

- Hm, no wiesz... przyznajesz, że chciałeś zlecić SAS zatrzymanie tych ludzi - nie wątpię, że z uzasadnionych powodów... a nawet jeśli nie zrobili tego oni, ministerstwo obrony - jak rozumiem - nie było w stanie wyprzeć się swojego udziału, prawdopodobnie dlatego, że byli... w pewien sposób, nawet jeśli... nawet jeśli tylko siedzieli w samochodzie za rogiem. I najwyraźniej to brytyjski wywiad... no... przekazał CIA informacje, gdzie oni przebywają, żeby Amerykanie ich zatrzymali. A gdy byli torturowani, nie potępiłeś tego.

Ostatnie zdanie wygłosiłem z wyraźnym pośpiechem.

- Sid Kroll jest bardzo zadowolony z obietnicy, jaką złożyła CIA - stwierdził zimno Lang. - Jego zdaniem prokurator będzie zapewne zmuszona do zrezygnowania z wniesienia sprawy.

- Hm, skoro Sid tak twierdzi...

- Pierdołę to! - wybuchnął nagle Lang. Uderzył ręką w stół. Na dysku brzmi to jak wybuch. Agent Wydziału Specjalnego, który drzemał obok, gwałtownie uniósł głowę. - Nie żałuję tego, co stało się z tymi czterema facetami. Gdybyśmy polegali na Pakistańczykach, nigdy byśmy ich nie złapali. Musieliśmy ich złapać, gdy nadarzyła się okazja. Gdybyśmy ją przegapili, ukryliby się. Usłyszelibyśmy o nich dopiero po następnym zamachu bombowym, w którym zginęłoby wielu naszych ludzi.

- Naprawdę tego nie żałujesz?

- Nie.

- Nawet tego, że jeden zmarł w trakcie przesłuchania?

- Ach, ten - Lang lekceważąco machnął ręką. - Był chory na serce. Nikt o tym nie wiedział. Mógł umrzeć w każdej chwili. Mógł umrzeć, wstając rano z łóżka.

Nic nie odpowiedziałem. Udawałem, że notuję.

- Słuchaj, nie pochwalam tortur, ale coś ci powiem. Po pierwsze, tortury naprawdę dają wyniki - widziałem dane wywiadu. Po drugie, sprawowanie władzy polega na wyważaniu zła. Zastanów się, jakie znaczenie ma kilka minut cierpienia paru osób w porównaniu ze śmiercią - śmiercią, pamiętaj o tym - tysiący ludzi. Po trzecie, nie próbuj wciskać mi, że to coś wyjątkowego, co zdarzyło się tylko podczas wojny z terroryzmem. Tortury zawsze towarzyszyły wojnie. Różnica polega tylko na tym, że w przeszłości nie było pierdolonych mediów, które to nagłaśniały.

- Ci czterej zatrzymani w Pakistanie twierdzą, że są niewinni.

- Oczywiście, że tak twierdzą! A co mają powiedzieć? - Lang przyjrzał mi się uważnie, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy. - Zaczynam sądzić, że jesteś zbyt naiwny, żeby wykonać to zlecenie.

Nie mogłem się powstrzymać.

- W odróżnieniu od Mike'a Mc Ary?

- Mike! - Lang zaśmiał się i pokręcił głową. - Mike też był naiwny, ale w inny sposób.

Samolot szybko podchodził do lądowania. Nie było widać księżycy i gwiazd. Lecieliśmy w chmurach. Czułem zmianę ciśnienia w uszach. Musiałem przełknąć ślinę.

Podeszła do nas Amelia.

- Wszystko w porządku? - spytała.

Wydawała się zaniepokojona. Na pewno słyszała wybuch Langa, wszyscy musieli go usłyszeć.

- Pracujemy nad moimi wspomnieniami - odpowiedział Lang. - Opowiadam mu o operacji „Burza”.

- Nagrywasz to? - spytała Amelia.

- Jeśli nie ma żadnych zastrzeżeń... - odpowiedziałem.

- Powinieneś zachować ostrożność - upomniała Langa.
- Pamiętaj, co powiedział Sid Kroll.

- Nagranie należy do ciebie - przerwałem. - Nie do mnie.

- Sąd może zażądać przekazania go jako dowodu.

- Przestań traktować mnie jak dziecko - prychnął Lang.

- Wiem, co chcę powiedzieć. Załatwmy tę sprawę raz na zawsze.

Amelia pozwoliła sobie nieco szerzej otworzyć oczy, po czym wróciła na swoje miejsce.

- Kobiety! - mruknął Lang.

Wypił łyk brandy. Lód już się stopił, ale płyn pozostał ciemny. Widocznie początkowo szklanka była prawie pełna. Uświadomiłem sobie, że nasz były premier jest wstawiony. To była dobra okazja.

- Na czym zatem polegała naiwność Mike'a McAry? - spytałem.

- Nieważne - wymamrotał Lang. Siedział ze szklanką w ręku, opierając brodę o pierś. Nagle się poderwał. - Weźmy na przykład te wszystkie bzdury o prawach obywatelskich.

Wiesz, co bym zrobił, gdybym odzyskał władzę? Powiedziałbym, proszę bardzo, będziemy mieli na lotniskach dwie oddzielne kolejki. Po lewej kolejka dla tych, którzy chcą lecieć bez sprawdzania przeszłości pasażerów, typowania podejrzanych, sprawdzania danych biometrycznych, bez tego wszystkiego, co tak narusza bezcenne prawa obywatelskie. Oczywiście również bez korzystania z informacji uzyskanych za pomocą tortur. Po prawej byłaby natomiast kolejka dla tych, którzy wolą lecieć, wiedząc, że zrobiliśmy wszystko, co możliwe, żeby zapewnić im bezpieczeństwo. Ludzie mogliby wtedy sami decydować, który lot wybrać. Czy tak nie byłoby wspaniale? Moglibyśmy patrzeć, którą kolejkę wybiorą ci wszyscy Rycartowie tego świata, gdy będą chcieli posłać dzieci na wakacje. Skończą się żarty, będą musieli wybrać.

- Mike tak myślał?

- Nie na początku, ale na starość odkrył nagle idealizm. Powiedziałem mu - to była nasza ostatnia rozmowa - że jeśli Jezus Chrystus nie zdołał rozwiązać wszystkich problemów tego świata, gdy żył między nami - a przecież był Synem Bożym! - to on zachowuje się trochę nierozsądnie, oczekując, że ja zrobię to w ciągu dziesięciu lat.

- Czy to prawda, że miałeś z nim poważną kłótnię? Tuż przed jego śmiercią?

- Mike wysunął jakieś szalone oskarżenia. Nie mogłem tego zignorować.

- Mogę spytać jakie?

Mogłem sobie wyobrazić, jak Rycart i prokurator, słuchając taśmy, prostują się na krzesłach w oczekiwaniu na odpowiedź. Znowu musiałem przelknąć ślinę, żeby odetkać uszy. Mój głos wydawał mi się stłumiony, jakbym mówił przez sen lub z wielkiej odległości. Pauza na nagraniu jest całkiem krótka, ale wtedy miałem wrażenie, że cisza trwa wieczność. Gdy Lang się odezwał, mówił śmiertelnie spokojnie.

- Wolałbym ich nie powtarzać.
- Czy dotyczyły CIA?
- Przecież już na pewno wiesz, skoro widziałeś się z Paulem Emmettem - odrzekł z goryczą.

Tym razem przerwa w nagraniu jest tak długa, jak ją zapamiętałem.

Po zrzuceniu tej bomby, Lang wyjrzał przez okno i wypił łyk brandy. Pod nami widać już było pojedyncze światła. Myślę, że to były statki. Patrzyłem na Langa i myślałem, że jednak czas go nie oszczędził. Miał wory pod oczami, podwójny podbródek. Może to nie była kwestia wieku, tylko zmęczenia. Prawdopodobnie od kilku tygodni, może od konfrontacji z Mc Arą, bardzo niewiele sypiał. Z pewnością, gdy znowu do mnie zwrócił się, w jego głosie nie było gniewu, tylko wielkie znużenie.

- Chcę, żebyś zrozumiał jedno - powiedział z naciskiem.
- Wszystko, co zrobiłem, zarówno jako przywódca partii, jak i premier rządu - wszystko - robiłem z przekonaniem, że tak trzeba.

Wymamrotałem jakąś odpowiedź. Byłem w szoku.

- Emmett twierdzi, że pokazałeś mu jakieś fotografie. Czy to prawda? Mogę je zobaczyć?

Drżącymi rękami wyciągnąłem zdjęcia z koperty, położyłem na stole i popchnąłem w jego stronę. Szybko przejrzał pierwsze cztery, zatrzymał się na piątym - przedstawiającym jego z Emmettem na scenie - po czym wrócił do pierwszego. Teraz przeglądał je powoli, zatrzymując się na każdym zdjęciu.

- Skąd je masz? - spytał, nie odrywając oczu od fotografii.

- McAra ściągnął je z archiwum. Znalazłem je w jego pokoju.

Drugi pilot poprosił przez głośnik o zapięcie pasów.

- Dziwne - mruknął Lang. - Dziwne, jak wszyscy bardzo się zmieniliśmy, a jednocześnie pozostaliśmy tacy sami. Mike nigdy nie wspominał o tych zdjęciach. Och, to cholerne archiwum! - Przyjrzał się uważnie zdjęciom z pikniku nad rzeką. Zauważyłem, że bardziej interesowały go dziewczyny niż Emmett lub on sam. - Pamiętam ją - powiedział, stukając palcem w fotografię. - Ją też. Napisała do mnie kiedyś, gdy już byłem premierem. Ruth nie była zadowolona. Boże! Ruth - westchnął, przecierając dłonią twarz. Przez chwilę myślałem, że się załamie, ale gdy na mnie spojrział, miał suche oczy. - Co teraz? Czy w twojej branży jest przyjęta jakaś reguła postępowania w takich sytuacjach?

W oknie widać już było liczne światełka. Zauważyłem reflektory jadącego samochodu.

- To do klienta należy ostatnie słowo, co znajdzie się w książce - odpowiedziałem. - Zawsze. No, ale w tym przypadku, biorąc pod uwagę, co się stało...

Na nagraniu słyhać, jak mój głos cichnie, a potem rozlega się głośny trzask - Lang pochylił się do przodu i złapał mnie za przedramię.

- Jeśli masz na myśli to, co przydarzyło się Mike'owi, to mogę cię zapewnić, że byłem tym wstrząśnięty. - Lang wbił we mnie spojrzenie. Dawał z siebie dużo, żeby mnie przekonać, a muszę przyznać, że mu się udało, wbrew wszystkiemu, czego się dowiedziałem: do dziś jestem pewny, że mówił prawdę. - Nawet jeśli nie chcesz uwierzyć w nic innego, proszę, żebyś uwierzył mi, że śmierć Mike'a nie jest w żaden sposób związana ze mną. Do śmierci będę pamiętał widok jego ciała w kostnicy. Jestem pewny, że to był wypadek. Ale w porządku, dla dobra wyводу załóżmy, że było inaczej. - Lang jeszcze mocniej zacisnął palce. - Co mu strzeliło do głowy, żeby jechać do Bostonu na konfrontację z Emmettem? Zajmował się polityką dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że takich rzeczy się nie robi - niezależnie od stawki. W pewien sposób sam się zabił. To był akt samobójczy.

- To właśnie mnie niepokoi - powiedziałem.

- Chyba nie myślisz poważnie, że to samo może przydarzyć się tobie?

- Przyszło mi to parę razy do głowy.

- Możesz się nie bać. Gwarantuję, że nic ci się nie stanie. - Przypuszczam, że wyraz niedowierzania na mojej twarzy był bardzo czytelny. - Człowieku, daj spokój! - Lang znowu zacisnął palce na moim przedramieniu. - W tym samolocie towarzyszą nam czterej policjanci! Za kogo ty nas uważasz?

- Hm, to jest właściwe pytanie. Za kogo mam was uważać?

Lecieliśmy już tuż nad koronami drzew. Na liściach wi-
dać było odbicie światła samolotu. Spróbowałem cofnąć
rękę.

- Przepraszam - powiedziałem.

Lang niechętnie mnie puścił. Zapiąłem pasy, on również.
Spojrzał przez okno na terminal, potem na mnie, z wyraź-
nym przerażeniem. Samolot gładko wylądował na pasie.

- Boże, ty już komuś o tym powiedziałaś?!

Poczułem, że się czerwienię.

- Nie - zaprzeczyłem.

- Powiedziałaś.

- Wcale nie. - Mówiłem jak dziecko przyłapano na
gorącym uczynku.

Lang znowu pochylił się do przodu.

- Komu?

Gdy patrzyłem na ciemny las otaczający lotnisko, gdzie
każdy mógł łatwo się schować, uznałem, że prawda będzie
moją najlepszą polisą ubezpieczeniową.

- Richardowi Rycartowi - powiedziałem.

To musiał być dla niego druzgoczący cios. Musiał wie-
dzieć, że to oznacza koniec. W wyobraźni wciąż go widzę.
Wyglądał jak jeden z tych niegdyś wspaniałych, a dziś ska-
zanych na zburzenie budynków, chwilę po odpaleniu podło-
żonych ładunków wybuchowych. Jeszcze przez kilka sekund
fasada wydaje się nienaruszona, po czym powoli zaczyna się
walić. Tak było z Langiem.

Przez dłuższą chwilę patrzył na mnie pustymi oczami, po czym opadł na fotel. Samolot zatrzymał się przed terminalem. Silniki zgasły.

* * *

W tym momencie wreszcie zachowałem się inteligentnie.

Podczas gdy Lang siedział, kontemplując swój upadek, a Amelia podeszła, żeby dowiedzieć się, co powiedziałem, starczyło mi przytomności umysłu, żeby wyjąć dysk z magnetofonu i schować go do kieszeni. Na jego miejsce włożyłem czysty. Lang był zbyt wstrząśnięty, żeby go to obchodziło, a Amelia zbyt skupiona na nim, żeby to zauważyć.

- W porządku - powiedziała zdecydowanym tonem - dość już na dzisiejszy wieczór. - Wzięła od niego pustą szklankę i podała stewardowi. Lang nie stawiał oporu. - Adamie, musimy jechać do domu. Ruth czeka na nas w terminalu. - Pochyliła się, żeby rozpiąć pasy. Zdjęła jego marynarkę z oparcia fotela i przytrzymała ją dwiema rękami, żeby mógł ją włożyć. Potrząsnęła nią lekko, jak matador muletą. - Adamie? - zachęciła go delikatnie.

Lang wstał posłusznie, ale poruszał się jak w transie. Patrzył nieprzytomnym wzrokiem w kierunku kokpitu. Amelia pomogła mu wsunąć ręce w rękawy. Patrzyła na mnie z wściekłością ponad jego ramieniem.

- Ja pierdole, co ty wyprawiasz? - szepnęła bardzo wyraźnie, ze swoją precyzyjną dykcją.

To było dobre pytanie. Pierdołę, co ja wyprawiam? - potwórzyłem w myślach. Trzej ludzie z Wydziału Specjalnego już wysiadali z samolotu. Przez całą kabinę przeleciał podmuch zimnego powietrza. Lang ruszył w kierunku drzwi. Przed nim szedł czwarty funkcjonariusz, a za nim Amelia. Szybko wrzuciłem magnetofon i kopertę ze zdjęciami do torby, po czym poszedłem za nimi. Pilot wyszedł z kokpitu, żeby nas pożegnać. Lang wyraźnie się wyprostował, po czym podszedł do niego z wyciągniętą ręką.

- Świetny lot - powiedział niejasno. - Jak zawsze. To moja ulubiona linia lotnicza. - Uścisnął rękę pilota, po czym pożegnał się z drugim pilotem i stewardem. - Dziękuję. Bardzo dziękuję. - Odwrócił się w naszą stronę. Z jego twarzy szybko zniknął zawodowy uśmiech. Wyglądał żałośnie. Ostatni ochroniarz był już w połowie schodków. Amelia, ja i dwie sekretarki czekaliśmy, żeby wyjść za nim. W oświetlonym oknie terminalu dostrzegłem Ruth; z trudem ją poznałem. Z tej odległości nie mogłem ocenić jej nastroju. - Czy możesz tu chwilkę poczekać? - poprosił Amelię. - Ty również, dobrze? - dodał, zwracając się do mnie. - Muszę zamienić kilka słów z moją żoną.

- Czy coś się stało, Adamie? - spytała Amelia. Znała go dostatecznie długo i prawdopodobnie kochała dostatecznie mocno, żeby wiedzieć, że zdarzyło się coś bardzo złego.

- Wszystko będzie dobrze - odpowiedział. Dotknął jej łokcia, po czym lekko uklonił się pozostałym, w tym mnie i

członkom załogi. - Panie, panowie, bardzo wam dziękuję. Dobranoc.

Lang pochylił się, żeby wyjść. Stał na górze schodów, rozejrzał się i przyglądał włosy. Wyglądał jak wtedy, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy - wciąż nawykowo szukał tłumu, z którym mógłby nawiązać kontakt, ale na omiatanej wiatrem, oświetlonej reflektorami płycie lotniska stali tylko ochroniarze i pracujący do późna technik naziemny, który niewątpliwie już chciałby być w domu.

Lang widocznie zobaczył Ruth w oknie terminalu, bo nagle do niej pomachał. Zbiegł z wdziękiem ze schodów, jak tancerz. Pokonał jakieś dziesięć jardów w kierunku terminalu, gdy technik zawołał „Adam!” i pozdrowił go gestem. Wymówił jego imię z angielskim akcentem. Lang pewnie rozpoznał rodaka, bo nagle oderwał się od ochroniarzy i podszedł do niego z wyciągniętą ręką. Tak go zapamiętałem - człowiek z wiecznie wyciągniętą dłonią. Ten obraz wypalił się na mojej siatkówce - czarna sylwetka na tle rozprzestrzeniającej się kuli jaskrawobiałego ognia, który nagle go ogarnął. Potem były już tylko lecące w powietrzu odłamki, żwir, szkło, fala gorąca i cisza podwodnej eksplozji.

Rozdział 16

Jeśli wpadasz w przygnębienie, gdy nie widzisz swego nazwiska na okładce lub nie zostajesz zaproszony na promocyjne przyjęcie, to ciężko ci będzie wykonywać zawód murzyna.

Andrew Crofts

Po początkowym błysku nie zobaczyłem już nic: miałem w oczach za dużo krwi i szkła. Siła wybuchu odrzuciła nas do tyłu. Amelia, jak się później dowiedziałem, uderzyła głową o oparcie fotela i straciła przytomność. Ja leżałem w przejściu, w ciemnościach i milczeniu. Nie wiem, czy minęły minuty, czy godziny. Poczulem ból tylko wtedy, gdy jedna z sekretarek, chcąc jak najszybciej wydostać się z samolotu, nadepnęła obcasem na moją rękę. Nic nie widziałem, a dopiero kilka godzin później odzyskałem słuch. Jeszcze teraz od czasu do czasu słyszę szmer w uszach, który odcina mnie od świata jak zakłócenia radiowe. W końcu mnie stamtąd zabrali. Dostałem wspaniałą zastrzyk morfiny, po którym

zobaczyłem fajerwerki. Niedługo potem mnie i wszystkich rannych przewieziono helikopterem do szpitala niedaleko Bostonu - położonego, jak się okazało, bardzo blisko domu Emmetta.

Czy zdarzyło się wam w dzieciństwie zrobić coś naprawdę złego, za co oczekiwaliście niechybnej kary? Pamiętam, jak kiedyś złamałem cenną płytę gramofonową ojca, po czym włożyłem ją do koperty, odstawiłem na półkę i nic mu nie powiedziałem. Przez wiele dni żyłem, pocąc się ze strachu, ciągle oczekując kary, która nigdy nie nastąpiła. Ojciec nawet o tym nie wspomniał. Gdy odważyłem się sprawdzić, płyty nie było. Widocznie ją wyrzucił.

Podobnie czułem się po zamachu na Adama Langa. Przez następny dzień lub dwa, gdy leżałem w szpitalu z zabandażowaną twarzą, a policjant dyżurował na korytarzu, wielokrotnie analizowałem zdarzenia ostatnich kilku dni i zawsze dochodziłem do wniosku, że zapewne nie wyjdę ze szpitala żywy. Trudno chyba znaleźć miejsce, gdzie można łatwiej się kogoś pozbyć niż w szpitalu; mogę sobie wyobrazić, że to niemal rutynowa operacja. A czy ktoś lepiej nadaje się na mordercę niż lekarz?

W rzeczywistości jednak było tak jak z płytą ojca. Nic się nie wydarzyło. Gdy jeszcze byłem oślepiony, odwiedził mnie agent Murphy z oddziału FBI w Bostonie, żeby wypytać mnie delikatnie, co sobie przypominam. Pojawił się ponownie następnego dnia po południu, gdy już zdjęto mi z twarzy bandaż. Wyglądał jak wysportowany młody ksiądz z filmów z lat pięćdziesiątych. Tym razem towarzyszył mu

posepny Anglik z MI5, którego nazwiska nie dosłyszałem - prawdopodobnie dlatego, że nie miałem usłyszeć.

Pokazali mi fotografię. Wciąż źle widziałam, ale rozpoznałem tego wariata z hotelowego baru, który później samotnie demonstrował przy drodze do rezydencji Rhineharta pod transparentem z biblijnym sloganem. Powiedzieli mi, że to George Arthur Boxer, były major armii brytyjskiej, którego syn zginął w Iraku, a żona padła ofiarą samobójczego zamachu bombowego w Londynie sześć miesięcy później. Zrozpaczony major Boxer uważał, że to Adam Lang jest osobiście odpowiedzialny za jego nieszczęścia. Wytropił go na Martha's Vineyard po tym, jak gazety doniosły o śmierci Mike'a Mc Ary. Z pewnością miał duże doświadczenie w zakresie posługiwania się materiałami wybuchowymi i wywiadu. Przeglądając strony internetowe poświęcone dżihadowi, analizował taktykę samobójczych zamachów bombowych. Wynajął dom na Oak Bluffs, zgromadził tam spory zapas nadtlenu wodoru i środków chwastobójczych, po czym uruchomił niewielką fabrykę materiałów wybuchowych. Gdy zobaczył, jak kuloodporny samochód jedzie na lotnisko, domyślił się, że Lang wraca z Nowego Jorku. Nikt dobrze nie wiedział, jak Boxer dostał się na lotnisko, ale było ciemno, a płot wokół lotniska miał cztery mile długości. Eksperci zawsze zakładali, że czterej agenci z Wydziału Specjalnego i opancerzony samochód zapewniają Lango wi wystarczającą ochronę.

Trzeba być realistą - powiedział ten z MI5. Możliwości zapewnienia ochrony mają swoje granice, zwłaszcza gdy przeciwnikiem jest zdeterminowany samobójca. Zacytował Senekę, w oryginale, ale łaskawie przetłumaczył: „Kto gardzi swoim życiem, jest panem twojego”. Miałem wrażenie, że wszyscy czuli pewną ulgę z powodu pozbycia się kłopotu: Brytyjczycy - bo Lang zginął w Ameryce. Amerykanie - bo mordercą był Anglik. Obie strony były zadowolone, że nie będzie żadnego procesu w sprawie zbrodni wojennych, żadnych przykrych rewelacji, i nie będą mieli na głowie gościa, który będzie tu siedział za długo i obijał się na bankietach w Georgetown przez następnych dwadzieścia lat. Można powiedzieć, że był to przykład specyficznych stosunków łączących oba kraje. Agent Murphy spytał mnie, czy podczas lotu z Nowego Jorku Lang wyrażał niepokój o swoje bezpieczeństwo. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie.

- Pani Bly - powiedział ten z MI5 - wspomniała, że podczas końcowej fazy lotu nagrał pan wywiad z Langiem.

- Nie, pomyliła się - odparłem. - Miałem na stoliku magnetofon, ale go nie włączyłem. To nie był wywiad, tylko zwykła rozmowa.

- Czy mogę zobaczyć dysk?

- Proszę bardzo.

Moja torba podróżna stała na stoliku obok łóżka. Agent MI5 wyciągnął magnetofon i wyjął dysk. Przyglądałem się temu, czując suchość w ustach.

- Czy mogę pożyczyć dysk?

- Może go pan zatrzymać - powiedziałem.

Agent nadal grzebał w moich rzeczach. - Skoro już pan wspomniał o Amelii, jak ona się czuje?

- Nic jej nie jest - zapewnił. Schował dysk do teczki. - Dziękuję.

- Czy mogę ją zobaczyć?

- Wczoraj wieczorem poleciała do Londynu. Nic dziwnego - dodał z zimną satysfakcją. Najwyraźniej moje rozczarowanie było wyraźnie widoczne. - Ostatni raz widziała męża przed Bożym Narodzeniem.

- A co z Ruth?

- Właśnie leci do Anglii z trumną ze zwłokami męża. Wasz rząd przysłał po nich samolot - wyjaśnił Murphy.

- Zostanie pochowany ze wszystkimi wojskowymi honorami - dodał Anglik. - Będzie miał popiersie w Pałacu Westminsterskim i pogrzeb w Opactwie, jeśli tylko ona będzie tego chciała. Nigdy nie był tak popularny jak teraz, po śmierci.

- Szkoda, że nie zginął wiele lat temu - odpowiedziałem. Nikt się nie uśmiechnął. - Czy to prawda, że oprócz niego nikt nie zginął?

- Rzeczywiście - potwierdził Murphy. - To prawdziwy cud, może mi pan wierzyć.

- W istocie - dodał agent MI5. - Pani Bly przypuszcza, że pan Lang rozpoznał zamachowca i celowo podszedł do niego, wiedząc, że coś takiego może się zdarzyć. Co pan o tym sądzi?

- To daleko idąca spekulacja - odpowiedziałem. - Ja myślałem, że to wybuchła cysterna z paliwem.

- Niewątpliwie był to niezły wybuch – przyznał Murphy, chowając długopis do wewnętrznej kieszeni marynarki.
- Głowę zamachowca znaleźliśmy na dachu terminalu.

* * *

Dwa dni później oglądałem relację CNN z pogrzebu Langa. Odzyskałem już prawie wzrok. Ceremonia była zaplanowana ze smakiem: królowa, premier, wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, przywódcy połowy europejskich krajów, trumna nakryta brytyjską flagą, straż honorowa, samotny kobziarz grający pieśń żałobną. Ruth doskonale wyglądała w żałobie; pomyślałem, że czarny to niewątpliwie jej kolor. Nigdzie nie zauważyłem Amelii. W czasie krótkiej przerwy nadali wywiad z Richardem Rycartem. Oczywiście nie został zaproszony na pogrzeb, ale zdobył się na założenie czarnego krawata i wygłosił wzruszający hołd ze swego biura w ONZ: wspomniały kolega... prawdziwy patriotą... różniły nas poglądy... pozostaliśmy, przyjaciółmi... z całego serca współczuję Ruth i rodzinie... z mojego punktu widzenia ten rozdział jest zamknięty.

Znalazłem telefon, który mi dał, i wyrzuciłem go przez okno.

Następnego dnia, gdy mieli mnie wypisać ze szpitala, Rick przyjechał z Nowego Jorku, żeby zawieźć mnie na lotnisko.

- Chcesz dobrą czy złą wiadomość? - spytał.
- Nie jestem pewny, czy nasze wyobrażenia, co jest dobrą

wiadomością, dokładnie się pokrywają - odpowiedziałem.

- Przed chwilą dzwonił Sid Kroll. Ruth Lang chce, żebyś dokończył pisanie biografii jej męża. Maddox da ci jeszcze miesiąc na skończenie pracy.

- No, a ta dobra wiadomość?

- Och, bardzo zabawne. Słuchaj, nie bądź taki cholernie przemyślany. To będzie superbestseller. Głos Adama Langa z za grobu. Nie musisz już pracować tutaj, możesz wrócić do Londynu. Nawiasem mówiąc, wyglądasz okropnie.

- Głos z za grobu? - powtórzyłem z niedowierzaniem. - Mam teraz być duchem ducha?

- W tej sytuacji kryje się wiele możliwości. Przemyśl to. Możesz napisać, co tylko chcesz, w granicach rozsądku. Nikt nie będzie cię pilnował. A przecież lubiłeś go, prawda?

Zastanowiłem się nad tym. Myślałem o tym, od kiedy obudziłem się w szpitalu. Gorsze niż ból oczu i szum w uszach, gorsze nawet niż strach, że nigdy nie wyjdę ze szpitala na własnych nogach, było poczucie winy. Może to dziwne, jeśli wziąć pod uwagę, czego się dowiedziałem, ale nie mogłem wzbudzić w sobie niechęci do Langa. To ja byłem winny. Nie tylko zdradziłem klienta, zarówno osobiście, jak i zawodowo, ale uruchomiłem ciąg zdarzeń, który zakończył się jego śmiercią. Gdybym nie pojechał do Emmetta, ten nie poinformowałby Langa o fotografii. Wtedy może Lang nie uparłby się, żeby polecieć na Martha's Vineyard na spotkanie z Ruth. Ja nie powiedziałbym mu o Rycarcie.

A wtedy, a wtedy... Te pytania dręczyły mnie, gdy leżałem w ciemnościach. Nie mogłem zapamiętać, jak kiepsko wyglądał w samolocie pod sam koniec.

„Pani Bly przypuszcza, że pan Lang rozpoznał zamachowca i celowo podszedł do niego, wiedząc, że coś takiego może się zdarzyć...”.

- To prawda - odpowiedziałem Rickowi. - Owszem, lubiłem go.

- No, widzisz. Jesteś mu to winny. Poza tym, musisz wziąć pod uwagę jeszcze jeden argument.

- Tak?

- Sid Kroll twierdzi, że jeśli nie wywiążesz się z umowy i nie skończysz książki, to pozwą cię i zedrą z ciebie ostatnią koszulę.

* * *

Wróciłem zatem do Londynu i przez następne sześć tygodni prawie nie wychodziłem z domu. Raz umówiłem się na kolację z Kate. Spotkaliśmy się w restauracji w Notting Hill Gate, w połowie drogi od niej do mnie - to było terytorium równie neutralne jak Szwajcaria oraz równie drogie. Śmierć Langa w wyniku zamachu nieco przytłumiła jej wrogość, a jako świadek byłem swego rodzaju sławą. Odrzuciłem kilkanaście próśb o udzielenie wywiadu. Kate była pierwszą osobą, poza agentami FBI i MI5, której opisałem, co się stało. Chciałem jej opowiedzieć o mojej ostatniej rozmowie z Langiem i zrobiłbym to, ale jak to często bywa w

takich sprawach, gdy chciałem zacząć, podszedł kelner spytać, co zamówimy na deser. Gdy odszedł, Kate oświadczyła, że ma mi coś do powiedzenia.

Zaręczyła się.

Muszę przyznać, że przeżyłem wstrząs. Nie lubiłem tego faceta. Wszyscy go znają - pobrużdżona twarz, smętny, przystojny. Specjalizuje się w krótkich wizytach w najgorszych miejscach na świecie. Po powrocie wygłasza wzruszające opowieści o ludzkich cierpieniach, najczęściej swoich.

- Gratuluję - powiedziałem.

Zrezygnowaliśmy z deseru. Nasz związek - jakkolwiek go nazwać - zakończył się dziesięć minut później całusem w policzek na chodniku przed restauracją.

- Chciałeś mi coś powiedzieć - przypomniała mi Kate, gdy czekałem z nią na taksówkę. - Przepraszam, że ci przerwałam. Nie chciałam, żebyś, no, wiesz, powiedział coś zbyt osobistego, zanim się nie dowiesz o mnie i o...

- To nic ważnego.

- Nic ci nie jest? Wydajesz się jakiś dziwny.

- Wszystko w porządku.

- Jeśli będziesz mnie kiedykolwiek potrzebował, jestem na miejscu.

- Na miejscu? - odpowiedziałem. - Nie wiem, gdzie ty jesteś, ale ja jestem tutaj. A gdzie jest twoje miejsce?

Otworzyłem drzwi taksówki. Nie podśluchiwałem, ale mimo to usłyszałem, że nie podała kierowcy swojego adresu.

Po tej kolacji zmieniłem się w pustelnika. Gdy nie spałem, spędzałem czas w towarzystwie Langa. Teraz, gdy już nie żył, nagle wyczułem jego głos. Miałem wrażenie, że klawiatura to deska *ouija*. Jeśli wystukałem zdanie, które źle brzmiało, czułem, że jakaś siła ciągnie moje palce do klawisza DELETE. Miałem wrażenie, że piszę scenariusz dla szczególnie wymagającego gwiazdora: wiedziałem, że mógłby powiedzieć to, ale nie tamto, zagrać taką scenę, ale na pewno nie taką.

Nie zmieniłem struktury książki, jaką zaproponował McAra: wciąż składała się z tych samych szesnastu rozdziałów. Trzymałem jego maszynopis na biurku i przepisywałem go w całości od nowa. Przepuszczając tekst przez mózg i palce do komputera, starałem się wypielić wszystkie komunały i nieporadne sformułowania. Oczywiście nawet nie wspomniałem o Emmecie, wykreśliłem nawet ten banalny cytat z początku ostatniego rozdziału. Obraz Adama Langa, jaki zaprezentowałem światu, był portretem postaci, którą grał: zwykły facet, który trafił do polityki niemal przez przypadek, a zrobił karierę, bo nie kierował się względami plemiennymi i ideologicznymi. Uzgodniłem chronologię zdarzeń, korzystając z sugestii Ruth, że Lang zajął się polityką, próbując wyjść z depresji po przyjeździe do Londynu. Nie musiałem tu nadmiernie podkreślać jego nieszczęść. Lang już nie żył, a wiedza o tym, jak zginął, miała oczywiście wpływ na sposób odczytania jego wspomnień - to powinno wystarczyć wszystkim upiorom. Mimo to uznałem, że warto poświęcić jedną lub dwie strony heroicznym walkom z wewnętrznymi demonami, etc., etc:

POLITYKA, CHOĆ POWIERZCHOWNIE TAK ŻMUDNA I BANALNA, BYŁA DLA MNIE POCIECHĄ W NIESZCZĘŚCIU. AKTYWNOŚĆ POLITYCZNA, KOLEŻEŃSKIE STOSUNKI BYŁY DLA MNIE OKAZJĄ DO POZNAWANIA NOWYCH LUDZI. ZNALAZŁEM SPRAWĘ, O KTÓRĄ CHCIAŁEM WALCZYĆ. NO, A PRZEDĘ WSZYSTKIM, ZNALAZŁEM RUTH...

W mojej wersji jego historyjki Lang naprawdę zaktywizował się politycznie dopiero po tym, jak Ruth zapukała do jego drzwi dwa lata później. To wydawało się wiarygodne. Kto wie, może nawet tak było naprawdę.

Zacząłem pisać *Wspomnienia Adama Langa* dziesiątego lutego, a obiecałem Maddoksovi, że do końca marca będę miał gotowy maszynopis, całe sto sześćdziesiąt tysięcy słów. To oznaczało, że musiałem produkować trzy tysiące czterysta słów dziennie, dzień po dniu. Zawiesiłem na ścianie wykres i każdego ranka zaznaczałem, ile zrobiłem. Byłem jak kapitan Scott wracający z bieguna południowego: gdybym każdego dnia nie pokonał wyznaczonego dystansu, nigdy nie odrobiłbym spóźnienia i nieuchronnie zginąłbym na białym pustkowiu czystych kartek. To była ciężka harówka, zwłaszcza że z tekstu McAry niewiele udało się ocalić. O dziwo, zostawiłem ostatnie zdanie, choć pamiętałem, jak jęknąłem, gdy przeczytałem je po raz pierwszy na Martha's Vineyard: *RUTH I JA PATRZYMY Z UFNOŚCIĄ W PRZYSZŁOŚĆ, COKOLWIEK ONA W SOBIE KRYJE*. Czytajcie, łajdacy, myślałem, pisząc to wieczorem trzydziestego marca: czytajcie, a może zamkniecie książkę, czując, że coś chwyciło was za gardło.

Dopisałem KONIEC i chyba przeżyłem coś w rodzaju nerwowego załamania.

* * *

Wysłałem jedną kopię do Nowego Jorku, a drugą do biura Fundacji Adama Langa, do rąk własnych pani Ruth Lang. Powinienem raczej napisać baronowej Lang z Calderthorpe, gdyż rząd niedawno mianował ją na członka Izby Lordów, w dowód uznania ze strony całego społeczeństwa.

Od zamachu Ruth nie odezwała się do mnie ani razu. Napisałem do niej ze szpitala: byłem jedną z ponad stu tysięcy osób, które podobno przysłały jej kondolencje, więc nie zdziwiłem się, gdy otrzymałem standardową, wydrukowaną odpowiedź. Natomiast tydzień po tym, jak otrzymała maszynopis, dostałem odręczną notatkę na papierze listowym Izby Lordów.

SPEŁNIŁEŚ WSZYSTKIE MOJE OCZEKIWANIA - I TO Z NADWYŻKĄ! WSPANIALE UCHWYCIŁEŚ JEGO STYL I PRZYWRÓCIŁEŚ GO DO ŻYCIA - Z CAŁĄ JEGO ENERGIĄ, POZUCIEM HUMORU I WSPÓŁCZUCIEM DLA INNYCH. PROSZĘ, W WOLNEJ CHWILI WSTĄP DO MNIE DO IZL. BARDZO UCIESZYŁABYM SIĘ Z PONOWNEGO SPOTKANIA. MARTHA'S V. WYDAJE SIĘ JUŻ TAK ODLEGŁA W CZASIE I PRZESTRZENI! JESZCZE RAZ DZIĘKUJĘ, ŻE MOGLIŚMY SKORZYSTAĆ Z TWOJEGO TALENTU. TO NORMALNA KSIĄŻKA!!!

SERDECZNOŚCI,

R.

Maddox był równie zadowolony, ale bez serdeczności. Pierwszy nakład miał wynosić czterysta tysięcy. Datę publikacji wyznaczono na koniec maja.

No i tyle. Robota wykonana.

Szybko uświadomiłem sobie, że jestem w fatalnej formie. Przypuszczam, że do tej pory podtrzymywały mnie „energia, poczucie humoru i współczucie” Langa, ale gdy z nim skończyłem, zapadłem się jak balon, z którego uszło powietrze. Od lat trwałem, przeżywając życie innych ludzi, ale Rick nalegał, żeby poczekać z następną umową na ukazanie się wspomnień Langa - jego zdaniem to był „przełom” w mojej zawodowej karierze. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie miałem co robić. Dopadła mnie koszmarna kombinacja letargu i paniki. Z trudem zwlekałem się z łóżka koło południa, a potem siedziałem beczynnym w szlafroku na sofie, oglądając telewizję. Nie miałem apetytu, przestałem otwierać listy, nie odbierałem telefonów. Nie goliłem się. Wychodziłem z domu tylko w poniedziałki i czwartki, żeby uniknąć spotkania ze sprzątaczką - chciałem ją zwolnić, ale nie starczyło mi odwagi. Jeśli była dobra pogoda, siedziałem w parku, a jeśli nie, siedłem do brudnej kawiarni w sąsiedztwie; jak to w Anglii, zwykle padało.

Paradoksalnie jednak, równocześnie tkwiłem w stuporze i ciągle byłem podkrecony. Zatraciłem poczucie proporcji, denerwowałem się z powodu głupstw - gdzie są buty i czy mądrze robię, trzymając wszystkie pieniądze w jednym banku. Zdenerwowanie sprawiało, że czułem się fizycznie

rozdygotany, brakowało mi tchu. W takim stanie, pewnego wieczoru, mniej więcej dwa miesiące po skończeniu książki, dokonałem odkrycia, które w tej sytuacji było dla mnie katastrofalne.

Skończyła mi się whisky. Do zamknięcia niewielkiego sklepu na Ladbroke Grove zostało tylko dziesięć minut. Zbliżał się koniec maja, było ciemno, padał deszcz. Pośpiesznie złapałem pierwszą z brzegu kurtkę i wybiegłem z domu. Już na schodach zdałem sobie sprawę, że miałem na sobie tę kurtkę, gdy Lang został zabity. Była rozdarta z przodu i poplamiona krwią. W jednej kieszeni znalazłem dysk z nagraniem ostatniej rozmowy, a w drugiej kluczyki do forda escape SUV.

Samochód! Zupełnie o nim zapomniałem. Wciąż stoi na parkingu na lotnisku Logan! To kosztuje osiemnaście dolarów dziennie! Byłem już winny prawie dwa tysiące dolarów!

Wszystkim - a teraz również mnie - moja panika może się wydać zupełnie śmieszna. Ja jednak pobiegłem z powrotem do mieszkania, a moje serce gwałtownie tłukło się o żebra. W Nowym Jorku była już szósta. W wydawnictwie Rhinehart Inc. nikogo nie zastałem. Również w rezydencji na Martha's Vineyard nikt nie odebrał. W desperacji zadzwoniłem do Ricka do domu. Bez żadnego wstępu zacząłem bełzadnie opowiadać, na czym polega problem. Słuchał mnie przez jakieś trzydzieści sekund, po czym szorstko polecił, żebym się zamknął.

- Ta sprawa została załatwiona wiele tygodni temu - wyjaśnił. - Pracownicy parkingu nabrali podejrzeń, zadzwonili na policję, a gliniarze skontaktowali się z Rhinehartem. Maddox zapłacił za parking. Nie dzwoniłem w tej sprawie, bo wiedziałem, że jesteś bardzo zajęty. Teraz słuchaj mnie, przyjacielu. Wydaje mi się, że masz ostry przypadek opóźnionego szoku. Potrzebujesz pomocy. Znam pewnego psychoterapeutę...

Odłożyłem słuchawkę.

Gdy w końcu zasnąłem na sofie, miałem mój zwykły, powtarzający się sen o Mc Arze - ten, w którym płynie w ubraniu obok mnie i mówi, że nie da rady: płyn dalej sam. Tym razem się nie zbudziłem. Sen trwał dłużej. Fala uniosła McArę, w jego grubym płaszczu i ciężkich butach, aż w końcu widziałem tylko ciemny zarys jego postaci. Leżał twarzą w dół, na płyciźnie, w morskiej pianie. Woda spychała go raz w jedną, raz w drugą stronę. Brodząc w wodzie, dotarłem do niego, złapałem za ramiona i z najwyższym trudem przewróciłem na wznak. Nagle zobaczyłem, jak leży nago na marmurowym blacie, a Adam Lang pochyla się nad nim.

Następnego dnia wstałem wcześniej rano i poszedłem na stację metra. Niewiele trzeba, żeby się zabić, pomyślałem. Jeden skok pod nadjeżdżający pociąg, a potem już nicość. To znacznie lepsze od utonięcia. To był jednak tylko krótki, przejściowy impuls, między innymi dlatego, że nie mogłem znieść myśli, iż ktoś będzie potem musiał po mnie posprzątać. („Głowę zamachowca znaleźliśmy w końcu na dachu terminalu...”). Zamiast tego wsiadłem do wagonu i pojechałem na stację końcową, do Hammersmith, gdzie przeszedłem

na drugi peron. Ruch to lekarstwo na depresję, uznałem. Trzeba wciąż być w ruchu. W Embankment znowu przesiadłem się na pociąg do Morden - ta nazwa zawsze kojarzyła mi się z końcem świata. Wsiadłem z pociągu dwie stacje za Balham.

Znalezienie grobu nie zajęło mi dużo czasu. Ruth powiedziała mi, że pogrzeb ma się odbyć na cmentarzu Streatham. W administracji skierowali mnie do odpowiedniej kwatery. Po drodze mijalem kamienne aniołki ze skrzydłami sępów, porośnięte mchem cherubiny, wiktoriańskie grobowce wielkości ogrodowej szopy i krzyże z girlandami marmurowych róż. Wkład McAry do tej nekropolii był bardzo prosty, zgodnie z jego charakterem. Żadnych kwiecistych epigramów, żadnych „Nie mów, że walka była daremna” i „Dobra robota, mój wierny i dobry sługo”. To nie dla Mike'a. Tylko prosta wapienna płyta z nazwiskiem i dwiema datami.

Była już późna wiosna. W powietrzu unosiły się pyłki kwiatów i dym samochodowych spalin. Słysząc było ruch na Garratt Lane - ludzie jechali do pracy w centrum. Przykucnąłem, żeby przycisnąć dłonie do mokrej od rosy trawy. Jak już mówiłem, nie jestem człowiekiem przesadnym, ale w tym momencie poczułem dziwną ulgę, jakbym zatoczył koło lub wykonał zadanie. Czułem, że on chciał, abym tu przyszedł.

Wtedy właśnie zauważyłem leżący na płycie niewielki bukiet zwędzonych kwiatów, częściowo zasłonięty przez nieskoszoną trawę. Do kwiatów była dołączona kartka z kilkoma słowami, napisanymi eleganckim charakterem pisma,

ale ledwo czytelnych po kilku londyńskich ulewach: *Byleś dobrym przyjacielem i lojalnym kolegą. Spoczywaj w pokoju, drogi Mike 'u. Amelia.*

* * *

Po powrocie do domu zadzwoniłem do niej. Nie wydała się zdziwiona.

- Cześć - powiedziała. - Właśnie o tobie myślałam.

- Dlaczego?

- Czytam twoją książkę... no, Adama.

- I jak ci się podoba?

- Dobra. Nie, powinnam powiedzieć bardzo dobra. Zupełnie, jakbym znowu go widziała. Wydaje mi się, że brakuje tylko jednego.

- A mianowicie?

- Och, nieważne. Powiem ci, kiedy się spotkamy. Może będziemy mieli okazję porozmawiać na dzisiejszym przyjęciu.

- Jakim przyjęciu?

Amelia się zaśmiała.

- Twoim przyjęciu, ty idioto. Promocja twojej książki. Tylko mi nie mów, że nie dostałeś zaproszenia.

Od dawna z nikim nie rozmawiałem. Dopiero po sekundzie lub dwóch coś odpowiedziałem.

- Nie wiem, czy zostałem zaproszony. Prawdę mówiąc, od dłuższego czasu nie otwierałem listów.

- Z pewnością przysłali ci zaproszenie.

- Nie bądź tego taka pewna. Autorzy często dziwnie reagują, gdy ich duch gapi się na nich z sąsiedniego fotela.

- No, tym razem autora tam nie będzie - przypomniała. Chciała zażartować, ale wypadło to dość żałośnie i nienaturalnie. - Musisz przyjść, niezależnie od tego, czy dostałeś zaproszenie. Jeśli cię nie zaprosili, możesz iść jako mój gość. Mam przyjść z osobą towarzyszącą.

Na myśl o powrocie do życia towarzyskiego moje serce wyraźnie przyspieszyło.

- Nie chcesz iść z kimś innym? Co z twoim mężem?

- Ach, on. Obawiam się, że z nim niezbyt dobrze się ułożyło. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo był znużony rolą osoby towarzyszącej.

- Przykro mi.

- Kłamiesz. Spotkamy się na rogu Downing Street o siódmej. Przyjęcie jest naprzeciwko, po drugiej stronie Whitehallu. Będę czekała tylko pięć minut, jeśli postanowisz przyjść, bądź punktualnie.

* * *

Po tej rozmowie starannie przejrzałem pocztę, która nagromadziła się w ciągu kilku tygodni. Zaproszenia nie było. Biorąc pod uwagę okoliczności mojego ostatniego spotkania z Ruth, nie byłem tym zaskoczony. Dostałem natomiast egzemplarz książki. Maddox postarał się, żeby została ładnie wydana. Na okładce, ze względu na rynek amerykański, umieszczono zdjęcie Langa z Kongresu, gdy przemawiał na połączonej sesji obu izb. Sprawiał wrażenie człowieka wytwornego i beztrudnego. W środku nie było zdjęć, które

McAra znalazł w Cambridge, bo nie przekazałem ich redaktorowi graficznemu. Przejrzałem podziękowania, które napisałem w imieniu Langa:

KSIĄŻKA TA NIE POWSTAŁABY BEZ ZAANGAŻOWANIA, WSPARCIA, MĄDROŚCI I PRZYJAŹNI MICHAELA MCARY, KTÓRY POMAGAŁ MI JĄ PISAĆ OD PIERWSZEJ DO OSTATNIEJ STRONY I ZMARŁ W TRAKCIE TEJ PRACY. DZIĘKUJĘ CI, MIKE - ZA WSZYSTKO.

Mojego nazwiska nie było. Ku wielkiej irytacji Ricka, nie chciałem, by wymieniono mnie jako współpracownika. Nie wyjaśniłem mu, że zrobiłem tak ze względu na bezpieczeństwo. Miałem nadzieję, że jeśli ktoś poświęca temu uwagę, to uzna ocenzurowanie treści książki i moją anonimowość za sygnał, iż nie sprawię żadnych kłopotów.

Przez godzinę moczyłem się w wannie, zastanawiając się jednocześnie, czy iść na przyjęcie. Jak zwykle, długo zwlekałem z podjęciem decyzji. Nawet gdy już się ogoliłem, wciąż sobie powtarzałem, że to jeszcze nie oznacza, iż postanowiłem iść. Włożyłem białą koszulę, przyzwoity garnitur, wyszedłem i zatrzymałem taksówkę. Nawet gdy za pięć siódma stanąłem na rogu Downing Street, wciąż myślałem, że jeszcze mogę się wycofać. Po drugiej stronie szerokiego bulwaru widziałem zatrzymujące się samochody i taksówki. Najprawdopodobniej to tam miało się odbyć przyjęcie. W wieczornym świetle migały flesze fotografów; to było blade przypomnienie dawnej chwały Langa.

Wypatrywałem Amelii, co i rusz spoglądając w kierunku konnego wartownika przed budynkiem Konnej Gwardii

i Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz Pałacu Westminsterskiego, tego neogotyckiego domu wariatów. Po przeciwnej stronie Downing Street wisiał znak wskazujący drogę do siedziby Gabinetu Wojennego, z rysunkiem Churchilla - z nieodzownym znakiem V i cygarem. Whitehall zawsze kojarzy mi się z bitwą o Anglię. Mogę go sobie wyobrazić na podstawie obrazów, na których się wychowałem: worki z piaskiem, białe taśmy naklejone na szybach, reflektory na ślepo przeszukujące ciemności, warkot silników bombowców, wybuchy bomb, czerwone łuny pożarów w East Endzie. Tylko w Londynie zginęło trzydzieści tysięcy ludzi. To - jak powiedziałby mój ojciec - była prawdziwa wojna, nie jakieś drobne dawki niewygody, szaleństwa i głupoty. A mimo to Churchill zwykł chodzić pieszo do parlamentu, przez St. James's Park, uchylając kapelusza przed przechodniami. Zwykle towarzyszył mu tylko jeden policjant, idący kilka kroków za nim.

Wciąż o tym myślałem, gdy Big Ben wybił siódmą. Raz jeszcze rozejrzałem się w prawo i w lewo, ale nigdzie nie dostrzegłem Amelii. To mnie zdziwiło, bo automatycznie założyłem, że jest wzorem punktualności. W tym momencie ktoś poklepał mnie po ramieniu. Amelia stała za mną, w granatowym kostiumie, z teczką. Wydawała się starsza, jakby nieco wyblakła. Przez chwilę miałem przed oczami jej przyszłość: niewielkie mieszkanie w eleganckiej dzielnicy, kot. Przywitaliśmy się uprzejmie.

- No, to jesteśmy - powiedziała.

- Znowu się spotkaliśmy. - Staliśmy kilka stóp od siebie. Oboje czuliśmy się niezręcznie. - Nie wiedziałem, że wróciłaś pod numer dziesiąty.

- Byłam tylko oddelegowana do ekipy Adama. Król już nie żyje - odpowiedziała. Nagle zawiódł ją głos. Objąłem ją i pogłaskałem po plecach, jakby była dzieckiem i się przewróciła. Poczulem na twarzy dotknięcie jej mokrego policzka. Po chwili odsunęła się, otworzyła teczkę i wyjęła chusteczkę. - Przepraszam - powiedziała. Wytarła nos, po czym tupnęła obcasem, jakby chciała się skarcić. - Wciąż myślę, że już z tym skończyłam, a potem okazuje się, że nie całkiem. Wyglądasz okropnie - dodała. - Jak...

- Jak duch? - dokończyłem. - Dziękuję, już to słyszałem.

Amelia otworzyła puderniczkę, żeby sprawdzić, jak wygląda, po czym dokonała kilku szybkich korekt. Zdałem sobie sprawę, że jest zdenerwowana i spięta. Potrzebowała kogoś do towarzystwa, nawet ja się nadawałem.

- Dobra - powiedziała, zatrzasnąwszy puderniczkę. - Chodźmy.

Poszliśmy przez Whitehall, przeciskając się przez tłum wiosennych turystów.

- No i co, dostałeś zaproszenie? - spytała Amelia.

- Nie. Szczerze mówiąc, jestem dość zdziwiony, że ciebie zaproszono.

- Och, to wcale nie takie dziwne - odpowiedziała z udawaną beztroską. - Ona wygrała, nieprawdaż? Została bohaterką narodową. Wdową w żałobie. Naszą Jackie Kennedy. Nie ma nic przeciwko temu, żebym się tu pojawiła. Nie jestem żadnym

zagrożeniem, ale raczej trofeum na paradzie z okazji zwycięstwa. - Przeszliśmy na drugą stronę ulicy. - Karol Pierwszy wyszedł przez to okno, gdy prowadzili go na szafot - powiedziała, wskazując ręką. - Można byłoby przypuszczać, że ktoś zwróci uwagę na groźbę nieprzyjemnych skojarzeń.

- Kiepska praca sztabowa - odpowiedziałem. - Gdybyś ty kierowała, coś takiego nie mogłoby się zdarzyć.

Gdy weszliśmy, od razu wiedziałem, że przychodząc tutaj, popełniliśmy błąd. Amelia musiała pokazać ochroniarzom, co ma w teczce. Wykrywacz metalu zareagował na moje klucze i ochroniarze postanowili mnie zrewidować. Do czego to doszło - myślałem, stojąc z uniesionymi rękami, podczas gdy agent macał mnie w kroku. - Nie można pójść na koktajl, nie narażając się na rewizję. W wielkiej sali Domu Bankietowego usłyszeliśmy gwar rozmów i natknęliśmy się na mur pleców. Kiedyś przyjąłem regułę, że nie chodzę na przyjęcia promocyjne swoich książek. Teraz przypomniałem sobie, dlaczego tak postanowiłem. .Murzyn jest tak potrzebny na takim przyjęciu, jak nieślubne dziecko pana młodego na weselu w wyższych sferach. Nie znałem nikogo.

Obok nas przeszedł kelner z tacą. Zręcznie chwyciłem dwa wysokie kieliszki z szampanem. Podałem jeden Amelii.

- Nigdzie nie widzę Ruth - powiedziałem.

- Och, na pewno jest w największym tłoku. Twoje zdrowie.

Stuknęliśmy się kieliszkami. Moim zdaniem, szampan jest jeszcze bardziej bezsensowny niż białe wino, ale nie było niczego innego.

- Jeśli już mam krytykować twoją książkę, to jedynym elementem, którego w niej brakuje, jest właśnie Ruth.

- Wiem - przyznałem. - Chciałem więcej o niej napisać, ale się nie zgodziła.

- Hm, bardzo szkoda. - Szampan dodał odwagi pani Bly, zwykle tak ostrożnej. A może po prostu coś nas połączyło. Przecież oboje przeżyliśmy - przetrwaliśmy znajomość z Langami. W każdym razie Amelia pochyliła się ku mnie i poczułem znajomy zapach jej perfum. - Uwielbiałam Adama, a sądzę, że i on darzył mnie podobnymi uczuciami. Nie miałam jednak żadnych złudzeń. On nigdy by jej nie rzucił. Powiedział mi to, gdy po raz ostatni jechaliśmy na lotnisko. Stanowili zespół. Adam doskonale rozumiał, że bez niej byłby nikim. Jasno mi to powiedział. Był jej dłużnikiem. To ona naprawdę rozumiała, na czym polega władza. Gdy zaczynał, to ona miała liczne znajomości w partii. Czy wiedziałeś, że pierwotnie to ona miała kandydować do parlamentu, a nie on? Nie napisałeś o tym.

- Nie wiedziałem.

- Adam kiedyś mi powiedział. Mało kto o tym wie, a w każdym razie nie zauważyłam, żeby ktoś o tym napisał. Najwyraźniej wszystko było przygotowane, to ona miała kandydować, ale w ostatniej chwili mu ustąpiła.

Przypomniałem sobie rozmowę z Rycartem.

- Poseł z Michigan - mruknąłem.

- Słucham?

- Poprzedni poseł z tego okręgu, niejaki Giffen. Był tak proamerykański, że w parlamencie przezywano go „poseł z Michigan”. - Coś przyszło mi do głowy. - Czy mogę cię o coś spytać? Przed śmiercią Adama, dlaczego tak bardzo zależało wam, żeby trzymać maszynopis pod kluczem?

- Powiedziałaś ci już: ze względu na ochronę tajemnic państwowych.

- Ale w tym maszynopisie nie było żadnych tajemnic i sensacji. Wiem lepiej niż ktokolwiek inny, bo czytałem ten bzdet kilka razy.

Amelia rozejrzała się. Wciąż staliśmy z boku. Nikt nie zwracał na nas uwagi.

- Mówiąc między nami - powiedziała cicho - to nie nam na tym zależało, tylko Amerykanom. Słyszałam, że przekazali wiadomość do MI5, że w pierwszej części maszynopisu może być coś, czego ujawnienie może zagrozić bezpieczeństwu narodowemu.

- Jak się o tym dowiedzieli?

- Kto to może wiedzieć? Wiem jedno: natychmiast po śmierci Mike'a zażądali, żebyśmy podjęli szczególne kroki, aby zapewnić, że książka nie trafi do obiegu, dopóki oni nie wyrażą zgody.

- I zrobili to?

- Nie mam pojęcia.

Znowu pomyślałem o rozmowie z Rycartem. Co takiego, według niego, McAra powiedział mu przez telefon tuż przed śmiercią? „Klucz do wszystkiego jest w autobiografii Langa - to początek rozdziału”.

Czy to oznacza, że ktoś podsłuchiwał ich rozmowę?

Wyczulem, że stało się coś ważnego, nastąpiła istotna zmiana - pochyliła się płaszczyzna orbity jakiejś planety w moim wewnętrznym układzie słonecznym - ale nie wiedziałem, na czym ona polega. Musiałem znaleźć jakieś spokojne miejsce i bez pośpiechu wszystko przemyśleć. W tym momencie zwróciłem uwagę na zmianę sytuacji akustycznej. Szum rozmów wyraźnie przycichł. Ludzie uciszali się wzajemnie. Jakiś mężczyzna ryknął „Cisza!”. Pod ścianą, naprzeciwko wielkiego okna, niezbyt daleko od nas, Ruth Lang cierpliwie czekała na mównicę, ściskając w dłoni mikrofon.

- Dziękuję - powiedziała. - Dziękuję bardzo. Dobry wieczór wszystkim. - Na chwilę przerwała. Trzysta osób na sali czekało w milczeniu, co powie. Wzięła oddech. Jej głos lekko się załamał, ale zdołała się opanować. - Cały czas brakuje mi Adama, ale chyba nigdy tak bardzo, jak dzisiaj. Nie tylko dlatego, że zebraliśmy się tutaj z okazji wydania jego wspomnianej książki i on powinien być tutaj, żeby dzielić z nami radość, ale również dlatego, że był tak doskonałym mówcą, a ja jestem takim okropnym.

Ruth zaskoczyła mnie tym, jak sprawnie i profesjonalnie wygłosiła ostatnią kwestię, najpierw podkreśliła emocjonalne napięcie, a potem rozładowała je żartem. Występowała publicznie, wykazując wielką pewność siebie. Nie tak ją zapamiętałem. Miałem wrażenie, że po śmierci męża zdobyła przestrzeń potrzebną, by się rozwijać.

- Wobec tego - kontynuowała - z pewnością z ulgą przyjmiecie wiadomość, że nie będę długo przemawiała. Chcę tylko podziękować kilku osobom. Dziękuję Marty'emu Rhinehartowi i Johnowi Maddoksovi, którzy są nie tylko znakomitymi wydawcami, ale również naszymi bliskimi przyjaciółmi. Jestem wdzięczna Sidneyowi Krollowi za jego mądre rady i świetne dowcipy. Nie chciałabym, żeby ktoś sądził, iż do ukazania się pamiętników brytyjskiego premiera przyczynili się tylko Amerykanie, dlatego chciałabym szczególnie mocno podziękować Mike'owi McArze, którego, niestety, również nie ma już wśród nas. Mike: zawsze pozostaniesz w naszej pamięci. Ludzie bili brawo i krzyczeli „słuchajcie, słuchajcie”.

- Teraz chciałabym wznieść toast na cześć tego, komu naprawdę powinniśmy podziękować. - Wzniosła kieliszek z makrobiotycznym sokiem pomarańczowym, czy co tam w nim miała. - Wznieśmy toast za wielkiego człowieka i patriotę, znakomitego ojca i wspaniałego męża - za Adama Langa!

- Za Adama Langa! - krzyknęliśmy wszyscy unisono. Biłiśmy brawo, a Ruth kłaniała się na wszystkie strony. W pewnej chwili nas dostrzegła. Po jej twarzy przemknął cień, ale zaraz się uśmiechnęła i uniosła kieliszek w moją stronę.

Szybko zeszła z mównicy.

- Wesoła wdówka - syknęła Amelia, wypijając duszkiem szampana. - Śmierć dobrze jej robi, nie sądzisz? Rozkwita z każdym dniem.

- Mam przeczucie, że zaraz tu podejdziesz - mruknąłem.

- Cholera - zaklęła Amelia. - W takim razie znikam. Pójdiesz ze mną na kolację?

- Amelio Bly, czy zapraszasz mnie na randkę?

- Spotkamy się na zewnątrz za dziesięć minut. Freddy! - krzyknęła do kogoś. - Miło mi cię widzieć.

Amelia odeszła, żeby z kimś porozmawiać, a prawie równocześnie tłum przede mną rozstał się i zobaczyłem Ruth. Wyglądała zupełnie inaczej niż podczas naszego poprzedniego spotkania: miała starannie uczesane włosy, wypielęgnowaną skórę, trochę schudła z przygnębienia. Miała na sobie jakieś czarne jedwabne ubranie od dobrego projektanta. Tuż za nią szedł Sid Kroll.

- Cześć - powiedziała. Chwyciła moje dłonie w obie ręce i musnęła hełmem włosów moje policzki.

- Cześć, Ruth. Cześć, Sid.

Kiwnąłem głową w jego stronę. Sid w odpowiedzi puścił oko.

- Słyszałam, że nie znosisz takich przyjęć - powiedziała, wciąż trzymając moje dłonie i przesywając mnie spojrzeniem czarnych błyszczących oczu. - Gdyby nie to, wysłałabym ci zaproszenie. Dostałeś mój list?

- Tak, bardzo dziękuję.

- Ale nie zadzwoniłeś!

- Sądziłem, że to tylko kurtuazyjna propozycja.

- Kurtuazyjna? - Ruth potrząsnęła moimi rękami, jakby chciała mnie skarcić. - Czy ja kiedykolwiek odznaczałam się kurtuazją? Musisz mnie odwiedzić.

Następnie zachowała się tak samo, jak wszyscy ważni ludzie, których spotkałem kiedyś na przyjęciu: spojrzała na

kogoś za moimi plecami. Nagle w jej oczach dostrzegłem niepokój: coś ją zaalarmowało. Niemal niezauważalnie pokręciła głową. Uwolniłem ręce i spojrzałem za siebie. W odległości pięciu stóp stał Paul Emmett.

- Dobry wieczór - powiedział. - Wydaje mi się, że już się kiedyś spotkaliśmy.

Odwróciłem się ku Ruth. Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem wykrztusić ani słowa.

- Ach - wyjąkałem. - Ach...

- Paul był moim opiekunem naukowym – wyjaśniła spokojnie - gdy studiowałam na Harvardzie jako stypendystka Fulbrighta. Paul, muszę z tobą porozmawiać.

- Ach...

Zrobiłem kilka kroków do tyłu. Wpadłem na jakiegoś mężczyznę, który osłonił ramieniem kieliszek i pogodnie powiedział, żebym uważał. Ruth mówiła coś z wyraźnym naciskiem, podobnie jak Kroll, ale znowu szumiało mi w uszach i nie słyszałem ani słowa. Dostrzegłem, że Amelia patrzy na mnie. Z trudem pomachałem do niej obiema rękami, po czym uciekłem z sali. Szybko przeciąłem hol i znalazłem się w pustym, imperialnym i monumentalnym Whitehallu.

* * *

Po wyjściu na ulicę natychmiast zorientowałem się, że wybuchła kolejna bomba. Słyszałem wycie syren, a za Galerią Narodową wznosił się słup czarnego dymu, znacznie wyższy od Kolumny Nelsona. Wyciągając nogi, pomaszerowałem na Trafalgar Square, gdzie wepchnąłem się do taksówki,

wyprzedzając jakąś oburzoną parę. Policja zamykała wszystkie drogi ucieczki z centrum Londynu, jak rozprzestrzeniający się pożar lasu. Skreśliśmy w jednokierunkową ulicę, ale po chwili zauważyliśmy, że policja już zablokowała przejazd i rozciągnęła żółtą taśmę w poprzek ulicy. Kierowca gwałtownie zahamował i wrzucił wsteczny bieg. Poleciałem do przodu. Już do końca jazdy siedziałem na skraju fotela, trzymając się rączki nad drzwiami. Klucząc, przemykaliśmy się na północ. Gdy dojechaliśmy, zapłaciłem mu podwójnie.

„Klucz do wszystkiego jest w autobiografii Langa - to początek rozdziału”.

Wziąłem nową książkę, usiadłem przy biurku i zacząłem przerzucać pierwsze rozdziały. Przesuwałem palcem po kolejnych stronach, przeglądając wszystkie wymyślone odczucia i częściowo prawdziwe wspomnienia. W mojej profesjonalnej prozie, złożonej, wydrukowanej i oprawionej, życie ludzkie było gładkie jak sztablatura.

Niczego nie znalazłem.

Zdegustowany rzuciłem książkę na podłogę. Co to za śmieć, bezduszny komercyjny produkt! Jak dobrze, że Lang tego nie przeczyta, pomyślałem z zadowoleniem. Teraz oryginał wydał mi się znacznie lepszy: po raz pierwszy doceniłem uczciwość i szczerłość tego topornego i pedantycznego tekstu. Wyjąłem z szuflady maszynopis Mc Ary, postrzępio-ny i tak pokreślony, że wiele miejsc trudno było odczytać. *ROZDZIAŁ 1. LANG TO SZKOCKIE NAZWISKO. JESTEM DUMNY Z MOJEGO POCHODZENIA.* Pamiętałem ten nieśmiertelny początek, który tak bezwzględnie skreśliłem jeszcze na Martha's

Vineyard. Teraz zauważyłem, że właściwie każdy rozdział zaczyna się od jakiegoś stylistycznego potworka. Wszystkie zmieniłem. Odszukałem w grubej ryzie strony, na których zaczynały się kolejne rozdziały. Luźny maszynopis uciekał mi z rąk jak żywe stworzenie.

ROZDZIAŁ 2. ŻONA I DZIECI TOWARZYSZYŁY MI W PRZEPROWADZCE DO NIEWIELKIEGO MIASTA, GDZIE MOGLIŚMY ŻYĆ Z DALA OD LONDYŃSKIEGO ZGIELKU... ROZDZIAŁ 3. RUTH PIERWSZA DOSTRZEĞŁA, ŻE MAM SZANĘ ZOSTAĆ PRZYWÓDCĄ PARTII... ROZDZIAŁ 4. STUDIUJĄC PORAŻKI MOICH POPRZEDNIKÓW, POSTANOWIŁEM POSTĘPOWAĆ INACZEJ... ROZDZIAŁ 5. W WYNIKU WYBORÓW POWSZECHNYCH ZDOBYLIŚMY WŁADZĘ, NA CO MOŻNA SPOJRZEĆ JAKO NA NIEUNIKNIONĄ KONSEKWENCJĘ... ROZDZIAŁ 6. SIEDEMDZIESIĄT SZEŚĆ RÓŻNYCH AGENCJI RZĄDOWYCH ZAJMUJE SIĘ SPRAWAMI BEZPIECZEŃSTWA... ROZDZIAŁ 7. ZOSTAŁA DO ROZWIĄZANIA SPRAWA IRLANDII PÓŁNOCNEJ, KRAINY CIĘŻKO DOŚWIADCZONEJ PRZEZ HISTORIĘ, JAK CHYBA ŻADNA INNA... ROZDZIAŁ 8. ZWERBOWANA GRUPA KANDYDATÓW W WYBORACH EUROPEJSKICH, WYWODZĄCYCH SIĘ ZE WSZYSTKICH GRUP SPOŁECZNYCH... ROZDZIAŁ 9. NA OGÓŁ W POLITYCE ZAGRANICZNEJ PAŃSTWA KIERUJĄ SIĘ WŁASNYM INTERESEM... ROZDZIAŁ 10. POLITYCZNEGO PROBLEMU, PRZED JAKIM STOI KAŻDY RZĄD, NIE MOŻNA ROZWIĄZAĆ... ROZDZIAŁ 11. AGENT DONIÓŚŁ Z AFGANISTANU... ROZDZIAŁ 12. CIA OCENIAŁA ZAGROŻENIE... ROZDZIAŁ 13. W TRAKCIE KAMPANII MUSIELIŚMY ATAKOWAĆ OBIEKTY CYWILNE... ROZDZIAŁ 14. AMERYCE ZALEŻAŁO NA SOJUSZNIKACH GOTOWYCH DO... ROZDZIAŁ 15. PRZEZ TAKĄ

*POLITYKĘ STANĘLIŚMY W OBLICZU BUNTU... ROZDZIAŁ
16. PROFESOR PAUL EMMETT Z UNIwersYTETU
HARVARDA PISZE O ZNACZENIU...*

Rozłożyłem kartki na biurku, zachowując kolejność rozdziałów.

„Klucz do wszystkiego jest w biografii Langa - to początek rozdziału”.

Rozdziału czy rozdziałów?

Nigdy nie przejawiałem szczególnego talentu do rozwiązywania zagadek, ale gdy teraz zakreśliłem pierwsze słowo każdego rozdziału, natychmiast zauważyłem zdanie, które Mc Ara, lękając się o życie, zawarł w maszynopisie, jak wiadomość zza grobu: *Lang żona studiując w siedemdziesiąt sześć została zwerbowana na politycznego agent CIA w Ameryce przez profesor Paul Emmett z Uniwersytetu Harvarda.*

Rozdział 17

Murzyn nie może oczekiwać sławy.

Andrew Crofts

Jeszcze tego wieczoru opuściłem swoje mieszkanie i nigdy tam nie wróciłem. Od tamtej pory minął miesiąc. O ile mi wiadomo, nikt za mną nie tęskni. Chwilami, zwłaszcza w ciągu pierwszego tygodnia, gdy siedziałem samotnie w nędznym pokoju hotelowym - zmieniałem hotel cztery razy - nie miałem wątpliwości, że zwariowałem. Powinienem zadzwonić do Ricka, powtarzałem sobie, żeby wziąć od niego nazwisko i numer telefonu tego psychoterapeuty. Miałem zwidy. Jednak trzy tygodnie temu, gdy już zasypiałem po całym dniu ciężkiej pracy, usłyszałem w wiadomościach telewizyjnych, że były minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Richard Rycart, zginął w wypadku samochodowym w Nowym Jorku. W katastrofie poniósł śmierć również jego kierowca. To była jedna z mniej ważnych wiadomości. Nie ma bardziej żalosego eks niż ekspolityk. Rycart

nie byłby zadowolony.

Zrozumiałem wtedy, że nie mam możliwości powrotu.

Wprawdzie przez cały ten czas zajmowałem się tylko pisanem i myśleniem o tym, co się zdarzyło, wciąż nie potrafię powiedzieć, kiedy dokładnie McAra poznał prawdę. Przypuszczam, że zaczął coś podejrzewać, gdy prowadząc badania archiwalne, natknął się na dokumenty dotyczące operacji „Burza”. Był rozczarowany rządami Langa, nie mógł zrozumieć, dlaczego gabinet, który zapowiadał się tak obiecująco, ostatecznie doprowadził do takiej beznadziejnej sytuacji. Zbierając pedantycznie materiały dotyczące lat studenckich Langa, natknął się na te zdjęcia, które wydały mu się kluczem do tajemnicy. Jeśli Rycart słyszał plotki o związkach Emmetta z CIA, to można spokojnie założyć, że McAra również je znał.

Ale McAra znał również inne fakty. Wiedział, że Ruth była stypendystką Fulbrighta i studiowała na Uniwersytecie Harvarda. Zapewne wystarczyło mu dziesięć minut, żeby sprawdzić w Internecie, że w połowie lat siedemdziesiątych Emmett wykładał tam stosunki międzynarodowe. Wiedział również, lepiej niż ktokolwiek inny, że Lang rzadko podejmował decyzję, nie konsultując się z żoną. Adam był znakomitym specjalistą od politycznego marketingu, ale to Ruth grała rolę stratega. Gdyby trzeba było odgadnąć, które z nich miało dość inteligencji, odwagi i bezwzględności, żeby zostać agentem z powodów ideologicznych, wybór był łatwy. McAra nie miał dowodów, ale prawdopodobnie zebrał dostatecznie dużo poszlak, żeby przedstawić swoje podejrzenia

Langowi podczas tej ostrej kłótni dzień przed jego konfrontacją z Emmettem.

Próbuję sobie wyobrazić, co czuł Lang, gdy usłyszał te oskarżenia. Odrzucił je, ale na pewno był wściekły. Dzień lub dwa później morze wyrzuciło zwłoki McAry, a on pojechał do kostnicy je zidentyfikować. Co wtedy myślał?

Prawie codziennie słucham nagrania mojej ostatniej rozmowy z Langiem. Jestem pewny, że kryje się w niej klucz do wszystkiego, ale nie mogę znaleźć rozwiązania zagadki. Obaj mówimy cicho, warkot silników zagłusza nasze słowa, ale można je zrozumieć.

*Ja: Czy to prawda, że miałeś z nim poważną kłótnię?
Tuż przed jego śmiercią?*

Lang: Mike wysunął jakieś szalone oskarżenia. Nie mogłem tego zignorować.

Ja: Mogę spytać jakie?

Lang: Wolalbym ich nie powtarzać.

Ja: Czy dotyczyły CIA?

Lang: Przecież już na pewno wiesz, skoro widziałeś się z Paulem Emmettem.

[przerwa trwająca siedemdziesiąt pięć sekund]

Lang: Chcę, żebyś zrozumiał jedno. Wszystko, co zrobiłem, zarówno jako przywódca partii, jak i premier rządu - wszystko - robiłem z przekonaniem, że tak trzeba.

Ja: [niesłyszalne]

Lang: Emmett twierdzi, że pokazałeś mu jakieś fotografie. Czy to prawda? Mogę je zobaczyć?

Potem, gdy Lang oglądał zdjęcia, przez dłuższą chwilę słychać tylko szum silników. Przeskakuję do przodu, do miejsca, gdzie mówi o dziewczynach uczestniczących w pikniku nad rzeką. Brzmi niewypowiedzianie smutno.

Lang: Pamiętam ją. Ją też. Napisała do mnie kiedyś, gdy już byłem premierem. Ruth nie była zadowolona. Boże! Ruth...

Boże, Ruth...

Boże, Ruth...

Przesłuchuję to wielokrotnie. Jest dla mnie zupełnie oczywiste, gdy teraz słucham jego głosu, że w tym momencie, gdy przypomina sobie żonę, martwi się o nią i myśli tylko o niej. Zapewne zadzwoniła do niego po południu z informacją, że pojechałem spotkać się z Paulem Emmettem i pokazałem mu jakieś zdjęcia. Była przerażona. Chciała z nim porozmawiać najszybciej, jak to możliwe, bo pojawiło się niebezpieczeństwo, że jej tajemnica zostanie ujawniona - stąd te poszukiwania samolotu i pośpieszny powrót na Martha's Vineyard. Czy wiedziała, co może czekać na niego na lotnisku? Moim zdaniem, na pewno nie, ale nigdy nie wyjaśniono różnych zaniedbań ochrony, do których niewątpliwie dopuszczono. Najbardziej poruszające wydaje mi się jednak to, że Lang nie dokończył tego zdania. Z pewnością

chciał powiedzieć: „Boże, Ruth, coś ty zrobiła?”. Myślę, że w tym momencie skryształizowały się jego podejrzenia, zdał sobie sprawę, że te „szalone oskarżenia” McCary były jednak zgodne z prawdą, a jego żona nie jest taką kobietą, za jaką uważał ją przez trzydzieści lat.

Nic dziwnego, że zdaniem Ruth to ja powinienem skończyć książkę. Miała wiele do ukrycia i uważała, że autor mglistej autobiografii Christy'ego Costello najprawdopodobniej nie będzie szczególnie dociekliwy.

Chciałbym jeszcze coś napisać, ale patrzę na zegarek i obawiam się, że na razie to musi wystarczyć. Jak łatwo zrozumiecie, nie mam ochoty zbyt długo przebywać w jednym miejscu. Mam poczucie, że obcy ludzie zbyt natrętnie mi się przyglądają. Zamierzam zrobić kopię tego maszynopisu i dać ją Kate. Za godzinę, gdy wszyscy będą jeszcze spali, wrzucę paczkę do jej skrzynki pocztowej. Dołączę do niej list z prośbą, żeby jej nie otwierała, ale dobrze schowała. Jeśli przez miesiąc się do niej nie odezwę lub jeśli dowie się, że miałem jakiś wypadek, ma przeczytać maszynopis i postarać się go opublikować. Kate z pewnością uzna, że zachowuję się melodramatycznie. To prawda, ale mam do niej zaufanie. Zrobi to, o co ją poproszę. Jeśli ktokolwiek jest dostatecznie uparty, żeby doprowadzić do publikacji mojej relacji, to chyba tylko Kate.

Zastanawiam się, dokąd teraz jechać. Wiem, na co mam ochotę. Choć to może was zdziwić, chciałbym wrócić na Martha's Vineyard. Pragnę zobaczyć zwłaszcza ten cholerny

karłowaty dąb, cały zielony, oraz jachty płynące pod pełnymi żaglami z Edgartown przez cieśninę Nantucket. Chciałbym wrócić na tę plażę w zatoce Lambert, czuć pod gołymi nogami gorący piasek, przyglądać się dzieciom pluskającym się w falach przyboju i wyciągnąć się na plaży pod ciepłym słońcem Nowej Anglii.

Teraz, gdy już doszliśmy do ostatniego akapitu, stanąłem w obliczu szczególnego dylematu, co na pewno łatwo zrozumiecie. Czy powinienem się cieszyć, że go czytacie? Cieszę się, oczywiście, że wreszcie przemówiłem własnym głosem. Jestem również rozczarowany, rzecz jasna, bo to prawdopodobnie oznacza, że nie żyję. No, ale jak mówiła moja mama, w życiu nie można mieć wszystkiego.